



HENNING
MANSELL

Wspomnienia
brudnego anioła

HENNING
MANKELL

**WSPOMNIENIA BRUDNEGO
ANIOŁA**

przełożyła Ewa Wojciechowska

Tytuł oryginału: *Minnet av en smutsig ängel* Copyright © by
Henning Mankell, 2011

Published by agreement with Leopard Förlag, Stockholm and
Leonhardt & Høier Literary Agency A/S, Copenhagen Copyright ©

for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV
Copyright © for the Polish translation by Ewa Wojciechowska,
MMXIV

Wydanie I Warszawa

Są trzy rodzaje ludzi: ci, którzy są martwi, ci, którzy żyją, oraz ci, którzy żeglują po morzach...

Platon

Prolog

Hotel Africa, Beira, 2002

Pewnego zimnego lipcowego dnia 2002 roku mężczyzna imieniem José Paulo wyrąbał dziurę w zbutwiałej podłodze. Nie szukał ucieczki ani kryjówki, chciał wykorzystać zniszczone deski na opał, afrykański chłód doskwierał tamtego roku najsilniej od wielu lat.

José Paulo nie miał rodziny, lecz wziął na siebie obowiązek opieki nad siostrą i jej pięciorgiem dzieci po tym, jak jego szwagier, Emilio, zniknął pewnego ranka, zostawiając parę zdartych butów i stertę niezapłaconych rachunków. Większość długów zaciągnął u donny Saminy, prowadzącej nielegalną karczmę w pobliżu portu rybackiego, gdzie serwowała *tontonto* oraz warzone domowym sposobem piwo z zadziwiająco wysoką zawartością alkoholu.

Emilio zwykł spędzać czas na piciu i opowieściach o minionych czasach, kiedy to pracował w południowoafrykańskich kopalniach złota. Wielu twierdziło, że tak naprawdę nigdy nie postawił stopy w Południowej Afryce ani tym bardziej nie miał stałej pracy.

I choć nikt nie spodziewał się jego zniknięcia,

nie było ono dla nikogo zaskoczeniem. Emilio zwyczajnie podążył swoją drogą, wybrawszy na odejście najcichsze godziny, tuż przed świtem, gdy wszyscy jeszcze śpią.

Nikt nie wiedział, dokąd się udał. Nikt też za nim szczególnie nie tęsknił, nawet jego rodzina. Wątpliwe też, by tęskniła za nim donna Samina, domagała się jednak stanowczo, by ktoś uregulował jego rachunki.

Emilio, pijak i gaduła, nie zostawiał po sobie wielu śladów, nawet zanim odszedł. Zatem fakt, że nagle go zabrakło, niczego raczej nie zmienił.

José Paulo mieszkał z rodziną siostry w hotelu Africa, w mieście Beira. Niegdyś, w czasach, które zdawały się teraz równie odległe, co niezrozumiałe, miejsce to uchodziło za najokazalsze w całej kolonialnej Afryce. Porównywano je do Wodospadów Wiktorii, znajdujących się na granicy Południowej i Północnej Rodezji, zanim kraje te się wyzwoliły i przyjęły nazwy Zimbabwe i Zambia.

Biali ludzie ściągali z daleka do hotelu Africa, by się w nim pobrać, świętować ważną rocznicę lub zwyczajnie zaznaczyć, że należą do arystokracji niemogącej sobie wyobrazić, że kolonialny raj pewnego dnia legnie w gruzach. W niedzielne popołudnia w hotelu organizowano herbatki z tańcami, turnieje swingu oraz tanga. Na ogół goście tego przybytku pozowali do grupowych fotografii przed głównym wejściem.

Jednak sen o kolonialnym rajku musiał się rozwiać. Pewnego dnia ostatni Portugalczycy opuścili swoje placówki oraz domy, a hotel Africa, gdy tylko zabrakło jego właścicieli, zaczął popadać w ruinę. Opuszczone apartamenty i pokoje zajęli biedni Afrykańczycy. Zgromadzili swój skromny przybytek w wybebeszonych fortepianach, buduarach bez okien oraz wannach. Zrywali piękne deski podłogowe, by palić nimi w najchłodniejsze zimowe dni.

Ostatecznie w miejscu zwanym niegdyś hotelem Africa zamieszkało kilka tysięcy osób.

Pewnego lipcowego dnia również José Paulo wyrąbał dziurę w podłodze i zabrał parę desek, by rozpalić ogień. W pokoju panował przenikliwy chłód, a jedynym źródłem ciepła było małe ognisko; wisiał nad nim żeliwny garnek, w którym gotowano jedzenie. Dym z pomieszczenia wyprowadzała na zewnątrz rura, wychodząca przez rozbite i nieuszczelnione okno.

Pałące się zbutwiałe drewno szybko zaczęło cuchnąć swoją przeszłością. José Paulo w pierwszej chwili pomyślał, że pod podłogą rozkłada się zdechły szczur, ale jedynym, co tam znalazł, był stary, niewielki notatnik, oprawiony w cielecą skórę.

Z trudem składając litery, odcyfrował wytłoczone na czarnej okładce przedziwne nazwisko.

Hanna Lundmark.

Pod nazwiskiem widniała data: 1905.

Nie był w stanie przeczytać tego, co zapisano w środku. Był to zupełnie nieznanym mu język. José Paulo pokazał notatnik staremu Afanastasio, który mieszkał w pokoju 212, nieco dalej w tym samym korytarzu, i był przez wszystkich mieszkańców hotelu uważany za mędrca, gdyż w młodości przeżył spotkanie z dwoma głodnymi lwami na odludnej drodze nieopodal Chimoio.

Jednak nawet Afanastasio nie potrafił odczytać zapisków w notatniku. Pokazał go starej Lucindzie, zajmującej dawną recepcję hotelu, lecz i ona nie wiedziała, co to za język.

Afanastasio poradził José Paulowi, by wyrzucił notatnik.

– Długo leżał pod podłogą – powiedział. – Ktoś ukrył go tam w czasach, kiedy tacy jak my mogli przebywać w tym miejscu tylko jako kelnerzy, sprzątacze lub tragarze. Spal go, użyj jako rozpałki w naprawdę zimną noc.

José Paulo zabrał notatnik z powrotem do swojego pokoju. Nie spalił go, sam nie wiedząc dlaczego. Znalazł dla niego nową skrytkę. Pod framugą okna była szczelina, w której chował pieniądze, jakie z rzadka udawało mu się zarobić. Od tej pory brudne i nieliczne banknoty musiały ustąpić trochę miejsca czarnemu notatnikowi.

Nigdy więcej go stamtąd nie wyjął. Ale o nim

nie zapomniał.

Część I
Misjonarze opuszczają statek

Jest czerwiec roku 1904, wstaje duszny tropikalny świt.

Tutaj, w tym odległym *teraz*, na miękkiej, martwej fali stoi statek pod szwedzką banderą. Na pokładzie jest trzydziestojednoosobowa załoga. Pośród niej jedna kobieta. Nazywa się Hanna Lundmark, z domu Renström, pracuje na statku jako kucharka.

Statek transportujący ze Szwecji tarcicę na podłogi w salonach bogatych australijskich hodowców owiec miał dotrzeć na miejsce z trzydziestodwuosobową załogą.

Lecz jeden z jej członków właśnie zmarł. Był pierwszym oficerem na pokładzie oraz mężem Hanny. Był młody i chciał żyć, ale pewnego dnia, gdy statek cumował na załadunek węgla w jednym z pustynnych portów na południe od Suez, pierwszy oficer, mimo ostrzeżeń kapitana Svartmana, zszedł na ląd i zaraził się febrą czyhającą na afrykańskim brzegu.

Gdy mężczyzna zrozumiał, że umrze, zaczął wycić ze strachu.

Żaden z tych, którzy trwali do końca przy łożu śmierci, ani kapitan Svartman, ani pracownik tartaku, mężczyzna nazwiskiem Halvrosen, nie zrozumieł ostatnich słów umierającego. Nie

usłyszała ich nawet Hanna, mająca zostać wdową, po trwającym miesiąc małżeństwie. Jej mąż zmarł, krzycząc, a pod sam koniec, kiedy śmierć była już bliska, żałośnie jęczał ze strachu.

Nazywał się Lars Jakob Antonius Lundmark. Hanna opłakuje go, pogrążona w niemal paraliżującej rozpacz.

Jest świt, nastał pierwszy ranek po śmierci Lundmarka. Statek stoi bez ruchu. Kapitan położył go na dryf, zaplanowawszy pogrzeb na morzu. Nie chciał z tym zwlekać, na statku nie było możliwości, aby utrzymać ciało w niskiej temperaturze.

Hanna stoi na rufie z wiadrem pomyj. Jest niska, trzyma się prosto i ma przyjazne oczy. Brązowe włosy upięta w skromny kok na karku. Nie jest ładna, lecz bije od niej niezwykły blask, dający odczuć, że jest kobietą z charakterem.

Tu i teraz. W tej chwili znajduje się właśnie tu. Na morzu na pokładzie parowca z podwójnym kominem, wiozącego ładunek tarcicy do Australii. Port macierzysty: Sundsvall.

Statek nazywa się „Lovisa”. Zbudowano go w podstokholmskiej stoczni Finnroda, lecz jego port macierzysty znajduje się dalej na północ.

Najpierw statek należał do armatora w Gävle, lecz przedsiębiorstwo zbankrutowało wskutek spekulacji. Dopiero potem trafił do Sundsvall. W Gävle nosił nazwę „Matilda”, na cześć żony

armatora grającej Szopena niezgrabnymi palcami. Teraz statek nazywa się „Lovisa”, bo takie imię nosi najmłodsza córka nowego armatora.

Jednym ze współwłaścicieli statku jest mężczyzna nazwiskiem Forsman. To on zadbał, by Hanna Lundmark dostała pracę na pokładzie. I mimo że w domu Forsmana też stoi pianino, nikt na nim nie gra. Forsman lubi słuchać instrumentu, gdy raz do roku przychodzi stroiciel.

I oto na pokładzie „Lovisy” od śmiertelnej gorączki zmarł właśnie pierwszy oficer Lars Johan Jakob Antonius Lundmark.

Wydaje się, że martwa fala zastygła. Statek tkwi w bezruchu, jakby wstrzymywał oddech.

Właśnie tak wyobrażam sobie śmierć, myśli nagle Hanna Lundmark. Jako nastającą nagle ciszę, zupełnie nieoczekiwaną i przychodzącą znikąd. Śmierć jest jak podmuch wiatru, który niepostrzeżenie spycha cię na zawietrzną.

Na zawietrzną stronę śmierci. A dalej nie ma już nic.

W tej samej chwili Hannie nasuwa się pewne wspomnienie. Również ono przychodzi nie wiadomo skąd.

Staje jej przed oczami ojciec, Hanna słyszy w głowie jego głos, który pod koniec życia był już tylko szeptem. Wówczas jej się zdawało, że ojciec mówi do niej tak cicho, bo chce jej powierzyć cenną tajemnicę.

Brudny anioł. Oto, kim jesteś.

Powiedział jej to tuż przed śmiercią. Zupełnie jakby usiłował dać jej jakiś prezent, mimo że sam nie posiadał prawie nic – a może właśnie dlatego?

Hanno Renström, córko moja, jesteś aniołem, ubrudzonym, ale mimo wszystko aniołem.

Co Hanna właściwie zapamiętała? Jak dokładnie brzmiały jego słowa? Czy nazwał ją *zabiedzonym*, czy *ubrudzonym* aniołem? Czyżby pozostawił jej wolny wybór? Teraz, kiedy Hanna wspomina tamtą chwilę, wydaje jej się, że powiedział: *jesteś ubrudzonym aniołem.*

Wspomnienie jest odległe i mgliste. Hanna jest teraz tak daleko od ojca i jego śmierci. Od domu położonego nad brzegiem brunatnej i zimnej rzeki Ljungi, płynącej na odludziu w północnej Szwecji. Ojciec umarł, skurczony z bólu na rozkładanej kanapie w kuchni, którą trudno było ogrzać.

Zmarł otoczony chłodem, myśli teraz Hanna. W styczniu 1899 roku, gdy jej ojciec przestał oddychać, było naprawdę zimno.

Minęło ponad pięć lat. Teraz jest czerwiec roku 1904.

Wspomnienie ojca i jego słów odchodzi równie szybko, jak się pojawiło. Powrót myślami do terażniejszości zajmuje Hannie ledwie parę sekund.

Hanna wie, że najniezwyklejsze podróże człowiek odbywa zawsze w swoim wnętrzu, gdzie nie istnieją ani przestrzeń, ani czas.

Może wspomnienie ojca powróciło, by jej pomóc? Może rzuciło jej linę, po której będzie mogła się wspiąć i przejść na drugą stronę muru rozpaczy?

Przecież nie mogę stąd uciec, myśli po chwili. Statek jest jak niezdojta twierdza.

Hanna wie, że nie umknie nieszczęściu. Jej mąż naprawdę nie żyje.

Śmierć jest jak pazur, stwierdza. Raz się wbija i nie chce już puścić.

Zmniejszono ciśnienie w kotłach. Tłoki tkwią w bezruchu. Maszyny odpoczywają. Hanna stoi przy relingu z wiadrem pomyj. Zamierza wylać resztki jedzenia za rufę. Chłopiec okrętowy chciał je od niej odebrać, gdy niosła je z kambuza, ona jednak mocno trzymała wiadro i nie oddała go. Ani myśli zaniedbywać swoich obowiązków, choć tego dnia jej mąż zaszyty w kawałek płótna zostanie pochowany na dnie morza.

Spoglądając w dół, na wiadro pełne skorupki po jajkach, Hanna ma wrażenie, że duszny upał wpija się jej paznokciami w twarz. Gdzieś tam, po stronie sterburty, w słonecznej mgie leży Afryka. Mimo że Hanna nie dostrzega lądu, wydaje jej się, że czuje jego zapach.

Opowiedział jej o nim ten, który już nie żyje. O parującym, niemal gryzącym, wszechobecnym w tropikach gnilnym śwądzie.

Lundmark odbył już kilka takich podróży, odwiedził wiele miejsc. Zdążył się sporo nauczyć, jednak nie tego, co najważniejsze: jak przetrwać.

Nie dane mu było dokończyć tej wyprawy. Zmarł w wieku dwudziestu czterech lat.

Zupełnie jakby próbował mnie przed czymś ostrzec, myśli Hanna. Nie wie jednak przed czym. A on już nie żyje.

Martwy nigdy nic nie odpowie.

Ktoś nagle zjawia się bezszelestnie u jej boku. Najbliższy przyjaciel jej męża, pracownik tartaku, Norweg nazwiskiem Halvrosen. Hanna nie zna jego imienia, mimo że przebywają na tym samym statku od ponad dwóch miesięcy. Wszyscy wołają na niego Halvrosen. To poważny człowiek. Ludzie mówią, że pada na kolana i uzyskuje rozgrzeszenie za każdym razem, gdy po kilku miesiącach na morzu wraca do domu, do Brönnöysund. Po jakimś czasie, gdy wiara przestaje go uskrzydlać, znów się zaciąga na jakiś statek.

Ma duże dłonie, ale twarz łagodną, niemal kobiecą. Broda na jego zuchwie zdaje się domalowana lub naniesiona pudrem przez kogoś, kto chciał mu zrobić kawał.

– Domyślam się, że chcesz mnie o coś zapytać – mówi do Hanny śpiewnym głosem, zupełnie jakby nucił.

– O głębokość – odpowiada Hanna. – Na jakiej głębokości będzie grób Lundmarka?

Halvrosen niepewnie kręci głową. Hanna stwierdza zaskoczona, że Norweg wygląda jak niespokojny ptak próbujący wzbić się w powietrze.

Po chwili odchodzi w ciszy i zostawia ją samą. Hanna wie, że Halvrosen odpowie na jej pytanie.

Na jakiej głębokości będzie grób? Czy jest w ogóle jakieś dno w miejscu, w którym owinięte w płótno ciało jej męża zostanie wrzucone do wody?

Może nie ma tam nic poza nieskończoną otchłanią?

Hanna wyrzuca skorupki za burzę, patrząc, jak białe ptaki pikują do wody za łupem. Potem ociera pot z czoła ścierką zatkniętą za fartuch.

I wreszcie robi to, co nieuniknione. Krzyczy na cały głos.

Kilka kołyszających się na fali ptaków, czekających na kolejne wiadro z odpadkami, zrywa się do lotu i umyka przed tym rozpaczliwym wrzaskiem, który chłoscze jak grad.

Lars, chłopiec okrętowy, wychyla się z kambuza i patrzy na Hannę ze strachem. Trzyma w dłoni rozbite jajko. Za moment odwraca wzrok, w obliczu śmierci czuje się niepewnie.

Hanna wie, co chłopak sobie myśli: „Zaraz wyskoczy. Zostawi nas, bo nie jest w stanie żyć w tej rozpaczach”.

Wielu na pokładzie słyszało jej krzyk. Dwóch spoconych majtków z nagimi torsami przystaje przy wejściu do kambuza i wpatruje się w Hannę wytrzeszczonymi oczami. Stoją tuż przy zwiniętej cumie, która wygląda jak śpiący wąż.

Hanna tylko kręci głową, zagryza zęby i wraca do kambuza z opróżnionym wiadrem. Nie, nie zamierza wychodzić za reling. Jakoś sobie radziła przez całe życie, poradzi sobie i teraz.

W kambuzie uderza ją fala gorąca. Praca przy kuchni jest jak praca w kotłowni. Hanna dobrze to wie, nie musiała nawet schodzić na dół, by się o

tym przekonać. Przecież powiedziano jej, że obecność kobiety w pobliżu kotłów parowych przynosi pecha.

Zdaniem starszych marynarzy nieszczęście przynosi już sama obecność kobiety na pokładzie. Nie wspominając o awanturach, jakie mogą wybuchnąć wśród męskiej załogi z powodu zwykłej zazdrości. Jednak gdy Forsman poprosił kapitana Svartmana, by przyjął Hannę na służbę, ten od razu się zgodził. Nie był przesądnym człowiekiem.

Hanna sięga po jajko, rozbija je o brzeg patelni i wyrzuca skorupkę do wiadra. Trzydziestu pozostałych przy życiu marynarzy czeka na śniadanie. Hanna próbuje myśleć tylko o jajkach, nie o czekającym ją tego dnia pogrzebie. Została zatrudniona jako kucharka i nie zmienił tego fakt, że właśnie umarł jej mąż.

Jest, jak jest, myśli. Ja wciąż żyję. Ale Lundmark już nie.

Chwilę później wraca Halvrosen i prosi Hannę, by z nim poszła. Tłumaczy, że czeka na nich kapitan Svartman.

– Zmierzymy głębokość – oznajmia. – Jeśli nie wystarczy liny, kapitan wybierze inne miejsce.

Hanna smaży do końca cztery jajka, które akurat ma na patelni, a potem idzie za Norwegiem. Po drodze chwije się w przypiływie nudności. Nie upada jednak, wciąż dzielnie się trzyma.

Hanna wie, że kapitan Svartman pochodzi z rodziny o długich tradycjach żeglarskich. Jest starym człowiekiem, skończył już sześćdziesiąt lat. Brakuje mu ostatniego paliczka małego palca u lewej dłoni. Nikt nie wie, czy taki się urodził, czy też miał jakiś wypadek.

Dwukrotnie zdarzyło mu się dowodzić żaglowcem, który poszedł na dno. Za pierwszym razem uratowano go wraz z całą załogą, za drugim ocalał tylko on i pokładowy kundel, który zaraz po dotarciu na ląd położył się na piasku i zdechł.

Mąż Hanny wspomniał jej przy jakiejś okazji, że kapitan Svartman tak naprawdę wtedy umarł, razem ze swoim psem. Po tamtej katastrofie przez wiele lat nie wypłynął na morze. Nikt nie wie, czym się w tym czasie zajmował, ale krążyła plotka, że pracował jako kolejarz i należał do ekipy wysłanej

przez koleje państwowe na północ, z zadaniem wytyczenia trasy „linii śródlądowej”¹, o którą w szwedzkim parlamencie toczyły się spory.

Potem Svartman nagle wrócił na morze, tym razem jako dowodzący statkiem parowym. Należał do grona nielicznych, którzy nie opuścili morza wraz z końcem ery żaglowców i zdecydowali się wkroczyć w ten nowy świat.

Nikomu nie opowiedział o latach spędzonych na lądzie. Ani o tym, co robił, o czym wówczas rozmyślał, ani nawet gdzie wtedy mieszkał.

Kapitan rzadko odzywa się bez potrzeby, za bardzo nie wierzy też w umiejętność słuchania u innych. Jest przekonany, że potrafi to tylko morze. Ma w kajucie kwiaty doniczkowe w kolorze lawendy. Dba o nie sam, nikomu innemu nie wolno ich podlewać.

Jest wycofanym i milczącym człowiekiem. A teraz musi określić głębokość w miejscu, w którym ma zostać pochowany pierwszy oficer z jego statku.

Kapitan kłania się Hannie, kiedy ta do niego podchodzi. Mimo upału Svartman ma na sobie mundur. Wszystkie guziki są zapięte, koszula wyprasowana.

Obok niego stoi bosman, Fin nazwiskiem Peltonen. Trzyma w dłoni ołowiany ciężarek, przymocowany do cienkiej, długiej liny.

Kapitan Svartman kiwa głową. Peltonen wyrzuca ciężarek za burzę, do morza. Lina sunie się między

palcami bosmana. Wszyscy stoją w milczeniu. Na linie w równych odstępach są związane czarne wstążeczki.

– Sto metrów – mówi Peltonen, kiedy pod wodą niknie pierwszy ciemny węzełek.

Jego skrzekliwy głos odbija się echem od martwej fali.

W pewnej chwili pod wodę trafia siódmy czarny supełek i lina się kończy. Ołowiany ciężarek wciąż zwisa w głębinie, jeszcze nie dotarł do dna. Peltonen przywiązuje do końca liny następną, tak samo oznaczoną co sto metrów czarnymi wstążeczkami.

Lina robi się luźna na głębokości 1935 metrów. Ciężarek opadł na dno. Hanna otrzymała odpowiedź na pytanie, jak głęboko pod wodą zostanie pochowany jej mąż.

Peltonen zaczyna wciągać linę, nawijając ją na specjalnie wyprofilowaną drewnianą deskę. Svartman zdejmuje czapkę kapitańską i ociera pot z czoła. Potem zerka na zegarek. Za kwadrans siódma.

– Punkt o dziewiątej – oznajmia Hannie. – Zanim upał stanie się nie do zniesienia.

Hanna wraca do kajuty, którą dzieliła z mężem. Górna koja należała do niego, ale zwykle sypiali razem na dolnej. Hanna widzi, że ktoś zabrał pościel zmarłego.

Został goły materac. Hanna siada na swojej koi i

spogląda w stronę grodzi w drugim końcu ciasnego pomieszczenia. Wie, że powinna się zmusić do myślenia.

Jak się tu właściwie znalazła? W jaki sposób trafiła na kołyszący się na obcych wodach statek? Ona, która urodziła się tak daleko od morza, jak tylko można sobie wyobrazić. W pobliżu jej domu przy brzegu rzeki Ljungi była zacumowana łódka. To wszystko. Czasem do niej wsiadała, kiedy ojciec zabierał ją na ryby. Gdy pewnego razu, mając może siedem lub osiem lat, zapytała ojca, czy nauczy ją pływać, ten odparł, że nigdy jej na to nie pozwoli. Pływanie to strata czasu. Jeśli ma ochotę, może się wykąpać przy brzegu. A jeśli chce się dostać na drugą stronę rzeki, jest przecież most lub łódź.

Hanna kładzie się na koi i zamyka oczy. Biegnie w pamięci tak daleko wstecz, jak tylko potrafi. Aż tam, gdzie wydłużają się cienie.

Być może tam znajdzie schronienie do chwili, kiedy nadejdzie pora i jej mąż zniknie w morzu.

Zostawi ją. Na zawsze.

Dzieciństwo: głęboko, na samym dnie wspomnień. W szczelinie w skorupie ziemi.

Pierwszym wspomnieniem Hanny Lundmark jest chłód. Ziąb skuwający i niemal wykręcający drewniane ściany, tuż przy jej twarzy, nocą, gdy spała. Często budziła się ze świadomością, jak cienka jest warstwa gazet udających tapety w ubogim domu rodzinnym. Chłód nieustannie próbował przez nie się przegryźć.

Każdej wiosny jej ojciec obchodził dom, zupełnie jakby był to statek wciągnięty na ląd, aby – najlepiej jak mógł – połatać i pozalepiać nowo powstałe dziury przed następną zimą.

Mróz był oceanem, ich dom małym bezbronnym statkiem, a zima nieustannym czekaniem. Ojciec zatykał szczeliny aż do późnej jesieni, do chwili gdy wracał silny mróz. Wówczas nie mógł już nic zrobić, musiało wystarczyć to, z czym zdążył przed nadejściem chłodu.

Ojciec Hanny nazywał się Arthur Olaus Angus Renström, pracował przy wyrębie lasu pod Iggesund i posiadał konia pociągowego do zwożenia drzewa, do spółki z braćmi Salomonssonami, mieszkającymi nieco dalej nad rzeką. Harował w lesie za marną zapłatę, ale był jednym z tych ludzi, którzy nie wiedzą, czy

wynagrodzenie, jakie dostają za swoją pracę, jest wystarczające.

Hanna zapamiętała ojca jako silnego i uśmiechniętego człowieka, jednocześnie jednak nieco ociężałego i zatopionego w myślach, których nie znała. Troll, myślała o nim czasem, kiedy był wyjątkowo nieobecny i siedział przy stole kuchennym z rękami opartymi na kolanach. Niby znajdował się w domu razem z całą rodziną, ale w pewien sposób był nieobecny. Hanna wyobrażała sobie w takich chwilach, że ojciec przebywa w świecie, w którym głązy przemieniają się w trolle, mech w długie włosy, a wiatr szumiący między sosnami staje się chórem głosów umarłych.

Ojciec często o nich opowiadał. O tych, którzy już odeszli. Przerazała go myśl, że na świecie żyje tak mało ludzi w porównaniu z tymi, którzy zmarli.

W okolicy panowała epidemia, której nazwa była dobrze znana wszystkim kobietom. Mówiły na nią „bijoza”. Dopadała mężczyzn, gdy do ich krwi dostawał się mocny alkohol. Wówczas bili wszystkich, którzy stanęli im na drodze, przede wszystkim swoje dzieci i żony próbujące je chronić. Ojciec Hanny rzecz jasna też czasem pił, ale nigdy nie stawał się agresywny. Dlatego też picie niepokoiło matkę Hanny mniej niż jego codzienna ociężałość. Kiedy się napił, ogarniała go cikliwość i chciał śpiewać psalmy. Akurat on, który na trzeźwo najchętniej spaliłby wszystkie kościoły,

a duchownych pogonił w las.

I to na bosaka! – krzyczał. – Pogonić ich w las bez butów w największy mróz! Właśnie tam jest ich miejsce! W lesie! Na bosaka!

Babka Hanny, mieszkająca w nieszczelnej, pełnej przeciągów chałupie u wrót doliny Funäs, wciąż wyrzekała, że jej przeklęty zięć pośle swoje dzieci do piekła tym bluźnierczym gadaniem. Hanna drżała ze strachu, słuchając jej słów. W piekle czekała na nią wrząca smoła i rozżarzone węgle parzące stopy. Babka była surowym kaznodzieją o złych, świdrujących oczach. Bez wahania straszyła swoje wnuki, aż zaczynały płakać i bały się spać. Gdy matka Hanny zmuszała ją i resztę rodzeństwa do odwiedzin u babki, Hanna traktowała to jak najgorszą torturę.

Zapamiętała też nieustający gniew babki. Staruszka nie mogła wybaczyć matce Hanny, że wyszła za mąż za nieudacznika Renströma, mimo że ją przed nim ostrzegała. W kółko się wyzłośliwiała, pytając, co też takiego jej córka w nim widzi. Żeby chociaż jakoś wyglądał, a był przecież niski, miał krzywe nogi i zaczął łysieć, zanim skończył dwadzieścia pięć lat. Poza tym płynęła w nim krew dawnych fińskich osadników. Jego przodkowie mieszkali w nieprzebytych lasach Värmlandii, gdzie drzewa rosą tak gęsto, że trudno odróżnić noc od dnia. Dlaczego nie mogła wybrać sobie na męża kogoś z Hede, Bruksvallarny

albo z jakiegokolwiek miejsca, gdzie żyją uczciwi ludzie?

Matka Hanny miała na imię Elin. Zawsze kuliła się na dźwięk głosu swojej matki, nigdy jej się nie sprzeciwiała i przyjmowała jej wyrzuty w milczeniu. Hanna w końcu zrozumiała, że widocznie da się kochać kogoś, kto traktuje nas źle, jakkolwiek dziwne jej się to zdawało. Tak musiało być w wypadku jej matki oraz babki.

Elin.

Hanna zawsze była zdania, że to imię do jej matki nie pasuje. Kobieta o takim imieniu powinna być drobna, o delikatnej cerze, z dłońmi białymi jak mleko i spływającymi na plecy jasnymi włosami. Elin Wallén, po mężu Renström, była krępa, miała mysiobrazowe sterczące włosy, duży nos i niezbyt proste zęby. Gdy się uśmiechała, można się było zastanawiać, dokąd jej zęby właściwie się wybierają. Wyglądały tak, jakby zamierzały wyskoczyć i gdzieś sobie pójść. Elin Renström bez wątpienia nie była ładną kobietą. Dobrze o tym wiedziała. Hanna była ciekawa, czy matce jest z tego powodu przykro. Zaczęła sobie zadawać to pytanie, kiedy sama była już na tyle duża, że z ciekawością przyglądała się swojej twarzy w pękniętym lusterku, którego ojciec używał do golenia.

Jednak jej matka nie sprawiała wrażenia zrezygnowanej. Miała mnóstwo sił i nie pozwalała

im się marnować. Zastąpiła niedostatki w urodzie niezmordowaną dbałością o czystość w swoim domu. Nieważne, jak silny był mróz, wszystkie podłogi, ściany, a nawet sufit, miały lśnić. Podobnie jak dzieci, mąż oraz jej własne ciało. Elin tępiła wszy z siłą batalionu szturmującego pozycje wroga. Stawiała na środku izby blaszaną balię, nosiła w wiadrach wodę z rzeki, podgrzewała ją, szorowała dzieci, a potem, wciąż nieustrudzona, znów przynosiła wodę, tym razem na piętrzące się w kącie pranie.

Później czworo jej dzieci obserwowało z zadziwieniem, jak matka zajmuje się ich ojcem, który wracał z pracy brudny i zmordowany. Myła go, a jej ręce poruszały się tak, jakby w myślach wyśpiewywała miłosną pieśń. Ojciec zdawał się lubić te dłonie, które szorowały go i wycierały, obcinały mu paznokcie i goliły go tak dokładnie, że jego skóra stawała się gładka jak u niemowlęcia.

Mimo to pierwszym wspomnieniem Hanny był chłód. Mróz i śnieg, który zaczynał padać już pod koniec września, a potem utrzymywał się aż do początków czerwca. Dopiero wtedy znikwały ostatnie białe plamy.

Była też bieda. Ta jednak nie kojarzyła się Hannie z niczym innym jak z pojedynczą zimną izbą, w której dorastała. Ubóstwo sprawiło też, że Hanna musiała opuścić dom rodzinny nad rzeką.

Miała wówczas siedemnaście lat. Jej ojciec już

nie żył, a ona spędzała czas na pomaganiu matce w zajmowaniu się domem i dziećmi, ponieważ była najstarsza. Żyli biednie, ale jakimś cudem w ich domu nikt nie głodował.

Aż nastał rok 1903. Latem przyszła wielka i długa susza, a wkrótce po niej wczesny mróz. Dokończył dzieła zniszczenia i zniszczył zasiewy, które wcześniej jakimś cudem przetrwały.

Tamtego roku życie Hanny się zmieniło.

Horyzont – kiedyś tak odległy – teraz nagle się zbliżył. Jak niebezpieczeństwo.

Hanna nie mogła zapomnieć pewnego dnia, choć wcale nie chciała go pamiętać: środek sierpnia, chmury wisiały nisko, był wczesny ranek.

Hanna poszła z matką w pole, żeby ocenić zniszczenia. Susza spaliła wszystko na popiół. Ziemia była dziwnie cicha. Mąka, którą matka Hanny trzymała w domu, mogła im wystarczyć najwyżej do adwentu. Nie miały też siana, żeby wykarmić w zimie jedyną krowę.

Gdy chodziły po polu na opadającym ku rzece zbocz, Hanna ujrzała po raz pierwszy, jak Elin płacze. Podczas długiej choroby ojca matka tylko mrużyła oczy. Nawet kiedy w końcu zmarł. Hanna myślała sobie, że Elin zamyka je ze strachu przed nieuchronnym końcem i czekającą ją samotnością. Wtedy jednak nie płakała, ani razu nie krzyczała z żalu. Kierowała swój ból do swojego wnętrza, gdzie musiała tkwić jakaś siła, będąca w stanie zniszczyć to, co dręczyło Elin.

Ale tamtego dnia, gdy spacerowały po wypalonych suszą polach i zrozumiały, że grozi im prawdziwa nędza, Elin oznajmiła Hannie, że musi wyjechać. Zdaniem matki nie było dla Hanny przyszłości tutaj, nad rzeką. Powinna wyjechać na wybrzeże i tam zapewnić sobie utrzymanie. Pewnego dnia Elin i jej mąż przybyli nad brzeg tej

rzeki, żeby przejąć ubogie gospodarstwo po jednym ze stryjów Elin. Nie mieli zresztą wyboru. Był rok 1883, od ostatniego wielkiego głodu spowodowanego nieurodzajem minęło zaledwie szesnaście lat. Jeśli podobny głód miał teraz powrócić, Hanna musiała wyjechać. I to jak najszybciej, póki jest jeszcze czas.

Stały przy skraju lasu, gdzie kończyło się pole.

– Wypędzasz mnie z domu? – spytała matkę Hanna.

Elin potarła nos. Robiła to za każdym razem, kiedy była zmartwiona.

– Dam radę wyżywić troje dzieci – odparła. – Ale nie czworo. Jesteś już dorosła, możesz wyjechać, ułatwić życie nam i przede wszystkim sobie. Nie wypędzam żadnego z moich dzieci. Chcę tylko, żebyś miała szansę godnie żyć. Tutaj możesz jedynie przeżyć. To za mało.

– Ale co ja mogę robić pożytecznego na wybrzeżu?

– To samo, co robisz tutaj. Możesz pilnować dzieci, pracować własnymi rękami. W mieście zawsze są potrzebne służące.

– Kto ci tak powiedział?

Hanna nie chciała się sprzeciwiać matce, lecz Elin odebrała to jako oznakę nieposłuszeństwa i mocno chwyciła córkę za ramię.

– Ja tak mówię – wycodziła przez zęby. – A

kiedy ci coś mówię, masz wierzyć w każde moje słowo. Nie robię tego dla przyjemności, ale dlatego, że nie ma innego wyjścia.

Puściła rękę Hanny, jakby nagle się opamiętała i pożałowała swoich słów.

Hanna zrozumiała, że jej matka właśnie zrobiła coś niezwykle trudnego.

Na zawsze zapamiętała tę chwilę: tam i wtedy, na obrzeżach rozciągającej się przed nimi krainy nędzy, u boku matki, która po raz pierwszy przy niej się rozpłakała, Hanna po raz pierwszy pojęła, że jest sobą i nikim innym.

Była Hanną i nie mogła się z nikim zamienić. Nie dało się zastąpić ani jej ciała, ani jej myśli. Wtedy naprawdę zrozumiała, że jej zmarły ojciec również taki był. Jego także nie dało się nikim zastąpić.

Czy to właśnie jest dorosłość? pomyślała, odwróciwszy twarz, bo jej się zdawało, że matka jest w stanie odgadnąć jej myśli. Czy polega to na tym, że nagle sobie uświadamiasz, iż nie poznasz odpowiedzi na żadne pytanie, jeśli samemu jej nie znajdziesz?

Wróciły razem do domu, przycupniętego w zagajniku brzóz, obok samotnej jarzębiny. Rodzeństwo Hanny czekało w środku, mimo że dzień nie był szczególnie chłodny. W ostatnich tygodniach dzieci mniej się bawiły. Były spokojniejsze, kiedy dokuczał im głód. Ich życie

sprawdzało się do nieustannego czekania na coś do jedzenia.

Elin zatrzymała się przed progiem, jakby nagle postanowiła nie wpuszczać swojej córki do domu.

– W Sundsvall mieszka mój wuj, Axel – powiedziała. – Axel Andreas Wallén. Pracuje w porcie. On i jego żona Dora to porządni ludzie. Nie mają dzieci. Mieli dwóch chłopców, ale umarli, a potem Dora już więcej nie rodziła. Oni ci pomogą. Nie przegonią cię ze swojego domu.

– Nie chcę przyjść do nich jak żebraczka – odparła Hanna.

Elin natychmiast wymierzyła jej policzek. Wspominając go po jakimś czasie, Hanna pomyślała, że był jak drapieżny ptak, który rzucił się z nieba na jej twarz.

Matce zdarzyło się ją już wcześniej uderzyć, ale wówczas zrobiła to ze strachu. Na przykład wtedy, gdy Hanna weszła na łódź na rzece wczesną wiosną, kiedy już trzeszczała kra, i o mało nie wpadła do wody. Teraz Elin wymierzyła jej policzek ze złości. Po raz pierwszy.

Dorośla kobieta spoliczkowała dorosłą kobietę. I uderzona miała sama dobrze wiedzieć, dlaczego dostała w twarz.

– Nie wyrzucam z domu córki, żeby została żebraczką – syknęła wzburzona Elin. – Chcę dla ciebie jak najlepiej. Tutaj nie ma dla ciebie przyszłości.

Hanna poczuła łzy w oczach. Nie z bólu, zdarzało jej się odczuwać dużo większy ból.

Policzek, który właśnie wymierzyła jej matka, potwierdzał to, co przed chwilą Hanna tylko podejrzewała – od teraz jest sama na świecie. Miała wyruszyć na wschód, na wybrzeże, i nie wolno jej było spojrzeć za siebie. To, co zostawiała, miało odejść w niepamięć, podążając dalej i dalej, jak sianie, w których znajdowała się Hanna.

Było to wczesną jesienią 1903 roku. Hanna Renström miała siedemnaście lat, a jej osiemnaste urodziny przypadają na dwunasty dzień grudnia.

Za parę miesięcy miała na zawsze opuścić swój dom.

Czas zmartwień minął, pomyślała Hanna. Teraz życie rozpoczyna swój nowy rozdział.

Zrozumiała to, gdy Elin wyjaśniła, jaki ma plan. Bywało, że kupcy z wybrzeża, udający się zimą na targ w Røros, nie wracali najprostszą i najkrótszą drogą, tą wiodącą wzdłuż rzeki Ljusny, a potem na dół, do Kårböle. Niektórzy zbaczali nieco na północ, a po przekroczeniu granicy z Norwegią skręcali w stronę Flatruet i jeśli tylko dopisywała pogoda, przejeżdżali przez wioski wzdłuż rzeki Ljungi, chcąc sprzedać ich mieszkańcom zakupione w Norwegii towary.

Najbardziej znanym kupcem był Jonathan Forsman. On też najczęściej wracał do domu tą drogą.

– Ma wielkie sanie – powiedziała Elin. – W drodze powrotnej nie są tak obciążone jak wtedy, gdy Forsman jedzie do Røros. Zabierzesz się z nim do Sundsvall. Nie tknie cię, będziesz z nim bezpieczna.

Hanna spojrzała na matkę pytająco. Skąd Elin mogła to wiedzieć? Hanna wiedziała, co ją czeka w życiu, słyszała, co szepczą inne dziewczyny, zwłaszcza dziewczynki pilnujące owiec. Opowiadały przedziwne historie, okraszone chichotem, ale czasem też niepokojem. Hanna wiedziała też, co

oznacza niespodziewany rumieniec i nagła fala gorąca w całym ciele, często wieczorami, tuż przed zaśnięciem.

Nic więcej jednak nie wiedziała. I nie wierzyła, by Elin mogła mieć pewność, co się stanie podczas długiej podróży saniami.

Zapytała ją o to wprost.

– Odnalazł drogę do Boga – odparła matka. – Wcześniej był okropnym człowiekiem, jak większość tych samotnych wilków z saniami. Ale odkąd odzyskał wiarę, stał się dobrym samarytaninem. Zabierze cię na wybrzeże i nawet nie zażąda zapłaty. Pozwoli ci też okryć się jednym z grubych futer, żebyś nie zmarzła.

Elin nie miała jednak pewności, kiedy Forsman przyjedzie i czy w ogóle będzie mu tędy po drodze. Zwykle zjawiał się na krótko przed Bożym Narodzeniem, ale zdarzało się, że docierał dopiero po Nowym Roku. Czasem nie zjawiał się wcale.

– Mógł przecież umrzeć – dodała Elin w zamyśleniu.

Kiedy sanie znikwały w śnieżnej zawiei, człowiek nie mógł być pewien, czy przypadkiem nie widział odjeżdżającego ostatni raz, nieważne, czy podróżny był stary, czy młody.

Hanna miała być gotowa do podróży od swoich urodzin, od 12 grudnia. Jonathan Forsman zawsze się spieszył, nigdy nie zostawał dłużej niż trzeba. W odróżnieniu od tutejszych, którzy dysponowali

mnóstwem czasu, życie kupca Forsmana wypełniało działanie, i dlatego żył on w wielkim pośpiechu.

– Zwykle zjawia się po południu – tłumaczyła Elin. – Przyjeżdża od strony lasu i stąd kieruje się na południe. Potem jedzie dalej drogą dla sań, wzdłuż mokradeł, a następnie korytem rzeki i dalej, w dół doliny.

Odtąd każdego popołudnia, kiedy zaczynało zmierzchać, Hanna wychodziła przed dom i spoglądała w stronę lasu. Czasem jej się zdawało, że słyszy dzwonienie janczarów. Nikt jednak nie wyłaniał się z leśnych wrót.

Hanna źle sypiała przez to niecierpliwe oczekiwanie. Często się budziła, wystraszona jakimś koszmarem, z którego nic nie rozumiała. Jej sny były teraz białe jak śnieg, puste i pogrążone w ciszy.

Jeden z nich ją prześladował: leżała na rozkładanej kanapie razem z dwojgiem rodzeństwa, najmłodszym braciszkiem Olaussem i siostrą, dwunastoletnią Verą. Czuła dotyk ich ciepłych ciał. Hanna wiedziała jednak, że kiedy tylko otworzy oczy, obok niej znajdą się zupełnie inne dzieci, całkiem obce. I w chwili gdy na nie spojrzy, te dzieci umrą.

Za każdym razem, gdy się budziła, odkrywała z ulgą, że to był tylko sen. Potem zwykle długo leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w srebrzyste światło księżyca, które wpadało przez niskie okna,

pokryte kryształkami lodu. Dotykała dłonią oklejonej gazetą ściany. Paraliżujący, skuwający drewno mróz był tuż obok.

Chłód jest jak dziki zwierz, rozmyślała. Zwierz uwięziony w klatce, próbujący wydostać się na wolność.

Ten sen coś oznaczał, ale Hanna go nie rozumiała. Była pewna, że ma on coś wspólnego z jej podróżą. Co ją spotka w nieznanym świecie? Czego będzie się tam od niej oczekiwało? Wyobrażając sobie ludzi żyjących w mieście, sama czuła się głupia i nieporadna. Gdyby żył jej ojciec, mógłby ją przygotować. Był kiedyś w Sztokholmie, a nawet w innym wielkim i niezwykłym mieście o nazwie Arboga. Opowiedziałaby jej, jak tam jest, i nie musiałyby się bać.

Elin pochodziła z doliny Funäs i nigdy nie była nigdzie indziej. Wybrała się tylko w tę jedną podróż na północ, razem z mężczyzną, który został jej mężem.

Mimo to właśnie ona musiała odpowiedzieć na wszystkie pytania Hanny. Nie było nikogo innego.

Odpowiedzi Elin były lakoniczne, pełne milczenia. Wiedziała przecież tak niewiele.

Pewnego dnia na początku listopada, gdy Hanna i jej matka zbierały i rąbały w lesie drewno na opał, Hanna zapytała Elin o morze. Jak ono wygląda? Czy płynie w korycie, jak rzeka? Czy ma taki sam kolor? Czy jest tak głębokie, że nie dosięgniesz dna?

Elin przerwała pracę, położyła dłonie na bolącym krzyżu i długo przyglądała się córce, zanim jej odpowiedziała.

– Nie wiem – oznajmiła. – Myślę, że morze jest jak wielkie jezioro. I są na nim fale. Ale nie umiem powiedzieć, czy płynie z prądem.

– Ojciec nic ci nie mówił? – zdziwiła się Hanna. – Przecież podobno płynął kiedyś po morzu.

– Może to wcale nie była prawda. Może wszystko, co opowiadał, wydarzyło się wyłącznie w jego głowie. O morzu nie powiedział nic poza tym, że jest wielkie.

Elin znów się schyliła i zaczęła zbierać pocięte gałęzie. Hanna nie dała za wygraną. Dziecko przestawało pytać, kiedy dawało mu się odczuć, że już wystarczy. Ona była jednak dorosła. Miała prawo chcieć więcej.

– Nie wiem, co mnie tam czeka – powiedziała. – Będę mieszkała w czyimś domu? Czy będę musiała dzielić z kimś łóżko?

Elin zdenerwowana cisnęła drewno do kosza.

– Zadajesz za dużo pytań – odparła. – Nie wiem, co cię tam czeka. Wiem za to na pewno, że tutaj nie czeka cię nic. Tam przynajmniej są ludzie, którzy mogą ci pomóc.

– Po prostu chciałam wiedzieć – jęknęła cicho Hanna.

– Nie pytaj mnie już o nic więcej. Głowa mnie boli od tych twoich pytań. Nie znam na nie odpowiedzi.

W milczeniu wróciły do domu. Z komina unosiła się prosto do nieba smużka dymu. Olaus i Vera pilnowali, żeby nie zgasł ogień. Mimo to Elin i Hanna nigdy nie odchodziły dalej niż na odległość, z której można było, na przykład wspiąwszy się na duży kamień, dostrzec, czy z komina unosi się dym. Lub co gorsza, czy ogień nie wydostał się poza otwarte palenisko i nie zaczął chłostać wszystkiego wokół swoimi płomieniami, jak szaleniec.

Nocami padał śnieg, a każdego poranka trzymał mróz. Lecz wciąż jeszcze nie nadeszły prawdziwe śnieżyce, te trwające dłużej niż trzy dni, skradające się od gór na zachodzie. Hanna dobrze wiedziała, że jeśli nie spadnie wystarczająco dużo śniegu, do ich domu nie dotrą żadne sanie.

Śnieg przyszedł wreszcie po kilku dniach. Jak zwykle zaczął padać nocą, bezszelestnie. Gdy Hanna wstała nad ranem, żeby napalić w piecu,

Elin stała przy uchylonych drzwiach.

Nie poruszała się, jakby czegoś wypatrywała. Na zewnątrz wszystko zrobiło się białe, a pod ścianami domu utworzyły się duże zaspasy. Hanna dostrzegła na śniegu ślady wrony, potem też myszy i może nawet zająca.

Śnieg padał bez przerwy.

– Ten śnieg już nie stopnieje – powiedziała Elin.
– Nadeszła zima. Nie zobaczymy gołej ziemi do wiosny, do końca maja albo początku czerwca.

Padało cały następny tydzień. Początkowo mróz był niewielki, zaledwie parę kresek poniżej zera, ale kiedy śnieg ustał i niebo się rozjaśniło, nadeszła fala chłodu.

Elin miała termometr, który Renström kupił dawno temu na jakimś targu. A może wygrał go w siłowaniu się na rękę? Mogło tak być, był prawdziwym siłaczem. Termometr miał specjalny uchwyt, za który dało się go przytwierdzić do ściany. Elin bardzo o niego dbała. Nie zostawiała go na dworze z obawy, by ktoś przypadkiem nie stłukł cieniutkiej rurki, w której uwięziona była niebezpieczna rtęć.

Elin ostrożnie wetknęła termometr w zaspę pod domem, od strony, która zawsze pozostawała w cieniu. Od trzech dni z rzędu mróz trzymał mocno, temperatura spadała poniżej minus trzydziestu stopni.

W najzimniejsze dni Elin i Hanna nie

zajmowały się niczym innym, jak tylko paleniem w piecu oraz pilnowaniem, by krowa i dwie kozy miały co jeść. Same jadły tyle, żeby nie dokuczał im głód. Przeznaczały wszystkie swoje siły na utrzymanie chłodu za progiem domu. Każda kolejna kreska poniżej zera była jak posiłki dla wrogich wojsk, trzymających dom w oblężeniu.

Hanna widziała wyraźnie, że Elin się boi. Co będzie, jeśli w domu coś się zepsuje? Co zrobią, jeśli pęknie szyba lub ściana? Nie miały dokąd uciec, poza maleńką oborą, w której stały zwierzęta. Ale i tam było zimno, na dodatek nie było tam pieca.

W czasie tych mroźnych dni Hanna po raz pierwszy pomyślała, że zmiana być może przyniesie jej coś dobrego. Może będzie jak leśna polana, do której dostają się promienie słońca. Całkiem niespodziewany jasny punkt pośrodku ciemności. Może czeka ją lepsze życie, może nie będzie tam otoczona wojskami nędzy i chłodu. Lęk przed nieznanym zmienił się nagle w tęsknotę za nowym życiem. Życiem z dala od górskich zboczy i lasów.

Nie powiedziała o tym Elin. Postanowiła zachować tę niejasną tęsknotę dla siebie.

Siedemnastego grudnia, tuż po trzeciej po południu, od strony lasu dobiegły pobrzękiwania janczarów. Pierwsza usłyszała je Vera, która wyszła z domu, żeby sprawdzić, czy kury nie zniosły jajek mimo mrozu. Usłyszała zbliżające się sanie, wracając z pustymi rękoma, wąską ścieżką wydeptaną między metrowymi zaspami. Zawołała Elin i Hannę, a one natychmiast wybiegły przed dom. Minął już największy chłód, parę dni wcześniej nastąpiła nawet odwilż, lecz ostatniej nocy pojawiła się warstwa świeżego śniegu.

Dzwoneczki brzęczały coraz głośniejsze i w końcu w oddali pojawił się czarny koń. Wyglądał jak troll albo niedźwiedź wyłaniający się z lasu. Otulony futrami woźnica ściągnął wodze i zatrzymał sanie tuż przed tonącą w śniegu nędzną chałupą.

Wówczas Elin wypowiedziała do Hanny poważne słowa:

– To właśnie jest Jonathan Forsman.

– Skąd to wiesz? – spytała Hanna.

– Bo nikt oprócz niego nie ma takiego czarnego konia. Ani tylu futer.

Hanna przekonała się, że to prawda, kiedy mężczyzna zszedł z sań i wkroczył do izby. Odziany był w skórę z niedźwiedzia i wilka, na koźle znajdowała się skóra renifera, a szyję miał

owiniętą lisim ogonem. Kiedy wygramolił się z tych wszystkich futer, ociekających topniejącym śniegiem, Hannie przyszło na myśl, że człowiek ten ledwie chwilę temu siedział za blisko ognia. Miał czerwoną, ogorzałą twarz, a mokre włosy lepiły mu się do czoła. Od razu też zrozumiała, że jej matka ma rację. Ten mężczyzna, który być może zgodzi się zabrać ją do miasta, nie był ani trochę groźny. Robił bardzo miłe wrażenie. Usiadł na taborecie przy piecu i wręczył Elin prezent, modlitewnik zakupiony w Røros.

– Jest po norwesku – oznajmił. – Ale ma ładną okładkę, to prawdziwa skóra, a okucia ładnie lśnią, jeśli je wyczyścisz. Poza tym chyba i tak nie umiesz czytać, mam rację, Elin Renström?

– Potrafię składać litery – odparła matka. – Jeśli to się nazywa czytaniem, potrafię to robić.

Dopiero wieczorem, kiedy młodsze dzieci poszły spać, Elin odważyła się zapytać Forsmana o podróż Hanny. Siedzieli przy otwartym ogniu. Jonathan Forsman ogrzewał swoje duże dłonie. Zanim rodzeństwo położyło się do łóżka, zaśpiewał im psalm niezwykłym, jakby pękniętym na pół głosem. Hanna nigdy wcześniej nie słyszała, jak śpiewa mężczyzna. Nie licząc pastora, który odprawiał nabożeństwa w Ljungdalen, ale on miał głos wysoki i piskliwy. Brzmiało to trochę tak, jakby w trakcie śpiewania ktoś go szczypał. Pod wpływem głosu Forsmana mróz gryzący drewniane

ściany chałupy zdawał się na moment ustępować.

Elin przedstawiła sprawę prosto. Nie trzeba było wielu słów.

– Możesz zabrać ze sobą Hannę? – spytała. – Wysłałam ją do Sundsvall. Moi krewni przyjmą ją pod swój dach.

Jonathan Forsman zamyślił się, wysłuchawszy jej prośby.

– Jesteś tego pewna? – zapytał po chwili.

– Dlaczego miałabym nie być tego pewna?

– Czy ci krewni na pewno pozwolą jej zostać? To rodzina Renströma?

– Nie, moja. Nazywają się Wallén. Gdyby to byli jego krewni, nie wysyłałabym jej.

– Wiedzą, że przyjedzie?

– Nie wiedzą, że to będzie Hanna. Ale zgodzili się przyjąć jedno z dzieci, kiedy ostatnio z nimi rozmawiałam.

Jonathan Forsman długo wpatrywał się w swoje dłonie.

– Kiedy to było? – spytał wreszcie.

– Wiosną miną cztery lata.

– Sporo mogło się zmienić przez tak długi czas – odparł. – Ale dobrze, wezmę ją z sobą. I miejmy nadzieję, że w Sundsvall znajdzie się ktoś, kto ją przyjmie.

– Wszyscy przecież nie umarli przez cztery lata – obruszyła się Elin. – Chyba że zabiła ich epidemia, która nie zdołała do nas dotrzeć.

Jonathan Forsman po raz pierwszy spojrział z powagą na Hannę.

– Ile masz lat? – spytał.

– Właśnie skończyłam osiemnaście.

Mężczyzna kiwnął głową. Nie pytał o nic więcej.

Ogień trząskał cicho.

Jonathan przespał tę noc na podłodze przy piecu, leżąc na rozłożonych futrach i owinięty skórą renifera. Jego czarny koń dostał miejsce w ciasnej obórce, między kozami i krową.

Hanna leżała bezsennie długie godziny. Żaden mężczyzna nie spał w tym domu, odkąd umarł ojciec. Teraz znów ktoś chrapał i bełkotał coś przez sen. Forsman oddychał z trudem, jakby dźwigał straszny ciężar.

Nazajutrz z nieba spadały pojedyncze płatki śniegu. Słupek rtęci wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Tuż po ósmej Hanna usiadła na saniach, obok dwóch przygotowanych dla niej przez Elin tobołków. Włożyła na siebie prawie wszystko, co miała, a Jonathan Forsman opatulił ją jeszcze warstwą futer, tak że prawie nie mogła się ruszyć.

Rodzeństwo płakało, kiedy się żegnała. Najpierw przytuliła każde z nich z osobna, a potem wszystkie naraz.

Matce podała tylko rękę. Jest, jak jest, pomyślała. Zajmując miejsce na saniach, postanowiła ani razu się nie odwrócić, kiedy będą odjeżdżać. Płakała w duchu, gdy Forsman smagnał

batem czarnego konia i ruszyli. Nie okazała nic po sobie. Nie chciała, by ktokolwiek widział jej smutek.

Rozmyślała o ojcu. Zdawało jej się, że i on stoi obok Elin i patrzy, jak jego córka odjeżdża w świat.

Wrócił specjalnie na tę chwilę. Chciał przy tym być.

Był rok 1903, a następnego roku Szwecję znów miała nawiedzić fala głodu.

Podróż z doliny Ljungi na wybrzeże miała trwać pięć dni. Tak Jonathan Forsman powiedział Elin, zupełnie jakby składał obietnicę.

– Nie potrwa to dłużej – zapewnił. – Są dobre warunki do jazdy, a po drodze nie mam wielu spraw do załatwienia. Będziemy się zatrzymywać tylko na noc i żeby coś zjeść. Najpierw pojedziemy wzdłuż rzeki, potem odbijemy trochę na północ i stamtąd udamy się prosto, przez lasy, aż do Sundsvall. Zajmie nam to pięć dni. Nie więcej.

Jednak podróż trwała o wiele dłużej. Już drugiego dnia, nim zdążyli dotrzeć do lasów na granicy Jämtlandii i Härjedalen, ze wschodu nadciągnęła potężna śnieżycą, której Forsman nie mógł przewidzieć. Kiedy wyjeżdżali, niebo było jasne, dzień chłodny i śnieg świetnie nadawał się do jazdy. Potem nagle zachmurzyło się i nawet Antero, czarny koń Forsmana, stał się niespokojny.

Zatrzymali się w zajeździe w Överhögdal. Hanna dostała miejsce do spania u pokojówek. Ale na posiłek zapraszano ją do tego samego stołu, przy którym zasiadał Jonathan Forsman, i obsługiwano ją tak samo jak jego. Nigdy wcześniej nikt jej nie obsługiwał.

– Jutro ruszymy w dalszą drogę – powiedział jej Forsman po odmówieniu modlitwy przed

jedzeniem. Wcześniej dopilnował, by złożyła dłonie do pacierza.

Ale nocą śnieżycą zrobiła w tył zwrot i zdecydowała się zostać dłużej. Silny wiatr i opady śniegu nie ustawały. Jonathan Forsman i Hanna nie mogli ruszyć w drogę. W mniej niż cztery godziny spadło pół metra śniegu, a podmuchy wiatru były tak silne, że zasyły sięgały dachu gospody.

Dotarli do Sundsvall o zmierzchu, po czternastu dniach podróży. Hanna liczyła dni, ale całkiem zapomniała, że akurat tej nocy rozpocznie się Nowy Rok. Nazajutrz miał być rok 1904.

Dla Jonathana Forsmana zdawało się to mieć ogromne znaczenie. Popędzał konia, bo bardzo chciał dotrzeć do domu przed północą. Dla Hanny Nowy Rok nigdy nie był szczególnym wydarzeniem. Zwykle kładła się spać, jakby był to normalny dzień. Nie pamiętała, by w jej rodzinie uważano ostatni dzień w roku za okazję do świętowania.

Dla Forsmana z kolei nie miało znaczenia, że razem spędzili święta Bożego Narodzenia. Dla niego liczył się tylko Nowy Rok.

Większość podróży przez lasy i białe pola odbyli w milczeniu. Co jakiś czas Forsman pokrzykiwał na czarnego konia, ale do Hanny nie odzywał się wcale. Górował nad nią na koźle jak wielka ściana.

Dopiero ten ostatni dzień przyniósł odmianę. W pewnej chwili Forsman odwrócił głowę i zadawał

jej różne pytania, a ona wykrzykiwała głośno swoje odpowiedzi, żeby przebiły się przez wiatr.

Dla Jonathana Forsmana to Nowy Rok był prawdziwym świętem.

– Bóg stworzył przejście z ostatniego roku w nowy, żebyśmy mieli okazję przemyśleć sobie czas, który przeminął, i to, co przyniesie nam przyszłość! – zawołał.

Zanim odnalazł drogę do Boga, spędzał sylwestra na oddawaniu się grzesznym uciechom. Wróżył z lanego do wody ołowiu, próbując ze stężalej bryłki odczytać, co go czeka w przyszłości. Kiedyś nie odważyłby się powitać Nowego Roku na trzeźwo.

– Teraz żyję w świetle bożej łaski – wyjaśnił. – I niczego już się nie boję.

Dotarli do miasta pogrążonego w ciemnościach, złapał mróz. Forsman ściągnął wodze na rogatkach i dalej jechali powoli. Hanna wreszcie miała możliwość skonfrontowania z rzeczywistością swoich wyobrażeń o mieście, ale gdy wreszcie się zatrzymali i wygramoliła się z futer, odniosła wrażenie, że zobaczyła tylko jego małą cząstkę.

Dom Jonathana Forsmana był zbudowany z kamienia i miał wysokie piętra. Ledwie zajechali przed bramę, ze środka wypadli jacyś ludzie. Zaraz ktoś zajął się Antero, odprowadzono sanie, a futra i pakunki wniesiono do domu. Hannie zakręciło się w głowie od tego zamieszania. Otaczało ją

mnóstwo obcych ludzi, którzy spoglądali na nią, niektórzy przyjaźnie, inni koso. W rodzinnych stronach zdarzało jej się spotkać kogoś obcego. Czasem był to jakiś włóczęga, który zgubił drogę nad rzeką, innym razem jakiś podróżny lub drwale z piłami i siekierami, których ojciec niekiedy zapraszał do domu. Nigdy jednak nie zdarzyło jej się spotkać tylu nowych osób naraz.

Forsman dostrzegł jej zakłopotanie i wrzasnął, że dziewczyna, którą przywiózł, nazywa się Hanna Renström i przyjechała z wizytą do krewnych w Sundsvall. Ostatnią noc w roku miała spędzić pod jego dachem.

Tuż przed północą Forsman zebrał w największej izbie wszystkich domowników oraz służbę, wliczając nawet stajennego, pachotków i kuchnię. Otworzył na oścież okno i ryknął na całą salę, jak Hanna nazwała w myślach to pomieszczenie, żeby wszystkich uciszyć. Dzwon na wieży kościoła w Sundsvall zaczął wybijać północ. Hanna dostrzegła, że Forsman odlicza uderzenia i z każdym kolejnym jego oczy zachodzą łzami.

Po chwili stwierdziła z przerażeniem, że Forsman płacze. Nigdy wcześniej nie widziała, by dorosły mężczyzna ronił łzy. Poczowała ucisk w gardle i zrozumiała, że te niesione przez mroźne powietrze dźwięki oznaczają coś naprawdę niezwykłego. Gdy zegar ucichł, Forsman zaintonował pobożną pieśń. Wszyscy się do niego

przyłączyli, nawet Hanna, choć tylko nuciła pod nosem.

Spędziła tę noc w pokoju z trzema służącymi. Dzieliła łóżko z dziewczyną imieniem Berta. Obie były w tym samym wieku. Berta nie pachniała zbyt świeżo i Hanna pomyślała ze strachem, że i ona pewnie nie pachnie ładnie. Berta ułożyła się wygodnie i szturchając Hannę, zajęła większą część łóżka, a przed zaśnięciem oznajmiła jeszcze, że musi wstać o piątej, mimo że jest Nowy Rok i właściwie należałoby ten dzień traktować jak niedzielę. Musiała jednak napalić w kaflowych piecach drewnem przyniesionym przez pacholków.

Chwilę później spała. Hanna długo leżała bezsennie, myśląc, że czegoś jej w tym domu brakuje. Dopiero po jakimś czasie odgadła, co to takiego.

Kamienne mury nie trzeszczały na mrozie. Chłód nie przedzierał się przez nie, jak przez drewniane ściany rodzinnego domu.

I dopiero wówczas, gdy leżała w łóżku przy kamiennej ścianie, dotarło do niej, że znalazła się w zupełnie obcym świecie. Gdy wyciągnęła rękę w ciemności, nie mogła już dotknąć kogoś z rodzeństwa, nie słyszała ciężkiego oddechu pogrążonej w głębokim śnie Elin.

Znalazła się daleko od domu, w świecie, w którym wszystko było nowe i zupełnie nieznanne.

Ostrożnie położyła dłoń na ciepłej Bercie.

Zatęskniła za tulącym się rodzeństwem. Teraz była sama. I nie wiedziała, jak sobie poradzić z rosnącą wokół niej pustką.

Nazajutrz Forsman wysłał Jukkę, najbardziej zaufanego ze swoich pracowników, by pomógł Hannie odnaleźć krewnych. Elin dała mu ich adres, lecz nie był on zbyt dokładny. Nazwy ulic i numery domów w Sundsvall nie zawsze się zgadzały.

Forsmana martwiło nieco, że nigdy nie słyszał o żadnych Wallénach, a dobrze znał wszystkich w mieście. Nie powiedział o tym Elin, podejrzewając, że jej krewni mogą mieszkać w okolicach któregoś z tartaków pod miastem.

Chłód znacznie zelżał. Hanna czuła, że mróz nie szczypie już w policzki tak dotkliwie jak podczas jazdy saniami.

Forsman wyprowadził ich na ulicę.

– Jeśli nie znajdziecie tej rodziny, przyprowadź ją tu z powrotem – poinstruował Jukkę, mnącego w rękach skórzaną czapkę.

Hanna zauważyła, że Jukka jest wystraszony i obawia się stojącego przed nim wielkiego mężczyzny w futrze. Jukka z pewnością miał ponad sześćdziesiąt lat, ale i tak wyglądał jak dziecko z trwogą spoglądające na różgę.

Hanna tego nie rozumiała.

Ruszyli w drogę. Gdy tylko Forsman zniknął za drzwiami kamiennego domu, Jukka zmienił się nie do poznania. Spluwał na boki, stawiał nogi szeroko,

szturchał łokciem ludzi, którzy nie chcieli usunąć mu się z drogi, i w ogóle zachowywał się tak, jakby należała do niego cała pokryta śniegiem ulica.

W bladym zimowym słońcu Hanna nareszcie ujrzała miasto, do którego przybyła. Na każdy mijany po drodze kamienny dom przypadało dziesięć małych drewnianych ruder. Są jak grzyby, pomyślała. Kamienne domy przypominały jej grzyby jadalne, a drewniane chałupki te, które się decpeze, bo nie warto ich wkładać do koszyka.

W Hannie wciąż rósł niepokój. Była ciekawa, czy zdoła się przystosować do życia w tym miejscu, czy też okaże się kimś, kto nie jest w stanie wytrzymać w mieście.

W końcu ujrzała również morze. Ale i ono wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażała. Zobaczyła port, a w nim wielkie statki. Niektóre miały maszty, inne czarne kominy. Jednak woda wcale nie ciągnęła się w nieskończoność, jak opowiadał ojciec. Wszędzie wokół widać było ląd, w żadnym miejscu nie pojawiała się otwarta przestrzeń, a wodę gdzieś skubał lód, pełen pęknięć i szczelin.

Jukka poganiał Hannę, gdy przystawała. Zdawał się żyć w pośpiechu, jak jego pracodawca.

Szli oblodzonym nabrzeżem wzdłuż portu. Hanna kilka razy o mało się nie poślizgnęła i nie wyróciła. Jej buty, uszyte przez lapońskiego szewca z Fjällnäs, nie nadawały się do wędrówek

po oblodzonych kocich łbach.

W końcu dotarli do skupiska drewnianych chałup. Wyglądały tak, jakby tuliły się do siebie, żeby zatrzymać ciepło.

Jukka przystanął i zaczepił mężczyznę ciągnącego sanki. Wallénowie? Adres? Nieznajomy miał na policzku bliznę po oparzeniu i kaszłał gruźliczo. Próbował wytłumaczyć im drogę najlepiej jak umiał. Jukka popędzał go trochę, w końcu dotknął czapki na znak, że mu dziękuje, i ruszyli dalej.

– Nikt tu, za cholere, nie znajdzie drogi – mruknął ze śpiewnym akcentem. – Nikt, za cholere. Ale to chyba tutaj.

Zatrzymał się tuż przed dwupiętrowym drewnianym domem o krzywym dachu, starych oknach i z drzwiami, które chwiały się w futrynie. Jukka załomotał w nie mocno pięścią. Niemal natychmiast otworzyła im staruszka owinięta szalami tak szczelnie, że ledwie dało się dostrzec jej oczy i nos.

– Wallénowie – odezwał się od razu Jukka. – Czy mieszkają tu tacy?

Staruszka skuliła się odruchowo, jakby ją ktoś uderzył. Potem wymamrotała coś.

– Zdejmij ten szal, babo! – ryknął na nią Jukka. – Mam sprawę od Jonathana Forsmana. To on chce wiedzieć, czy w tym domu mieszka ktoś o nazwisku Wallén. Nie słyszę, co tam bełkoczesz, z gębą

zakrytą tymi szmatami!

Kobieta odgarnęła szal. Hanna dostrzegła, że twarz staruszki wygląda na wydrążoną, jakby kobieta głodowała.

– Rodzina Wallénów! – powtórzył Jukka, okazując zniecierpliwienie.

– Odjechali – odparła staruszka.

– Co to znaczy? Odjechali do nieba czy do piekła? Odpowiadaj, zanim stracę cierpliwość.

Kobieta cofnęła się ze strachu, ale Jukka wsunął wielki bucior w drzwi.

– Zostawili tylko dziadka – dodała przerażona kobiecina. – Nie zabrali go. Nie wiem, gdzie pojechali.

Jukka zagryzł wargi, zastanawiając się, co na to odpowiedzieć.

– Wejdziemy z nim pogadać – oznajmił w końcu. – Pokaż nam, gdzie on jest.

Staruszka poprowadziła ich schodami na piętro. W drzwiach jednego z pomieszczeń stała grupka bladych dzieci, które patrzyły na przybyszów wytrzeszczonymi oczami. Hanna stwierdziła, że w domu czuć stęchlizną, jakby nigdy go nie wietrzono.

Weszli na samą górę, na strychn, aż w końcu staruszka zatrzymała się pod drzwiami do jakiegoś pokoju. Zapukała, a potem szybko uciekła. Jukka nacisnął klamkę i wepchnął Hannę do środka.

– Pogadaj z krewniakiem – mruknął. – Albo tu

zamieszkaż, albo wracasz ze mną do domu.

W pokoju było tylko łóżko, taboret i pęknięte lustro na ścianie. Hanna dostrzegła w nim swoją twarz, niespokojną twarz kogoś, kogo nie rozpoznawała. Potem spojrzała na leżącego w łóżku starca. Wpatrywał się w nią tak, jakby właśnie zstąpiła z niebios.

Przypomniały jej się słowa ojca. Te ostatnie, wyszeptane jej do ucha w tajemnicy. Te o brudnym aniele. Czyżby miał rację? pomyślała.

Czy starzec ujrzał w niej anioła, czy jedynie zagubioną dziewczynkę z dalekiej górskiej wsi?

Jukka zniecierpliwiał się.

– Porozmawiaj z tym starcem – mruknął do Hanny. – Nie mam czasu, żeby tu stać i się gapić.

Podszedł do okna i otworzył je. Musiał mocno szarpnąć, bo nie było dawno otwierane i prawie się zablokowało.

– Śmierdzi tu – powiedział. – Zatechłym, starczym smrodem. Ziemia już się o ciebie upomina, dziadku, może się jeszcze nie zorientowałaś. Pewnie toczą cię tysiące robaków.

Jukka rzucił Hannie wymowne spojrzenie. Podeszła bliżej do łóżka. Dziadek miał brodę pełną resztek jedzenia, leżał w przepoconej i brudnej koszuli. Hanna powiedziała, jak się nazywa i kim są jej rodzice. Starzec zdawał się nie rozumieć, być może nic nie słyszał. Powtórzyła wszystko, tym razem głośniej.

W odpowiedzi dziadek uniósł drżącą dłoń. Hanna pomyślała, że chce się z nią przywitać, ale ręka wskazywała na okno.

– Zimno mi – wysapał staruszek. – Zamknij okno.

Stojący przy oknie Jukka zrobił parę energicznych kroków w stronę łóżka, jakby przymierzał się do ataku.

– Śmierdzi tu – powiedział. – Trzeba

przewietrzyć. Czy wiecie, dziadku, kto tutaj przed wami stoi? To Hanna Wallén. Czy jesteście z nią spokrewnieni? Powiedzcie tylko „tak” lub „nie” i zaraz sobie pójdziemy.

Starzec nic nie rozumiał. Zaczął błagać ich o jedzenie, był głodny, nikt go widać nie karmił.

Hanna spróbowała jeszcze raz. Znów się przedstawiła i opowiedziała coś o Elin. W niczym to nie pomogło. Starzec w brudnej pościeli żył w innym świecie. Jedyłą rzeczą, o której myślał, było jedzenie.

– Idziemy – oznajmił Jukka. – Nic tu nie wskóramy. Pogadamy ze staruszką na dole. Może ona coś wie.

Hanna, gdyby tylko mogła, opuściłaby ten dom biegiem i nie zatrzymała się aż do chwili, w której dotarłaby do własnego domu, do rodzeństwa i Elin. Nie było tu dla niej miejsca, nikt nie chciał jej przyjąć. Długa podróż okazała się daremna. Nie było jej dane żyć w mieście. Czekał tu na nią tylko umierający starzec.

Kiedy Forsman usłyszał o nieudanych poszukiwaniach rodziny Hanny, nawrzeszczał na kulącego się przed nim Jukkę. Czyżby nie potrafił się nawet dowiedzieć, dokąd wyjechali? Czy to naprawdę aż tak trudne? – krzyczał.

Gdy się uspokoił, oznajmił Hannie zwyczajnym już, łagodnym głosem, że sam zajmie się poszukiwaniem jej krewnych. Hanna nie ma

powodów do zmartwienia, ludzie przecież nie przepadają jak kamień w wodę. Zapewnił, że znajdzie tych, do których wysłała ją matka.

– Tymczasem zostaniesz tutaj – oznajmił na koniec. – Przydasz się w domu. Służące znajdą ci jakąś pracę.

Dwa dni później Forsman miał dla niej wiadomość. Wezwał ją do swojego gabinetu. Kiedy weszła, siedział za wielkim biurkiem i żuł wypalone do połowy cygaro.

– Starzec, którego spotkałaś, jest tam tylko lokatorem – oznajmił. – To nawet nie twój krewny. Wolno mu tam zostać, aż umrze. Potem ktoś inny zajmie jego pokój, w kolejce czeka jakiś robotnik portowy z rodziną. Chyba już się niecierpliwią, mieszkają w jakiejś szopie. Ale rzeczywiście nikt nie wie, dokąd wyjechała twoja rodzina.

Forsman zamilkł i przyjrzał się Hannie badawczo. Wiedziała, że powinna się bać, ale wytrzymała jego spojrzenie.

– Tymczasem możesz tutaj zostać – powiedział Forsman. – W domu przyda się dodatkowa pomoc.

Hanna zamknęła oczy i odetchnęła. Nie wiedziała, czy ogarnęła ją radość, czy tylko poczuła ulgę. Spróbowała przywołać w pamięci szum rzeki i odgłosy rodzinnego domu. Jednak wokół panowała kompletna cisza. Po chwili wyrwało ją z rozmyślań skrzypienie wozu przetaczającego się ulicą pod oknem.

Forsman zdawał się czytać w myślach Hanny. Uśmiechnął się. Hanna dygnęła grzecznie i wyszła.

Za drzwiami szepnęła do siebie pod nosem: „Mimo wszystko coś udało mi się osiągnąć”.

Przydzielono ją do pomocy Bercie. Hanna chodziła za nią krok w krok, pomagała jej we wszystkich obowiązkach, a w krótkich chwilach, kiedy miały wolne, Berta oprowadzała ją po mieście. Większość czasu zajmowało im pranie ubrań, pościeli i obrusów. Na dziedzińcu kamiennego domu stała pompa, z której nosiły wodę do pralni, niewielkiego budynku tuż obok stajni. Hanna nie mogła się nadziwić, jak Berta była w stanie sama wykonywać tę ciężką pracę, rzadko kiedy trwającą mniej niż dwanaście godzin. Berta została zatrudniona u Forsmana, kiedy miała trzynaście lat. Opowiedziała Hannie, że jej ojciec zginął w wypadku w tartaku w Essvik, jej matka umarła rok później na gruźlicę, a ona i liczne rodzeństwo zostali rozdzieleni. W kółko powtarzała, że miała szczęście, znajdując pracę u Forsmana. Mimo że było jej ciężko, miała dach nad głową, własne łóżko i trzy posiłki każdego dnia. Dlaczego miałyby się uskarżać? Kto dał jej takie prawo?

– Na ulicy czeka dziesięć osób gotowych natychmiast zająć moje miejsce, jeśli odejdę – powiedziała Hannie pewnego ranka, kiedy napełniały wiadra przy pompie. – Dlatego powinnam cieszyć się tym, co mam.

– Będiesz tu za dziesięć lat? – spytała Hanna.

Berta roześmiała się i pokręciła głową. Mimo młodego wieku straciła już parę zębów w górnej szczęce.

– Nie myślę tak daleko wprzód – odparła. – Dziesięć lat? Nie wiem nawet, czy będę wtedy żyła.

Hanna nie dawała za wygraną. Berta musiała przecież mieć jakieś marzenia.

– Dzieci... – Berta odezwała się z namysłem. – Pewnie, że chcę je mieć. Ale musiałabym mieć męża. A przecież nie mam. Chciałabym takiego, który nie pije i nie będzie mnie bił. Skąd takiego wziąć?

Słuchając Berty, Hanna zadawała sobie pytania. O czym ona marzy? Czy będzie żyła za dziesięć lat? A może już jej nie będzie? I kim jest mężczyzna, którego ma nadzieję kiedyś spotkać? O ile naprawdę o tym marzy.

No i jeszcze dzieci. Czy jest w stanie myśleć o swoich, kiedy sama wciąż uważa się za dziecko?

Z końcem lutego przyszły niespodziewanie roztopy. Wieczorami, gdy tylko miały trochę siły, Hanna i Berta urządzały sobie spacer po mieście. Berta oprowadzała ją, dumna, że wie więcej od swojej towarzyszki i w jakimś sensie za nią odpowiada. Dobrze znała coś, o czym Hanna nie miała pojęcia. Miasto należało do Berty.

Raz po raz Berta pytała Hannę o rodzinne strony, o miejsce, w którym żyła, nim trafiła do

domu Forsmana. Hanna szybko się jednak zorientowała, że Berty wcale nie interesuje to, co Hanna ma na ten temat do powiedzenia. Podejrzewała, że Berta prawdopodobnie nigdy nie widziała niczego poza tym miastem i być może nie potrafi sobie wyobrazić, jak wygląda rzeka płynąca u stóp wielkiej góry.

Zażyłość z Bertą była dla Hanny czymś zupełnie nowym. Z czasem stały się przyjaciółkami i zaczęły powierzać sobie sekrety. Niemal każdego wieczoru szeptały do siebie we wspólnym łóżku, zanim usnęły. Hanna musiała przyznać, że nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki takiej jak Berta. Bliskość z rodzeństwem i matką była czymś całkiem innym.

Z czasem nabrały odwagi do prowadzenia poważnych rozmów o życiu. Snuły rozważania na temat miłości, mężczyzn i przyszłych dzieci. Hanna szybko się zorientowała, że Berta ma w tych sprawach równie niewielkie doświadczenie.

Zdarzało się, że gdy wychodziły z domu wieczorami i szły, zawsze ramię w ramię, szczelnie owinięte szalami, stojący w grupkach chłopcy w ich wieku zaczepiali je i wołali za nimi. One jednak nigdy nie odpowiadały, tylko przyspieszały kroku. Potem rozmawiały o tym przed snem, chichocząc cicho.

Jeszcze nie jesteśmy gotowe, rozmyślała Hanna. Ale pewnego dnia się zatrzymamy i porozmawiamy

z tymi chłopcami.

Część czasu, który zostawał im poza pracą, przeznaczaly na wspólną naukę czytania. Bardzo szybko odkryły, że tak samo słabo czytają. Od kucharki, która kiedyś pracowała u Forsmana, Berta dostała stary pobrudzony elementarz. Siadały nad nim wieczorami, składały litery, sprawdzając się nawzajem, i wkrótce zaczęły podkraść książki z biblioteki Forsmana, żeby czytać je sobie na głos z coraz większą wprawą.

Hanna na zawsze zapamiętała chwilę, w której litery przestały skakać jej przed oczami. Nagle przestały stroić do niej głupie miny i nareszcie ustawiły się w równym rzędku, formując słowa, zdania i w końcu całe opowieści, które mogła zrozumieć.

To właśnie w tym czasie, przez zupełny przypadek, Hanna weszła w posiadanie portugalskiego słownika. Co jakiś czas Forsman robił porządki w swojej wielkiej bibliotece i pewnego dnia Hanna znalazła słownik w koszu na śmieci w jego gabinecie. Uważała, że przyda jej się wszystko, co Forsman wyrzucał. Pokazała Bercie słownik, ale przyjaciółka nie była zainteresowana obcym językiem, który na pewno do niczego nie będzie potrzebny.

Hanna zatrzymała słownik i powoli uczyła się obcych słów i fraz, nie wiedząc nawet, czy dobrze je wymawia.

Koniec zimy 1904 roku był łagodny. Już w połowie marca beczynni zimą i zniecierpliwieni marynarze zaczęli gromadzić się w porcie, gdzie czekały już na nich frachtowce gotowe do wypłynięcia w morze. Berta powiedziała Hannie, że teraz widuje się mniej żaglowców, bo coraz więcej armatorów decyduje się na statki parowe. W porcie wciąż jeszcze było sporo małych frachtowców żaglowych, pływających wzdłuż wybrzeża, do Finlandii, może nawet do innych krajów po drugiej stronie Bałtyku. Wiele z nich woziło tarcicę i ryby do Sztokholmu, inne pływały w przeciwnym kierunku, na północ.

Wkrótce żaglowce miały zupełnie zniknąć, zastąpione przez statki parowe.

Pewnego przedpołudnia Hanna została niespodziewanie wezwana do gabinetu Forsmana. Rzadko się zdarzało, by chciał rozmawiać z nią osobiście. Za każdym razem Hanna bała się, że Forsman ją za coś skrzyczy, będzie miał uwagi do jej pracy lub zachowania.

Gdy weszła do środka, Forsman nie był sam. Na krześle obok jego biurka siedział mężczyzna w mundurze. Hanna nigdy wcześniej go nie widziała. Zatrzymała się tuż za drzwiami i dygnęła. Na jej widok Forsman skinął głową i odłożył cygaro do popielniczki.

Mężczyzna w mundurze był od niego starszy. Obrzucił Hannę badawczym spojrzeniem.

– To jest kapitan Svartman – odezwał się Forsman. – Dowodzi statkiem, który jest w części mój. Statek nazywa się „Lovisa” i niebawem wypłynie w daleki rejs, do Australii. Zabierze tam drewno, ścięte w moim lesie i obrobione w moim tartaku.

Forsman zamilkł na moment. Zwykł tak robić, gdy chciał, żeby ktoś zastanowił się nad jego słowami. Hanna próbowała w myślach przypomnieć sobie coś na temat kraju o nazwie Australia. Bezskutecznie.

Forsman powiedział przecież, że to długi rejs,

pomyślała. Zatem Australia nie mogła być krajem sąsiadującym ze Szwecją.

– Zastanawiałem się nad twoją przyszłością – odezwał się znowu do Hanny, tym razem tak dobitnie, że Hanna aż podskoczyła. – Myślę, że możesz być kimś więcej niż służącą w tym domu. Widzę w tobie coś, co wróży dobrą przyszłość. Nie wiem, co to takiego. Być może wyczuwam w tobie dużo silnej woli. Dlatego postanowiłem, że popłyniesz z kapitanem Svartmanem do Australii i z powrotem. Jako kucharka. Będziesz jedyną kobietą na pokładzie, ale wszyscy wiedzą, że jesteś pod moją szczególną opieką.

Forsman znów zamilkł i przyjrzał się cygaru, które zdążyło już zgasnąć. Hannie przysła do głowy tylko jedna odpowiedź.

– Muszę poprosić Elin o zgodę – powiedziała. – Nie mogę wyjechać bez jej pozwolenia.

Forsman pokiwał głową z namysłem, a potem pochylił się nad biurkiem, podając Hannie jakiś papier.

– Twoja matka bazgrze jak kura pazurem – powiedział. – I robi koszarne błędy. Nie ma też pojęcia o istnieniu przecinków i kropek. Ale wie, co ci zaproponowałem, i daje ci swoje błogosławieństwo.

Hanna zrozumiała, że Forsman poważnie traktował obietnicę, że się nią zaopiekuje. Wszystko wskazywało na to, że jej udział w rejsie do

Australii był planowany od dłuższego czasu. Wymiana listów między Sundsvall a odległą górską krainą nie trwała przecież krótko.

– Za nieco ponad miesiąc statek będzie załadowany i gotowy do wyjścia w morze – podjął Forsman. – Do tego czasu będziesz codziennie na pokładzie. Jest tam stary kuk nazwiskiem Mörth. On cię wszystkiego nauczy. Dostaniesz pieniądze na przygotowanie się do podróży, a w czasie rejsu będziesz otrzymywała dobre wynagrodzenie, o wiele wyższe, niż gdziekolwiek byś dostała jako służąca. Teraz wracaj do pracy i zachowaj spokój. Jestem pewien, że to będzie dla ciebie dobre.

Hanna wyszła z gabinetu. Czuła na plecach zimny pot.

Dopiero następnego dnia, w niedzielę, kiedy miały z Bertą parę godzin wolnego, Hanna opowiedziała przyjaciółce o propozycji Forsmana. Świeciło słońce i z dachów skapywała woda, topniał śnieg. Hanna i Berta weszły na niewielkie wzgórze za miastem. Na szczycie leżał pień drzewa, który ktoś ociosał i uformował w ławkę. Wciąż była zima, ale słońce przygrzewało mocno. Rozścieliły wierzchnie okrycia na pniu i usiadły. Hanna niczego nie zaplanowała, ale uznała w pewnej chwili, że nadszedł właściwy czas, by o wszystkim opowiedzieć. Streściła jej swoją rozmowę z Forsmanem i przyznała, jak bardzo boi się zadania, które jej przydzielił. Jakim cudem miałyby sobie

poradzić w roli kucharki na statku płynącym do Australii!

– Chciałabym, żeby mi to zaproponował. – Berta westchnęła. – Nie zastanawiałabym się ani przez chwilę.

– Ale to przecież tak daleko – jęknęła Hanna i opowiedziała przyjaciółce, jak znalazła Australię na brązowym globusie stojącym obok stołu bilardowego Forsmana.

Przeraziła się, odkrywszy, że Australia leży po drugiej stronie kuli ziemskiej.

– Chcę zostać tutaj, w domu Forsmana – stwierdziła na koniec. – Kto będzie wykonywał moją pracę, kiedy wyjadę?

– Naprawdę będziesz tęsknić za tą harówką? – zdziwiła się Berta. – Poza tym dobrze wiesz, że nie jest nam potrzebna dodatkowa służąca.

Berta oznajmiła to zdecydowanym tonem. Zupełnie jakby wiedziała, jakie myśli kotłują się w głowie Hanny. Mogła też zwyczajnie jej zazdrościć. Hannie zrobiło się nieprzyjemnie na myśl, że Berta wcale nie chce, żeby została.

– Sama musisz zdecydować – powiedziała. – Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, przede wszystkim dlatego, że nie wierzysz się w nocy. Nie znoszę dzielić łóżka z kimś, kto się wierci i kopie przez całą noc.

Obie parsknęły śmiechem, ale zaraz znów spoważniały.

– Jeśli masz wątpliwości, porozmawiaj z

Forsmanem – powiedziała w końcu Berta. – Przecież to on decyduje.

Nie rozmawiały już więcej o rejsie do Australii. Siedziały tylko, patrząc na panoramę miasta i rozciągające się wokół oszronione lasy. Gdy zrobiło się chłodno, ruszyły ścieżką w dół, z powrotem do domu. Pierwsza poślizgnęła się Berta, a zaraz po niej Hanna. Śmiały się i trzymały za ręce, schodząc powoli. Hanna próbowała odgadnąć, co ją najbardziej niepokoi w związku z planowaną podróżą. W końcu doszła do wniosku, że boi się stracić przyjaciółkę, jaką od niedawna była dla niej Berta.

Nazajutrz zdobyła się na odwagę, by zapukać do gabinetu Forsmana. Zawołał, żeby weszła, ale na jej widok uniósł brwi ze zdziwienia.

– Czego chcesz? – spytał.

Hanna zatrzymała się w progu. Zastanawiała się gorączkowo, co powinna powiedzieć.

– Podejdź bliżej – zachęcił ją Forsman. – Tutaj, do biurka. Czekam na człowieka, od którego chcę kupić drewno. Mów, co cię sprowadza. Coś ci dolega? Wszystko z tobą w porządku?

– Nic mi nie jest – odparła Hanna, dygając nerwowo.

– Więc o co chodzi? Nie podoba mi się, że przychodzisz tu bez powodu i mi się kłaniasz.

– Bardzo chciałabym tutaj zostać – wykrztusiła Hanna ściszym głosem.

Forsman musiał się pochylić nad biurkiem, żeby ją usłyszeć.

Zaraz powtórzyła swoje słowa nieco głośniej, bojąc się, że Forsman się zniecierpliwi i na nią nakrzyczy.

– Nie wiem, co mnie czeka na tym statku – dodała. – A wydaje mi się, że tutaj wykonuję swoją pracę jak trzeba.

Forsman odchylił się na oparcie krzesła. Jego wielkie dłonie spoczywały na brzuchu wystającym spod rozpiętej kamizelki. Przyjrzał się Hannie z uwagą.

– Będzie tak, jak postanowiłem – oznajmił po chwili. – To najlepsze rozwiązanie. Zaufaj mi.

Potem wstał z krzesła, na znak, że rozmowa dobiegła końca.

Hanna dygnęła i pospiesznie wyszła z gabinetu. Wydawało jej się, że ucieka.

Modlitewnik wyglądał tak samo jak ten, który Forsman podarował Elin w grudniu zeszłego roku, gdy na skraju lasu wreszcie zjawily się długo wyczekiwane sanie. Teraz nadeszła kolej Hanny, by otrzymać podobny. Był kwiecień i w końcu przyszedł dzień, w którym miała wejść na pokład i wypłynąć w morze. Wszystko zostało załatwione. Podpisała kontrakt i polisę ubezpieczeniową.

Stary kuk uczył ją wszystkiego, co sam potrafił, i bezwstydnie próbował ją obmacywać. Przestał, gdy Hanna zdecydowanym gestem odepchnęła jego dłoń, jednak następnego dnia i potem próbował przy każdej okazji. Hanna tego nie znosiła, lecz widziała, że Mörth naprawdę chce ją nauczyć, jak przygotowywać posiłki dla załogi. Stale jej przypominał, by pamiętała o koniecznych zapasach, tłumaczył też, w których portach powinno się je uzupełniać, a w których lepiej nie. Zrobił dla niej listę i narysował specjalną mapę. Hanna szybko zrozumiała, że bez wskazówek starego Mörtha nie byłaby w stanie przygotować się do czekającej ją podróży.

Wręczając jej modlitewnik, Forsman ujął dłoń Hanny. Sprawiał wrażenie rozemocjonowanego, jakby wypił trochę za dużo.

– Życzę ci powodzenia – powiedział. – Bóg

czuwa nad tobą, ale ja też jestem blisko. Obiecuję.

Pożegnanie z kamiennym domem i jego mieszkańcami było krótkie. Hanna zawarła układ z Bertą, który obie uznały za święty. Przymierzyły sobie uroczyście, że żadna się z niego nie wycofa. Obiecały pisać do siebie, zanim znów się zobaczą. Razem nauczyły się pisać i czytać i teraz nagle okazało się, że ich wysiłek miał głęboki sens. I jeśli zdarzy się, że Hanna nie wróci już do Sundsvall, przymierzyły kontaktować się, regularnie do siebie pisząc.

Forsman odprowadził ją do portu, aż do wejścia na statek. Przy trapie stał umundurowany mężczyzna, którego Hanna wcześniej nie widziała. Był młody, najwyżej o cztery, pięć lat starszy od niej. Miał jasne włosy, czapkę z daszkiem i granatową marynarkę. Stał na szeroko rozstawionych nogach i bębnił palcami w fajkę, którą trzymał w dłoni.

Hanna weszła na pokład i zbliżyła się do czekającego na nią mężczyzny. Dygnęła na powitanie, ale zaraz tego pożałowała. Dlaczego miałabym się tak witać z jakimś marynarzem? – pomyślała.

Za moment na trapie rozległ się ciężki tupot. Forsman wszedł na pokład razem z kapitanem.

– To pierwszy oficer Lundmark – powiedział kapitan do Hanny, przedstawiając jej jasnowłosego mężczyznę. – A to nasza nowa kucharka Hanna

Renström – zwrócił się do niego. – Bądź dla niej miły, to może zasłużysz na smaczny posiłek.

Lundmark kiwnął głową. Hanna poczuła się niepewnie, kiedy się uśmiechnęła. Była ciekawa, dlaczego mężczyzna przygląda jej się z uwagą.

Teraz przynajmniej wiedziała, kim on jest. W końcu zjawił się też trzeci oficer, na którego wszyscy czekali.

Tego kwietniowego dnia w porcie wiała lekka bryza. Hanna zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum wiatru i fal. Las, pomyślała. Fale szumią tak samo jak drzewa tam, w dolinie, nad rzeką, gdy wieje wiatr. Nieważne, czy jest ciepły, czy zimny.

Nagle zatęskniła za swoim rodzeństwem i Elin. Jednak nie było już dla niej powrotu. Był tylko załadowany po brzegi, pachnący świeżym drewnem statek, który zaraz miał wyruszyć w daleki rejs do Australii.

– Lars Johan Jakob Antonius Lundmark – odezwał się nagle jakiś głos, tuż obok Hanny. Był to pierwszy oficer, który zamarudził chwilę na pokładzie po tym, jak Forsman i kapitan Svartman poszli do kajuty. – Lars po ojcu – podjął po chwili. – Johan po dziadku ze strony ojca, Jakob po moim starszym bracie, który zmarł, a Antonius po pewnym lekarzu, który kiedyś wyleczył mojego ojca z zakażenia krwi. Teraz wiesz, kim jestem.

– Ja mam na imię Hanna – odparła. – Mam tylko to jedno imię. Zawsze mi ono wystarczało.

Odwróciła się i poszła do swojej kajuty. Oprócz kapitana Svartmana tylko ona mogła mieszkać sama. Usiadła na koi z modlitewnikiem w ręce. Gdy otworzyła okładkę, ujrzała dwie błyszczące jednokoronówki.

Po chwili wróciła na pokład. Pierwszy oficer już sobie poszedł. Stała przy relingu, aż Forsman wyszedł z kajuty kapitana.

– Dziękuję za pieniądze – powiedziała.

– Pieniądze w dobry sposób uzupełniają słowa naszego Pana – odparł Forsman. – Przyda ci się na drogę mały kapitał.

Poklepał ją niezręcznie po policzku i zszedł ze statku po trapie, uginającym się pod jego ciężarem.

Zdawało się, że cały statek pochyła się z szacunkiem, żegnając swojego właściciela.

Dziewięć godzin później, 23 kwietnia 1904 roku, „*Lovisa*” wypłynęła z portu w Sundsvall, jej celem było Perth.

Statek wydał głośny gwizd na pożegnanie. Hanna stała przy relingu na rufie, tuż obok wejścia do kambuza, rozmyślając o tym, że właściwie wciąż znajduje się w oddalającym się porcie.

Zostawiła tam część siebie. Nie wiedziała, kim teraz jest. Miała to przed nią odkryć nieznana i niepewna przyszłość.

Stała pod daszkiem przy drzwiach do kambuza i wpatrywała się w pianę wypływającą spod wielkiej śruby. Wygląda jak śnieżna zamieć, pomyślała. Choć jestem w drodze do miejsca, gdzie nigdy nie pada śnieg, gdzie jest pustynia, a suchy piach wiruje w podmuchach powietrza tak gorących, że nie umiem ich sobie nawet wyobrazić.

Nagle pojawił się obok niej pierwszy oficer. Jakiś czas później Hanna przypomniała sobie, że w pierwszej chwili zwróciła uwagę na jego paznokcie. Były starannie obcięte i czyste. Hannie stanęła przed oczami Elin, pochylona nad dłońmi ojca, pielęgnująca jego paznokcie z nieskończoną cierpliwością.

Zastanowiło ją przelotnie, kto dba o paznokcie pierwszego oficera. Zrozumiała z wypowiedzi

kapitana Svartmana, że Lundmark nie jest żonaty. Kapitan zapytał Hannę przy okazji, czy ma narzeczonego, który czeka na nią na lądzie. Zdawało jej się, że zrobił zadowoloną minę, gdy zaprzeczyła. Potem wymamrotał jeszcze pod nosem, że woli, gdy większość jego załogi nie ma rodziny.

– Na wypadek gdyby coś się stało – dodał jeszcze na zakończenie. – Morze obiecuje nam tylko tyle, że jest nieprzewidywalne.

Lundmark spojrzał na nią z uśmiechem.

– Witamy na pokładzie – powiedział.

Zaskoczona Hanna przyglądała mu się chwilę. Przemówił do niej głosem Forsmana. Naśladował go doskonale.

– Zabrzmiałeś zupełnie jak on – odparła wreszcie.

– Potrafię tak mówić, kiedy chcę. Nawet pierwszy oficer może mieć coś z armatora.

Rozmowę przerwał jakiś okrzyk. Ktoś wołał z mostka kapitańskiego. Zaraz po tym chmura czarnego dymu z komina zalała pokład. Hanna odwróciła się szybko, żeby dym nie dostał jej się do oczu i nosa.

Do pomocy w kuchni przydzielono jej piętnastoletniego chłopca imieniem Lars. Również dla niego był to pierwszy w życiu rejs. Był sierotą i wyglądał na bardzo wystraszonego. Gdy Hanna podała mu dłoń na powitanie, czuła wyraźnie, że

chłopak wyrwie swoją, jeśli ona za mocno uściśnie.

Pierwszego dnia kapitan Svartman zażyczył sobie na obiad wieprzowinę z brązową fasolą.

– Nie jestem przesądny – powiedział – ale moje najlepsze podróże zawsze zaczynały się od tego, że załoga dostawała na obiad wieprzowinę z brązową fasolą. Nie zaszkodzi powtórzyć znów to, co kiedyś okazało się dobre.

Wieczorem, kiedy Hanna przygotowała wszystko na jutrzejsze śniadanie i wysłała swojego pomocnika do łóżka, wyszła na pokład popatrzeć na morze. Wyłynęli już spomiędzy wysepek i obrali kurs na południe. W oddali, po stronie sterburty, słońce chowało się za linią lasu.

Nagle obok Hanny znów pojawił się Lundmark. Stali tak razem w milczeniu, przyglądając się zachodowi słońca.

– Sterburta – odezwał się nagle pierwszy oficer. – Wszystko ma swoje wyjaśnienie. Nawet to dziwne słowo. Dawniej używano wiosła sterowego, które schodziło do wody z prawej strony przy rufie. Robiono tak, bo większość ludzi ma więcej siły w prawej ręce i przy tym ustawieniu sternik używał właśnie prawego ramienia. Stąd wzięła się nazwa „sterburta”.

– A skąd wzięło się samo słowo „burta”? – spytała Hanna.

Lundmark pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł. – Ale się dowiem.

Wkrótce wieczorne spotkania na pokładzie stały się ich zwyczajem. Gdy padało lub wiał mocny wiatr, chowali się pod daszkiem nad drzwiami do kambuza.

Jednak Hanna nigdy się nie dowiedziała, skąd wzięło się słowo „burta”.

To jest w tym wszystkim najdziwniejsze, pomyślała. Każdego ranka po przebudzeniu zdaje sobie sprawę, że moja koja znów się nocą przemieściła. Jestem w innym miejscu niż wtedy, kiedy zasypiałam.

Hanna zauważyła w swoim życiu jeszcze jedną zmianę. W pewnej chwili odkryła, że cieszy się na wieczorne spotkania z Lundmarkiem. Nieśmiało opowiadali o sobie, skąd pochodzą, a pewnego razu, kiedy pierwszy oficer otoczył Hannę ramieniem, ona się nie odsunęła.

Przeptywali wtedy przez kanał La Manche, mozolnie pokonując gęstą mgłę, stojącą przed nimi jak ściana. Buczki mgłowe odzywały się posępnie ze wszystkich stron. Wsłuchując się w te dźwięki, Hanna wyobraziła sobie, że pojedyncze statki we mgle są jak rozproszone stado dzikich zwierząt, które nawoływaniem próbują się odnaleźć. Przez wszystkie mgliste dni kapitan Svartman nie opuszczał mostka, zarządził też dodatkowe wachty. Co jakiś czas z mlecznej mgły wyłaniał się nagle czarny statek z obwisłymi żaglami lub dymiącymi kominami i przepływał cicho, zdecydowanie za blisko. Hanna dostrzegła, że w takich chwilach Svartman z niepokojem kręcił głową i nakazywał jeszcze bardziej zmniejszyć prędkość.

Prawie dwa dni i dwie noce stali całkiem bez ruchu. Na pokładzie paliły się wszystkie latarnie. Hanna nie mogła spać i często wychodziła z kajuty, unikając jednak pracujących na pokładzie marynarzy.

Kapitan Svartman polecił jej odnaleźć chłopca okrętowego, który nagle gdzieś się zapodział. Hanna znalazła go w spiżarni, skulonego i trzęsącego się ze strachu. Zaprowadziła go do kapitana, ten wręczył mu lampę naftową i wysłał na pokład.

– Praca cię uleczy – oznajmił.

Parę dni później mgła wreszcie się roziała. „Lovisa” ruszyła w drogę, stopniowo nabierając prędkości. Hanna usłyszała od marynarzy, że niebawem będą mijali miejsce o nazwie Zatoka Biskajska.

Następnego wieczoru Lundmark zaczął opowiadać o sobie. Był jedynym dzieckiem kupca z Timrą, który pewnego dnia stał się niewypłacalny i wkrótce do jego domu zajrzała nędza. Matka Lundmarka była milczącą kobietą, niemogącą pogodzić się z tym, że wydała na świat tylko jedno dziecko. Był to dla niej wielki zawód i powód do wstydu.

Lundmark od dziecka tęsknie spoglądał na morze. Codziennie pędził na wybrzeże, żeby przyglądać się wypływającym w rejs i powracającym do portu statkom. Mając trzynaście

lat, zamustrował się jako majtek na frachtowcu kursującym między Sundsvall a Söderhamn. Matka i ojciec próbowali go odwieść od tego pomysłu, zagrozili nawet, że wyślą za nim komisarza policji, jeśli naprawdę wyjedzie, ale gdy w końcu to zrobił, od razu zrezygnowali, jakby nagle pogodzili się z faktem, że wybrał taką drogę życiową.

Zanim Hanna usnęła tej nocy, rozmyślała o tym, co opowiedział jej pierwszy oficer. Zaufał jej w taki sposób, w jaki wcześniej zaufała jej tylko Berta.

Nazajutrz Lundmark podjął swoją opowieść. Jednocześnie zaczął zadawać Hannie pytania o życie, jakie ona wiodła, zanim trafiła do domu Forsmana, a potem na statek, na którym się spotkali. Hanna nie uważała, by miała coś ciekawego do opowiedzenia. Mimo to Lundmark słuchał z uwagą wszystkiego, o czym mówiła, i zdawał się tym zainteresowany.

Rozmawiali w ten sposób przez wiele kolejnych wieczorów, jeśli tylko wiatr nie był zbyt silny lub kapitan Svartman nie przydzielił pierwszemu oficerowi jakiegoś specjalnego zadania.

Hanna odkryła z czasem, że na myśl o Lundmarku ogarnia ją nieznanne do tej pory uczucie. Nie dało się go porównać z tym, co czuła do rodzeństwa i Elin, ani nawet z zażyłością, jaka łączyła ją z Bertą. To, co obecnie odczuwała, sięgało znacznie głębiej i było dla niej nowe.

Każda chwila oczekiwania na moment, w którym Lundmark wreszcie zjawi się przy drzwiach do kambuza, oznaczała wzbierającą coraz bardziej tęsknotę.

Pewnego wieczoru Lundmark podarował Hannie drewnianą figurkę przedstawiającą syrenę. Kupił ją kiedyś w jakimś włoskim porcie i od tej pory zabierał w każdy rejs.

– Nie mogę jej przyjąć – powiedziała Hanna.

– Chcę, żeby była twoja – odparł Lundmark. – Uważam, że jest do ciebie podobna.

– Ale co mogę dać ci w zamian?

– Mam wszystko, czego mi potrzeba – odparł. – Teraz właśnie tak czuję.

Milczeli długą chwilę. Potem Hanna życzyła mu dobrej nocy i wróciła do swojej kajuty. Gdy za jakiś czas uchyliła drzwi i wyjrzała na pokład, Lundmark wciąż stał przy relingu. Wpatrywał się w ciemniejące z każdą chwilą morze. Stał na szeroko rozstawionych nogach, w rękę trzymał swoją oficerską czapkę.

Nazajutrz rano Hanna siedziała na stołku w kambuzie i sprawiała świeżo złowione ryby, które zamierzała podać załodze na obiad. Nagle wyrósł za nią jakiś cień. Gdy się obejrzała, zobaczyła Lundmarka. Pierwszy oficer uklęknął na jednym kolanie, ujął jej oblepioną lśniącymi łuskami dłoń i zapytał, czy Hanna zechce zostać jego żoną.

Aż do tej chwili tylko ze sobą rozmawiali, ale

wszyscy na pokładzie i tak uważali ich za parę. Hanna dawno to rozumiała, ponieważ żaden z licznych tutaj mężczyzn nie próbował się do niej zbliżyć.

Czy oczekiwała, że to się w końcu stanie? Czy o tym marzyła? Być może przemknęła jej przez głowę ta myśl, przede wszystkim jednak miała wrażenie, że od długiego czasu płynie przed siebie z Lundmarkiem statkiem wypełnionym po brzegi tarcicą, a przecież poznała go dopiero tutaj, na pokładzie, gdy wypływali z Sundsvall.

Natychmiast się zgodziła. Podjęła decyzję w jednej chwili. Lundmark, kucając przed nią, wyczałował jej twarz, a potem szybko podniósł się i poszedł na poranną odprawę do kapitana.

Wkrótce potem wpłynęli do portu w Algierze, na załadunek węgla. Szwedzki konsul, z pochodzenia Francuz, mężczyzna, który w młodości przybył do Sztokholmu i zakochał się w tym mieście, znał angielskiego duchownego z kościoła metodystów. Duchowny zgodził się udzielić ślubu. Kapitan Svartman przygotował wszystkie potrzebne dokumenty i przyjął na siebie rolę świadka, podobnie jak konsul i jego żona, która przepłakała ze wzruszenia całą krótką ceremonię zaślubin. Potem kapitan zaprowadził młodą parę do fotografa i z własnej kieszeni zapłacił za zdjęcie ślubne.

Tego samego dnia Hanna wprowadziła się do

kajuty zajmowanej przez Lundmarka. Drugi oficer musiał wynieść się do ciasnej kajuty dla chorych, bo kapitan nie chciał odbierać Hannie tej, która jej dotychczas przysługiwała. Pozwolił jej ją zatrzymać, pod warunkiem że w razie potrzeby kajuta posłuży jako lazaret.

Kapitan Svartman traktował ich małżeństwo z życzliwością, ponieważ jednak opuścili Algier jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, noc poślubna została przerwana wachtą Lundmarka. Kapitanowi nie przeszłoby nawet przez myśl, by tej nocy zwalniać pierwszego oficera z obowiązków. Nie był aż tak wyrozumiały. Lundmarkowi również nie przeszłoby do głowy, by o to prosić.

I tak Hanna została żoną. Panią Lundmark. Oboje byli niepewni i nieśmiali. Potężnie zbudowany oficer zmienił się nagle w dziecko, bał się zadać ból Hannie lub ją zranić. Zbliżali się do siebie ostrożnie, bo zupełnie się przecież nie znali. Ich miłość była z początku spokojna, nie przeszła jeszcze w namiętność.

Gdy przepływali przez Kanał Sueski, oboje mieli wolne w tym samym czasie. Zdarzało im się to niezwykle rzadko. Obserwowali rosnące na brzegach strzeliste palmy, wielbłądy wędrujące rozkołysanym krokiem oraz nagie dzieci kąpiące się w wodach kanału.

Najtrudniej było Hannie nauczyć się spać obok Lundmarka. Zupełnie inaczej spało jej się z

rodzeństwem oraz Bertą. Teraz leżał obok niej wielki i ciężki mężczyzna, który często obracał się z boku na bok, sprawiając, że Hanna wybudzała się ze snu.

Leżąc z nim w jednym łóżku, czuła się jednocześnie bezpieczna i niespokojna. Często dopadała ją ogromna tęsknota za życiem, jakie wiodła w odległej górskiej dolinie.

Nocami, kiedy skończyli się kochać, długo rozmawiali w ciemności. Musieli szeptać, bo ściany kajuty były cienkie i po obu stronach spali marynarze.

W jedną taką noc, leżąc w ciemności i ciepło, Lundmark zwierzył się Hannie, że chciałby pewnego dnia zostać kapitanem na własnym statku.

– Zdołam to osiągnąć, jeśli mi pomożesz – powiedział. – Teraz, kiedy cię mam, naprawdę wierzę, że to możliwe.

Hanna ujęła jego dłoń i zamyśliła się nad jego słowami. Nagle poczuła ogromną chęć, by opowiedzieć Elin o wszystkim, co wydarzyło się w jej życiu.

Hanna wiedziała już, że matka postąpiła słusznie, wysyłając ją na wybrzeże. Ale co Elin powiedziałyby na podróż, w jaką Hanna właśnie wyruszyła?

Muszę do niej napisać, postanowiła w myślach. Pewnego dnia Elin otrzyma list. Dołączę do niego moją ślubną fotografię. Musi zobaczyć mężczyznę,

którego poślubiłam.

Z rozmyślań wyrwało ją pytanie domagające się odpowiedzi. Było jak most między przeszłością a teraźniejszością. Czy Hanna wiedziała, kim jest? Minęły ledwie dwa miesiące od dnia, w którym wypłynęli z Sundsvall. W tym czasie poślubiła Lundmarka, a teraz miała go pochować?

Nie znała odpowiedzi. Wokół Hanny i w jej wnętrzu panowała kompletna cisza. Hanna nie wiedziała, kim jest ani kim się stała.

Statek dryfował, lekko kołysząc się w dusznym upale. W oczekiwaniu na ceremonię utrzymywano niskie ciśnienie w kotłach. Zaraz po pogrzebie telegraf maszynowy miał wysłać polecenie do kotłowni: cała naprzód, ładować węgiel do kotłów.

Teraz okopceni maszyniści wyszli na pokład i zmyli z siebie warstwę ciemnego brudu. Na dole, w gorącu, został jeden. Musiał pilnować, by ogień się nie wydostał i żeby nie wygasło w kotłach.

Kapitan Svartman przyszedł po Hannę. Cicho zapukał do drzwi kajuty, którą dzieliła z mężem. Teraz zamieszka w niej sama, pomyślał. Co zrobię, jeśli będzie się bała samotności? Jak postępować z wdową na pokładzie?

Otworzył drzwi. Hanna siedziała na koi i przyglądała się swoim dłoniom. Właśnie skończyła wspominać długą podróż, jaką odbyła z odległej

górskiej doliny. Spotkała mężczyznę, została jego żoną. A teraz on odszedł.

Było im dane spędzić razem dwa miesiące. Potem przyszła po niego śmierć. Wypatrzyła go na łądzie w Sudanie i przybyła pod postacią gorączki. Hanna żyła dalej. I teraz miała pochować męża.

Wstając z koi, pomyślała, że udaje się na własny pogrzeb. A może egzekucję? Znowu została zupełnie sama, teraz jednak znalazła się w trudniejszej sytuacji niż kiedykolwiek. Po co ma płynąć na drugi koniec świata, skoro brak mężczyzny, którego poślubiła? Komu miała teraz towarzyszyć? Komu, poza kapitanem Svartmanem, zmierzającym właśnie w stronę sterburty, za którą w słonecznej mgle majaczył afrykański brzeg, tak niewyraźnie, że by go dostrzec, trzeba było spojrzeć przez lornetkę.

Na mostku stał jeden marynarz, któryś z młodszych. Pozostali zebrali się przy trumnie. Miękkiej trumnie z płótna żaglowego, położonej na dwóch kozłach, tuż przy relingu. Szary materiał owinięto flagą Szwecji. Była postrzępiona i bardzo poplamiona. Hanna domyśliła się, że była to jedyna flaga na pokładzie. Kapitan Svartman nie planował śmierci członka swojej załogi. Źle mogli skończyć jedynie ci, którzy postępowali nieostrożnie i łamali jego rozkazy. Jak ten pierwszy oficer, leżący teraz na dwóch kozłach, przygotowany do zepchnięcia do morza.

Hanna przyjrzała się stojącym w półokręgu

mężczyznom. Żaden nie odważył się spojrzeć jej w oczy. Śmierć ciążyła wszystkim, sprawiała, że czuli niepewność i zażenowanie, nie wiedząc, jak zachować się w stosunku do wdowy.

Podniosła wzrok, spojrzała w niebo i słońce, które prażyło mocno mimo wczesnej godziny. Wyobraziła sobie, że znów siedzi w saniach, za szerokimi plecami Forsmana.

Wtedy dokuczał mi chłód, pomyślała. Teraz gorąco. W jakiś sposób jedno nie różni się zbyt od drugiego. Towarzyszy mi nawet podobny ruch. Wtedy sanie, teraz statek, który powoli, niezauważalnie unosi się na martwej fali.

Kapitan Svartman miał na sobie mundur i białe rękawiczki. W ręku trzymał książkę z instrukcją, jak przeprowadzić ceremonię pogrzebową na morzu. Czytał mocnym, jednostajnym głosem. Nie dało się w nim wyczuć ani śladu wzruszenia.

Hannie przemknęło przez myśl, że Svartman musi odczuwać gniew, skoro jeden z jego ludzi złamał zakaz i zszedł na ląd, świadomy czekającego go tam zagrożenia.

Mężczyzna, który zaraz zostanie pochowany, zmarł zupełnie na darmo. Tylko dlatego, że postąpił nierozważnie i nie posłuchał rady kapitana.

Hanna czuła, że Svartman nie tylko żałuje utraty członka załogi, ale również czuje zawód.

Ceremonia była krótka. Kapitan Svartman nie odszedł od rytuału, nie dodał nic osobistego. Zamilkł, odczytawszy przemowę zawartą w książce, i skinieniem dał znak drugiemu oficerowi, który miał ładny głos. Mężczyzna zaintonował pieśń. Zebrani zdziwili się nieco, bo był to psalm bożonarodzeniowy.

„Świeć nad morzem i lądem, gwiazdo w oddali”.

Po chwili mężczyźni dołączyli, mrużąc niepewnie. Raz po raz któryś zafałszował. Hanna przyglądała się im dyskretnie. Niektórzy milczeli.

Który z nich naprawdę myśli o zmarłym? pomyślała. Kilku na pewno. Większość pewnie dziękuje w duchu, że to nie ich spotkał ten straszny los.

Gdy pieśń dobiegła końca, kapitan Svartman skinął na Hannę, by się zbliżyła. Wcześniej jej wytłumaczył, że nie ma żadnych reguł opisujących sposób, w jaki wdowa po członku załogi ma się pożegnać ze zmarłym mężem podczas ceremonii.

– Połóż dłoń na płótnie – poradził. – Tu na pokładzie nie ma żadnych kwiatów, więc niech twoja dłoń symbolizuje ostatnie pożegnanie.

Mógłbyś poświęcić którąś ze swoich doniczek z kwiatami, przemknęło Hannie przez myśl. Mogłeś zerwać jeden kwiat i mi go dać, ale tego nie

zrobięś.

Postąpiła tak, jak polecił jej Svartman. Położyła prawą dłoń na fladze. Spróbowała wyobrazić sobie twarz Lundmarka, lecz mimo że był martwy zaledwie od paru dni, z trudem przywołała w pamięci jego rysy.

Śmierć jest jak mgła, która powoli spowija odchodzącego, pomyślała.

Zrobiła krok w tył, a kapitan znów dał komuś znak. Czterej marynarze unieśli deskę, na której leżał zmarły, i wyrzucili ciało za burtę. Kapitan wybrał do tego zadania najsilniejszych mężczyzn, ponieważ trumna z płótna zawierała nie tylko zwłoki, ale i obciążniki, by ciało opadło na dno morza.

1935 metrów. Mąż Hanny miał spocząć w grobie o wiele głębszym niż najgłębszy kiedykolwiek wykopany na lądzie. Powiedziano jej, że minie co najmniej trzydzieści minut, nim ciało dotknie dna. Halvrosen twierdził, że nawet bardzo ciężkie przedmioty opadają w głębinie bardzo powoli.

Pogrzeb dobiegł końca. Załoga wróciła do swoich zajęć. Zaledwie parę minut później z maszynowni dobiegł głośny zgrzyt. Statek ruszył z miejsca. Postój się skończył.

Hanna stała przy relingu i spoglądała w głąb morza, ale nic już nie mogła dostrzec. W końcu się odwróciła i poszła do kambuza, gdzie chłopiec

okrętowy zaczął już przygotowywać obiad. Zakładając fartuch, spostrzegła, że przydzielono jej do pomocy jeszcze jednego chłopaka.

– Robię, co do mnie należy, nawet w dniu pogrzebu mojego męża – oznajmiła.

Nie czekając na odpowiedź, zeszła po drabinie do spiżarni i przyniosła ziemniaki.

Kiedy je obrała, wyrzuciła obierki za burtę i wróciła do kambuza. Tym razem zastała tam Halvrosena, reperującego szafkę na garnki i patelnie. To był najlepszy przyjaciel mojego męża, pomyślała. On również został teraz sam. On pewnie też się zastanawia, dlaczego Lundmark zszedł na ląd w tak niebezpiecznym miejscu.

Wróciła do pracy, w towarzystwie chłopca okrętowego i przydzielonego jej majtka. Kiedy Halvrosen skończył, ostrożnie dotknął jej ramienia i dał znak, by wyszła z nim na pokład. Hanna poleciła jednemu z chłopców, żeby pilnował garnków, i podążyła za marynarzem.

Mówiąc do Hanny, Halvrosen zawsze wbijał wzrok w pokład. Nigdy nie spojrzał jej w oczy.

– Co teraz zrobisz? – zapytał.

Hanna jeszcze nie znalazła w sobie tyle odwagi, by zadać sobie to pytanie. A co mogę zrobić? pomyślała. Czy mam jakieś wyjście?

Powiedziała mu prawdę. Nie wiedziała.

– Będę ci pomagał – zaoferował Halvrosen. – Chcę, żebyś o tym wiedziała. Jak tylko będę mógł.

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i odszedł.

Hanna zamyśliła się nad jego słowami i doszła do wniosku, że jej mąż polecił mu się nią zaopiekować, kiedy pojął, że zaraził się śmiertelną chorobą.

To Lundmark przemawiał do niej głosem Halvrosena. Głosem z morskiej głębin. Głosem, który świetnie naśladował innych.

Jakiś czas później zawinęli do portu w afrykańskim mieście Lourenço Marques. Było niewielkie i niezbyt ludne, białe fasady wspinających się po zboczu domów przywodziły na myśl Algier. Na szczycie wzgórza stał biały hotel. Przyjezdni nie byli w stanie wymówić nazwy miasteczka, więc cała załoga mówiła o nim „Loco”. Hanna przeczytała w słowniku, że słowo to oznacza po portugalsku „szalony”.

Halvrosen już kiedyś tu był. Ostrzegł Hannę, żeby nie otwierała na noc bulaju w swojej kajucie, bo są w tym miejscu komary roznoszące śmiertelną malarię. Poradził jej też, żeby nigdy, nawet po zmierzchu, nie wychodziła na zewnątrz w odzieży z krótkim rękawem.

Zaproponował jej, że zabierze ją do portu. Mogliby pospacerować ulicami miasteczka, a potem usiąść w jednej z restauracyjek i zjeść grillowaną rybę, smażone krewetki albo homara, bo tutejszy homar ponoć nie ma sobie równych.

Jednak Hanna grzecznie podziękowała. Nie była jeszcze gotowa na spacer w towarzystwie innego mężczyzny, choć wiedziała, że Halvrosen chce ją wesprzeć. Została na pokładzie, rozmyślając o tym, że za dwa dni „Lovisa” obierze kurs na wschód i wypłynie na wielki ocean, rozpościerający się

między Afryką a Australią.

Lundmark powiedział jej pewnej nocy, kiedy leżeli na wąskiej koi i rozmawiali szeptem, że podczas rejsu do Australii można natknąć się na górę lodową. Mimo że trasa wiedzie przez ciepłe rejony, owe białe góry, ogromne niczym lodowe pałace, docierają czasem aż tutaj, zanim się roztopią. Jemu opowiedział o tym kapitan Svartman, a on, jak wiadomo, zawsze mówił prawdę.

Hanna stała oparta o reling i przyglądała się afrykańskim tragarzom w obdartych ubraniach, wnoszącym prowiant na statek pod czujnym okiem kapitana. Poganiał ich biały brodaty mężczyzna, mocno opalony i odziany w przepocony strój w kolorze khaki. Hanna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jego puste dłonie poruszają się tak, jakby wymachiwał niewidzialnym batem. Tragarze byli wychudzeni i wyglądali na wystraszonych. Raz po raz któryś z nich posyłał jej krótkie, niespokojne spojrzenie. Chwilami zdawało jej się, że dostrzega w ich oczach coś innego niż lęk: szaleństwo, może nawet nienawiść. Nie umiała odgadnąć, czy rzeczywiście tak jest, czy tylko jej się to zdaje.

Biały mężczyzna pokrzykiwał piskliwym głosem, zupełnie jakby brzydził się swojego zajęcia i marzył o tym, żeby wreszcie się skończyło.

Po jakimś czasie, gdy przez chwilę nikt nie

chodził po trapie, Hannie przyszło na myśl, że może rzeczywiście powinna zejść ze statku i jeszcze raz postawić stopę na Czarnym Łądzie.

Nie zrobiła tego. Reling pozostał dla niej nieprzekraczalną granicą.

Pierwszej nocy w porcie nie spała. Przewracała się z boku na bok w dusznej kajucie. Halvrosen w końcu zgodził się, że może uchylić bulaj, jeśli Hanna dokładnie zabezpieczy otwór bawełnianą chustką. Wręczył jej nawet jedną w prezencie, wcześniej kupioną w porcie.

Hanna leżała w ciemności, wsłuchując się w granie cykad. Z oddali dolatywał też dźwięk bębna, choć Hanna podejrzewała, że może to być nawoływanie jakiegoś nocnego ptaka.

W kajucie panował tak wielki zaduch, że Hanna w końcu się ubrała i wyszła na pokład. Przy trapie miał wachtę marynarz. Wejście na statek zagradzano nocą grubą liną. Hanna przeszła na dziób i usiadła na windzie kotwicznej.

Pokład był pogrążony w ciemności, jedyny jasny punkt stanowił słaby blask latarni sztormowej przy trapie. Na brzegu płonęło ognisko, a wokół niego siedzieli mężczyźni. Płomienie oświetlały ich twarze. Hanna zadrżała. Nie wiedziała dlaczego. Może ze strachu, a może dlatego, że przepełniał ją żywy ciągle żal.

Siedziała tak długą chwilę, aż w końcu usnęła. Obudziło ją ukłucie komara w dłoń. Odgoniła

owada, rozmyślając o tym, że i tak nie potrafi powstrzymać śmierci.

Nazajutrz, ostatniego dnia, jaki mieli spędzić w Lourenço Marques, Hanna spytała Halvrosena, jak nazywa się kraj, w którym się w tej chwili znajdują.

– To Portugalska Afryka Wschodnia – odparł niepewnie. – O ile to może uchodzić za nazwę kraju w Afryce.

Zaraz po tym skrzywił się i pokręcił głową.

– Niewolnictwo – dodał. – Czarni są tutaj niewolnikami. Nie da się tego inaczej nazwać. Chyba nigdzie indziej nie spotkałem tylu brutalnych ludzi. I oni wszyscy są biali. Jak ty i ja.

Odwrócił się i odszedł, kręcąc głową.

Hanna wyczuła odrazę, z jaką wypowiedział te słowa. Po tym, co dostrzegła w oczach niektórych czarnych mężczyzn, musiała się z nim zgodzić.

Szwedzcy misjonarze weszli na pokład akurat ostatniego dnia. Kapitan Svartman powitał ich przy trapie tuż przed jedenastą rano. Zjawiły się dwie kobiety w długich sukniach i białych kaskach korkowych oraz niski, utykający mężczyzna. Hanna zatrzymała się przy relingu, by popatrzeć na nieznanym. Kapitan przekazał im torbę pełną listów, a potem zaprosił ich do swojej kajuty.

Halvrosen powiedział Hannie, że misjonarze mają stację w głębi lądu, w miejscu o nazwie Phalaborwa. Ponoć znajdowało się daleko od wybrzeża, więc dotarcie do Lourenço Marques wozem zaprzężonym w woły z pewnością zajęło ponad tydzień.

– Kapitan Svartman musiał im wysłać telegram, kiedy byliśmy w Algierze – dodał marynarz. – W ten sposób mogli mniej więcej wiedzieć, kiedy przybędziemy.

Hanna skończyła pranie i właśnie miała je rozwiesić na sznurkach, które przygotował dla niej chłopiec okrętowy. Nagle się zorientowała, że jedna z kobiet stoi tuż obok.

Była blada i wychudzona, a od jednego nozdrza biegła po jej twarzy blizna. Kobieta miała matowe niebieskie oczy i wąskie usta. Liczyła około czterdziestu lat, może nieco mniej.

Hanna uznała, że nieznajoma wygląda na chorą. Misjonarka powiedziała, że ma na imię Agnes.

– Kapitan Svartman wszystko mi opowiedział – oznajmiła. – Wiem, że niedawno zmarł pani mąż. Pomódlmy się razem.

Hanna zamarła z mokrym prześcieradłem w rękę. Czy ona chce, żebyśmy padły na kolana, tu, na pokładzie? pomyślała. Nie spodobała jej się ta myśl.

– Chętnie pani pomogę – zaproponowała Agnes.

Miała miękki głos. Wśród załogi był mężczyzna mówiący podobnym dialektem co nieznajoma, bosman nazwiskiem Brodin. Pochodził z lasów Värmlandii. Czyżbym miała przed sobą kobietę pochodzącą z tych samych okolic? spytała znów w myślach Hanna.

Zerknęła na lewą dłoń misjonarki. Nie dostrzegła obrączki. A więc jest niezamężna, stwierdziła. Ale chce mi pomóc. Niby jak miałyby to zrobić? Jedynym, czego Hanna teraz chciała, było to, by wrócił do niej zmarły mąż. Jednak Lundmark spoczywał na głębokości 1935 metrów i miał tam zostać na zawsze.

– Dziękuję – wymamrotała. – Nie potrzebuję pomocy.

Agnes przyjrzała jej się uważnie. Potem tylko skinęła głową i ujęła jej dłoń.

– Poproszę Boga, by złagodził pani ból – odezwała się ponownie.

Chwilę później Hanna spoglądała w dół na misjonarzy opuszczających statek z torbą pełną listów i znikających w którejś z uliczek portowych. Patrzyła za nimi, aż straciła z oczu ostatnią postać, utykającego, niskiego mężczyznę.

Nagle poczuła ogromną chęć, by za nimi pobiec. Uciec jak najdalej od morza. Jednakże na pokładzie trzymało ją coś niewidzialnego. Była uwięziona na statku kapitana Svartmana.

Na statku jej martwego męża.

Hanna nie potrafiła do końca życia pojąć tego, co się wydarzyło później tamtego dnia, ani przede wszystkim tego, dlaczego się na to zdecydowała. Dlaczego podjęła taką właśnie decyzję późnym wieczorem, po tym, jak misjonarze opuścili statek. Rozebrała się i położyła w łóżku. Noc była równie duszna, co poprzednia. Przez zasłonięty bawełnianą chustką bulaj nie przedostawał się nawet podmuch wiatru. Zdążyła już zasnąć, ale gwałtownie się przebudziła i usiadła na koi. Myśl, która przyszła jej do głowy, była zupełnie jasna i wypełniała całą jej świadomość.

Hanna zrozumiała, że nie może zostać na pokładzie. Nie może kontynuować tej podróży, ponieważ na statku wciąż przebywa jej zmarły mąż. Czuła, że uschnie z żalu, jeśli nie odejdzie.

Podkuliła nogi i siedziała na koi, twarzą do drzwi. Wstrzymała oddech. Podjęła decyzję i zamierzała opuścić statek jeszcze tej nocy, kiedy uśnie marynarz pełniący wachtę przy trapie.

Po raz ostatni Hanna spróbowała przekonać samą siebie, że powinna ruszyć w drogę do Australii. Jednak ta myśl zdawała jej się niedorzeczna. Nie stanie przy relingu i nie będzie obserwować przepływających obok lodowych pałaców.

Spakowała skromny dobytek do torby, którą kiedyś podarował jej Forsman. Długo się zastanawiała, czy powinna zabrać worek marynarski Lundmarka. W końcu wyjęła z niego tylko jego oficerską czapkę, dziennik pokładowy, zegarek oraz ślubną fotografię zrobioną w Algierze. Ostatnią rzeczą, którą spakowała, był słownik języka portugalskiego.

Tuż po czwartej nad ranem Hanna cicho wyszła z kajuty. Marynarz pilnujący trapu spał oparty o reling, z głową na piersi.

Cykady grały głośno, gdy przeszła pod rozpiętą w poprzek przejścia liną i powoli ruszyła po trapie. Chwilę później pochłonęła ją ciemność.

Załoga szukała jej na statku przez cały następny dzień. Jednak Hanna Lundmark zniknęła. Kapitan Svartman wysłał Halvrosena i drugiego marynarza, by poszukali jej w porcie, a potem czekał na nią tak długo, na ile mógł sobie pozwolić. Lecz gdy zbliżał się krótki afrykański zmierzch, wydał rozkaz, by odwiązać cumy.

Kucharka Hanna Lundmark uciekła. Kapitan Svartman podejrzewał z żalem, że postradała zmysły po stracie męża.

Odnotował jej zniknięcie w dzienniku okrętowym: „Kucharka Hanna Lundmark opuściła mój statek. Ponieważ niedawno została wdową, nasuwa się podejrzenie, że z żalu postradała rozum. Poszukiwania zaginionej nie przyniosły

rezultatu”.

Jednak Hanna cały czas tam była. Ukryła się w cieniściej zaułku w porcie, gdzie nikt by jej nie dojrzał. Gdy zapadła noc, wyszła z ukrycia i patrzyła na odpływający na wschód statek.

Kilka dni wcześniej pokwitowała u kapitana Svartmana odbiór pięćdziesięciu funtów brytyjskich. Było to odszkodowanie, jakie armator wypłacał wdowie po zmarłym członku załogi.

Wynajęła pokój w tanim hotelu w porcie. Spała niespokojnie, wybudzana ze snu bolesnymi skurczami w brzuchu.

Gdy się obudziła, był czerwcowy dzień, rok 1904. Mniej więcej w tym samym czasie „Lovisa” minęła pierwszą górę lodową.

Część II
Laguna Dobrej Śmierci

Obudził ją rozdzierający krzyk człowieka wołającego o pomoc. Dopiero znacznie później zrozumiała, że był to dźwięk wydobywający się z gardła samotnego pawia, przechadzającego się nieopodal hotelu. Właściwie ptak należał do stada hodowanego w ogrodach otaczających rezydencję portugalskiego gubernatora, ale zjawił się kiedyś w pobliżu hotelu i już tam pozostał. Samiec rozwierał gardło każdego poranka, strasząc nieprzywykłych do niego ludzi swoim przeraźliwym krzykiem.

Z pawiem tym wiązała się pewna legenda, której pochodzenia nikt nie mógł sobie przypomnieć. Najpierw krążyła wśród czarnych mieszkańców miasteczka, ale potem zaczęli ją sobie opowiadać również biali. Wkrótce nikt nie miał wątpliwości, że to prawdziwa historia. Głosiła ona, że za każdym razem gdy paw rozkładał swój imponujący ogon, jakiś człowiek zostaje uwolniony od wielkiego bólu.

Paw nie miał imienia. Przechadzał się powoli, dostojnie, jakby kontemplując swoją samotność.

Ten właśnie paw obudził Hannę w jej pierwszą afrykańską noc. Co z niej zapamiętała?

Z jednej strony noc była jak sen, sieć utkana z przemykających przed jej oczami obrazów, a jednocześnie zdawała się bardzo realna. Winien

temu był ból wzbierający w brzuchu Hanny. Panowała trudna do wytrzymania duchota, a ściany murowanego budynku ociekały wilgocią. Hanna widziała nad sobą wiszące do góry nogami jaszczurki o niemal przezroczystej skórze, cała podłoga aż chrzęściła od czających się w mroku insektów. Mulatka o czujnym spojrzeniu wręczyła Hannie lampę olejną z drgającym pod kloszem płomieniem, który skojarzył jej się z ostatnim tchnieniem umierającego.

W końcu nadszedł świt. W głowie Hanny wciąż pobrzmiwał rozdzierający krzyk pawia. Podniosła się z łóżka i podeszła chwiejnym krokiem do okna, by spojrzeć na słońce unoszące się ponad horyzontem. Przypomniała sobie statek, który odpłynął. Powoli zniknął, podążając w kierunku Australii, z ładunkiem pachnącym lasem.

Obmyła się w misce z wodą, a potem schowała otrzymane od Svartmana banknoty w bieliźnie, spakowanej do torby, którą dał jej w prezencie Forsman.

Na jednej z murowanych ścian wisiało zarośnięte brudem lustro. Hanna przypomniała sobie pęknięte lustro ojca. Stała blisko, żeby przyjrzeć się swojej twarzy.

Nagle wzdrygnęła się i odwróciła. Ujrzała, że ktoś otworzył drzwi do jej pokoju, oznaczonego nabazgraną na kartce cyfrą cztery. W progu stała ta sama Mulatka, która zeszłego wieczoru wręczyła jej

lampę. Bez słowa weszła do środka i postawiła na stole tacę z kromką chleba i kubkiem herbaty.

Była bosa i poruszała się bezszelestnie. Miała płócienną opaskę na biodrach, a piersi nagie i lśniące.

Hanna chciała wiedzieć, jak ciemnoskóra kobieta ma na imię, bo nagle znalazła się w świetle, w którym jedynym znanym jej imieniem było jej własne. Nie odezwała się jednak. Bezszelestnie poruszająca się kobieta zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Hanna wypijała mocno posłodzoną herbatę. Odstawiając kubek na tacę, poczuła się syta. Przytknęła dłoń do czoła. Było gorące. Czy to przez ten zaduch w pokoju? Nie wiedziała.

Nagle wrócił ból brzucha, który dokuczał jej w nocy. Położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Tępy ból powracał falami. Hanna zdrzemnęła się na moment, ale po chwili gwałtownie się przebudziła. Wsunęła dłoń między uda. Poczuła wilgoć. A gdy spojrzała na dłoń, ta była cała we krwi. Hanna usiadła z krzykiem.

Śmierć, pomyślała, drżąc na całym ciele. Przyszła nie tylko po Lundmarka, teraz kolej na nią. Hanna jęknęła ze strachu, ale zdołała wstać i chwiejnie podejść do drzwi. Po drugiej stronie korytarza był balkon z widokiem na wewnętrzne podwórko hotelu. Wyszła tam i musiała się chwycić poręczy, żeby nie upaść. W dole na do połowy

wybrukowanym podwórku jakiś mężczyzna wycierał szmatką klawiaturę czarnego pianina.

Hanna musiała wydać z siebie jakiś dźwięk, chociaż sama nie była tego świadoma. Mężczyzna przerwał pracę, odwrócił się i spojrzał na nią. Hanna uniosła zakrwawioną dłoń w błagalnym geście, jakby zdawała się na łaskę kogokolwiek, kto zechce jej pomóc.

Umieram, pomyślała. Nawet jeśli on nie rozumie moich słów, jest w stanie pojąć, że proszę o pomoc.

– Krwawię! – wykrzyknęła. – Potrzebuję pomocy!

Była bliska omdlenia, ale zdołała wrócić do pokoju. Miała wrażenie, że wycieka z niej życie. Czuła, że tonie, zbliżając się do dna, na którym spoczął jej mąż.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Była to ta sama kobieta, która chwilę wcześniej przyniosła jej tacę. Teraz bez słowa uniosła spódnicę Hanny, spojrzała na jej łono, a potem znów opuściła materiał. Jej mina nie zdradzała niczego.

Hanna zapragnęła nagle, by ciemnoskóra kobieta zmieniła się w Elin. Zamarzyła, by stanęła przed nią matka. Jednak Elin żyła w innym świecie. Oczami wyobraźni Hanna ujrziała niewyraźny obraz: matkę stojącą na progu szarego domu i patrzącą na góry po drugiej stronie rzeki.

Mulotka odwróciła się i wymknęła z pokoju.

Hanna zauważyła, że kobieta odeszła w pośpiechu.

Kiedyś poznam jej imię, bo nie zgadzam się na tę śmierć, pomyślała.

Nie chcę utonąć. Jeszcze nie teraz.

Obudziła ją zasłona łopocząca w przeciągu, gdy ktoś otworzył drzwi. Tym razem do jej pokoju nie weszła znajoma Mulatka, lecz inna kobieta. Miała dużo czarniejszą, błyszczącą skórę i włosy splecione w ciasne warkoczyki, zaczynające się tuż przy skórze głowy. Jej usta były czerwone, mocno umalowane, a miała na sobie jedynie jedwabną bieliznę i cienki szlafrok z materiału w ziejące ogniem smoki i demony.

Odezwała się niskim głosem, jakby ochryłym od chorego gardła albo nadmiaru papierosów i alkoholu. Na dodatek, ku jeszcze większemu zaskoczeniu Hanny, która nie miała pewności, czy to, co rozgrywa się przed jej oczami, nie jest aby ciągiem dalszym szalonego snu, półnaga nieznajoma przemówiła w języku, który Hanna natychmiast rozpoznała, choć nigdy wcześniej go nie słyszała. Gdy przybyła do hotelu, kobieta w recepcji odezwała się do niej po angielsku. Hanna nie rozumiała tego języka, ale umiała go rozpoznać i udało jej się wyjaśnić recepcjonistce na migi, że chce wynająć pokój.

Teraz miała przed sobą obcą czarną kobietę, która niespodziewanie tchnęła życie w słownik wyjęty kiedyś ze śmietnika Forsmana. Więc to tak brzmiał język, którego Hanna próbowała się biernie

nauczyć.

Większość z tego, co mówiła kobieta, brzmiało dla Hanny niezrozumiale, po chwili jednak wychwytywała poszczególne słowa, choć miała wrażenie, że bardziej odgaduje ich znaczenie, niż rzeczywiście je zna.

Nieznajoma pokazała na dziennik Lundmarka leżący na stoliku obok łóżka i coś zaczęła tłumaczyć. Hannie udało się zrozumieć, że nieznajoma żyła kiedyś ze szwedzkim marynarzem, niejakim Harrym Midgårdem, który strasznie pił. Hanna rozumiała też, że mężczyzna ten pracował na norweskim statku wielorybniczym.

Kobieta otarła pot z czoła wierzchem dłoni.

– Felicja – powiedziała. – Jestem Felicja.

Felicja, zamyśliła się Hanna. To imię nic jej nie mówiło. Zarazem jednak poczuła, że powoli wraca jej pamięć.

– Jak długo spałam? – spytała.

– Jest pani tu czwarty dzień.

Felicja zapaliła wyjętego zza ucha papierosa i przyjrzała się Hannie z uwagą.

Hanna zdała sobie sprawę, że ktoś już kiedyś wpatrywał się w nią takim wzrokiem. Było to w dniu, w którym Elin poprosiła Forsmana, by zabrał Hannę do rodziny w Sundsvall. Obrzucił ją wówczas tym samym badawczym spojrzeniem, jakby próbował dostrzec jakąś niewidoczną na pierwszy rzut oka prawdę.

– Zdoła pani wstać? – spytała kobieta po chwili.

Hanna spróbowała. Jej nogi wciąż drżały, gdy niepewnie postawiła je na podłodze, była ubrana w białą koszulę, w którą ktoś musiał ją odziać, gdy spała. Felicja pomogła Hannie zarzucić pachnący perfumami szlafrok i wsunęła na jej stopy kapcie.

Zeszły schodami na parter, potem na puste podwórko. Hanna wzięła ze sobą słownik portugalski. Podtrzymując Hannę, Felicja zaprowadziła ją do części podwórka, w której urządzono mały ogródek.

Niedawno padał deszcz, bo ziemia wciąż była mokra. Hannie przemknęło przez myśl, że powietrze pachnie jak u niej w domu, nad rzeką, po sianokosach. Miała wrażenie, że bujna roślinność aż buzuje w wilgotnej ziemi.

Felicja pomogła jej usiąść pod kwitnącą jakarandą. Sama stanęła obok ławki.

– Czy stało się to, co podejrzewam? – spytała ją Hanna.

– Nie wiem, co pani podejrzewa – odparła Felicja.

Zaraz jednak wyjaśniła Hannie w kilku prostych słowach, co się z nią stało. Hanna domyślała się, co oznaczał nagły ból brzucha, a teraz jej przypuszczenia się potwierdziły. Poroniła. Straciła dziecko Lundmarka. Dziecko pozbawione ojca, które nie chciało przyjść na świat.

– Nie mam żadnego doświadczenia w rodzeniu

dzieci – szepnęła.

– To nie było żadne dziecko – powiedziała Felicja. – To była krwawa, oleista ciecz, pozbawiona jeszcze ducha.

Kobieta zadzwoniła stojącym na stoliku obok ławki dzwoneczkiem i po krótkiej chwili zjawił się młody służący w białej liberii.

– Chce pani herbaty? – spytała Felicja Hannę, a ta potwierdziła skinieniem głowy.

Czekały na powrót służącego w milczeniu. W niebieskich kwiatach drzewa trzepotały obudzone przez deszcz białe motyle. Nagle gdzieś w pobliżu rozległo się nawoływanie muezina. Hanna zapamiętała ten dźwięk z Algieru, z dnia jej ślubu z Lundmarkiem.

Odwróciła twarz i skryła ją w cieniu jakarandy. Felicja wciąż stała obok, wpatrzona w swoje dłonie. Zszedł jej paznokieć i wyglądało na to, że bardzo ją to irytuje.

Ławka była długa, ale kobieta widocznie nie chciała usiąść obok niej. Hannie przemknęło przez myśl, że nic nie wie o tej czarnej dziewczynie, która prawdopodobnie uratowała jej życie. Właściwie trochę się jej bała, tak samo jak obawiała się czarnych mężczyzn przy ognisku w porcie. Z jakiejś przyczyny ten lęk przypominał jej strach przed ciemnością, który pamiętała z dzieciństwa.

Widzę cię, Felicjo, pomyślała. Ale co ty

widzisz? Kim ja jestem dla ciebie? Dlaczego nie usiądziesz obok mnie? Ławka pomieści nas obie.

Z rozmyślań wyrwał ją chłopak powracający z tacą. Hanna przyglądała się jego dłoniom, gdy podawał herbatę.

Przyniósł tylko jedną filiżankę i podał ją jej, Felicja nie dostała nic.

– Jak on ma na imię? – spytała ją Hanna.

– Estefano.

– Ile ma lat?

– Najwyżej czternaście. Ale jeszcze nie był z kobietą, więc wciąż jest dzieckiem. To dlatego ma tak miękkie dłonie.

Hanna piła herbatę w milczeniu. Później, odstawwszy ostrożnie filiżankę na stolik, poprosiła Felicję, by opowiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło przez cztery minione doby. Hanna zapamiętała z nich jedynie cienie, poczucie samotności i powracający ból.

Miała nadzieję, że Felicja nie pominie żadnego szczegółu. Opowie jej wszystko po kolei i bardzo powoli, żeby Hanna zrozumiała.

Felicja rozpoczęła opowieść:

– Laurinda, dziewczyna, która dała pani lampę, kiedy pani przyjechała, powiedziała mi, że pod czwórką zamieszkała jakaś kobieta. Nie wiedziałam o tym, bo akurat wtedy pojechałam do mojego męża i dzieci w Katembe. Odwiedzam ich raz w miesiącu, ale nigdy nie wiem z góry kiedy, bo decyduje o tym senhor Vaz. Tamtej nocy właśnie wróciłam i obsługiwałam pierwszego klienta, kiedy przybiegła Laurinda. Pomyślałam, że zobaczyła ducha, białą zjawę, i prosi mnie, żebym odczyniła urok. Ale gdy tylko weszłam do pokoju, zrozumiałam, że pani żyje. Nie umiem sobie wyobrazić bardziej żywej istoty niż krwawiąca kobieta. Wyciekająca z nas krew to dowód, że żyjemy, chociaż czasem zapowiada śmierć.

Zrozumiałam, co się stało, lecz nie miałam pojęcia, kim pani jest i skąd pani przyjechała. Właściwie powinna pani dla mnie teraz zatańczyć. W mojej wiosce i w mojej rodzinie właśnie w ten sposób poznajemy nowych ludzi. Dowiadujemy się, kim są, patrząc na ich taniec.

Ale panią poznałam przez pani krew. Szepnęłam Laurindzie, żeby przyniosła ciepłą wodę i czyste ręczniki. Była pani przytomna i patrzyła pani na mnie, ale zdawało się, że nie ma pani pojęcia, co

się dzieje. Do przerażonych ludzi zawsze trzeba przemawiać ściszym głosem. Nauczyłam się tego od matki. Ten, kto krzyczy w obecności chorego, zamienia swój głos w śmiercionośny oszczep.

Kiedy Laurinda przyniosła wodę i ręczniki, zdjęłam z pani zakrwawione ubranie. W bieliźnie znalazłam banknoty. Wielką sumę, która sprawiła, że jeszcze bardziej byłam ciekawa, kim pani jest. Za jednego funta mężczyzna może spędzić w moim łóżku tydzień. A pani ma ich kilkadziesiąt. Dla mnie to niepojęte, jakim sposobem kobieta może mieć tyle pieniędzy, nawet jeśli jest biała. Muszę przyznać, że postanowiłam zabrać te pieniądze, jeśli pani umrze. Chyba że okazałoby się, że należą do kogoś innego. Schowałam je z powrotem do pani bielizny, ale już wiedziałam, gdzie są.

Krwawiła pani obficie i miała gorące czoło. Nawet pomyślałam, że nie ma już dla pani ratunku, że jednak się mylę. Może to jednak nie poronienie, ale coś innego, jakaś nieznaną śmiertelna choroba.

Laurinda trzymała się z boku, ale cały czas była gotowa przyjść mi z pomocą. W pewnej chwili zorientowałam się, że do pokoju wszedł senhor Vaz. On żyje przyłapywaniem ludzi na rzeczach, których nie powinni robić. Usłyszałam, jak pyta Laurinę, co się stało, ale ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kiedy powiedział, że pośle po doktora Garibaldiego, podniosłam się z kucek i powiedziałam, że to niepotrzebne. Doktor Garibaldi

i tak nie rozeznałby się w tym krwawieniu. Od razu pomyślałam, że senhor Vaz uderzy mnie w twarz, bo nie znosi, kiedy jego dziwki wyrażają swoją opinię na jakikolwiek temat. Ale nie zrobił tego. Pewnie mój wzrok go przekonał, że doktor Garibaldi tylko pogorszy sprawę. A tego senhor Vaz przecież by nie chciał. Mogłoby to przynieść jego przybytkowi złą sławę. Klienci poszliby na dziwki gdzie indziej, chociaż senhor Vaz szczyci się, że jego dom uciech jest czysty i oferuje atrakcyjne czarne kobiety. Jeśli wyszłoby na jaw, że w jednym z jego pokoi biała kobieta wykrwawiła się na śmierć, uznano by to za zły omen. Oznaczałoby to, że w O Paraiso czai się zło. Mimo że wy, biali, brzydzicie się naszymi czarami, nie są one dla was bez znaczenia. Widocznie nasze złe duchy mogą zaszkodzić i wam. Kiedyś myśleliśmy, że nasza medycyna nie działa na ludzi o jasnej skórze. Dziś wiemy, że to nieprawda. Wiemy też, że tak samo jak my boicie się złych duchów nasyłanych przez ludzi, którzy chcą cudzej krzywdy. Nie wiedziałam, kim pani jest ani dokąd zmierza. Ale kiedy zobaczyłam panią leżącą w zakrwawionym ubraniu, od razu wiedziałam, że ktoś źle pani życzy, że ktoś pragnie pani śmierci.

Felicja nagle zamilkła, jakby się przestraszyła, że powiedziała za wiele. Z ulicy dobiegło skrzypienie wozu wyładowanego bananami.

Hanna pomyślała, że wciąż tak niewiele rozumie

z tego, co się stało. I nie tylko dlatego, że ledwie rozumiała słowa Felicji. Ale przynajmniej dotarło do niej, że w budynku, w którym się zatrzymała po ucieczce ze statku kapitana Svartmana, mieści się nie tylko hotel. Działał tu również dom publiczny, a więc przybytek, o którym czasem rozmawiali marynarze. A Felicja, kobieta stojąca tuż obok niej pod pięknie kwitnącą jakarandą, była prostytutką.

Hannie przemknęło przez myśl, że powinna natychmiast wstać, spakować swoje rzeczy i przenieść się do jakiegoś przyzwoitego hotelu.

Jednak stojąca przed nią kobieta uratowała jej życie, razem z dziewczyną imieniem Laurinda. Dlaczego Hanna miałaby przed nimi uciekać? Przecież nie miała nic wspólnego z burdelem, po prostu wynajęła w nim pokój, za który płaciła własnymi pieniędzmi.

Tymi samymi, których Felicja nie zabrała, mimo że miała okazję.

Murzynka spojrzała na nią tak, jakby czytała w jej myślach.

– Od razu rozeszła się plotka – podjęła. – W błyskawicznym tempie. Ludzie zaczęli gadać, że senhor Vaz zatrudnił pierwszą białą dziwkę. Zjawiły się tłumy klientów. Ale szybko zrozumieli, że jest pani tylko rzadkim okazem zwyczajnego gościa w hotelu. Ich rozczarowanie nie miało granic.

– Senhor Vaz? Kto to taki? Właściciel?

– To mężczyzna, który nie znosi krwi – odparła Felicja. – Kiedy krwawimy, źle mu idą interesy. Chyba że akurat trafi się jeden z tych odrażających klientów, którzy chcą sypiać tylko z krwawiącymi kobietami. Ale senhor Vaz i tak nie znosi wszystkiego, co ma związek z krwią. Nie wyjdzie z ukrycia, zanim pani nie wyzdrowieje.

– I co się wtedy stanie?

– Myślę, że pozwoli pani tu zostać, jeśli będzie pani płacić za pokój.

Hanna poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i aż podskoczyła ze strachu. Na początku nie zrozumiała, co ma przed oczami, ale po chwili dotarło do niej, że stoi za nią małpa. Miała na sobie białą marynarkę i intensywnie się w Hannę wpatrywała.

Hanna pomyślała, że postradała zmysły. To, co widziała, nie mogło naprawdę istnieć. Mimo to małpa nie chciała zniknąć jej z oczu i uparcie stała tam na swych koślawych nogach. Na dodatek w jednej ręce trzymała tacę z ciastkami. Felicja powiedziała do zwierzęcia parę słów, małpa postawiła tacę na stoliku, wykrzywiła się, zazgrzytała zębami i sobie poszła.

– Ma na imię Carlos – oznajmiła Felicja. – Jak jakiś portugalski król. Przybył tu pięć lat temu ze swoim właścicielem, który polował na lwy na wielkich równinach naszego kraju. Miał tego oswojonego szympansa, ale wtedy Carlos nosił korkowy hełm. Po tym, jak jego właściciel zabawił się z naszymi dziewczynami przez ponad tydzień i nie miał czym zapłacić, senhor Vaz przyjął w zamian małpę. Szympanas rozpaczał przez dwa tygodnie, ale potem szybko nauczył się chodzić w białej liberii, zaczął reagować na nowe imię i zrozumiał, że tutaj ma lepiej niż poprzednio. Nocami Carlos przesiaduje na dachu i wpatruje się w lasy po drugiej stronie miasta. Ale nigdy nie próbował uciec. Tu jest jego dom.

Hanna wciąż nie mogła uwierzyć, że to, czego w tej chwili słucha i co przed momentem ujrzała, jest prawdą. Jednak Felicja mówiła jasno i wprost.

Niczego nie wymyślała.

Nagle skądś dobiegła muzyka. Hanna domyśliła się, że to dźwięki hotelowego pianina, i szybko stwierdziła, że to nie melodia, tylko pojedyncze tony, jakby w klawisze uderzało dziecko.

Dźwięki się powtarzały i Hanna uprzytomniła sobie, że rozpoznaje ten schemat. Mężczyzna, który przed chwilą wycierał klawisze, teraz stroi pianino. Podobny instrument stał w domu Jonathana Forsmana, ale nikt na nim nie grał. Nikomu nie wolno było się do niego zbliżyć. Forsman zawsze nosił przy sobie klucz do pianina. Dwa razy w roku zjawiał się niewidomy mężczyzna i stroił instrument. Wówczas w całym domu miało być cicho. Stroiciel był wzywany zawsze po jakiejś długiej wyprawie Forsmana, z której kupiec wracał wyładowanymi saniami lub wozem. Gdy niewidomy mężczyzna pochylał się z kluczem nad strunami, Forsman siedział w fotelu i słuchał w nabożnym skupieniu. Dla niego idealną harmonią nie była muzyka, lecz jedynie nastrojone pianino.

Hotelowy stroiciel przerwał na chwilę pracę, ale zaraz znów rozległy się dźwięki. Teraz stroił najniższą oktawę. Z jakiejś przyczyny Hanna poczuła przypływ sił i niespodziewanej nadziei. Nikt nie stroi pianina, kiedy ktoś ma umrzeć, pomyślała. Gdy ktoś umiera, albo panuje kompletna cisza, albo gra się łagodne melodie, mające pocieszyć i ulżyć w cierpieniu, które potem płynnie

przechodzą w żałobną pieśń.

Nagle przypomniała sobie pewną myśl, która wpadła jej do głowy w domu Forsmana jednego z tych dni, gdy zjawił się stroiciel i Forsman siedział w fotelu, wsłuchany w przywracaną instrumentowi harmonię. Co ten człowiek ma przed oczami? pomyślała wówczas. Co oczami wyobraźni widzi niewidomy człowiek? Czy widzi coś, czego ja nie dostrzegam? Trudno jej było wyobrazić sobie coś więcej niż tylko to, że mężczyzna ma przed oczami czarną pustkę.

Teraz Hanna poczuła zmęczenie. Felicja odprowadziła ją do pokoju. Ktoś zmienił pościel, kiedy jej nie było, i przyniósł wyprane ubrania, już bez śladów krwi.

Felicja odwróciła się do niej, zanim wyszła.

– Co mam powiedzieć senhorowi Vazowi? – zapytała.

– Powiedz, że biała kobieta wciąż krwawi – odparła Hanna. – Nie potrwa to długo, ale musi pobyc sama jeszcze przez parę dni.

Felicja skinęła głową.

– Obiecuję nie przysyłać do pani Carlosa z herbatą. Laurinda będzie pani usługiwała.

Gdy Felicja zamknęła za sobą drzwi, Hanna się rozpłakała. Cichutko, nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał. Bała się też, że głośny szloch wystraszy jej ciało, które zacznie na nowo krwawić.

Dziwki kłamią. Podobnie jak wszyscy czarni.

Było to jedno z pierwszych zdań wypowiedzianych przez Attimilia Vaza po tym, jak wreszcie przedstawił się Hannie. Minął tydzień, odkąd zamieszkała w jego hotelu, i po poronieniu doszła do siebie na tyle, by o własnych siłach zejść na parter i coś zjeść.

– Niech pani nie wierzy w nic, co pani mówią. Najlepiej niech pani nie wierzy im wcale. Czarni potrafią tylko kłamać.

Hanna poczuła się zbita z tropu. Nie mogła sobie wyobrazić, że Felicja, która zrelacjonowała jej ze szczegółami, co się stało, i tak dobrze się nią opiekowała, przez cały czas opowiadała jej kłamstwa. Wprawdzie czasem z trudem przychodziło Hannie zrozumienie wszystkich jej słów, ale nie aż tak, żeby opacznie rozumieć wszystkie zdania i wziąć za prawdę coś, co w rzeczywistości było nieprawdą.

Tego dnia, w którym Attimilio Vaz wreszcie zdecydował się poznać jedyne gościa w swoim hotelu, bardzo się starał, by mówić powoli, wyraźnie i nie używać trudnych słów.

Senhor Vaz urodził się w Portugalii i kiedyś dawno temu odwiedził Szwecję, po dłuższym pobycie w duńskim mieście, które być może

nazywało się Odense, tego senhor Vaz już nie pamiętał. Pojechał tam w interesach, jako handlarz portugalskimi sardelami. To, co się tam wydarzyło, oczywiście nie stało się z jego winy. Attimilio Vaz uważał się za uczciwego i rzetelnego człowieka interesu, którego intencje po prostu źle interpretowano. I mimo że musiał wówczas, podejrzany o jakieś oszustwo, opuścić Szwecję w pośpiechu, i tak miał przyjemność spędzić godzinę w tym urzekającym kraju, w towarzystwie cudownych ludzi. Dlatego teraz tak bardzo się cieszył, że ma przyjemność gościć Szwedkę w skromnych, ale jakże schludnych progach swojego przybytku.

Parę dni później, gdy Hanna poczuła się na tyle silna, by wyjść na spacer po mieście, senhor Vaz zaprosił ją na kolację do restauracji znajdującej przy tej samej ulicy co O Paraiso.

Kiedy wyszli z budynku i Hanna zrobiła kilka pierwszych kroków, nagle poczuła, że ziemia kołysze się pod jej nogami, zupełnie jak pokład statku. Hanna przystanęła i oparła się o ścianę hotelu. Senhor Vaz spojrzał na nią z troską i spytał, czy życzy sobie wrócić do pokoju. Hanna pokręciła przecząco głową. Nie zaprotestowała, kiedy senhor Vaz wziął ją pod rękę. Żaden mężczyzna nie dotykał Hanny od śmierci Lundmarka. Poczuła się dziwnie na myśl, że jest w jakimś afrykańskim mieście i daje się prowadzić do restauracji

portugalskiemu właścicielowi burdelu.

Miała jednak pewność, że nie śni. Nieoczekiwanie znalazła się w świecie, do którego nie pasowała.

Lundmark był od niej wyższy. Natomiast senhor Vaz sięgał jej zaledwie do ramienia.

Ulica, którą szli, była pełna barów i restauracji. Hanna odczytała jej nazwę z tabliczki: rua Bagamoio. Część lokali jasno oświetlały lampy gazowe, inne natomiast pogrążone były w mroku, rozświetlonym pojedynczymi świecami, których płomień ledwie dało się dostrzec zza zasłon powiewających tajemniczo, gdy ktoś ukradkiem wchodził do lokalu. Tylko ta ulica była oświetlona latarniami. Wąskie przecznice tonęły w gęstym mroku, puste i ciche.

Hannie przyszło na myśl, że to miasto przypomina jej las otaczający dolinę, w której dorastała. Można było wędrować tam wąską, oświetloną promieniami słońca leśną ścieżką, ale wystarczyło zrobić trzy kroki w bok, zagłębić się między drzewa i tam zaczynał się inny świat, w którym panowała ciemność.

Nie licząc obdartych, czarnych żebraków, wszyscy ludzie na ulicy byli biali. Minęła dłuższa chwila, nim Hanna spostrzegła, że wokół nie ma żadnych kobiet. Ona była jedyna. Otaczali ją sami biali mężczyźni, w większości marynarze i wojskowi, niektórzy pijani i głośni, inni wręcz

przeciwnie: cisi i przemykający pod ścianami budynków, jakby nie chcieli, by ktoś ich zauważył. Z kolei w większości barów na wysokich stołkach i niskich kanapach przesiadywały czarne kobiety. Paliły w milczeniu.

Skoro to jest miasto, pomyślała Hanna, nie wiem, jak powinno nazywać się miejsce, w którym żyje Forsman. Czy te dwa miejsca w ogóle da się ze sobą porównać? Ulice, którymi Hanna przechadzała się z Bertą, wyglądały inaczej niż te mroczne zaułki.

Na rogu jednej z uliczek siedział przy ognisku czarny mężczyzna i rytmicznie uderzał w maleńki bębenek, mieszczący mu się w dłoni. Miał lśniąca od potu twarz. Na rozpostartym przed nim kawałku płótna leżało parę monet. Palce mężczyzny uderzały w napiętą skórę bębena jak dwa poruszające się błyskawicznie ptasie dzioby. Hanna nigdy wcześniej nie słyszała podobnego rytmu. Przystanęła na chwilę. Senhor Vaz zrobił zniecierpliwioną minę, wygrzebał z kieszeni monetę, rzucił ją na płócienną szmatkę i pociągnął Hannę za ramię.

– On jest bosy – powiedział. – Pewnie za chwilę zabierze go policja.

Hanna nie zrozumiała, choć dostrzegła, że mężczyzna z bębniem nie miał butów.

– Dlaczego? – spytała.

– Czarnym nie wolno chodzić po mieście bez

butów – odparł senhor Vaz. – Tak mówią przepisy. Poza tym po dwudziestej pierwszej i tak nie wolno im wychodzić na nasze ulice. Chyba że pracują i mogą okazać stosowny dokument. „Żaden czarny mężczyzna i żadna czarna kobieta nie mają wstępu do miasta bez obuwia”. Tak mówi nasze prawo. Znakiem tego, że człowiek jest cywilizowany, są właśnie buty.

Hanna znów nie miała pewności, czy wszystko dobrze zrozumiała. „Nasze ulice” zastanowiły ją. A więc ktoś tutaj nie ma do nich prawa?

Senhor Vaz zatrzymał się przed pogrążonym w ciemności lokalem. Hannie zdawało się, że na słabo widocznym szyldzie widnieje słowo *morte*, od razu jednak stwierdziła, że musi się mylić. Restauracja w dzielnicy uciech nie mogła mieć w nazwie słowa „śmierć”.

Chwilę później upewniła się. Stała przed lokalem, którego nazwa faktycznie miała coś wspólnego ze śmiercią. Było to jedno z pierwszych słów, których się nauczyła ze słownika Forsmana.

Zjedli rybę upieczoną nad otwartym ogniem. Senhor Vaz zaproponował Hannie lampkę wina, ale odmówiła. Nie nalegał. Był niezwykle uprzejmy, zadawał jej wyłącznie pytania o samopoczucie, wielokrotnie też wyraził nadzieję, że Hanna szybko wróci do sił.

Jednak coś w jego zachowaniu sprawiło, że Hanna stała się czujna, może nawet podejrzliwa.

Grzecznie odpowiadała na wszystkie pytania, ale czuła się tak, jakby coś kazało jej nie wyściubiać nosa, zamknąć wszystkie drzwi od środka i schować klucz.

Pod koniec kolacji senhor Vaz oznajmił, że nazajutrz do hotelu przyjedzie pielęgniarka i pozostanie tak długo, jak długo Hanna będzie potrzebowała pomocy. Hanna próbowała zaprotestować, przecież opiekowały się nią Felicja i Laurinda, ale senhor Vaz nie ustąpił.

– Potrzebuje pani opieki białej pielęgniarki – odparł stanowczo. – Czarnym nie można ufać. Nawet jeśli wydają się pomocni, może się okazać, że próbują kogoś otruć.

Hanna zamarła. Czy na pewno dobrze usłyszała? Nie wierzyła mu. Zarazem jednak stwierdziła, że dobrze jej zrobi towarzystwo białej kobiety.

Wracali do hotelu powolnym spacerem. Senhor Vaz znów wziął Hannę pod rękę, a ona nie protestowała. Gdy dotarli na miejsce, grzecznie ukłonił się na pożegnanie przy schodach wiodących na piętro.

Mimo późnej pory większość prostytutek siedziała beczynn timer przy barze. Dziewczyny paliły papierosy i rozmawiały ściszymi głosami. Hanna zrozumiała, że tego wieczoru nie idzie interes. Wzdrygnęła się na myśl, co wyprawia się tutaj za zamkniętymi drzwiami pokoi.

Próbowała odszukać wzrokiem Felicję, ale jej

nie znalazła. Spotkała ją na korytarzu, w drodze do pokoju. Czarna kobieta wychodziła właśnie ze swojego numeru, w towarzystwie białego mężczyzny o kudłatej brodzie i potężnym brzuchu. Hanna poczuła się dotknięta tym widokiem. Pospiesznie zniknęła w pokoju i zamknęła się na klucz.

Jednak sekundę przed tym, jak zatrzasnęła drzwi, ona i Felicja spojrzały sobie w oczy. Trwało to ledwie chwilę, ale mimo to Hanna czuła się tak, jakby przekazały sobie ważną wiadomość.

Zanim wróciła do pokoju, zobaczyła też ubranego na biało szympansa Carlosa. Małpa stała przy pianinie z cygarem w dłoni i z ciekawością rozglądała się wokół. Hannie przemknęło przez myśl, że w tej akurat chwili szympans jest jedyną żywą istotą w tym miejscu, zwanym „domem uciech”.

Nazajutrz przed drzwiami do pokoju Hanny stanęła biała kobieta o zaciśniętych ustach. Nazywała się Ana Dolores i mówiła wyłącznie po portugalsku, choć znała parę słów w lokalnym języku tsonga. Ponieważ jednak kobieta mówiła powoli i wyraźnie, Hanna rozumiała ją o wiele lepiej niż Felicję i senhora Vaza.

Dopiero gdy zjawiła się Ana Dolores, Hanna zyskała pewność, że senhor Vaz naprawdę uważał, iż wszyscy czarni kłamią. Pielęgniarka żywiła to samo przekonanie, była o tym nawet jeszcze bardziej przekonana. Została przewodniczką Hanny w świecie zbudowanym z samych kłamstw.

Senhor Vaz postanowił wezwać Anę Dolores, ponieważ sądził, że Hannie nie pomoże wrócić do zdrowia ani doktor Garibaldi, ani żadna z czarnych dziewcząt. Następnego dnia, tuż po pierwszej rozmowie z Felicją, zawołał riksę i pojechał na wzgórze, do szpitala Pombal, na rozmowę z senhorem Vasconselousem, który trzymał w garści całą skomplikowaną administrację szpitalną, mimo że był głuchy jak pień i widział tylko na lewe oko.

Przez wiele lat senhor Vasconselous odwiedzał O Paraiso regularnie co trzy tygodnie. Żonie opowiadał później o bardzo długich partiach szachów, rozgrywanych z przyjacielem, senhorem

Vazem. Pani Vasconselous nie wiedziała nawet, że jej mąż nie ma bladego pojęcia, jak pionki i figury poruszają się po szachownicy. Jediną kobietą, której usług życzył sobie stały bywalec, była piękna Belinda Bonita, która nie była już młodą dziewczyną, ale właśnie z tego powodu cieszyła się wyjątkowym powodzeniem u pewnych klientów, którym nie przeszłoby nawet przez myśl, by spędzić noc z którąś z młodszych dziewcząt.

Senhor Vaz wyłożył sprawę bez ogródek: w O Paraiso niespodziewanie zjawiała się biała kobieta, na dodatek chora.

Aby jego rozmówca wszystko zrozumiał, senhor Vaz zapisywał swoje słowa dużymi literami na żółtym papierze w linie, który zawsze leżał na biurku senhora Vasconselousa.

Sprawa była bardzo prosta: senhor Vaz potrzebował zaufanej pielęgniarki, która zajmie się nieznaną tak długo, by ta spokojnie wróciła do zdrowia. Zaznaczył, że chodzi mu o starszą kobietę. Nie chciał ryzykować, że ktoś z jego klientów pomyśli, iż senhor Vaz rzeczywiście sprowadził do miasta pierwszą białą dziwkę. Na dodatek taką, która oferuje swoje usługi w najróżniejszych przebraniach, na przykład w stroju pielęgniarki.

Chociaż gdyby senhor Vaz chciał być szczery, musiałby rzec: drugą białą dziwkę. Nikt nie wiedział, czy była to prawda, czy tylko legenda, ale po mieście krążyła opowieść, że w jednej z

ciemnych uliczek odchodzących od rua Bagamoio przyjmowała klientów tajemnicza biała kobieta. Nie wiadomo, skąd przybyła, nikt też nie mógł potwierdzić niezbitcie, że naprawdę istnieje. Mimo to raz po raz z któregoś z ciemnych zaułków wytaczał się jakiś półnagi mężczyzna i opowiadał o pięknej białej kobiecie, która znała sztuki, jakich nie opanowała żadna z czarnych prostytutek.

Senhor Vaz nie dawał wiary tym historiom. W końcu był przekonany, że światem czarnych rządzą kłamstwa. A w kłamstwach tych czają się zabobony i strach oraz służalczość. W tej samej chwili, w której senhor Vaz postawił stopę na afrykańskiej ziemi w porcie Lourenço Marques, zyskał pewność, że nie należy ufać czarnym. Bez białych panów wciąż wiedliby życie takie jak Europejczycy przed wiekami.

Senhor Vaz był gorliwym obrońcą tezy, że biali ludzie mają za zadanie cywilizować Czarny Kontynent. Nie oznaczało to jednak, że źle traktował kobiety w swoim burdelu. Zdarzało mu się wymierzyć policzek jednej lub drugiej, kiedy był niezadowolony, lecz nigdy nie dopuszczał się brutalnej przemocy.

Senhor Vasconselous uważnie przeczytał życzenie przyjaciela, po czym zadzwonił dzwonkiem. Po chwili w gabinecie zjawiała się otyła sekretarka, którą senhor Vaz znał z niedzielnych mszy w katedrze. Senhor Vasconselous polecił jej

przyprowadzić siostrę Anę Dolores, zatrudnioną w tej części szpitala, w której zajmowano się chorymi umysłowo.

Słyszac to, senhor Vaz zaniepokoił się na moment, nie będąc pewnym, czy Vasconselous na pewno dobrze go zrozumiał. Nie potrzebował kogoś do opieki nad białą kobietą, która postradała zmysły. Zjawiła się w jego hotelu bez zapowiedzi, opłacała parę nocy z góry, a potem nagle zaczęła krwawić. Krwotok wprawdzie ustał, ale nieznajoma wciąż była słaba i wymagała opieki.

Szybko zapisał ostatnie słowa drukowanymi literami – jak dziecko. Senhor Vasconselous przeczytał je w skupieniu, prawie przyciskając kartkę do twarzy, a potem napisał krótkie *si, entendo* i spokojnie zapalił cygaro.

Ana Dolores była bardzo chuda, miała ostre rysy, a na jej twarzy malowała się gorycz. Gdy tylko pielęgniarka weszła do pokoju i wysłuchała, na czym ma polegać jej zadanie, senhor Vaz znowu się zawahał. Zależało mu na fachowej opiece dla kobiety z pokoju numer 4, ale nie życzyłby sobie, by ponura pielęgniarka odstraszała klientów. W końcu jednak zdecydował, że zaufa wyborowi przyjaciela.

Ustalono wysokość wynagrodzenia, był uścisk dłoni i postanowiono, że Ana Dolores przyjedzie do O Paraiso jeszcze tego samego wieczoru. Senhor Vaz nie mógł wyczytać z twarzy pielęgniarki, czy

jest jej znany jego przybytek. Doskonale jednak wiedział, że rua Begamoio to ulica, na której pracowało najwięcej prostytutek w całej południowej Afryce i o tym Ana Dolores nie mogła nie wiedzieć. Senhor Vaz domyślał się, ile zarabia pielęgniarzka, i bez wahania podwoił tę stawkę, chcąc mieć pewność, że Ana Dolores mu nie odmówi. Na dodatek obiecał jej pokój numer 2, największy w całym hotelu, właściwie mały apartament, składający się z sypialni i saloniku z dużym oknem z widokiem na dachy miasteczka, port i półwysep Katembe.

Tym sposobem Hanna poznała Anę Dolores. Gdy obudziła się następnego ranka, nie ujrzała siedzącej w plecionym fotelu przy oknie Felicji. Nad łóżkiem stała ubrana na biało pielęgniarzka. Bez słowa chwyciła nadgarstek Hanny i zmierzyła jej puls. Zaraz po tym, nie mówiąc, czy wynik badania jest dobry, czy zły, pochyliła się nad twarzą Hanny, uniosła jej powiekę, najpierw jedną, potem drugą, i przyjrzała się źrenicom. Hanna stwierdziła, że pielęgniarzka pachnie jakimś nieznanym owocem lub kwiatem. Po zbadaniu oczu pacjentki Ana Dolores energicznie zadarła kołdrę i obnażyła łono Hanny. Zrobiła to tak szybko, że ta nie zdążyła nawet zareagować. Hanna uniosła rękę, chcąc się zasłonić, ale pielęgniarzka odsunęła ją szybko, jakby odpędzała owada, i zdecydowanym ruchem rozchyliła nogi Hanny. Długo i z uwagą

wpatrywała się w jej łono, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Potem nakryła ją z powrotem kołdrą i wyszła z pokoju.

Chwilę później zjawiała się Laurinda z herbatą na tacy. Miała na sobie cienką bluzkę z białej bawełny i owiniętą wokół bioder kolorową capulanę.

Hanna uniosła dłoń, pokazała w stronę drzwi i nakreśliła w powietrzu sylwetkę kobiety, która przed momentem wyszła z pokoju.

Laurinda zrozumiała.

– Doña Ana Dolores – odparła.

Hanna miała wrażenie, że w głosie dziewczyny pobrzmiewa strach, ale nie mogła być tego pewna. Podobnie jak niczego innego.

Niespodziewanie Hanna dostała infekcji z długo utrzymującą się gorączką. Ana Dolores pielęgnowała ją przez dwa miesiące. Po kilku pierwszych dniach, kiedy Hannie zdawało się, że wróciła do zdrowia, nadszedł długi okres tak wielkiego osłabienia, że czuła się niemal sparaliżowana. Właśnie w tym czasie Ana Dolores nauczyła ją portugalskiego. Ćwiczyły w każdej chwili, w której Hanna nie odczuwała zbyt wielkiego zmęczenia.

Równocześnie Ana Dolores tłumaczyła Hannie, jak – jako biała kobieta – powinna traktować pracujący w hotelu czarny personel. W hotelu, który przede wszystkim był burdelem dla białych mężczyzn, bawiących z krótką wizytą w mieście. Początkowo Hanna czuła się dziwnie, obserwując, z jaką wyższością i odrazą Ana Dolores traktuje przychodzące do pokoju czarne kobiety. Z czasem jednak, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, coraz rzadziej oburzała się na to, co mówiła Ana Dolores.

Kiedy doszła do siebie na tyle, by wstać z łóżka i wybrać się na krótki spacer po mieście, oczywiście w towarzystwie Any Dolores, Hanna zauważyła, że jej opiekunka w każdej sytuacji zachowuje się w ten sam sposób. Nieważne, czy

były akurat w parku, na ulicy, na jednej z długich plaż lub w czterech ścianach pokoju w O Paraiso.

Ana Dolores była święcie przekonana, że czarni ludzie stoją niżej w hierarchii społecznej niż biali. Hanna przypomniała sobie czas spędzony w domu Forsmana. Mimo iż traktował on swoją służbę lepiej niż inni – Hanna wiedziała to od Berty – również on odnosił się do stojących najniżej w domowej hierarchii z jawną odrazą. I nie działo się tak tylko w domu, ale i poza nim. Gdy Hanna próbowała przekonać Bertę, że to nieprawda, podając przykład siebie samej, Berta upierała się, że to wyjątek. Potem Hanna sama zaobserwowała, że Forsman potrafi zachować się niezwykle brutalnie wobec biedaków, którzy stawali na jego drodze.

Ana Dolores powiedziała jej podczas jednego ze spacerów:

– Czarni są zaledwie naszymi cieniami. Bóg stworzył ich czarnymi, żebyśmy nie musieli ich widzieć w ciemności. Nie wolno nam o tym zapominać.

Mimo że Hanna z czasem przywykła do towarzystwa Any Dolores, jej zachowanie jeszcze długo wzbudzało w niej niesmak. Miała ochotę uciec lub zapaść się pod ziemię za każdym razem, gdy pielęgniarka brutalnie odpychała stojącą blisko czarną kobietę lub policzkowała dziecko próbujące sprzedać jej banany. Nie przestawała przy tym,

jakby był to nieodłączny element opieki nad Hanną, powtarzać w kółko, jak fałszywi, brudni na ciele i duszy są czarni ludzie. I tu stopniowo wewnętrzny opór Hanny zaczął powoli słabnąć. Słuchała wywodów Any Dolores z coraz większą obojętnością, jakby sama zaczynała w nie wierzyć. Doszła do wniosku, że istnieje poważna różnica między życiem, jakie wiodła w domu Forsmana, a tym, jakie widzi tu. Tam zaliczała się do służby i biednych robotników. Tutaj o jej wyższości przesądzał kolor skóry, wynosząc ją na całkiem inny, o wiele wyższy poziom. Tutaj to ona o wszystkim decydowała, miała prawo wydawać rozkazy, nagradzać i karać, zgodnie z nadanym jej boskim prawem. Tutaj to ona była Jonathanem Forsmanem. Mimo że przecież była tylko kucharką, która uciekła ze statku.

Pewnego dnia, pod koniec okresu opieki nad Hanną, Ana Dolores zabrała ją na spacer do małego ogrodu botanicznego, oddalonego o kilka kwartałów od rua Bagamoio i znajdującego się tuż obok śnieżnobiałej katedry w budowie. Obie chroniły się przed słońcem pod parasolkami. Panował ogromny upał, weszły więc pospiesznie do ogrodu, w poszukiwaniu cienia. Szyld zawieszony przy wejściu oznajmiał, że ławki są wyłącznie dla białych. Komunikat miał tak złowieszczy ton, że większość czarnych, choć mogli przebywać w ogrodzie, wołała tam nawet nie wchodzić. Hanna

dostrzegła czarnych robotników z obnażonymi torsami, pielących rabaty, zawsze gotowych na atak jadowitych węży.

Tego popołudnia większość ławek w ogrodzie była zajęta. Przychodzili tam na przerwę urzędnicy z pobliskich biur, matki z córkami, które grały w klasy w piaszczystych alejkach, oraz synami uganiającymi się za toczonym po trawie kółkiem.

Nagle Ana Dolores stanęła jak wryta. Na ławce tuż przed nimi spał starszy czarny mężczyzna. Hanna dostrzegła kątem oka gniew malujący się na twarzy opiekunki. Ana Dolores szturchnęła staruszką w ramię. Przebudził się, spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na stojące nad nim kobiety, a potem znów zamknął oczy, jakby zamierzał dalej spać.

Hanna widziała już kiedyś podobne spojrzenie u starego człowieka. Było to w dniu, w którym ona i Jukka udali się na poszukiwania jej rodziny i weszli do pokoju, w którym leżał starzec w brudnej pościeli. Jego wzrok komunikował w podobny sposób, że człowiek ten nie wie nawet, gdzie się znajduje. Czarny staruszek wyglądał nędznie, sprawiał wręcz wrażenie wysuszonego z głodu. Cienka skóra na jego twarzy wisiała na sterczących kościach policzkowych.

Zanim Hanna zdążyła cokolwiek zrobić, Ana Dolores chwyciła go mocno za ramię, podniosła jak szmacianą lalkę i wymierzywszy mu siarczysty

policzek, popchnęła go w krzew kwitnącego różanecznika. Starzec upadł jak długi, a Ana Dolores przetarła ławkę chusteczką i gestem poleciła Hannie, by usiadła.

Na moment w ogrodzie botanicznym zapadła kompletna cisza. Kółka chłopców przestały się toczyć, ucichły rozmawiające na ławkach damy, zamarli kuczający przy rabatach półnaczy robotnicy. Później, gdy wszystko wróciło do normy, Hanna zastanowiła się, czy ta chwilowa cisza była odpowiedzią na to, co się stało, czy też oczekiwaniem na to, co mogło nastąpić.

Ale co takiego mogłoby się stać?

Hanna zerknęła ostrożnie na Anę Dolores. Pielęgniarka spokojnie wachlowała się jedną dłonią, w drugiej wciąż trzymając parasolkę. Hanna spojrzała za siebie. Starzec leżał dalej pod kwitnącym krzewem. Nie ruszał się.

Nie rozumiem tego, pomyślała. Tuż za ławką, na której siedzę, leży stary człowiek, brutalnie popchnięty na ziemię. Dlaczego nikt mu nie pomoże? Dlaczego ja nic nie robię!

Nie pamiętała, jak długo tam siedziały. Gdy w końcu Ana Dolores uznała, że pora wracać do O Paraiso, starca nie było pod różanecznikiem. Hannie przyszło na myśl, że pewnie wczołgał się głębiej między krzewy i ukrył tam, pośród węży, których wszyscy tak bardzo się obawiali.

Parę dni później doszło do zdarzenia, które tak

wstrząsnęło Hanną, że zaczęła się zastanawiać, jakie zmiany zaszły w niej w ostatnim czasie. Laurinda upuściła spodek, podając wieczorną herbatę. Naczynie rozbiło się na kamiennej posadzce. Hanna, która stała wtedy przy lustrze i czesała włosy, gwałtownie się odwróciła, wymierzyła Laurindzie policzek, pokazała palcem na leżące skorupy i kazała je pozbierać.

Laurinda padła na kolana i zabrała się do sprzątania porcelanowych odłamków. Hanna tymczasem siedziała na brzegu łóżka i czekała, aż herbata nieco przestygnie.

W końcu Laurinda podniosła się z klęczek, a Hanna poczuła irytację.

– Kto ci powiedział, że możesz wstać? – spytała ostrym tonem. – Tam leży jeszcze parę odłamków.

Laurinda opadła z powrotem na kolana. Hanna znowu poczuła złość, tym razem na myśl o tym, że nigdy nie potrafi odczytać niczego z twarzy tej dziewczyny. Czy boi się, że Hanna ją ukaże? A może jest jej wszystko jedno albo nawet czuje odrazę do białej kobiety, której kiedyś, wspólnie z przyjaciółką, uratowała życie?

Mulatka miała jasne spojrzenie, pojawiały się w nim jakieś tajemnicze błyski, których Hanna nigdy nie dostrzegła w oczach białych ludzi.

– Możesz odejść – powiedziała po chwili. – Ale na przyszłość chcę wiedzieć, kiedy się zjawiasz. Życzę sobie, żebyś miała na nogach buty, kiedy do

mnie przychodzisz.

Laurinda wstała i wyszła. Jak to możliwe, że jej gołe pięty stukały jak obcasy? Hanna podejrzewała, że dziewczyna idzie do kuchni zjeść potrawkę przyrządzoną przez kucharza Mandrillosa.

Długo siedziała na łóżku, wpatrując się w cienie tańczące wokół lampy. Próbowwała przywołać w pamięci obraz domu nad rzeką. Potem twarz Elin, rodzeństwa, w końcu spływającą z gór rzekę brunatną, lecz przejrzystą.

Nie udało jej się niczego przypomnieć. Miała przed oczami zasłonę, która nie przepuszczała żadnych obrazów.

Nagle poczuła żal z powodu tego, jak potraktowała Laurinę. Przerazała ją myśl, jak łatwo przyszło jej poniżenie tej dziewczyny. Zawstydziała się tego.

Tej nocy źle spała, a nazajutrz rano do jej pokoju przyszedł szympan. Na srebrnej tacy, którą przyniósł, leżał kwiat jakarandy od senhora Vaza. Na załączonym bileciku znajdowało się tylko nazwisko właściciela hotelu.

Niebieski kwiat jakarandy wciąż był świeży, stał w szklanej misce z wodą, gdy zdarzyło się coś, co po raz kolejny odmieniło życie Hanny.

Był wczesny ranek i Hanna właśnie schodziła na parter, czując, że wreszcie odzyskała siły. Zelżał już nawet ból po utracie Lundmarka.

W holu na kanapie spał biały mężczyzna. Był bosy, miał rozpiętą koszulę i kapelusz na głowie. Dziewczyny spały w swoich pokojach, same lub z klientami, którzy zapłacili za całą noc. Tylko szympanś Carlos już nie spał. Wdrapał się na wielki żyrandol i kołysał się na nim, bacznie obserwując każdy ruch Hanny.

Nigdzie nie było senhora Vaza. Hannę owionął ciężki zapach papierosów i oparów alkoholowych, mimo że odsłonięto żaluzje i okna były otwarte na oścież. Czarny mężczyzna pilnujący wejścia drzemał w cieniu przed budynkiem.

Hanna stanęła w progu i wyjrzała na ulicę. Ostrożnie, by nie zbudzić portiera. Jacyś czarni mężczyźni pchający wózek z przenośnymi latryunami zatrzymali się i przyglądali się jej z zaciekawieniem. Hanna cofnęła się do środka, ale wróciła na próg, gdy tylko usłyszała, że mężczyźni z wózkami odeszli. Chwilę później sytuacja się powtórzyła, jednak tym razem zatrzymali się i

zaczęli się w nią wpatrywać dwaj biali mężczyźni w korkowych kaskach i ze skórzanymi teczkami. Hanna znów musiała się wycofać.

Może coś jest nie tak z moim ubraniem, pomyślała i stanęła przed jednym z wysokich lusterek w holu. Miała na sobie białą bluzkę i długą jasną spódnicę, na ramionach brązowy szal, a włosy jak zawsze upięta w kok tuż nad karkiem. Była szczuplejsza i bledsza niż zwykle. Po raz pierwszy w życiu mogła stwierdzić, że ma taką samą mlecznobiałą cerę jak jej matka. Jednak jej twarz była podobna do twarzy ojca. Teraz to jego widziała w lustrze. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że stanął tuż obok, i zbliżył swoją twarz do jej twarzy.

Ta myśl ją zasmuciła. I pewnie Hanna zaczęłaby płakać, gdyby nagle za jej plecami nie zjawił się jakiś mężczyzna. Był niski i przygarbiony, wyglądał jak karzeł. Utykał i gdy stawiał kroki, dziwnie podrygiwała mu szyja. Hanna zrozumiała, że to stroiciel pianina, którego dotychczas widziała, jak siedział przy instrumencie. Mężczyzna ostrożnie wyminął fotele i krzesła, zatrzymał się na chwilę, natknąwszy się na wystającą z kanapy gołą stopę śpiącego, i wreszcie dotarł do pianina. Usiadł, podniósł klapę i pogładził dłonią klawiaturę, zupełnie jakby głaskał po twarzy kobietę lub dziecko. Hanna przyglądała się temu w milczeniu, mając przed oczami pianino w domu Forsmana.

Przyszło jej na myśl, że musi jak najszybciej wrócić do domu. Nie pasowała do tego miejsca i nie mogła tego zmienić.

Nagle stroiciel odwrócił głowę w jej stronę i powiedział coś, czego Hanna nie rozumiała. Nie odpowiedziała mu, więc mężczyzna powtórzył to samo.

Stwierdziwszy, że milczenie jest wieloznaczne, Hanna zaczęła mówić po szwedzku. Powiedziała mężczyźnie, kim jest, opowiedziała o podróży statkiem i jak się znalazła w tym miejscu. Mówiła bez przerwy, jakby w obawie, że ktoś jej przeszkodzi. Stroiciel siedział bez ruchu. Gdy wreszcie zamilkła, mężczyzna powoli pokiwał głową, zupełnie jakby rozumiał jej słowa.

Potem odwrócił się w stronę klawiatury, wyjął z kieszeni klucz i zaczął z namaszczeniem regulować struny. Hanna odniosła wrażenie, że mężczyzna stara się robić to jak najciszej, by nie zbudzić gościa śpiącego na kanapie.

Jednak ten nagle się podniósł i usiadł, z szeroko otwartymi oczami. Gdy tylko ujrzał Hannę, wbił w nią zdziwiony wzrok. Powiedział coś do niej, ale ona tylko pokręciła głową i ruszyła schodami w górę, do swojego pokoju. Usiadła na swoim łóżku, wyjęła ze schowka banknoty i przeliczyła je. Stwierdziła, że wciąż dysponuje sumą, która z całą pewnością pozwoli jej wrócić do Szwecji. Być może nie będzie nawet musiała pracować na statku,

ale wróci jako pasażer.

Ktoś zapukał do drzwi. Hanna szybko zwinęła banknoty i wsunęła je pod poduszkę. Gdy pukanie się powtórzyło, podeszła i otworzyła. Pomyślała, że to Laurinda z poranną herbatą. Jednak w progu stał mężczyzna, który jeszcze przed chwilą spał na kanapie. Wciąż był bosy i w kapeluszu na głowie. Rozpięta koszula odsłaniała opasy brzech. Miał w ręce otwartą butelkę koniaku. Uśmiechnął się i powiedział coś ściszym głosem, jakby próbował zwabić nieufnego psa. Hanna chciała zamknąć mu drzwi przed nosem, ale mężczyzna zablokował je stopą. Zaraz po tym wtargnął do środka i popchnął Hannę na łóżko. Zamknął kopniakiem drzwi, postawił butelkę na stole i wyjął z kieszeni spodni kilka banknotów. Hanna próbowała wstać, ale mężczyzna wrzasnął i popchnął ją z powrotem na łóżko. Rzucił banknoty na stół, obok flaszki, a potem rozerwał bluzkę Hanny i próbował zadrzeć jej spódnice. Wyrывała się, więc ją spoliczkował. Nie rozumiała, co ten człowiek bełkocze, ale wiedziała, czego od niej chce. W pewnej chwili udało jej się wyswobodzić, chwyciła butelkę ze stołu i roztrzaskała ją o bark napastnika. Krzyknęła z całych sił.

Cios i rozpaczliwe wołanie Hanny o pomoc sprawiły, że mężczyzna na moment oprzytomniał i się zawahał. Rozluźnił chwyt i spojrzał na nią. Za drzwiami rozległy się kroki.

Do pokoju wpadł senhor Vaz, ubrany w czerwony jedwabny szlafrok. Na ramieniu siedział mu szympanś Carlos. Małpa rzuciła się na napastnika i obezwładniła mężczyznę, dotkliwie gryząc go w rękę.

Senhor Vaz był nieuczestny. Krzyki Hanny musiały wyrwać go z głębokiego snu, jednak od razu się domyślił, co zaszło. Napastnik, Bur nazwiskiem Fredrik Prinsloo, stojący na środku pokoju, półnagi i z nieobciętymi, zagiętymi jak szpony paznokciami u stóp, nie od dziś sprawiał kłopoty w O Paraiso. Teraz walczył z wściekłym szympansem, który gryzł go i szarpał na nim ubranie.

Senhor Vaz przywołał małpę do porządku. Carlos natychmiast puścił intruza i wskoczył na łóżko Hanny. Trzymał w ręce chustkę, którą najwidoczniej wyrwał Fredrikowi Prinsloo. Pokonany mężczyzna krwawił, cały pogryziony.

Prinsloo był potomkiem najstarszych osadników przybyłych z Europy do Kapsztadu. Posiadał mnóstwo ziemi w Transwalu, ponadto wyspecjalizował się w organizowaniu safari dla bogatych myśliwych z Ameryki. Jednym z jego klientów był prezydent Theodore Roosevelt, wyjątkowo kiepski strzelec, który dzięki dyskretnej pomocy Prinsloo zdołał powalić dziesiątki bawołów, lwów, lampartów i żyraf.

Senhor Vaz znał na pamięć wszystkie opowieści o amerykańskim prezydencie, bo słyszał je za każdym razem, kiedy zmuszony był rozmawiać z

Prinsloo. Dotychczas mimo nieznośnych przechwałek Bura Vaz nie mógł okazywać mu braku szacunku. Prinsloo był nie tylko stałym klientem, ale polecał też O Paraiso swoim amerykańskim myśliwym, mającym chętkę na miłość z czarną kobietą. Gdy senhor Vaz się zorientował, że Prinsloo wdaje się w awantury z innymi klientami, przed każdą jego zapowiedzianą wizytą wywieszał szyld z napisem „ impreza zamknięta”. Oznaczało to, że tej akurat nocy senhor Vaz osobiście selekcionował gości wpuszczanych do hotelu.

W mieście szybko zaczęła krążyć plotka, że w te właśnie wieczory w O Paraiso mają miejsce orgie, jakich żaden przyzwoity człowiek nie zdołałby sobie wyobrazić. Senhor Vaz dobrze o tym wiedział i był zdania, że takie wieści przydają jego przybytkowi tajemniczej aury, która przyciąga klientów, i tym samym zyski rosną.

Niestety senhor Vaz przekonał się równie szybko, że Prinsloo potrafi być niezwykle brutalny wobec kobiet. Dla człowieka jego pokroju czarny oznaczał próżniaka i tępaka. Prinsloo na dodatek bezgranicznie nienawidził czarnych ludzi. Senhor Vaz nie był w stanie tego pojąć. Skąd taka nienawiść? Nikt przecież nie nienawidził w ten sposób nawet zwierząt, chyba że węży, karaluchów i szczurów. Czarni nie mieli przecież zatrutych kłów. Próbował kilka razy podjąć ten temat w rozmowie z Prinsloo, ale wycofał się, widząc

agresywną reakcją klienta.

Na domiar złego Prinsloo był człowiekiem nieprzewidywalnym. Potrafił być hojny i miły, ale jego nastrój mógł się w każdej chwili zmienić. Wówczas Bur odnosił się do prostytutek i służby w hotelu z budzącym strach chamstwem. Senhor Vaz polecił swoim zaufanym pracownikom, by natychmiast go zawiadamiali, kiedy Prinsloo dostawał jednego ze swoich ataków. Zdarzyło się wielokrotnie, że Prinsloo zaczynał nagle bić lub chłostać kobietę, z którą akurat przebywał. Wówczas senhor Vaz interweniował, przy wsparciu potężnie zbudowanego czarnego portiera, na którego z jakiejś przyczyny mówiono Judasz. Wspólnymi siłami wrywali z rąk brutala zakrwawioną nagą kobietę. W takich chwilach Bur nigdy nie stawiał oporu, ale też nie okazywał skruchy. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nie dawał pobitej kobiecie dodatkowych pieniędzy, nie wahał się też poprosić o jej towarzystwo podczas kolejnej wizyty.

Na to jednak senhor Vaz się nie godził. Dziewczyna, która choć raz doświadczyła przemocy ze strony Prinsloo, nie musiała nigdy więcej iść z nim do łóżka. Gdy klient o nią prosił, Vaz tłumaczył mu, że jest zajęta z kimś innym i nie będzie dla niego dostępna aż do końca jego pobytu w O Paraiso, trwającego zwykle trzy, cztery dni. Senhor Vaz nie wiedział, czy Prinsloo go przejrzał,

jednak za każdym razem mógł wybierać spośród wielu innych kobiet i zawsze istniało ryzyko, że agresywny klient znów którąś zmaltrtuje.

Senhor Vaz dużo rozmyślał o nienawiści Bura do czarnych. Nie pojmował jej i napawała go ona lękiem, zupełnie jakby jakaś siła próbowała go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Lub przed czymś, czego sam o sobie nie wiedział.

Tego ranka, gdy zobaczył półnagiego Prinsloo, stojącego obok białej kobiety z rozdartą bluzką, zrozumiał, że sprawy posunęły się za daleko. Jego brutalny klient rzucił się na gościa mieszkającego w hotelu, w dodatku na białą kobietę. Senhor Vaz nie mógł tego tolerować. Poczul się osobiście dotknięty.

Nie mogło go spotkać nic gorszego. Gdy ktoś go obrażał, senhor Vaz był przekonany, że śmierć wypróbujecie w ten sposób jego wytrzymałość.

Senhor Vaz był niski i niezbyt muskularny, jednak wściekłość dodała mu tyle sił, że złapał Prinsloo za kołnierz rozpiętej koszuli, bez trudu wywlókł go z pokoju i zepchnął ze schodów. Krzyki Hanny obudziły wszystkie dziewczyny w hotelu. Wiele z nich się nie lubiło, między niektórymi dochodziło nawet czasem do bójek, jednak w obliczu zagrożenia wszystkie się jednoczyły.

Teraz wyległy na schody, po których z hukiem staczał się Fredrik Prinsloo. Za nim szedł senhor Vaz, potem Judasz, a na końcu człapał Carlos, żujący chustkę poturbowanego klienta.

Senhor Vaz zatrzymał się na ostatnim stopniu i spojrzał z góry na Prinsloo, który rozciął sobie brew o schody i krwawił obficie, już nie tylko z pogryzionej przez szympansa dłoni.

– Teraz stąd wyjdiesz – powiedział. – I już nigdy tu nie wrócisz.

Prinsloo przycisnął dłoń do krwawiącej brwi. Wyglądał tak, jakby nie rozumiał, co Vaz do niego mówi. Potem się podniósł, stanął na chwiejnych nogach, pogroził pięścią stojącym wokół prostytutkom i zrobił krok w stronę właściciela hotelu.

– Wiesz, że przywożę tu moich przyjaciół – wybełkotał. – Jeśli wyrzucasz mnie, wyrzucasz też

ich.

– Chętnie wszystkim wytłumaczę, dlaczego nie życzę sobie więcej twoich wizyt.

Prinsloo nie odpowiedział. Po jego twarzy ciekła gruba strużka krwi. Nagle zawył przeciągle i zgiął się wpół, jakby przeszył go ogromny ból.

– Wody! – ryknął. – Dajcie mi ciepłej wody! Muszę zmyć krew!

Senhor Vaz skinął na jedną z dziewczyn, by przyniosła miednicę. Reszcie nakazał się rozejść. prostytutki niechętnie wróciły do swoich pokoi.

Prinsloo przysiadł na skraju kanapy. Po chwili dziewczyna przyniosła emaliowaną miskę z wodą i obmyła jego czoło i dłoń.

– Teraz daj mi lodu – odezwał się Bur.

Senhor Vaz osobiście poszedł do kuchni, odkuł dwa spore kawałki lodu i owinął je w czystą ścierkę. Prinsloo przyłożył opatrunek do czoła, a kiedy krwawienie ustało, zapiął koszulę, wciągnął spodnie, włożył buty i wyszedł.

Owinięte w ścierkę kawałki lodu zostawił na podłodze przy kanapie. Senhor Vaz odniósł je do kuchni, a potem poszedł prosto do pokoju numer 4. Usłyszawszy głos Hanny zza drzwi, wszedł do środka. Siedziała na łóżku, ubrana w inną bluzkę.

Senhor Vaz przyjrzał się jej uważnie, chcąc odgadnąć, czy aby nie płakała, ale nie miała zaczerwienionych oczu. Potem usiadł na jedynym w pokoju krześle.

Długo milczeli. Mimo to Hanna miała pewność, że senhor Vaz prosi ją o wybaczenie. Kiedy w końcu wstał, uklonił się i wyszedł, ostatecznie zdecydowała, że opuści to miasto tak szybko, jak tylko się da.

Afryka przerażała Hannę. Była pełna ludzi, których ona nie rozumiała, a oni nie rozumieli jej.

Musiała stąd wyjechać. Mimo to nie żałowała, że uciekła ze statku kapitana Svartmana. Wówczas była to najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić. Ale jak powinna postąpić teraz?

Nie wiedziała. Nikt nie był w stanie udzielić jej odpowiedzi.

Ciemna rzeka wciąż toczy swe wody w moim wnętrzu, pomyślała. Jeszcze nie skuł jej lód.

Jeszcze tego samego dnia Hanna poszła do portu. Senhor Vaz, nie chcąc, by chodziła sama po mieście, wysłał z nią Judasza. Wielki mężczyzna szedł parę kroków za nią. Za każdym razem kiedy Hanna się odwracała, Judasz przystawał i wbijał wzrok w ziemię. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

Jak on niby ma mnie obronić? zastanowiła się Hanna. Skoro boi się nawet na mnie spojrzeć.

W porcie było zacumowanych kilka dużych statków, jeszcze więcej stało na redzie. Był odpływ i większa część laguny została odsłonięta. Tu i ówdzie z mulistego dna wystawały wraki statków. Hanna rozejrzała się za szwedzką banderą, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Nie widziała też żadnej z dwóch pozostałych flag, które umiała rozpoznać: fińskiej i duńskiej. Statki na redzie miały opuszczone bandery, więc Hanna nie mogła ich zidentyfikować.

Na nabrzeżu mrowili się robotnicy portowi, trwał pospieszny rozładunek i załadunek. Hanna dostrzegła opuszczaną do ładowni wielką sieć pełną kości słoniowej, gdzie indziej dźwig wyladowywał fortepian, a potem kilka samochodów, eleganckie sofy i fotele.

Półnadzy robotnicy uwijali się w pocie czoła, biegnąc z ładunkami po porcie. Zewsząd otaczali

ich biali mężczyźni w korkowych kaskach. Wodzili wzrokiem za niewolnikami niczym ptaki drapieżne. Hanna nie mogła dłużej patrzeć na dręczonych i dręczycieli. Pospiesznie opuściła to miejsce.

Postanowiła, że wróci do O Paraiso, idąc okrężną drogą. Nie bała się, świadoma, że podąża za nią Judasz.

Oto mój szósty opiekun, pomyślała. Pierwsza była Elin, potem Forsman, Berta, Lundmark i Ana Dolores, a teraz on, olbrzym, który nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy.

Tamtego popołudnia Hanna długo spacerowała po mieście. I po raz pierwszy odniosła wrażenie, że widzi je bardzo wyraźnie. Dotychczas zawsze jej się zdawało, że ulice zalewa ostre światło, teraz wreszcie zaczęła poznawać miejsce, które miała ujrzeć tylko przelotnie, w przerwie na załadunek prowiantu i wody na statek kapitana Svartmana przed wypłynięciem „Lovisy” w dalszą drogę do Australii.

W tym mieście Hanna zeszła na ląd i wciąż tu jest. Otaczająca ją od tamtego dnia ciemność powoli się rozwiła i Hanna otworzyła oczy na świat, w którym się znalazła.

Nagle sobie przypomniała, że jest niedziela. Był początek października, ale tutaj pory roku pozamieniały się miejscami. Tu nie następował czas ciemności i chłodu. Wręcz przeciwnie, zdawało się, że długie lato nadeszło tego roku wyjątkowo

wcześniej. Senhor Vaz często rozmawiał o tym z klientami. Słońce pali tu tak, jak w domu palił mróz, stwierdziła Hanna w myślach. Może moja skóra jest odporna na promienie słońca właśnie dlatego, że zahartował ją chłód?

W pewnej chwili Hanna dotarła do końca ślepej uliczki i pagórka, na którym kończono nową katedrę. Ostre światło odbijało się od śnieżnobiałych ścian kamiennej budowli. Hanna musiała zmrużyć oczy, by to, co widziała wokół, nie rozmyło się w słonecznej mgle. Nigdzie nie było ludzi, okolica sprawiała wrażenie wymarłej. Oprócz niej był tu tylko wielki czarny mężczyzna, zastygający w bezruchu za każdym razem, gdy na niego spoglądała.

Ruszyła pod górę, do katedry. Drzwi były otwarte na oścież. Hanna przystanęła w cieniu wysokiej wieży. Wygląda jak beza, pomyślała, patrząc na biały kamień. Albo tort, jaki widziałam raz u Forsmana, kiedy jedno z jego dzieci miało urodziny.

Wciąż stojąc w cieniu wieży, Hanna wyjęła chustkę i otarła twarz. Judasz tkwił bez ruchu w wielkiej plamie słońca. Hanna dała mu znak, by skrył się w cieniu, ale mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Po twarzy ściekał mu pot.

Nagle z ciemnego wnętrza katedry przypląnął śpiew. To dzieci, pomyślała Hanna. Słyszę dziecięcy chór. Jakiś odbijający się echem dorosły głos

przerwał na chwilę śpiew dzieci, ale za moment zaśpiewały ten sam fragment od początku. W katedrze odbywała się próba. Hanna ostrożnie weszła do środka, niepewna, czy ma prawo tu przebywać. Nie wiedziała, czy w tej świątyni mieszka ten sam Bóg, do którego modliła się w kościele w rodzinnych stronach, a potem w Sundsvall. Zatrzymała się, by odczekać, aż jej wzrok przywyknie do ciemności, tak silnie kontrastującej z ostrym światłem na zewnątrz.

Wreszcie je zobaczyła. Dzieci. Ubrane na biało i przepasane czerwonymi tasiemkami, chłopcy i dziewczynki, wszyscy czarni. Naprzeciwko nich plecami do Hanny stał niski biały mężczyzna o bujnej czuprynie. Jego dłonie miękko poruszały się w powietrzu, jak skrzydła. Nikt nie zauważył Hanny, więc stała w miejscu i słuchała. Dzieci musiały rozpocząć pieśń kilka razy, nim dyrygent był wreszcie zadowolony.

Ubrane na biało dzieci śpiewały psalm. Był tak piękny, że Hanna odczuwała niemal fizyczny ból. Słuchając go ze łzami w oczach, doszła do wniosku, że jeszcze nigdy nie słyszała niczego równie pięknego. Dzieci niepostrzeżenie wymieniały się głosami, psalm był rytmiczny i brzmiał potężnie. Dzieci nie odrywały wzroku od niskiego mężczyzny o miękkich dłoniach. Żadne z nich nie wyglądało na wystraszone.

Dopiero tutaj Hanna uświadomiła sobie, że po

raz pierwszy nie widzi wokół siebie nikogo, kto się boi. Nie było tu niczego, co gdzie indziej ją przerażało.

W ciemnym wnętrzu katedry nikt nikogo nie okłamywał. Obowiązywała tu wyłącznie prawda rozbrzmiewającej pieśni, podążającej za energicznym ruchem białych dłoni, przywodzących na myśl skrzydła.

Nagle Hanna spostrzegła, że jedno z dzieci wpatruje się w nią. Dziewczynka utkwiała w niej wzrok i straciła kontakt z dyrygentem, choć nie przestawała śpiewać.

Przez krótką chwilę Hanna dostrzegła w niej siebie samą, zupełnie jakby nagle znalazła się w ciele dziecka o ciemnej skórze i brązowych oczach.

Patrzyły na siebie aż do końca psalmu. Wówczas dyrygent się odwrócił i też ją zauważył. Hanna zadrżała i znów przyszło jej na myśl, że pewnie nie ma prawa przebywać w tym miejscu. Ale mężczyzna uklonił się jej z uśmiechem, powiedział parę słów, których Hanna nie zrozumiała, a potem kontynuował próbę.

Hanna zapragnęła dołączyć do chóru, stanąć w rzędzie obok dzieci i stać się częścią ich pieśni. Nie ruszyła się jednak z miejsca i przysłuchiwała się próbie jeszcze długą chwilę. Bardzo żałowała, że nie ma w sobie odwagi, by się przyłączyć.

Dopiero gdy próba dobiegła końca, dzieci się rozbiegły, a dyrygent spakował nuty i batutę do

skórzanej teczki, Hanna wyszła z katedry na plac tonący w ostrym słonecznym świetle.

Judasz stał tam, gdzie go zostawiła.

– Dlaczego nie schroniłeś się w cieniu? – spytała go Hanna, nie ukrywając poirytowania. Jego zachowanie zepsuło dobry nastrój, w jaki wprawiła ją wizyta w katedrze.

Nie odpowiedział, bo nie rozumiał, o co go spytała. Otarł pot z czoła, a potem zwiesił z powrotem rękę i stał dalej, jak na baczność.

Wrócili do O Paraiso. Na ulicy przed wejściem do hotelu senhor Vaz przechadzał się nerwowo tam i z powrotem. Osłaniał się przed słońcem parasolką. Carlos wdrapał się na sztyld i rzucał w wałęsającego się po ulicy psa kawałkami dachówek. Na widok Hanny senhor Vaz zaczął krzyczeć na czarnego olbrzyna. Hanna nie rozumiała ani słowa, bo senhor Vaz wyrzucał z siebie frazy z zawrotną prędkością, domyśliła się jednak, że właściciel hotelu martwił się, że coś się jej stało.

Czarny mężczyzna wciąż się nie odzywał. Hanna odniosła wrażenie, że wcale nie przejął się złością senhora Vaza. Judasz nadal milczał, mimo że właściciel przybytku zdawał się coraz bardziej podenerwowany.

Hanna zaobserwowała coś jeszcze, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Nawet jeśli Judasz się bał, senhor Vaz wyglądał

na równie wystraszonego. Czarny mężczyzna był wprawdzie zdany na łaskę niskiego, krzyczącego na niego Portugalczyka, ale nie dzielił tego losu sam. Nie mógł się sprzeciwić białemu właścicielowi, bo zostałby za to uwięziony albo wychłostany. Hanna uświadomiła sobie nagle, że senhor Vaz również odczuwa lęk. Był to lęk innego rodzaju, ale równie silny. I czyż nie zaobserwowała tego wcześniej również u Any Dolores? Pielęgniarka pomiatała czarnymi służącymi i prostytutkami, rozkazywała im bez przerwy i nigdy nie miała dla żadnej z nich dobrego słowa, nawet gdy sumiennie wypełniały jej polecenia. W jej zachowaniu dało się jednak wyczuć nieopuszczającą jej ani na chwilę obawę, wręcz strach.

Napad złości u senhora Vaza ustał równie szybko, jak się rozpoczął. Właściciel O Paraiso odesłał Judasza zniecierpliwionym gestem. Olbrzym odszedł na bok i kucnął pod ścianą hotelu. Vaz podał Hannie ramię i zaprowadził ją do najchłodniejszego pokoju w budynku, salonu z widokiem na morze.

Tam opadł ciężko na krzesło, złapał się za serce, jakby miał za sobą ogromny wysiłek, a potem już w spokojnych i powolnych słowach wytłumaczył jej, że nie powinna odbywać długich spacerów w upale. Opowiedział jej o rozlicznych znajomych, którzy doznali udaru, zwłaszcza po wizycie w miejscach, gdzie promienie słoneczne odbijają się

od białych kamieni lub piasku na miejskich plażach. Przede wszystkim jednak ostrzegął ją przed zbyt częstym pokazywaniem się czarnym.

Hanna nie rozumiała, co senhor Vaz chce jej przez to powiedzieć.

– Czyżby ich wzrok był niebezpieczny? – spytała.

Mężczyzna pokręcił głową z irytacją, jakby odbyta chwilę temu awantura wyczerpała w nim całą cierpliwość.

– Biała kobieta nie powinna spacerować sama – powiedział. – Po prostu tak jest.

– Byłam w katedrze i słuchałam chóru czarnych dzieci.

– Śpiewają bardzo pięknie. Mają wrodzony talent, dzięki któremu z łatwością trafiają w odpowiednie dźwięki, nawet bez ćwiczenia. Mimo to spacery białej kobiety powinny być krótkie. I najlepiej jeśli nie odbywają się w największym upale.

Hanna miała ochotę dowiedzieć się więcej o wielkim zagrożeniu, jakie czyha na nią na ulicach, ale senhor Vaz uniósł dłoń na znak, że nie ma już siły wyjaśniać. Siedział z białym kapeluszem na kolanach i z opartą o nogę laską z czarnego drewna o nazwie *pau preto*. Odpłynął gdzieś myślami.

Po paru chwilach Hanna podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju. Senhor Vaz zdążył już wtedy usnąć, z półotwartymi ustami i drżącą powieką, i

ciężko chrapał.

Wyjrzała na ulicę, ale Judasza tam nie było. Była ciekawa, gdzie mieszka ten czarny olbrzym, czy ma żonę, może nawet dzieci?

Jednak najbardziej chciała wiedzieć, co ten człowiek myśli.

Tego wieczora zjadła kolację w swoim pokoju. Jedzenie przyniosła jej służąca, której imienia Hanna nie знаła. Również ta dziewczyna poruszała się bezszelestnie, tak jak Laurinda. Hanna była ciekawa, czy ciche ruchy biorą się ze strachu. Z panującego w tym świecie lęku, który z każdym dniem stawał się dla niej bardziej widoczny.

Zjadła posiłek składający się z ryżu i gotowanych warzyw, których smaku nie rozpoznawała, oraz udka kurczaka. Jedzenie mocno przyprawiono nieznanymi przyprawami. Smakowało jej jednak i wkrótce poczuła się syta. Wypiła ciepłą herbatę do połowy, a resztę zostawiła sobie na później, na wieczór i noc.

Robiła tak, słuchając jednej z ostatnich rad Lundmarka, udzielonych tuż przed jego nagłą chorobą i śmiercią. Powiedział jej, żeby nigdy nie piła nieprzegotowanej wody.

Hanna postąpiła tak, jak polecił jej mąż. Teraz, gdy przestała krwawić i zagoiły się w niej rany po utracie ich nienarodzonego dziecka, brzuch nie przysparzał jej już żadnych problemów.

Teraz nosiła w nim tylko pustkę.

Postawiła tacę na podłodze za drzwiami i zamknęła się od środka na klucz. Zdjęła ubranie i naga położyła się na łóżku. Okno było otwarte, ale zasłoną nie poruszał nawet najłżejszy podmuch wiatru. Czuła, że jest coś grzesznego w tym, że leży na łóżku bez ubrania. To grzech, bo obok mnie nie ma mężczyzny, który mnie pożąda, pomyślała. Mężczyzny, któremu pozwoliłabym się dotknąć. Sięgnęła po kołdrę, żeby się okryć, ale po chwili zrezygnowała. Przecież nikt nie mógł jej zobaczyć. A jeśli gdzieś tam jest wszytkowidzący Bóg, z pewnością nie ma nic przeciwko temu, żeby człowiek leżał nago w tak wielkim upale.

Tej nocy Hanna długo nie mogła usnąć. Rozmyślała o strachu, jaki dostrzegła w oczach senhora Vaza. Nie widziała podobnego lęku w oczach swoich rodziców. Wprawdzie malowała się w nich surowość, ale kiedy wypełniało się ich polecenia, nigdy nie odczuwało się strachu. Tutaj wszystko wyglądało inaczej. Tu wszyscy się czegoś bali, choć biali ludzie starali się to ukryć, czy to pod maską spokoju i opanowania, czy dzięki odegranemu napadowi złości.

Dlaczego się nie boję? zastanowiła się Hanna. Czy nie odczuwam lęku, bo nie mam się czego bać? Czy jestem w tym całkiem osamotniona?

Nie potrafiła sobie poradzić z samotnością. Wyrosła we wspólnocie z innymi i teraz zyskała pewność, że nie przeżyje w świecie, w którym się znalazła.

Tego wieczoru żałowała, że uciekła z pokładu „Lovisy”. Gdyby kontynuowała podróż do Australii, być może opuściłoby ją poczucie osamotnienia. Tam była przecież częścią załogi. Tutaj czuła się jak owad trzepoczący się wściekle w szklanym naczyniu, które ktoś postawił do góry dnem.

Po chwili poczuła się trochę lepiej i znowu doszła do wniosku, że tamtej nocy podjęła słuszną decyzję. Gdyby popłynęła w dalszy rejs, kto wie, może wyskoczyłaby za burtę z rozpaczy. Na pokładzie statku towarzyszyłby jej duch zmarłego Lundmarka, który prędzej czy później doprowadziłby ją do szaleństwa.

Właśnie zasypiała, wciąż leżąc nago na łóżku, gdy nagle usłyszała krople deszczu uderzające o blaszany dach. Bębnienie stopniowo się wzmagало, potem przeszło w gęsty szum, aż wreszcie rozległ się huk tropikalnej ulewy. Hanna podeszła do okna i odchyliła zasłonę. Deszcz przepędził komary, więc nareszcie mogła wpuścić do pokoju świeże powietrze.

Na zewnątrz panowała ciemność. Nigdzie nie płonęły ogniska. Ulewa zagłuszyła wszelkie odgłosy, nawet z dołu nie dochodziły śmiechy i dźwięki gramofonu.

Hanna wystawiła rękę i pozwoliła, żeby wielkie krople chłostały jej skórę.

Muszę wrócić do domu, pomyślała. Nie wytrzymam tu długo w tym czającym się wszędzie strachu i samotności, która zaczyna mnie dusić.

Stała przy oknie, aż ustał krótki, lecz bardzo intensywny deszcz. Potem zasunęła zasłonę i wróciła do łóżka, ale wciąż leżała na nim nago, nie okrywszy się kołdrą.

Nazajutrz i każdego następnego dnia szła do portu, żeby sprawdzić, czy nie przyplłynął jakiś szwedzki statek. Zawsze towarzyszył jej Judasz, tak samo cichy i podążający parę kroków za nią.

Był październik 1905 roku. Hanna bez przerwy czekała.

Stroiciel miał na imię José, ale wszyscy mówili o nim Zé. Był bratem senhora Vaza. Hanna odkryła to dopiero po dłuższym pobycie w O Paraiso. Nieważne, jak długo przyglądała się jednemu i drugiemu, nie była w stanie stwierdzić żadnego podobieństwa. Zé zapewnił ją jednak, że bez wątpienia pochodzą od tych samych rodziców. I mimo że Hanna szybko stwierdziła, że Zé nie jest zbyt bystry, nie miała powodu, by mu nie wierzyć. Poza tym czy senhor Vaz pozwoliłby mu całymi dniami stroić pianino, gdyby nie miał ważnego powodu? Właściciel burdelu opiekował się swoim bratem, ponieważ ich rodzice już nie żyli.

Senhor Vaz kochał Zé. Hanna wyczytała to z troski, jaką go otaczał. Kiedy któryś z klientów narzekał, że przeszkadza mu nieustanne brzęczenie regulowanych strun, Hanna niejednokrotnie widziała na własne oczy, jak senhor Vaz wyrzuca delikwenta ze swojego przybytku ze słowami, by nigdy więcej się nie pokazywał. Zé miał prawo stroić pianino i polerować klawiaturę, kiedy tylko chciał.

Z jednym wyjątkiem. Gdy w O Paraiso spodziewano się wizyty prominentnych gości, na przykład polityków lub wysoko postawionych przedstawicieli kleru, senhor Vaz uprzejmie

odprowadzał Zé do pokoiku za kuchnią, gdzie brat miał swoje łóżko. Piękna Belinda Bonita, która zawsze była we wszystkim świetnie zorientowana, powiedziała Hannie, że w pokoiku Zé stoi stare pianino. Klawiatura była na miejscu, ale wszystkie struny przecięto.

W takie dni Zé siedział w swoim pokoju i stroił martwe pianino.

Był parę lat starszy od swojego brata. Żył w swoim świecie i rzadko się odzywał, chyba że ktoś go zagadnął. Zwykle siedział pochylony nad klawiaturą lub dłubał kluczem w strunach, jakby w oczekiwaniu na coś, co nigdy nie miało nastąpić. Jest jak tykający zegar, pomyślała Hanna pewnego dnia. Nic nie zdoła przerwać jego rytmicznego tykania.

Nie zawsze była to prawda, co Hanna uświadomiła sobie po blisko czterech miesiącach spędzonych w O Paraiso. Była na spacerze w porcie, jak każdego dnia, w towarzystwie czarnego opiekuna i rozglądała się za statkiem pod szwedzką banderą. Jak zwykle żadnego nie dostrzegła. Jakiś czas temu kupiła lornetkę u indyjskiego handlarza, oferującego również aparaty fotograficzne i okulary. Dzięki lornetce mogła dokładnie sprawdzić, czy szwedzkiej flagi nie ma żaden ze statków stojących na redzie. Gdy wracała do O Paraiso, za każdym razem czuła się rozczarowana, ale jednocześnie odczuwała ulgę. Naprawdę chciała

wrócić do domu, ale bała się myśli, że miałyby znów znaleźć się na pokładzie statku.

Gdy tego dnia wróciła z portu do O Paraiso, zorientowała się, że Zé nie siedzi przy pianinie. Nie zdążyła nawet zapytać, gdzie się podziewa, gdy nagle zjawił się w drzwiach. Znużone dziewczyny, jedne na kanapach, inne opierające się o stół bilardowy i leniwie turlające kolorowe bile, wybuchły nagle gromkim śmiechem i zaczęły klaskać. Zamiast włożyć swój wymięty ciemny garnitur, Zé ubrał się na biało. W miejsce brudnego beretu, który zwykle opadał mu na kark, pojawił się biały kapelusz panama, identyczny jak ten, który nosił jego brat. Poza tym miał na sobie śnieżnobiałą, zapiętą pod szyję koszulę i elegancko zawiązany czarny krawat. W ręce trzymał bukiet kwiatów z bibuły. Tak wyszykowany podszedł do dziewczyny imieniem Deolinda, na którą wszyscy mówili A Magrinha, bo była bardzo szczupła, o płaskim biuście i prawie pozbawiona kobiecych kształtów.

Hanna czasem przyglądała się jej ukradkiem, nie mogąc się nadziwić, co jest w niej atrakcyjne dla mężczyzn. Wstydziła się swoich myśli na jej temat, ale okazały się silniejsze i Hanna otwarcie stwierdziła, choć tylko przed sobą samą, że Deolinda jest brzydką kobietą. Jej wychudzona postać nie kojarzyła jej się z niczym innym, jak tylko z nędzą i cierpieniem. Mimo to dziewczyna

miała klientów. Hanna oczywiście o tym wiedziała, ale niezmiennie robiło jej się niedobrze na myśl, że odwiedzający burdel senhora Vaza biali mężczyźni idą z Deolindą do łóżka. Widać musiała mieć w sobie coś, co ich pociągało.

Zé skłonił się nisko i wręczył dziewczynie bukiet. Deolinda wstała, wzięła Zé pod rękę i zaprowadziła do swojego pokoju, położonego w tej części budynku, gdzie dziewczyny przyjmowały klientów. Odprowadzały ich oklaski i salwy śmiechu, ale gdy tylko zniknęli za zakrętem korytarza, w salonie znów zapanowały senność i nuda.

Każdego dnia wczesnym popołudniem w O Paraiso nie działo się nic. Klienci rzadko zjawiali się o takiej porze. Dziewczyny drzemały w fotelach i na kanapach, malowały paznokcie, czasem szeptały do siebie i chichotały.

Zadna z nich, poza Felicją, nigdy nie odezwała się do Hanny pierwsza. Zwracały się do niej tylko wtedy, kiedy o coś zapytała. Senhor Vaz powiedział jej wyraźnie, że jego pracownice są nie tylko do dyspozycji klientów burdelu, ale i hotelowych gości, jeśli ci będą czegoś potrzebować. Hanna nie wiedziała, co dziewczyny o niej myślą. Witwały się z nią grzecznie, uśmiechały, ale nigdy do niej nie podchodziły. Poza tym Hanna nie wiedziała, co senhor Vaz miał na myśli, mówiąc, że muszą również obsługiwać gości hotelu. Przecież nie

mieszkał tu nikt poza nią.

Hanna usiadła w rogu kanapy obok Esmeraldy, jednej z najstarszych dziewczyn, o ptasim profilu i najdłuższych paznokciach, jakie Hanna kiedykolwiek widziała.

W salonie zapadła cisza. Hanna zdała sobie sprawę, że usiadła tutaj z dziewczynami pierwszy raz.

Wskazała palcem na korytarz, w którym zniknęli Deolinda i Zé.

– Jest w niej zakochany? – zapytała.

Esmeralda kiwnęła głową.

– Tak – odparła. – Co jakiś czas budzi się w nim pożądanie. Wtedy zapomina o strojeniu pianina. Zdarza się to mniej więcej co dwa miesiące. Przebiera się i zawsze podchodzi do Deolindy.

Hanna chciała zapytać o coś jeszcze, choćby upewnić się, że na pewno dobrze zrozumiała słowa Esmeraldy, ale dziewczyna wstała, dumnie unosząc głowę. Dla niej rozmowa dobiegła końca. Esmeralda poszła do swojego pokoju, kołysząc biodrami.

Hanna również wstała i podążyła schodami na górę. Nie musiała się odwracać, by mieć pewność, że dziewięć siedzących w salonie dziewczyn odprowadza ją wzrokiem. Patrzą na nas dopiero wtedy, kiedy odwracamy się do nich plecami, pomyślała. Boją się naszych oczu. Tak samo jak my boimy się ich.

Wróciwszy do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i zdjęła bluzkę. Obmyła się zmoczoną w zimnej wodzie lnianą szmatką. Polizała swoje przedramię i poczuła sól. Potem położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Nagle coś jej się przypomniało i gwałtownie usiadła. Nie myślała o tym, odkąd wsiadła na statek z ładunkiem świeżego drewna, który pewnie już dawno dotarł do Australii.

Wyjęła z tobołka modlitewnik ze srebrnymi okuciami, w którym schowała dwie podarowane jej przez Forsmana monety. Między kartki wetknięta była również czarno-biała fotografia. Była na niej ona razem z Bertą. Zdjęcie zrobiono w Sundsvall, w atelier Bernarda Dunna.

To był pomysł Berty. Jak zwykle to ona podejmowała najśmielsze i nieoczekiwane decyzje.

– Musimy sobie zrobić wspólną fotografię – oznajmiła. – Zanim wyjedziesz. Boję się, że zapomnę, jak wyglądasz. I jak wyglądamy razem.

Hanna bardzo się tym zaniepokoiła. Nigdy wcześniej nie była u fotografa i nie wiedziała, jak należy się w takim miejscu zachować. Jednak Berta szybko rozwiązała jej wątpliwości. Poza tym dostały od Forsmana mały prezent, w postaci dodatkowych pieniędzy, podobnie jak wszyscy jego pracownicy. Firma handlowa Forsmana obchodziła swoje dwudziestopięciolecie i jej założyciel postanowił okazać swoim ludziom hojność.

Pewnego dnia, gdy wiosna przyszła na dobre i dni stały się dłuższe, Hanna i Berta zapracowały sobie na parę godzin wolnego. Fotograf Dunn miał swoje atelier na Dużym Rynku. Dziewczęta włożyły najlepsze ubrania i wypucowały buty. Fotograf postawił je na białym tle, przy stoliku, jednej polecił usiąść na krześle, drugiej stanąć obok. Za nimi stała gipsowa rzeźba, przedstawiająca pogromcę smoka z uniesionym mieczem. Fotograf, który był Duńczykiem i bardzo trudno było go zrozumieć, kazał Bercie usiąść, a Hannie stanąć z tyłu, tuż obok jej ramienia. Aby zdjęcie miało

odpowiednią kompozycję, fotograf postawił na stoliku wazę z papierowymi kwiatami.

Hanna przypomniała sobie o tym zdjęciu na widok Zé kłaniającego się Deolindzie i wręczającego jej bukiet z bibuły.

Teraz wpatrywała się w nie, leżąc na łóżku. Fotograf zrobił dwie odbitki, więc każda dziewczyna dostała swoją. Berta uśmiechała się do obiektywu, Hanna miała poważniejszą minę. Spróbowała sobie wyobrazić, co by zrobiła jej przyjaciółka, gdyby znalazła się w tym pokoju, w udającym hotel afrykańskim burdelu. Jednak zdjęcie nie chciało jej udzielić odpowiedzi. Berta milczała.

Hanna przyłożyła fotografię do nagich piersi, które zdążyły już wyschnąć. Nigdy się tego nie spodziewałam, pomyślała. Tamtego dnia, gdy Elin oznajmiła mi, że muszę pojechać na wybrzeże i odnaleźć krewnych, nigdy bym nie uwierzyła, że kiedyś znajdę się w takim miejscu. Może to dowód, że jestem już dorosła, pomyślała. Może tajemnica dorosłości polega na zrozumieniu prawdy, że człowiek nigdy nie może być pewien, co go w życiu spotka. Zwłaszcza jeśli wyjeżdża, porzucając to, co oswojone i znane.

Elin nie może mnie teraz zobaczyć, stwierdziła po chwili. Podobnie jak Berta i moje rodzeństwo. Znalazłam się w świecie urządzonym w taki sposób, że stał się zupełnie niezrozumiały. Nie tylko dla

mnie, która trafiłam tu przypadkiem, ale również dla ludzi, którzy go ukształtowali.

Zapadła w krótką drzemkę, przekręciwszy klucz w zamku i otworzywszy drzwi, bo wkrótce Laurinda miała przyjść z herbatą. Hanna ustaliła z dziewczyną, że jeśli nie zjawi się przy wspólnym stole, przy którym senhor Vaz wyznaczył dla niej miejsce, Laurinda przyniesie jej tacę do pokoju. Akurat tego wieczoru na kolację podano tłustą smażoną rybę, którą Hanna już raz starała się w siebie wmusić. Potem spróbowała raz jeszcze, ale szybko odsunęła talerz i zadowolili się połówką kokosa i plasterkami ananasa, podanymi na deser.

Kiedy Laurinda wróciła po tacę, Hanna próbowała ją na chwilę zatrzymać. Czuła wyrzuty sumienia z powodu policzka, który jej kiedyś wymierzyła. Pomyślała, że naprawi to, co zrobiła, okazując dziewczynie sympatię. Poza tym odczuwała potrzebę, żeby z kimś porozmawiać. Po wielu próbach udało jej się w końcu przekonać Laurinę, by nie tylko krótko odpowiadała na jej pytania i zaraz milkła, ale także czasem coś jej opowiedziała.

Wciąż nie zdołała jej przekonać, by usiadła obok na łóżku. Laurinda zawsze stała, nie przyszłoby jej nawet na myśl, żeby usiąść w towarzystwie białej kobiety.

Już na samym początku pobytu w O Paraiso Hanna dostrzegła, że dziewczyna ma tatuaż tuż nad

obojczykiem. Na pokładzie „Lovisy” było wielu wytatuowanych mężczyzn, nawet Lundmark, mąż Hanny, miał wytatuowaną na lewym ramieniu kotwicę, ozdobioną czerwoną różą. Nigdy jednak nie widziała, by ktoś miał tatuaż nad obojczykiem, nie przyszłoby jej również do głowy, że coś takiego może nosić kobieta.

Nie umiała odgadnąć, co przedstawia ten tatuaż, z daleka przypominał jej psa.

Tego dnia zdecydowała o to zapytać. Dała Laurindzie znak, by odstawiła tacę, a potem pokazała palcem na obojczyk dziewczyny.

– Co to jest? – zapytała.

– Hiena karmiąca szczenięta – odparła Laurinda.

Kiedy się zorientowała, że Hanna pierwszy raz słyszy o takim zwierzęciu, dziewczyna podeszła do obrazu wiszącego na ścianie. W ciągu długich dni, gdy Hanna leżała w łóżku z gorączką, wpatrywała się w to malowidło, przedstawiające różne gatunki zwierząt na afrykańskiej sawannie, w nastrojowym świetle zachodzącego słońca.

Laurinda pokazała palcem jedno z nich.

– Hiena – powtórzyła. – Śmiała się, kiedy się rodziłam. Mój ojciec, który ją słyszał, kiedy moja matka rodziła, powiedział jej później, że hiena powitała mnie na świecie. Jej śmiech był moim pierwszym pokarmem.

Zaraz po tym Laurinda opowiedziała jej więcej o nocy, w której przyszła na świat. Zrobiła to

śmiało, bez dodatkowej zachęty, jakby długo czekała na tę okazję. Hanna nie rozumiała wszystkiego, co dziewczyna jej opowiadała, więc Laurinda musiała wielokrotnie powtarzać całe fragmenty, pomagając sobie rękami i inaczej dobierając słowa. Naśladowała też śmiech witającej ją na świecie hieny.

– Jestem pierwszym dzieckiem mojej matki i mojego ojca – powiedziała. – Nie wiem, ile mam lat. Ale zanim umarł ojciec mojego ojca, powiedział mi, że urodziłam się w roku, kiedy w rzece było tyle krokodyli, że zaczęły się nawzajem atakować i zjadać. Był to też rok, w którym flamingi straciły swój różowy kolor i stały się całkiem białe. Owego roku wydarzyło się wiele niespodziewanych rzeczy. Moi rodzice mieszkali nad brzegiem rzeki wpadającej do ogromnej Zambezi, w wiosce, w której każdy miał swoją chatę, swoje uprawy i swoje kozy. Wszyscy się do siebie uśmiechali. Myślałam, że świat, w którym żyję, nigdy się nie zmieni. Ale pewnego dnia, kiedy byłam już na tyle duża, że zaczęłam pomagać matce w polu i miałam już troje rodzeństwa, do naszej wioski przyjechali biali mężczyźni. Mieli długie brody, ubrania mokre od potu i zachowywali się tak, jakby nienawidzili słońca i bardzo się gdzieś spieszyli. Mieli broń. Pokazali naszemu wodzowi jakiś papier zapisany wieloma słowami i parę tygodni później przyszli żołnierze, którzy wygnali nas z wioski. Dowodzili

nimi ci sami biali mężczyźni. Dowiedzieliśmy się, że w miejscu naszych upraw miała powstać wielka plantacja bawełny. Ci, którzy chcieli na niej pracować, mogli zostać w wiosce. Inni zostali wypędzeni. Mój ojciec, który nosił imię Papadjana, nigdy nie pozwalał się poniżyć i nie tracił ducha w obliczu trudności. A ci biali mężczyźni i ich plantacja bawełny oznaczali poważne trudności. Mój ojciec nie zamierzał niczego oddawać. Przemówił i powiedział, że nie chce się wyprowadzać ani pracować na plantacji bawełny, nieważne, co było napisane na tym ich papierze i ilu przyprowadzili żołnierzy. Mówił do białych mężczyzn silnym głosem i inni mieszkańcy wioski, widząc, że on się nie boi, też zaczęli okazywać złość. Nie wiem, co było później, ale następnego ranka matka powiedziała mi z płaczem, że ojca znaleziono w rzece, całego w ranach zadanych nożem. Było bardzo wcześnie, ledwie zaczęło świtać, a ona stała pochylona nad moją matą w naszej ciemnej lepiance. Powiedziała, że muszę uciekać do miasta. Nie mogłam zostać w wiosce. Ona miała zabrać młodsze dzieci i powędrować do wioski swoich rodziców. Kazała mi iść do miasta, na wybrzeże. Nie chciałam, ale mnie zmusiła.

Laurinda nagle zamilkła, jakby trudno było jej o tym mówić. Hanna również milczała, rozmyślając o tym, że los tej dziewczyny zadziwiająco przypomina jej własny. Obie pochodziły ze świata,

w którym kobiety zmuszone były szukać lepszego życia w mieście, nad morzem, gdzie można było znaleźć pracę i przeżyć.

– Dotarłam do tego miasta – podjęła po chwili Laurinda, przerywając ciszę. – Ale przez każdy następny spędzony tutaj rok myślę tylko o tym, żeby kiedyś wrócić do matki i rodzeństwa. Czasem, kiedy śpię, śni mi się, że wytatuowana na moim obojczyku hiena ucieka na wolność i udaje się gdzieś. Nad ranem wraca i układa się na mojej skórze do snu. Pewnej nocy znajdzie moją matkę i moje rodzeństwo.

Laurinda zabrała tacę i wyszła z pokoju. Hanna położyła się na łóżku, myśląc o tym, co usłyszała od tej dziewczyny. Jakie zwierzę nawoływało nocą, kiedy ona przychodziła na świat?

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Hanna otworzyła, w progu stał senhor Vaz. Był ubrany w elegancki frak, a w dłoni trzymał cylinder. Obok niego stał na krzywych nogach Carlos, również we fraku.

Senhor Vaz pokłonił się nisko.

– Przyszedłem, żeby się pani oświadczyć – przemówił. – Czy zechce pani zostać moją żoną?

W pierwszej chwili Hanna nie zrozumiała, o co mu chodzi, zaraz jednak dotarło do niej, że ten człowiek chce się z nią ożenić.

– Oczywiście nie wymagam natychmiastowej odpowiedzi – podjął. – Wyraziłem swoje życzenie i

będę czekał.

Znów się uklonił, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Podążający za nim Carlos zaczął nagle podskakiwać i krzyczeć, w końcu skoczył na żyrandol w salonie, zerwawszy swojemu panu cylinder z głowy.

Hanna zamknęła drzwi i przez chwilę wsłuchiwała się w odgłosy awantury, wywołanej napadem szaleństwa u szympansa. Po podobnych wybrykach Carlos zawsze odbywał kilkudniową karę w klatce. Szczerze tego nienawidził, zatem gdy wypuszczano go na wolność, przez dłuższy czas był bardzo grzeczny.

Hanna położyła się na łóżku i zastanowiła się nad propozycją senhora Vaza.

Miała wrażenie, że znalazła się w pułapce. Wciąż jednak miała możliwość, by wycofać się i zwyczajnie zniknąć.

Nazajutrz zerwała się bladym świtem i zeszła do portu, żeby sprawdzić, czy nie zawinął szwedzki statek. Wyszedłszy z hotelu, dostrzegła, że sfatygowany przez Carlosa cylinder tkwi na głowie śpiącego portiera.

Hanna miała coraz mniej czasu. Spieszyła się.

Kilka dni po oświadczeniach senhora Vaza miasto obiegła plotka, że przy brzegu, kawałek na północ od miasta, widziano wielką górę lodową, która przemieszcza się teraz na południe, niesiona prądem. Hanna usłyszała o tym od Felicji. Dziewczyna w pośpiechu zmieniała swoje skąpe ubranie robocze na przyzwoity strój, nadający się na spacer po plaży. Chwilę temu wyszedł od niej klient, pewien motorniczy z dalekiego Salisbury, który odwiedzał O Paraiso dwa razy w roku. Wieść o górze lodowej wzbudziła w nim tak samo wielkie emocje jak u Felicji, więc szybko wybiegł. Zanim Hanna zeszła na dół, senhor Vaz już udał się na plażę. Na szczęście przed budynkiem czekał Judasz, wciąż noszący potargany cylinder.

Ulice pełne były ludzi spieszących na brzeg, niektórzy wspinali się na wysokie pagórki w nadziei, że uda im się ujrzeć zjawisko przed innymi.

Jednak na horyzoncie nie pojawiła się żadna góra. Plaża pełna była ludzi ocierających strużki potu z twarzy, czekających w napięciu. Niektórzy byli zdania, że góra roztopiła się po drodze, starsi jednak twierdzili, że to wszystko nieprawda, tak samo za każdym razem wcześniej. Nikt bowiem nigdy nie widział żadnej góry lodowej. Fałszywa

wiadomość pojawiała się mniej więcej co dziesięć lat i wtedy całe miasto wylegało na plażę.

Wracając do domu, Hanna uświadomiła sobie, że właśnie była świadkiem czegoś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Podekscytowany tłum na plaży składał się zarówno z czarnych, jak i białych. Wszyscy przepychali się w tłoku i nikomu to nie przeszkadzało. Ale kiedy tylko prysła nadzieja na zobaczenie góry lodowej, wszystko wróciło na swoje miejsce. Biali zaczęli spychać czarnych z chodników i krzyczeli na tych, którzy podeszli za blisko.

Hannie przyszło na myśl, że była świadkiem jakiegoś eksperymentu. Na krótką chwilę ujrzała zupełnie nowe społeczeństwo, które rozpadło się tak szybko, jak powstało.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy wspomnienie o górze lodowej zmieniło się w rozczarowanie, nad miasto nadciągnęły deszczowe chmury. Najpierw spadły pojedyncze krople, potem zaczęło lać. O trzeciej nad ranem Hannę obudził huk ulewy wściekle uderzającej w blaszany dach hotelu.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Ujrzała ścianę deszczu. Wciąż jednak panował taki sam zaduch jak w ciągu dnia. Wystawiła rękę i poczuła, jak krople deszczu chłostczą jej skórę. Deszcz był bardzo ciepły, jak gdyby zaczynał wrzeć, zbliżając się do ziemi.

Po jakimś czasie Hannie udało się usnąć, ale kiedy obudziła się rano, wciąż mocno padało. Wyrzała przez okno i zobaczyła zalane wodą ulice.

Deszcz padał przez cztery doby. Gdy wreszcie przestał, woda prawie wdzierła się do hotelu, mimo że wszyscy zostali zaangażowani do pomocy w napełnianiu worków piaskiem, ziemią i drobnymi kamyczkami. Ponieważ zalało drogi prowadzące w głąb lądu, do O Paraiso przychodzili tylko marynarze. Senhor Vaz ich nie wpuszczał, oznajmiając, że trwa stan klęski żywiołowej i przybytek jest zamknięty. Lecz gdy zjawił się przemoczony do suchej nitki chłopak w mundurze marynarki francuskiej i odparł, że on też jest w stanie klęski, senhor Vaz i Esmeralda postanowili się nad nim zlitować i mężczyzna został wpuszczony.

Gdy przestało padać i w powietrzu zawisła wilgotna mgła, pojawiło się mnóstwo latających insektów. Pozamykano okna i zatkało wszystkie otwory. A kiedy portier wyszedł na moment na ulicę, żeby coś przynieść, Carlos wybiegł za nim i pozjadał wszystkie owady, które go obsiadły. Skrzydlate insekty utworzyły biały wieniec na czarnej głowie mężczyzny. Szympan najzwyczajniej w świecie sięgał po nie i je zjadał. Hanna zauważyła, że bardzo mu smakują.

Z czasem wszystko wróciło do normy i ludzie zaczęli wychodzić na wilgotne ulice. Ich ciała

parowały, jakby i oni solidnie zmokli przez te cztery dni. Od incydentu z górą lodową i przez ulewne dni senhor Vaz nie niepokoił Hanny pytaniem, czy zastanowiła się nad jego ofertą. Ona z kolei miała czas na zastanowienie. Nie wątpiła w szczerść jego propozycji. Ale kim był ten niski mężczyzna o bardzo zadbanych włosach, wąsach i paznokciach, chodzący w starannie wyprasowanej odzieży, mogący wpaść we wściekłość, gdy oblał się kawą? Czy to porządny człowiek? Z pewnością jest ze dwa razy starszy ode mnie, w dodatku nie czuję w jego obecności nic z tego, co czułam przy Lundmarku. Senhor Vaz daje mi poczucie bezpieczeństwa w tym obcym świecie, ale myśl, że miałabym go pokochać, że wpuściłabym go do mojego łóżka, wydaje mi się niemożliwa.

Kiedy ustały deszcze, Hanna była więc zdecydowana odmówić. Białe owady gdzieś znikły i O Paraiso znów otwarto.

Lecz następnego dnia zniknął Carlos.

Zdarzało się już, że znikał tajemniczo na parę godzin. W mieście nie było innych szympanów. Czasem do parków w poszukiwaniu jedzenia zapuszczały się pawiany i podejrzewano, że Carlos przebywa właśnie z nimi.

Tym razem jednak nie wrócił. Gdy minęły trzy dni, a szympana wciąż nie było, kobiety z O Paraiso wybrały się na poszukiwania. Senhor Vaz zaangażował do pomocy wszystkich, wyznaczył

nawet nagrodę za znalezienie Carlosa, ale nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy mała zniknęła ani dokąd sobie poszła.

Hanna widziała, że senhor Vaz cierpi. Miała wrażenie, że po raz pierwszy pod maską grzecznego obojętności dostrzega prawdziwą twarz. Wzruszyło ją, że mężczyzna, który jej się oświadczył, w rzeczywistości jest bardzo samotnym człowiekiem. Na co dzień był otoczony wianuszkami pięknych dziewcząt, ale mimo to przywiązał się do zwierzęcia, które dostał w zamian za długi jakiegoś klienta.

Może właśnie dlatego Carlos uciekł, pomyślała. Może chciał, żeby ujrzała prawdziwe oblicze jego właściciela.

Doszła do wniosku, że senhor Vaz przypomina jej ojca. Ale podczas gdy pielęgnacją ciała ojca zajmowała się Elin, ten człowiek dbał o nią sam. Hanna wiedziała, że w jednym z pokoi na tyłach hotelu, gdzie nigdy nie miała odwagi zajrzeć, senhor Vaz ma swoją prywatną łazienkę. Ponoć nikomu nie pozwalał się zbliżyć do drzwi, gdy brał kąpiel w emaliowanej wannie.

Lundmark nie zawsze dbał o higienę. Czasem Hannie było nieprzyjemnie, gdy kładł się obok niej bez kąpieli.

W te dni, gdy Carlos przebywał poza domem, Hanna ujrzała senhora Vaza w zupełnie innym świetle. Przyszło jej na myśl, że być może źle tego

człowieka oceniała.

W końcu szympans wrócił. Wczesnym rankiem Hannę zbudził wielki okrzyk radości. Gdy zeszła na dół, szybko zarzuciwszy na siebie ubranie, zobaczyła Carlosa w objęciach senhora Vaza, który tulił małpę ze wszystkich sił.

Szympanś miał na szyi niebieską wstążkę. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła i kto mu ją zawiązał.

Wyprawa Carlosa pozostała jego tajemnicą, lecz gdy wreszcie wrócił, wszyscy tak się cieszyli, że każdy chciał go pogłaskać. Wtedy zniecierpliwiony szympans wpadł w szał, zaczął krzyczeć, gryźć i szarpać zasłony. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy przestano zwracać na niego uwagę.

Hannę nurtowały pewne pytania: co się dzieje z małpą, która nie chce już nią być? Co, jeśli coś podobnego spotyka człowieka? Co ma począć ktoś, kto nie chce być dalej tym, kim jest?

Zamknięta w swoim pokoju, zapisywała spostrzeżenia na luźnych kartkach. Nikomu się do tego w myślach nie przyznawała, nawet Elin.

Po powrocie Carlosa senhor Vaz znów starał się przypodobać Hannie. Zamierzała mu powiedzieć, że niedawno została wdową i jeszcze nie zakończyła żałoby, jednak senhor Vaz o nic nie zapytał. Okazywał jej względy dyskretnie, w milczeniu, ale Hanna czuła presję nawet wówczas, gdy nie było go w pobliżu. Pewnego dnia zabrał ją na przejażdżkę jednym z nielicznych sprowadzonych do miasta samochodów, należącym do dowódcy miejscowego pułku portugalskiej artylerii. Przejechali spory odcinek wąską drogą, biegnącą wzdłuż wybrzeża. Budowano tam właśnie szeroką promenadę. Hanna patrzyła przez okno na czarnych robotników, taszczących w upale ciężkie głazy. Senhor Vaz zdawał się tego nie dostrzegać. Zerkał na morze, pokazując jej palcem kołyszące się na falach żaglówki.

Chwilę później skręcili i oddalając się od brzegu, wjechali na wzgórze wznoszące się nad

centrum miasta. Budowano tam wiele kamiennych domów, wzdłuż dwóch nowych, długich i szerokich esplanad. Były tam tory, po których jeździły tramwaje konne.

Senhor Vaz zatrzymał samochód przed jednym z nowo wybudowanych domów. Budynek miał gładką, śnieżnobiałą fasadę i otaczał go ogród pełen akacji i różaneczników. Senhor Vaz otworzył drzwi po stronie Hanny i pomógł jej wysiąść. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, dlaczego się tu zatrzymał.

Otworzyła im służąca. Weszli do środka. W domu nie było jeszcze mebli, a Hanna poczuła zapach farby i oleju, którym zakonserwowano drewniane podłogi.

– To mój ślubny prezent – oznajmił nagle senhor Vaz.

Powiedział to łagodnym, niemal kobiecym głosem. Hanna zrozumiała, że jest bardzo dumny z tego, co jej pokazuje.

– Chciałbym, żebyśmy tutaj zamieszkali – podjął po chwili. – Jeśli kiedyś uzna pani za właściwe wyjść za mnie, opuścimy pokoje w hotelu i przeniesiemy się do tego domu.

Hanna nie odpowiedziała. W milczeniu obesła wszystkie pomieszczenia. Senhor Vaz podążał za nią, stąpając cicho.

Nie zadawał żadnych pytań. Nie domagał się odpowiedzi na złożoną propozycję.

Gdy wrócili do hotelu, Hanna znów pomyślała, że nigdy nie będzie mogła nikomu opowiedzieć o tym, co jej się przytrafiło podczas pobytu w Afryce. Zwłaszcza o tym, że zupełnie obcy dla niej, sięgający jej ledwie do ramienia właściciel burdelu oświadczył jej się i zaoferował w prezencie wielki kamienny dom z ogrodem i widokiem na morze.

I tak nikt by jej nie uwierzył. Wszyscy z pewnością uznaliby, że to kłamstwo albo jakiś sen.

Postanowiła porozmawiać o tym z Felicją. Być może ona będzie mogła jej udzielić rady?

Parę dni później, gdy Felicja wreszcie pożegnała się z pewnym bankierem z Pretorii, jednym z jej stałych klientów, który życzył sobie, żeby traktowała go brutalnie i zadawała mu ból, Hanna zapukała do jej pokoju. Od razu powiedziała, po co przyszła.

– Wiem – odparła Felicja na wieść, że senhor Vaz oświadczył się Hannie. – Wszyscy o tym wiedzą. Myślę, że nawet Carlos zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, chociaż jest tylko szympansem. To mądra małpa. Rozumie więcej, niż nam się wydaje.

Jej odpowiedź zaskoczyła Hannę. Zdawało jej się, że propozycja senhora Vaza była tajemnicą.

– Powiedział komuś o tym? – zapytała. – Komu?

– On nigdy nic nikomu nie mówi. Nie musi. My i tak wszystko wiemy, chociaż on oczywiście nie ma o tym pojęcia.

Hanna poczuła się zbita z tropu. Nie wiedziała, jak ma się zachować. Rozmowa z Felicją potoczyła się inaczej, niż zaplanowała.

– Senhor Vaz to porządny człowiek – powiedziała nagle Felicja. – Czasem bywa okrutny, ale zawsze tego żałuje. Poza tym pozwala nam zatrzymać prawie połowę z tego, co zarabiamy. W większości burdeli w tym mieście kobiety dostają ledwie jedną dziesiątą.

– Więc dlaczego się do tej pory nie ożenił?

– Nie mam pojęcia.

– Był już kiedyś żonaty?

– Tego też nie wiem. Przyplłynął tutaj z Lizbony ponad dwadzieścia lat temu, razem z bratem i rodzicami. Jego ojciec był kupcem i za ciężko pracował w tutejszym upale. Umarł wkrótce po przyjeździe, matka wróciła do Portugalii, ale senhor Vaz i jego brat zostali w Afryce. Parę lat później senhor Vaz otworzył ten interes dzięki pieniądзом uzyskanym ze sprzedaży firmy ojca. To wszystko, co o nim wiem.

– Więc nie było w jego życiu żadnej kobiety? – Hanna zdziwiła się.

Felicja uśmiechnęła się.

– Czasem nie rozumiem pytań białych ludzi – odparła. – Oczywiście, że w jego życiu były kobiety. Nie wiem, ile ich było. Jak każdy właściciel burdelu w tym mieście, senhor Vaz nigdy nie korzysta ze swoich dziewczyn, ale odwiedza

przybytki swoich kolegów.

– Więc po co chce się ze mną ożenić?

– Jest pani białą kobietą. Poza tym chyba mu imponuje, że stać panią na to, żeby wynająć pokój w hotelu. No i na pewno cierpi z powodu samotności, która dotyka wszystkich żyjących tu białych ludzi.

– Moje pieniądze niedługo się skończą.

Felicja przyjrzała się Hannie z namysłem.

– Już dawno wróciła pani do zdrowia – powiedziała. – Ma pani wystarczająco dużo siły, żeby kontynuować podróż, którą pani przerwała. Ale mimo to wciąż pani tu jest. Coś panią trzyma. Nie wiem, czy to dlatego, że nie ma pani do czego wracać, czy po prostu chce pani tutaj być. I nagle oświadczył się pani senhor Vaz. Mogłaby pani trafić o wiele gorzej. On będzie panią traktował z szacunkiem. Podaruje pani wielki dom, o jakim ja i mój mąż możemy tylko marzyć. Mój mąż jest rybakiem, ma na imię Ate me. Mamy dwójkę dzieci i jestem szczęśliwa za każdym razem, kiedy mogę ich zobaczyć.

– Kto się nimi zajmuje na co dzień?

– Ich matka.

Hanna pokręciła głową.

– Ich matka? Myślałam, że to twoje dzieci.

– Opiekuje się nimi moja siostra. Ona też jest ich matką. Tak samo jak ja jestem matką jej dzieci. A także dzieci innych naszych sióstr.

– Ile ich masz?

– Czworo.

Hanna się zastanowiła. Miała ochotę zadać jeszcze jedno, nurtujące ją od dawna pytanie.

– Co twój mąż mówi na to, że tutaj pracujesz?

– Nic – odparła krótko Felicja. – Wie, że jestem mu wierna.

– Wierna? W tej pracy?

– Sypiam z białymi mężczyznami za pieniądze. To mu nie przeszkadza.

Hanna próbowała zrozumieć słowa Felicji, ale z każdą chwilą rósł dystans między nią a tą dziewczyną. Nie była w stanie zrozumieć świata, w którym się znalazła.

Znów pomyślała o Carlosie, który zapewne nie chciał być dłużej małpą, ale nie mógł stać się człowiekiem.

Samotny szympanś zamienił się w manekina odzianego w białą liberię.

Kim stawiała się Hanna?

Tego samego wieczoru Hanna postanowiła przyjąć ofertę senhora Vaza. Doszła do wniosku, że nie jest w stanie dłużej żyć jako wdowa. Uznała też, że być może jej się poszczęści i pewnego dnia poczuje do senhora Vaza to, co czuła do Lundmarka.

Udzieliła mu odpowiedzi nazajutrz rano. Senhor Vaz nie wyglądał na zaskoczonego, potraktował jej decyzję jak zwykłą formalność.

Trzy tygodnie później wzięli ślub. Skromna ceremonia odbyła się u katolickiego księdza, na plebanii obok nowej katedry. Świadkami byli ludzie, których Hanna nigdy wcześniej nie spotkała. Senhor Vaz przyprowadził też ubranego we frak Carlosa, ale ksiądz nie pozwolił małpie zostać. Patrzył na szympansa z taką odrazą, jakby był świadkiem potwornego bluźnierstwa. Senhor Vaz musiał dać za wygraną. Carlos został na zewnątrz i przez całą ceremonię siedział na kościelnej wieży. Po zaślubinach goście zostali zaproszeni na obiad do restauracji w najlepszym hotelu w mieście, położonym na wzgórzu z widokiem na morze. Carlos mógł do nich dołączyć, senhor Vaz wynajął całą salę.

Spędzili noc poślubną w największym apartamencie w hotelu. W pokojach pachniało

lawendą. Gdy zgasło światło, Hanna poczuła na twarzy ciepły oddech nowego męża. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że wrócił do niej Lundmark. Zaraz jednak poczuła zapach pomady na czarnych włosach senhora Vaza i zrozumiała, że u jej boku leży inny mężczyzna.

Spokojnie czekała na to, co miało nastąpić. Ułożyła się na plecach i przygotowała, ale senhor Vaz, a raczej Attimilio, jak od teraz się do niego zwracała, nie dał rady w nią wejść. Próbował kilka razy, lecz nie znalazł w sobie sił. Jego członek pozostawał wiotki.

W końcu odwrócił się do Hanny plecami i zwinął w kłębek, jakby się wstydził.

Hanna zastanawiała się, czy zrobiła coś nie tak, ale gdy następnego ranka spytała o to Felicję, dowiedziała się, że to, co zaszło ubiegłej nocy, zdarza się czasem każdemu mężczyźnie. Dziewczyna pocieszyła Hannę, że jej nowy mąż z pewnością wkrótce znajdzie w sobie odpowiednią siłę. Na koniec zażartowała, że dla właściciela burdelu nie ma większego zagrożenia niż wizja, że nagle wszyscy mężczyźni staną się impotentami.

Hanna nie rozumiała wszystkiego, co mówiła jej Felicja. Pojęła jednak wystarczająco dużo, by mieć pewność, że nie ponosi żadnej winy.

Kilka dni później przeprowadzili się do kamiennego domu, który tymczasem został umeblowany. W jednym z pokoi stało lśniące

pianino. W pomieszczeniu pachniało mimoszą i nieznanymi Hannie ziołami.

Pewnego wieczoru, parę tygodni po ślubie, gdy Hanna była w pokoju ze służącą, usiadła przy instrumencie, nacisnęła jeden z klawiszy i wsłuchiwała się w dźwięk, przedłużony przez naciśnięcie pedału. Wydawało jej się, że w tańczących na ścianie cieniach rozpoznaje ludzi, których kiedyś знаła. Ujrzała Jonathana Forsmana, Bertę, Elin, rodzeństwo, a na koniec pierwszego oficera, którego odprowadziła do grobu sześć miesięcy temu. Nie poczuła jednak smutku ani tęsknoty. Nagle owiała ją groza. Nadeszła znikąd, kiedy tylko wybrzmiał ton. Co ja najlepszego zrobiłam, pomyślała. Dlaczego związałam się z mężczyzną, którego ledwie znam!

Nie umiała sobie odpowiedzieć.

Już za późno, żeby zawrócić, stwierdziła po chwili. Teraz jestem tutaj.

Nigdzie indziej, ale właśnie tutaj.

Każdego ranka Hanna wychodziła na taras ciągnący się na szerokość całego piętra. Z góry mogła spoglądać na wspinające się na wzgórza miasto, dalej na port z lśniącymi w słońcu dźwigami, statki czekające na przypływ i w końcu na niebieską taflę morza. Kupiła nową lornetkę, dużo mocniejszą od tej, którą miała wcześniej. Senhor Vaz opłacił czarnego stolarza, by zbudował dla niej specjalny statyw.

Hanna wciąż obserwowała zawijające do portu statki. Jednak teraz nie spoglądała na nie w nadziei, że pewnego dnia ujrzy na redzie okręt pod szwedzką banderą. Wręcz przeciwnie. Bała się, że kiedyś przypłynie statek, który mógłby ją zabrać do domu. Obawiała się, że pomyśli sobie wówczas, iż przypłynął za późno.

Attimilio – Hanna wciąż miała problem ze zwracaniem się do niego po imieniu – codziennie wychodził z domu o ósmej rano. Wsiadał do tramwaju konnego i zjeżdżał nim na dół, do dzielnicy portowej. Wracał w połowie dnia, jedli razem lunch, potem Attimilio ucinął sobie drzemkę i po południu znów wracał do swoich kobiet.

Hanna szybko się zorientowała, że jej nowe małżeństwo znacznie różni się od tego, czego doświadczyła u boku Lundmarka. Teraz prawie cały

czas była sama. Na pokładzie statku kapitana Svartmana Lundmark zawsze był blisko. Jej nowy mąż traktował ją z wielkim szacunkiem, ale prawie nigdy nie było go w domu. Razem jadali posiłki i spędzali noce, podczas których Attimilio wciąż podejmował nieudane próby spełnienia obowiązku, za czym – ku swemu wielkiemu zdziwieniu – zaczęła tęsknić również Hanna. Poza tym nie łączyło ich nic. Hanna czasem pytała go o przeszłość, ale mąż udzielał jej wymijających odpowiedzi. Nie obruszał się wprawdzie ani nie wybuchał, ale niczego jej o sobie nie mówił. Hannie przyszło na myśl, że wyszła za mężczyznę, który nie ma przeszłości.

Wkrótce Hanna miała wspominać ten okres jako czas wielkiej beczynności. Nie miała praktycznie obowiązków i brakowało jej jakiegoś zajęcia. Ogrodu doglądał czarny, całkiem głuchy starzec. Miał na imię Rumigo i zwykle pomagał mu jeden z licznych synów. Hanna przyglądała się czasem, jak delikatnie dotyka kwiatów, drzew i krzewów. Domem zajmowała się Anaka, która służyła jeszcze u rodziców Attimilia. Była starą kobietą, ale pracowała z nieustającym zapałem, zdawało się, że w ogóle nie sypia. Mieszkała sama w małej chatce na tyłach domu. Hanna widywała ją wieczorami palącą fajkę w ogrodzie przed udaniem się na spoczynek. O czwartej nad ranem Anaka była już na nogach i punktualnie o szóstej podawała

śniadanie.

Gdy Hanna po raz pierwszy przemówiła do starej służącej, ta padła przed nią na kolana. Attimilio wyjaśnił, że nie jest to oznaka poddaństwa, ale wyraz szacunku, poza tym tak nakazuje tutejsza tradycja. Hanna nie czuła się z tym dobrze i starała się wyjaśnić staruszce, żeby tego nie robiła. Bezskutecznie. Poddała się, kiedy Attimilio dodał, że Anaka padałaby na kolana również przed stojącą przed nią wyżej w hierarchii społecznej czarną kobietą. Hanna musiała do tego przywyknąć.

W domu była zatrudniona jeszcze jedna kobieta. Młoda dziewczyna, córka kobiety, która szyła wcześniej dla matki Attimilia. Miała portugalskie imię Julietta i pomagała Anace we wszystkim, z czym staruszka już sobie nie radziła. Zdaniem Hanny Julietta miała nie więcej niż czternaście, piętnaście lat.

Dni mijały Hannie w dusznym otępieniu. Panowały trudne do zniesienia upały, raz po raz przerywane krótkimi gwałtownymi ulewami. Większość czasu spędzała w fotelu, wachlując się w którymś z pokoi, w których dało się otworzyć okna tak, by do środka dostała się morska bryza. Hanna miała wrażenie, że przez cały czas na coś czeka. Nie wiedziała tylko na co. Czasem ogarniała ją niechęć do samej siebie, bo Hanna czuła się bezużyteczna. Wszystkie prace w domu wykonywali

za nią czarni służący. Jej zadanie polegało na trwaniu w bezczynności.

Attimilio zachęcał ją do uwag na temat służby, prosił, by mu powiedziała, jeśli będzie z czegoś niezadowolona. Poradził jej, żeby co jakiś czas zakładała białe rękawiczki i sprawdzała, czy porządnie wyczyszczone są wszystkie blaty i klamki, posprzątane kąty i zakamarki.

– Oszukują, jeśli się nie sprawdza – oznajmił.

– Ale przecież wszędzie jest bardzo czysto – dziwiła się Hanna.

– Bo wiedzą, że zostaną skontrolowani. Jeśli nie będziesz wszystkiego sprawdzać, natychmiast przestaną być tak dokładni.

Hanna nie była w stanie zrozumieć, jak Attimilio postrzegał czarnych ludzi. Wciąż uważała, że za jego ostrymi słowami czai się strach. Jej obecność w domu tego nie zmieniła.

Pewnego domu jej mąż wrócił zdenerwowany niebezpiecznym wydarzeniem w O Paraiso. Pewien klient nagle wyciągnął rewolwer i postrzelił jedną z dziewcząt w ramię. Attimilio do późna w nocy rozprawiał o tym, jak okropny jest kraj, w którym żyją.

– To byłoby całkiem porządne miejsce, gdyby nie ci wszyscy czarni! – wykrzyczał.

– Ale z tego rewolweru strzelił przecież biały mężczyzna – wtrąciła ostrożnie Hanna.

Senhor Vaz nie odpowiedział. Przeprosił ją i

poszedł do swojego gabinetu. Chwilę później zza zamkniętych drzwi dobiegły dźwięki portugalskich marszy wojskowych, odtwarzanych na gramofonie. Hanna podeszła cicho do drzwi i zajrzała przez dziurkę od klucza. Jej mąż, wciąż podenerwowany, chodził tam i z powrotem, wymachując szablą. Hanna zachichotała. Attimilio wyglądał jak ołowiany żołnierz. Jeden z tych, którymi bawili się synowie Forsmana.

Po chwili ogarnęła ją fala smutku. Hanna uświadomiła sobie, że stała się jedną z tych białych kobiet żyjących w mieście: znudzoną, rozleniwioną i bez przerwy machającą wachlarzem.

Po tym jak minął kolejny okres bezskutecznych prób spełnienia małżeńskiego obowiązku przez Attimilia, Hanna zrozumiała, że jej mąż jest na krawędzi załamania. W tajemnicy zwróciła się o pomoc do Felicji, odczekawszy, aż nadejdzie dzień wyjazdu senhora Vaza do Pretorii, gdzie inwestował część przychodów z O Paraiso, lub przyjedzie odwiedzający ich raz w miesiącu adwokat. Ten utykający mężczyzna nazwiskiem Andrade zniknął z jej mężem w gabinecie na cały dzień. Hanna nie miała pojęcia, o czym rozmawiają za zamkniętymi drzwiami. Poza tym Andrade mówił tak cicho, że Hanna i tak nie zrozumiałaby niczego, co do niej powiedział.

Felicja stwierdziła, że należy udać się po pomoc do czarownika, zwanego *feticheiro*.

– Są na to zioła i specjalne herbaty – wyjaśniła Felicja. – Pomagają mężczyznom osiągnąć to, na czym tak im zależy.

– Nie znam żadnego *feticheiro* – odparła Hanna. – Ani żadnego lekarza, który mógłby mi pomóc.

– To kosztuje – powiedziała Felicja, wyciągając dłoń. – Niech mi pani da pieniądze. Zdobę to, czego pani potrzeba. Pani tylko doda mu to do jedzenia albo do jakiegoś napoju. Nie mam pojęcia, jak to działa, wiem tylko, że nie można tego

podawać, kiedy wieją wiatry z zachodu.

Hanna się zastanowiła.

– Rzadko wieje z zachodu – stwierdziła po chwili.

Felicja kiwnęła głową.

– Ma pani rację – przyznała. – Ale będzie najlepiej, jeśli zaczeka pani do pełni księżyca. To najlepszy moment. Często zapominam, że tu prawie nigdy nie wieje wiatr od lądu, tylko od morza albo od krainy lodu daleko na południu. My, którzy żyjemy tutaj, w Baia da Boa Morte, nie wiemy nic o wiatrach wiejących od strony wielkiej sawanny.

Hanna nigdy wcześniej nie słyszała nazwy tutejszej laguny. Wiedziała tylko, że miasto nazywa się Lourenço Marques. Attimilio wyjaśnił jej, że nazwa ta pochodzi od nazwiska wielkiego portugalskiego generała, którego pod względem przebiegłości i odwagi porównywano do Napoleona Bonapartego. Hanna nie miała pojęcia, kim był ten Bonaparte, nie słyszała też nigdy dziwnej nazwy laguny.

Może się przesłyszałam, pomyślała. Czy to miejsce naprawdę może się nazywać „laguną dobrej śmierci”? Czy rzeczywiście tak nazywa się ta lśniąca w słońcu zatoka?

– Dlaczego nosi taką dziwną nazwę? – spytała.

– Bo jest piękna. Myślę sobie, że błękitna woda i skaczące w niej delfiny są jak cmentarz dla ludzi, których spotkała dobra śmierć. W końcu wszyscy o

niej marzymy, prawda?

– Co to jest dobra śmierć?

Felicja zrobiła zdziwioną minę. Hanna zauważyła, że dziewczyna ma charakterystyczny wyraz twarzy zarezerwowany na te okazje, kiedy słyszy dziwne pytanie z ust białego człowieka.

– Każdy wyobraża sobie swoją śmierć – powiedziała po chwili. – Przecież sama mi pani opowiedziała o tym mężczyźnie, pani mężu, pierwszym oficerze, którego nazwiska nie umiałam wymówić. Czy on nie spoczął na dnie morza?

– Jego śmierć wcale nie była dobra – odparła Hanna. – On nie chciał umierać.

– Ja nie zamierzam się bronić, kiedy po mnie przyjdzie śmierć. Chyba że ktoś będzie próbował mnie zamordować. Chcę umrzeć w spokoju. Dobra śmierć nigdy nie jest gwałtowna.

Hanna nie wiedziała, co powiedzieć o śmierci Lundmarka i o niespokojnych wyobrażeniach ostatnich chwil własnego życia. Bez słowa dała Felicji pieniądze.

Parę dni później, gdy Attimilio wyszedł już do pracy, Felicja złożyła Hannie niespodziewaną wizytę. Wręczyła jej płócienne zawiniątko, które traktowała nabożnie, niemal ze strachem. W kawałek materiału zawinięta była szczypta połyskującego na zielono proszku. Wydzielał ostry zapach dziegciu, jaki Hanna zapamiętała z portu w Sundsvall.

– Musi pani wsypać to do napoju senhora Vaza. Ma go wypić, zanim położy się spać.

– Ale on nie pija wieczorem. Nie lubi wstawać do toalety.

– To może chociaż coś je?

– Owoc mango.

– W takim razie musi pani ostrożnie rozkroić owoc, wsypać proszek do środka i potem zacisnąć.

Hanna od razu zawołała Anakę i poprosiła ją, by przyniosła jej owoc mangowca. Felicja pokazała jej, jak umieścić w środku proszek, żeby nie było widać żadnych śladów.

– To wszystko? – spytała Hanna.

– Nie. Musi pani skropić swoje łono sokiem z cytryny. Wtedy będzie pani gotowa, żeby go przyjąć.

Hanna zaczerwieniła się, kiedy Felicja wspomniała o cytrynie. Wciąż dziwiło ją, że dziewczyna tak naturalnie mówi o rzeczach, które u niej wywołują rumieniec.

– To wszystko – oznajmiła Felicja. – *Feticheiro*, z którą rozmawiałam, wyleczyła wielu mężczyzn z impotencji. Wielu przyjeżdża do niej z daleka. Niektórzy przyplływają nawet z Indii, tak im zależy na tym, żeby znów być prawdziwymi mężczyznami. Powiedziała mi też, że jeśli to nie zadziała, bo może się tak stać, ma inne, silniejsze środki na wzbudzenie żądz u pani męża.

Ponieważ księżyc zbliżał się do trzeciej kwadry,

Hanna musiała zaczekać. W tym czasie Attimilio próbował jeszcze kilka razy bezskutecznie spełnić swój małżeński obowiązek. Kiedy zrezygnowany kładł się na boku, Hanna delikatnie głaskała go po czarnych włosach, po których każdego ranka zostawała na poduszce plama oleistej pomady. Kochać raczej go nie kocham, rozmyślała. Ale wzbudza we mnie czułość. Stara się, żebym była szczęśliwa. Nie zmieni się w łóżku w Lundmarka, ale kto wie, może z pomocą proszku od Felicji znów stanie się mężczyzną?

Kiedy zbliżała się pełnia księżyca, miasto nawiedziły gwałtowne burze. Carlos znowu gdzieś zniknął, ale wrócił szybciej niż poprzednio, równie tajemniczo, tym razem z czerwoną wstążką wokół szyi. Senhor Vaz zagroził, że zacznie trzymać małpiszona na łańcuchu, ale dziewczęta z O Paraiso tak się tym pomysłem oburzyły, że musiał go porzucić. Carlos wdział swoją białą liberię i wrócił do obsługiwania klientów, którym zapalał cygara za drobną opłatą w postaci banana lub jabłka. Felicja stwierdziła jednak, że dostrzega w oczach szympansa jakiś nowy błysk. Coś się w nim zmieniło.

W końcu nastąpiła pełnia, minęły ulewy i pewnego wieczoru senhor Vaz jak zwykle wrócił do domu. Hanna ukryła zielony proszek w owocu mangowca, podała go mężowi i przyglądała się w milczeniu, jak Attimilio przeżuwa go, kęs po kęsie, siedząc przy stole w jadalni. Potem poszła do łazienki, skropiła się cytryną i podążyła do sypialni. Gdy Attimilio zaczął zasypiać, delikatnie pogłaskała go po ramieniu. Po krótkiej chwili mąż przylgnął do niej i owładnięty nagłą żądzą, próbował w nią wejść. Ale również tym razem nie zdołał, mimo że starał się o wiele dłużej i z o wiele większą energią.

Gdy wreszcie się poddał, oboje byli spoceni. Hanna postanowiła, że zawiadomi Felicję z samego rana. Widać potrzebne były silniejsze środki, by pomóc jej mężowi odzyskać męskość.

Po chwili Attimilio usnął. Hanna usłyszała charakterystyczny, przyspieszony oddech. Czasem odnosiła wrażenie, że jej mąż oddycha tak szybko, bo nie ma czasu spać.

Kiedy obudziła się rano, Attimilio był martwy. Leżał obok niej blady i zimny. Wiedziała, że coś jest nie tak, jeszcze zanim otworzyła oczy i zanim Anaka przyniosła do ich pokoju śniadanie. Attimilio prawie nigdy nie leżał w łóżku, kiedy Hanna się budziła. O tej porze zwykle golił się w łazience.

Leżał w tej samej pozycji, w której zasnął. Hanna wyskoczyła z łóżka, nogi jej się trzęsły. Ponownie została wdową. Kiedy Anaka weszła do pokoju z tacą, Hanna siedziała na krześle. Pokazała palcem na leżącego.

– *Morto* – powiedziała cicho. – *Senhor Vaz é morto.*

Anaka postawiła tacę, padła na kolana i zajęczała głośno, być może zaśpiewała jakąś modlitwę, potem wstała i wybiegła z pokoju. Hannie przyszło na myśl, że Attimilio umarł w ciszy. Nie krzyczał jak Lundmark. Zupełnie jakby umarł ze wstydu, że kolejny raz nie był w stanie okazać swojej żonie miłości.

Dwa dni po szybko zorganizowanym na nowym cmentarzu pogrzebie, w którym uczestniczył również Carlos, ubrany w czarny garnitur i cylinder, Hannę odwiedził adwokat Attimilia, senhor Andrade. Ukłonił się nisko, złożył kondolencje i usiadł na kanapie z czerwonego pluszu, którą senhor Vaz sprowadził aż z Kapsztadu. Tym razem przemówił do Hanny głośno i wyraźnie. Nie była już dodatkiem do jego klienta.

– Senhor Vaz zostawił testament – oznajmił. – Podpisany w obecności senhora Petrusa Sabodinięgo oraz mojej osoby. Jego treść jest krótka i prosta. Nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Hanna słuchała w skupieniu, ale bez świadomości, że słowa wypowiedane przez prawnika jej dotyczą.

– A zatem mamy testament – powtórzył adwokat. – Zgodnie z wolą zmarłego senhora Vaza dziedziczy pani cały jego majątek. Oprócz hotelu i związanej z nim działalności przejmuje pani wszystkie pozostałe jego interesy, między innymi staje się właścicielką składu tkanin oraz dziewięciu osłów pasących się na pastwiskach pod miastem. Senhor Vaz miał też udziały w przedsiębiorstwach w Pretorii i Johannesburgu.

Adwokat położył plik dokumentów na stole i wstał. Znów pokłonił się nisko.

– Będzie mi niezwykle przyjemnie

reprezentować w przyszłości również pani interesy, senhora Vaz – powiedział.

Hanna zrozumiała jego słowa dopiero wtedy, kiedy sobie poszedł. Wstrzymała oddech i długo siedziała bez ruchu. Zostałam właścicielką burdelu, pomyślała. A także stada osłów oraz szympansa, który ucieka, kiedy akurat nie zapala cygar klientom w moim domu uciech.

Wstała i wyszła na taras. Spojrzała przez lornetkę na dach O Paraiso. Z tego miejsca mogła również dostrzec okno pokoju, w którym się kiedyś zatrzymała. Pokoju, w którym przeszła ciężką chorobę.

Spojrzała dalej, na port i statki na redzie. Nie obchodziły jej już.

Jeszcze tego samego dnia wzięła do domu Carlosa. Nie chciała mieszkać sama. Kazała też zamontować w salonie wielki żyrandol z holu w O Paraiso, bo szympanś lubił na nim spać.

Od tej pory Hanna dzieliła z Carlosem wielki kamienny dom. Tak długo, jak długo pozostawała w tym białym, drżącym w upale mieście, rozciągającym się nad brzegiem morza, w miejscu zwanym Laguną Dobrej Śmierci.

Część III

Larwa tasiemca w ustach szympansa

Kiedy Hanna się obudziła, Carlos siedział na łóżku, zwrócony do niej swoimi owłosionymi małpimi plecami. Nie lubiła, gdy zbliżał się do pościeli, bała się, że przyniesie jej do łóżka krwiożercze insekty. Przegoniła go, zamknęła drzwi do sypialni i wróciła do łóżka, zgasiwszy lampę naftową. Chwilę później Carlos znów był w środku. Sam otworzył sobie drzwi lub wlaźł przez otwarte okno. Zakradał się tak każdego ranka. Hanna czuła się tak, jakby to ona mieszkała w niewoli, nie Carlos.

W końcu zrozumiała, że szympanś czuje się samotny. Tęsknił za stadem, w którym szympansy pielęgnują sobie nawzajem sierść. Zrobiło jej się go żal na tę myśl i na ułamek sekundy ujrzała swoją własną samotność w jego smutnych oczach. Usiadła obok i zaczęła przeglądać mu futro. Carlos był zachwycony i po chwili próbował odwdzińczyć się Hannie, sprawdzając jej włosy. Pozwoliła mu na to.

Tworzyli dziwny duet i Hanna czuła, że z każdym dniem darzą się nawzajem coraz większym zaufaniem. Nie spędzali ze sobą czasu, poza tymi porannymi rytuałami, które nierzadko trwały ponad godzinę.

W pierwszych tygodniach bycia wdową Hanna uświadomiła sobie, że po raz drugi w swoim

krótkim życiu zmieniła nazwisko. Podczas pospiesznej ceremonii w dalekim Algierze zmieniła je z Renström na Lundmark. Teraz nazwisko jej pierwszego męża zostało zastąpione nazwiskiem Vaz. Na wszystkich dokumentach podsuwanych jej do podpisu przez senhora Andrade figurowała jako senhora Vaz, z dopiskiem *vivua*, wdowa.

Jednak fakt, że znów została wdową, nie poruszał jej tak bardzo jak myśl, że w jednej chwili stała się zamożną kobietą. Adwokat przedstawił jakieś wyliczenia i aż zakręciło jej się w głowie, kiedy przeliczyła na korony szwedzkie wszystkie funty, portugalskie escudo i amerykańskie dolary. Wstrząsnęła nią świadomość, że jej obecny majątek jest prawdopodobnie większy niż majątek samego Jonathana Forsmana. Czasem budził ją w środku nocy sen, w którym spadał na jej łóżko deszcz banknotów i brzęczących monet. Nie mogła uwierzyć w swoje nagłe bogactwo nawet po kilku miesiącach od śmierci senhora Vaza. A pieniądze wciąż przybywało. Każdego ranka zjawiał się u niej chudy i niski kasjer, senhor Eber, potomek niemieckich osadników z południa Afryki, i przynosił jej teczkę wypchaną banknotami. Hanna kwitowała odbiór gotówki, wręczała mężczyźnie pustą skórzaną teczkę na wymianę, po czym zamykała się w gabinecie zmarłego męża. Stała tam kasa pancerna z dwoma zamkami. Hanna nosiła klucze na tasiemce zawieszanej na szyi. Wpisywała

pokwitowaną kwotę do księgi rachunków, chowała pieniądze w sejfie i starannie go zamykała. Kiedy liczyła gotówkę zarobioną na O Paraiso, do gabinetu nie mógł wejść nawet Carlos.

Zgodnie ze wskazówkami kasjera, raz w miesiącu Hanna przygotowywała wypłaty. Tego dnia Eber zjawiał się w towarzystwie kilku portugalskich żołnierzy, którzy eskortowali jego i wypchaną pieniędzmi teczkę z powrotem do O Paraiso.

Od kiedy Hanna się tam zjawiała, w hotelu nie zamieszkał żaden gość. Numery przeznaczone dla hotelowych gości stały puste lub przenosiły się do nich dziewczyny na czas napraw lub drobnych remontów w ich pokojach, koniecznych po wizycie jakiegoś awanturującego się klienta. Hanna była ciekawa, czy poza nią w O Paraiso kiedykolwiek zjawiał się zwyczajny, szukający noclegu gość, czy też hotel był od samego początku tylko przykrywką.

Pewnego dnia, gdy wkładała pieniądze do szafy pancерnej, ujrzała na najniższej półce mały notatnik. Był pokryty grubą warstwą kurzu, który w jakiś sposób dostawał się do środka mimo szczelnych stalowych drzwi. Obejrzawszy go dokładnie przy biurku, stwierdziła, że jest czysty w środku. Nie zapisano w nim ani słowa. Jak Hanna wywnioskowała z napisu na wewnętrznej stronie okładki, był to prezent od japońskiego armatora o nazwisku Yokohama. Zdarzało się, że do O Paraiso

trafiali również japońscy marynarze. Byli czyści i zadbani, ale dziewczyny ich nie lubiły, bo ich żądza była zwykle tak wielka, że szybko stawali się bardzo męczący. Hanna słyszała plotkę o pewnym japońskim sterniku, który zapłacił za całą noc, a potem chwalił się, że odbył w tym czasie aż dziewiętnaście stosunków. Niezależnie od tego, ile było w tym prawdy, senhor Vaz musiał kiedyś dostać ten notatnik od Japończyka, może w prezencie, może na pamiątkę, może nawet jako przeprosiny za erotyczne ekscesy.

Okładka pachniała cielecą skórą, była ufarbowana na czarno. Śnieżnobiałe kartki zrobiono z grubego, ale mimo to miękkiego i łatwo zginającego się papieru. Gdy Hanna zapisała swoje nazwisko, kartka natychmiast wessała niebieski atrament. Nie była potrzebna bibuła.

Hanna zanotowała bieżącą datę: 26 marca 1905. Pisała ostrożnie, jakby w każdym słowie czaiło się niebezpieczeństwo.

Nocą śniłam o tym, czego już nie ma.

„Nocą śniłam o tym, czego już nie ma”. Tylko tyle. Mimo to przyszło jej na myśl, że właśnie zaprowadziła nowy zwyczaj. Nie poprzestanie na wpisywaniu cyfr do księgi rachunków, ale zacznie również prowadzić pamiętnik, do którego nie będzie miał wglądu nikt poza nią.

Od tamtego dnia każdego ranka zapisywała w pamiętniku kilka krótkich zdań, tuż po wyjściu

Ebera i zanotowaniu kwoty w księdze rachunków. Z czasem stawała się coraz odważniejsza i nie poprzestawała na stałych tematach, jak opisywanie snów, wybryków Carlosa oraz pogody. W notatniku pojawiły się opisy kobiet pracujących dla niej w O Paraiso oraz w domu.

Po jakimś miesiącu od znalezienia notatnika Hanna opisała daremne próby senhora Vaza zaspokojenia jej i samego siebie. Jej słowa stawały się coraz ostrzejsze, a portrety ludzi coraz bardziej dosadne i realistyczne. Wiedziała, że nikt nigdy nie przeczyta jej pamiętnika.

Zapiski te nie miały jednak żadnego wpływu na sposób, w jaki Hanna na co dzień rozmawiała ze swoimi pracownikami. Była wobec nich tak samo uprzejma jak wcześniej. Do notatnika trafiało to, co naprawdę myślała. Tylko w nim była prawda i tam Hanna ją ukrywała.

O pamiętniku wiedziała oprócz Hanny tylko jedna osoba. Była nią młoda Julietta, zatrudniona do pomocy w domu. Pewnego dnia zajrzała do gabinetu przez uchylone drzwi i zobaczyła Hannę pochyloną nad biurkiem, piszącą coś w notatniku. Hanna dostrzegła ją i zaprosiła do środka, wiedząc, że dziewczyna nie umie pisać ani czytać. Julietta zapytała ją, co pisze.

– To tylko słowa – odparła Hanna. – Mało znaczące słowa o kraju, z którego pochodzę.

Nie powiedziała nic więcej, mimo że Julietta

była bardzo ciekawa i zadawała mnóstwo pytań. Hanna zastanawiała się później, dlaczego ją okłamała. W pamiętniku nie było ani słowa o jej rodzinnych stronach, o górach i zimnej rzece. Znajdowało się natomiast kilka krytycznych komentarzy na temat tej dziewczyny.

Dlaczego nie powiedziałam jej prawdy? rozmyślała Hanna. Czyżbym już upodobniła się do tutejszych ludzi, którzy podobno bez przerwy kłamią? Na samym początku uwierzyła senhorowi Vazowi, kiedy ją ostrzegł, że czarni nigdy nie mówią prawdy. Później sama się przekonała, że z prawdą w równym stopniu mogą się mijać wszyscy, nieważne, czy są czarni, czy biali, czy pochodzą z Indii, czy są Arabami. Wszyscy kłamali, choć każdy robił to w inny sposób. Z czasem Hanna zrozumiała, że znalazła się w kraju, którym każdy kłamie i oszukuje.

Dała Julietcie znak, żeby wyszła z pokoju. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, natychmiast zanotowała to, co właśnie jej przyszło do głowy:

Czarni kłamią, żeby uniknąć niepotrzebnego cierpienia. Biali robią to, żeby usprawiedliwić przemoc, jakiej się dopuszczają. Inni zaś, Arabowie i Hindusi, kłamią dlatego, że w tym mieście nie ma już miejsca na prawdę.

Dość szybko pożałowała, że pokazała Julietcie pamiętnik. Obawiała się, że może jej to zaszkodzić w przyszłości.

Zamknęła pamiętnik w sejfie i podeszła do okna z widokiem na morze. Spojrzała przez lornetkę na wyspę Inhaca. Kiedyś w czasie „wielkiej bezczynności” popłynęła tam żaglówką z Attimiliem i senhorem Andradem.

Potem popatrzyła na port i budynek O Paraiso. Gdy wspięła się na palce, mogła dostrzec portiera przed drzwiami, czasem też którąś z dziewczyn, leniwie opierającą się o ścianę w cieniu, w oczekiwaniu na klienta.

Nagle przypomniała sobie myśl, która przyszła jej do głowy jakiś czas temu. Widzę je. Ale czy one widzą mnie? Jeśli tak, to kim dla nich jestem?

Hanna odłożyła lornetkę na marmurowy parapet i zamknęła oczy. Mimo upału wyobraziła sobie, że siedzi na saniach, otulona futrami Jonathana Forsmana. Pachniały piżmem i mokrym psem.

Otworzyła oczy, przekonana, że wkrótce musi podjąć decyzję. Albo tu zostanie, albo wróci do domu.

Lecz akurat tego dnia, kiedy pokazała Julietcie swój notatnik, poczuła, że ma w sobie jeszcze jedno uczucie.

Poczuła strach. Zupełnie jakby zbliżało się niebezpieczeństwo. W jej otoczeniu czaiło się coś nieokreślonego, co budziło lęk. Hanna nie umiała tego nazwać. Mimo to czuła, że niewidzialne zagrożenie narasta. I zbliża się z prędkością mknących po śniegu sań.

Pewnego dnia wkrótce po tym, jak Hanna zaczęła pisać o senhorze Vazie, zebrała wszystkie kobiety pracujące w O Paraiso oraz całą resztę personelu. Poprosiła o to spotkanie wcześniej rano, kiedy wszyscy klienci już sobie poszli. Większość odjeżdżała dorożkami, niektórzy wsiadali do samochodów, wypucowanych i nawoskowanych nocą przez czarnych służących, łamiących zakaz przebywania w mieście po zmroku. Policjanci przymykali na nich oko, bo między właścicielami licznych burdeli a funkcjonariuszami obowiązywała niepisana umowa, że jeśli ci drudzy zostawią czarnych w spokoju, będą mogli korzystać z usług kobiet za darmo.

Hanna była zdania, że te wypolerowane samochody, oddalające się nad ranem w stronę południowej granicy, są dowodem na to, że mężczyźni odwiedzający O Paraiso chcą zatrzeć wszystkie ślady po wizycie w burdelu. Zupełnie jakby to, co działo się w tym przybytku, w jakiś sposób kalalo również stojący na zewnątrz pojazd. Rankiem mężczyźni umykali w lśniących autach i wracali do swoich krajów, w których korzystanie z usług prostytutek było moralnie niedopuszczalne; gdzieś tam białym mężczyznom za obcowanie z czarną kobietą groziła nawet kara pozbawienia

wolności.

Hanna zgromadziła wszystkich przy jakarandzie w hotelowym ogrodzie. Poprosiła o przybycie senhora Andradego, przyprowadziła również Carlosa, wystrojonego w białą liberię. Zdecydowała, że pozwoli mu być tym, kim był naprawdę – szympansem oderwanym od stada, żyjącego gdzieś w głuszy, w głębi kontynentu. W pierwszej chwili Carlos zdawał się podenerwowany powrotem do hotelu, uspokoił się jednak, gdy tylko pozwolono mu pobębnić w klawiaturę pianina i usiąść na kolanach Zé, jak zwykł był to robić.

Zé zachowywał się tak, jakby nie zauważył zniknięcia brata. Był na pogrzebie, lecz ani przez chwilę nie okazywał smutku. Potem znów usiadł przy pianinie i stroił je, każdego dnia od nowa, nie mogąc wydobyć z instrumentu pożądanej harmonii.

Hanna rozpoczęła zebranie od oświadczenia, że nie zamierza niczego zmieniać w funkcjonowaniu O Paraiso. Z grubsza wszystko miało zostać po staremu. Jako wdowa po senhorze Vazie zamierzała nie zmieniać ustanowionych przez niego reguł, obowiązków i przywilejów, które zdecydowały o tym, że miejsce to cieszyło się dobrą opinią. Obiecała równie hojnie udzielać urlopów oraz tak samo stanowczo postępować z klientami stosującymi przemoc.

– Oczywiście nie wszystko będzie wyglądać jak dotychczas – dodała po chwili, zbliżając się do

końca przemowy, którą wcześniej sobie przygotowała i której nauczyła się na pamięć po portugalsku, chcąc być pewną, że nie straci wątku. – Jestem kobietą. Nie mam tyle siły, co mój zmarły mąż, więc nie zawsze będę w stanie interweniować tam, gdzie to konieczne. Dlatego zamierzam zatrudnić dwóch silnych strażników, by was bronili i zapewniali wam bezpieczeństwo.

Po chwili dodała, że ze względu na to, iż jest kobietą, zmieni się jeszcze jedno. Od tego dnia zatrudnione w O Paraiso dziewczyny będą mogły z nią rozmawiać o sprawach, z którymi wstydziły się przyjść do senhora Vaza. Wyznała, że cieszy się na rozmowy ze swoimi pracownicami, jej zdaniem miało to przynieść korzyść dla wszystkich.

Tymi słowami zakończyła swoją przemowę.

Wokół zapanowała cisza. Powoli, niczym piórko, upadł na ziemię kwiat jakarandy. Hannę zaniepokoiło to zbiorowe milczenie. Nie spodziewała się, że ktoś będzie chciał się odezwać, ale ta cisza ją wystraszyła. Nie była to przy tym zwyczajna cisza, jaka panowała zwykle między białymi a czarnymi. Był to nowy rodzaj milczenia, zupełnie Hannie nieznanemu.

Rozłożyła szeroko ręce na znak, że spotkanie dobiegło końca. Wszyscy mogli się rozejść. Kobiety zabrały przyniesione krzesła i zniknęły w pokojach, Judasz wrócił do zamiatania, ale Hanna go odesłała. Zé usiadł z powrotem przy pianinie,

trzymając w objęciach na wpół śpiącego Carlosa.

Nagle Hanna zrozumiała, co oznaczała ta cisza. Nikt nie życzył sobie bliskości, którą zaproponowała. W milczeniu jej pracowników była niechęć, teraz Hanna wreszcie to pojęła. Jednocześnie nie mieściło jej się to w głowie. Czy dziewczyny nie rozumieją, że jako kobieta jestem im o wiele bliższa, rozmyślała. A może wystraszyło je to, że usłyszały życzliwe i prawdziwe słowa w świecie pełnym obłudy i kłamstw?

Ponieważ przyniosła z domu notatnik, zapisała w nim parę słów, niepewnie, jakby nie miała odwagi zinterpretować własnych myśli.

Ten, kto odbiera wolność drugiemu człowiekowi, nie może oczekiwać od niego bliskości.

Przeczytała zanotowane zdanie. Potem włożyła notes z powrotem do plecionego koszyka, w którym spoczywał jej szal i blaszany bidon pełen wody, gotowanej przez kilka godzin przed schłodzeniem.

Dziewczyny pozamykały się w swoich pokojach. Żadna nie usiadła na kanapie w holu, gdzie witały klientów. Hanna podejrzewała, że pochowały się przed nią w obawie, że zacznie im okazywać bliskość.

Bliskość, pomyślała. Najwyraźniej myślą, że jest to kolejne zagrożenie, którego należy unikać.

Stała sama w holu, z koszykiem w ręce, zastanawiając się, czy reakcja, jakiej doświadczyła, wprowadziła ją w złość, czy też zwyczajnie ją

rozczarowała. A może tak naprawdę ulżyło jej na myśl, że nie będzie musiała wdrażać tego, co przed chwilą obiecała?

Nagle stanął obok niej senhor Andrade. Pot spływał mu z czoła, mimo że był wczesny ranek. Hanna poczuła zniecierpliwienie i niesmak na widok kropli potu na czubku jego nosa. Musiała się powstrzymać, żeby nie przytknąć mu do twarzy chustki, którą nosiła ukrytą pod bluzką.

– Czy mogę pani czymś służyć tego ranka, senhora Vaz? – zapytał.

– Nie. Chciałabym tylko wiedzieć, co pan o tym myśli.

Adwokat zachnął się i po nosie spłynęły mu kolejne krople potu. Hanna zauważyła, że nie spodobało mu się, iż nie zwróciła się do niego po nazwisku. Uznał to za brak szacunku. Wiedziała jednak, że Andrade bierze od niej zbyt wiele pieniędzy, by ryzykować, że Hanna wymieni go na kogoś z młodszych i głodnych prawników z Lizbony, szukających szczęścia w portugalskich koloniach w Afryce.

– Co myślę o czym, senhora?

– O tym spotkaniu, o mojej przemowie. I o tej ciszy.

Hanna czuła do tego mężczyzny coraz większą odrazę. Ogarnęły ją mdłości na widok strug potu ciekących po jego sflaczałej twarzy.

– Dobrze pani opisała stan rzeczy, senhora –

odparł Andrade z namysłem.

– Nie jesteśmy w sądzie – odpowiedziała mu Hanna. – Niech pan mi powie, co pan myśli. Dlaczego tak zareagowały?

– Ma pani na myśli dziwki? – spytał zaskoczony adwokat. – A czy należy oczekiwać od nich czegoś więcej niż milczenia? Niech otwierają usta w innym celu.

Bezczelne słowa prawnika sprawiły, że Hanna niemal się zaczerwieniła. Znów poczuła się jak dziewczyna znad rzeki, która nie ma śmiałości spojrzeć obcemu w oczy. Jednocześnie musiała przyznać adwokatowi rację. Dlaczego miałyby oczekiwać od tych kobiet czegoś więcej poza milczeniem? Wiele razy uczestniczyła w spotkaniach organizowanych przez senhora Vaza i nigdy żadna z nich nie miała żadnych życzeń ani uwag, nie wspominając o skargach.

Andrade wyszedł na zalaną słońcem ulicę i wsiadł do auta, w którym czekał na niego czarny szofer w liberii. Hanna wcześniej ustaliła z prawnikiem, że kierowca przyjedzie po nią za godzinę.

Weszła na piętro i otworzyła drzwi do pokoju, w którym mieszkała po ucieczce ze statku kapitana Svartmana. Położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Nie miała jednak żadnych wspomnień, do których mogłaby wrócić, nawet do pierwszych spędzonych tutaj nocy, kiedy krwawiła i gdy zajmowała się nią

stępująca bezszelestnie Laurinda.

Chwilę później Hanna wyszła z pokoju, nie wiedząc, dlaczego w ogóle tutaj zajrzała. Usiadła na jednej z czerwonych pluszowych kanap, żeby poczekać na kierowcę. Carlos się obudził i wdrapał się na gałąź jakarandy. Spoglądał na Hannę wyczekująco, jakby życzył sobie, żeby i ona wspięła się na drzewo.

Spojrzała w stronę korytarza i zamkniętych drzwi do pokoi. Nie miała pojęcia, jakie myśli kłębią się w głowach dziewcząt. Była pewna, że już nigdy nie odbędzie szczerzej rozmowy z Felicją. Od kiedy Hanna stała się właścicielką burdelu, zwiększyła się przepaść między nią a tymi kobietami, do których mogła się wcześniej zbliżyć na tyle, na ile pozwalały granice między rasami.

Niepokój przyszedł nagle, jak atak duszności. Hanna wstała, ale musiała się przytrzymać poręczy, żeby nie upaść. Nie mogę tu dłużej zostać, pomyślała. Nie mam nic wspólnego z tym miejscem, z tym obcym kontynentem, którego mieszkańcy albo się mnie boją, albo mnie nienawidzą.

Myśli w jej głowie wciąż były niejasne, ale przeczuwała, co musi zrobić. Nazajutrz rano wezwała Andradego i poprosiła, żeby znalazł kupca na O Paraiso. Hanna była pewna, że będzie wielu spekulantów chętnych na ten cieszący się dobrą sławą przybytek. Potem zamierzała wyjechać jak

najszybciej. Pieniądze, które już miała, oraz te, które miały wpłynąć po sprzedaży burdelu, zapewnią jej przyszłość. Hanna miała wyjechać z Afryki jako bogata kobieta. To była krótka wizyta, stwierdziła w myślach. Dwa krótkie małżeństwa, dwie śmierci, a potem już nic.

Jedynym poważnym problemem był Carlos. Nie mogę go zabrać do kraju, w którym zamarznie na śmierć, rozmyślała. Ale kto się nim tutaj zajmie, skoro Carlos nie chce wracać do dżungli, z której go kiedyś zabrano. Skoro wcale nie chce być małpą! Hanna nie wiedziała, co zrobić.

Kiedy przyjechał samochód, zawołała szympansa. Ten natychmiast zszedł z drzewa i wdrapał się na jej ramiona.

Jednak zanim podszedł, Hanna zauważyła coś dziwnego. Gdy tylko Carlos dotknął stopą ziemi, wzdrygnął się, jakby się sparzył. Potem ostrożnie powąchał ubitą glebę i szybko uciekł, jakby było w niej coś, co go wystraszyło.

Hanna patrzyła na niego ze zdziwieniem. Dlaczego boi się ziemi pod drzewem? pomyślała. Jednak Carlos nie mógł nic powiedzieć. Usiadł obok niej w samochodzie i robił miny, kiedy ruszyli i do środka wpadał wiatr.

Tuż przed swoją śmiercią senhor Vaz, zupełnie jakby przeczuwał, co się stanie, powiedział Hannie, że gdyby kiedykolwiek potrzebowała porady, w pierwszej kolejności powinna się udać do senhora Pedra Pimenty.

– Dlaczego akurat do niego? – spytała.

– Nie znam uczciwszego człowieka – odparł Attimilio. – Tylko z tego powodu. To jedyny człowiek w tym kraju, który mnie nigdy nie okłamał. Jeśli będziesz potrzebowała rady, porozmawiaj z Pedrem Pimentą. Pamiętaj też, że o nasze finanse doskonale dba senhor Eber. Nigdy nie ukradł nawet escudo. Nie znajdziesz tutaj lepszego kasjera. Myślę, że Bóg dał mu niewidzialne kraty chroniące przed chciwością i Eber nosi je w sobie.

Pedro Pimenta przybył do Afryki z portugalskiego miasta Coimbra i wkrótce po przyjeździe zrobił oszałamiającą karierę. Z Portugalii wyjeżdżał jako pomocnik krawca, z nadzieją, że znajdzie lepsze życie w kolonii. Pedro Pimenta marzył o Angoli, o mieście Luanda, gdzie biali koloniści ponoć potrzebowali krawców. Jednak traf chciał, że krawiec, który kupił mu bilet, zdecydował się wysłać swojego ucznia do kraju o nazwie Portugalska Afryka Wschodnia. Przez

pierwsze trzy miesiące po przyjeździe siedemnastoletni wówczas Pedro Pimenta był przerażony wszystkim, co odsłonił przed nim obcy kontynent. Bał się ciemnych nocy, szeptów czarnych ludzi, węży, których nawet nie widział na oczy, i czających się w mroku pajaków. I mimo że wiedział, iż od dawna dzikie zwierzęta nie zapuszczają się już do miast, bał się co wieczór, że przez uchylone okno zakradnie się w nocy lew i rozszarpie mu gardło. Przez pierwsze miesiące Pedro Pimenta żył jakby za barykadą. Prawie nie sypiał ze strachu, więc za dnia nie mógł pracować. W końcu krawiec, u którego znalazł zatrudnienie, wyrzucił go z maleńkiego domku w porcie, gdzie mieścił się zakład.

Po utracie pracy nad Pedrem Pimentą zawiązała groźba katastrofy, musiał więc szybko zwalczyć swój strach i wziąć los w swoje ręce. Dzięki wybiegom i fortelom dostał pracę u indyjskiego przedsiębiorcy, nauczył się u niego podstaw handlu i wkrótce otworzył własny interes, oferując ceny sporo niższe od tych, które były u konkurencji. W niespełna dziesięć lat stał się bogatym człowiekiem. Zbudował dom na wzgórzu nad miastem, jako pierwszy sprowadził sobie samochód i zatrudnił szofera. Obecnie należał do najbardziej wpływowych osób w kraju.

Nikt jednak nie wiedział, że Pedro Pimenta jest analfabetą. Jakimś cudem udawało mu się

zapamiętywać wszystkie liczby potrzebne do prowadzenia interesów. Kiedy jego majątek zaczął rosnąć, Pedro sprowadził z Portugalii młodszego brata, który umiał pisać i czytać. Brat prowadził całą korespondencję i nikt się nawet nie domyślał, że przed oczami wielkiego biznesmena litery nie składają się w logiczną całość.

Wielki przełom w jego życiu nastąpił wraz z pojawieniem się psów. Wpadł na to pewnego wieczoru, kiedy przyszedł z wizytą do O Paraiso, przybytku prowadzonego przez jego dobrego przyjaciela, senhora Vaza. Felicja niedawno rozpoczęła pracę i Pedro Pimenta szybko stał się jej najwierniejszym klientem. Przychodził raz w tygodniu, zawsze we wtorek wieczorem.

Podczas jednej z takich wizyt wdał się w pogawędkę z pewnym mężczyzną w tym samym wieku co on, czekającym na dziewczynę, o którą prosił. Miał nadzieję, że kobieta wkrótce skończy obsługiwać klienta. On i Pedro zaczęli rozmawiać. Mężczyzna, pochodzący z południa Afryki, utrzymywał się z handlu psami obronnymi.

– Strach to znakomity pracodawca – powiedział. Zwłaszcza na południu Afryki, gdzie biali ludzie żyją za wysokimi płotami. Tam jest wielki popyt na psy obronne. Najchętniej widzieliby w roli swoich obrońców wygłodzone wilki, ale ja im daję owczarki niemieckie, dobrze wyszkolone w Belgii i w paru hodowlach w południowych Niemczech.

Kiedy już nauczą się atakować czarnych, są przywożone statkiem do Durbanu albo Porth Elizabeth. Klienci ustawiają się w długie kolejki i są gotowi zapłacić majątek za największe i najagresywniejsze sztuki.

Mężczyzna zamilkł, strzepnął popiół z cygara i nagle wybuchnął śmiechem.

– Szkoda tylko, że nie są białe. Wtedy kosztowałyby dwa razy więcej.

W pierwszej chwili Pedro nie zrozumiał, o czym mówi jego rozmówca.

– Białe owczarki?

– Byłoby idealnie, gdyby udało się wyhodować białe owczarki, albinosy. Wtedy biali właściciele mieliby białe psy. Czarni baliby się ich jeszcze bardziej. I biali czuliby się o wiele bezpieczniej.

Pedro pokiwał głową, przyznając, że to ciekawa myśl. Nie zdradził jednak mężczyźnie, że zna pewnego portugalskiego weterynarza, który trzyma w ogrodzie dwa białe owczarki.

Nazajutrz Pedro złożył mu wizytę. Weterynarz był już po sześćdziesiątce i zamierzał wrócić do Portugalii, zanim będzie za stary na przeprowadzkę. Mieszkał w tym miejscu ponad czterdzieści lat, kilka razy chorował na zabójczą malarię, która o mało nie posłała go na tamten świat, i dobrze wiedział, że jego stary organizm toczą niezliczone egzotyczne bakterie, robaki i ameby. Żaden lekarz nie wiedział, co mu dolega, i

nawet nie próbowano go leczyć. Pedro zaproponował, że odkupi od weterynarza parę owczarków i niedawno urodzone szczeniaki, wszystkie tak samo białe, za cenę, która w znaczący sposób przyspieszyłaby decyzję o powrocie do Portugalii. Dogadali się i parę miesięcy później Pedro pomachał na pożegnanie statkowi pasażerskiemu do Lizbony, regularnie kursującemu na trasie Kapsztad – Porth Elizabeth – Durban – Lourenço Marques.

Już wtedy Pedro w wielkiej tajemnicy kupił spory teren pod miastem i zaczął urządzać tam ogromną hodowlę. Opiekę nad tym miejscem przekazał Louisowi, swojemu umięjącemu pisać i czytać bratu. W ciągu dwóch lat udało im się wyhodować trzydzieści białych owczarków. Wówczas Louis uznał, że ma dosyć afrykańskich upałów, i wrócił do domu. Od tej pory Pedro sam zajmował się interesami. Do tresury psów zatrudnił emerytowanego majora portugalskiej kawalerii. Mężczyzna szkolił je tak, by natychmiast rzucały się na zbliżającego się czarnego człowieka. Pedro zapłacił komendantowi fortu za „udostępnienie” kilku czarnych więźniów. Aby szkolenie psów nie było zbyt brutalne, kazał uszyć skazańcom kaftany z grubej skóry, której psy nie zdołałyby przegryźć.

W końcu Pedro pojechał do Johannesburga i zamieścił ogłoszenie w gazecie. Miał na sprzedaż fenomenalne białe owczarki obronne. W

ograniczonej liczbie.

Wynajął apartament w jednym z najlepszych hoteli w mieście. Jego dyrektor musiał szybko zatrudnić dodatkowy personel, by zapanować nad napierającym tłumem.

Pedro przywiózł do Johannesburga dwa białe owczarki, sukę i psa. Wybrał najinteligentniejszą parę z całego stada. Chcąc zaprezentować ich umiejętności, kazał wezwać do pokoju czarnego lokaja. Na jego widok psy natychmiast zaczynały warczeć i się wrywać.

Ludzie kupowali białe owczarki za cenę tak wysoką, jakby mieli prowadzić na smyczy drogocenne kamienie. Wracając do domu, Pedro miał zamówienia i wpłacone zaliczki na pięćdziesiąt psów. Wkrótce pomnożył swój majątek niczym poszukiwacz złota, choć nigdy w życiu nie trzymał w ręce miski do płukania ani łopaty.

Pedro Pimenta zbudował swoją fortunę na strachu. Wiedział, jak przekuć na pieniądze doświadczenia z pierwszych miesięcy życia w Afryce. Odtąd ludzki strach nie był dla niego niczym innym jak doskonałym źródłem zarobku.

Następnego dnia po spotkaniu w O Paraiso Hanna wynajęła od senhora Andradego samochód z kierowcą i kazała się zawieźć do położonej pod miastem rezydencji Pedra Pimenty.

Bogacz wybudował ogromny dom w pobliżu swojej hodowli psów, założył rozległy ogród, kazał w nim wznieść wielkie groble i wykopać sadzawki, w których hodował krokodyle. Sprzedawał ich skóry do garbarni w Paryżu, gdzie później produkowano z nich torebki i buty. Jaja krokodyli wykopywano z wydm w górnym biegu rzeki Komati. Pedro Pimenta zatrudnił również wioślarzy, którzy łapali małe krokodyle w zatoczkach, gdzie pilnowały ich matki. Krokodylice od razu atakowały, gdy ktoś zbliżał się do jaj i młodych, ostrożnie przenoszonych przez nie w pyskach do rzeki. Pewnego razu jedna z nich zdołała wywrócić łódkę, dwaj wioślarze wpadli do rzeki i rozpaczliwie próbowali dostać się na brzeg. Jednemu z nich się udało, ale widział na własne oczy, jak jego towarzysz, który nawet dopłynął do brzegu i wbił palce jednej dłoni w piasek, został schwytany przez krokodyla za nogę i wciągnięty z powrotem do rzeki. Zdołał tylko raz wynurzyć głowę i nabrać powietrza, a potem na zawsze zniknął pod powierzchnią wody, zaplątany w

oślizgłe pędy podwodnej dżungli. Tam zdążył pewnie nadgnić, nim został cały zjedzony.

Hanna z przerażeniem słuchała tej opowieści Felicji i ani przez chwilę nie wątpiła w to, że jest prawdziwa. Była pewna, że nie jest to jedna z tysięcy zmyślonych historii, jakie mężczyźni opowiadali w burdelu, próbując zaimponować kobietom.

Pedro Pimenta był człowiekiem religijnym. Felicja pokazała jej kamienny pomnik, który ufundował na cmentarzu, by upamiętnić mężczyznę zjedzonego przez krokodyla. Zamiast ciała pochowano strzępy ubrań ofiary w małej, kunsztownie rzeźbionej trumnie. Na cokole widniało tylko imię Walibamgu, bo Pedro nigdy się nie dowiedział, jak wioślarz miał na nazwisko. Tamten człowiek po prostu zjawił się pewnego dnia przy sadzawce z krokodylami i powiedział, że szuka pracy. Pedro Pimenta natychmiast go zatrudnił. Nie miało dla niego znaczenia nazwisko tego mężczyzny. Był on jednym z niezliczonych wędrowców, przybyszy z głębi kontynentu, istniejących jakby przez chwilę. Walibamgu, bez daty urodzin, ale z datą śmierci wykutą w kamieniu, dniem, w którym krokodyla wciągnęły go pod wodę.

Pedro Pimenta, jako pobożny człowiek, regularnie chodził do katedry. Dawał datki na nowe świeczniki, raz nawet pokrył koszty remontu

zjedzonych przez korniki ławek kościelnych.

Tego dnia siedział w cieniu na wielkiej werandzie z widokiem na rzekę i wznoszące się za nią góry, wiecznie tonące w słońcu i zamglone. Hanna wiedziała, że Pedro Pimenta bardzo rzadko opuszcza swój dom. Wychodził jedynie do burdelu i do katedry. Nie przyjmował żadnych zaproszeń. Nie zaszczycał swoją obecnością słynnych przyjęć u portugalskiego gubernatora, o udział w których rywalizowały białe elity. Pedro Pimenta wołał siedzieć na werandzie i przyglądać się krokodylom pływającym w sadzawkach oraz białym owczarkom tresowanym na psy obronne. W oczku wodnym przy werandzie trzymał kilka młodych krokodyli, które osobiście karmił żabami i drobnymi rybami.

Pedro Pimenta miał na sobie biały lniany garnitur i kask korkowy z zamocowaną z tyłu chustką do wycierania spoconego karku. Mężczyzna ten był przedziwnej budowy. Wszystko w nim było szczupłe poza brzuchem, który wystawał nad paskiem, jak nienaturalnie napuchnięty organ. Twarz miał ospowatą, pełną blizn po ukąszeniach owadów, a jedna powieka opadała mu, jakby nieustannie walczył ze zmęczeniem. Mimo że wciąż był młody, wyglądał na starca, jak większość białych ludzi, którzy przyjeżdżali do tropików i zaczęli nowe życie od ciężkiej pracy.

Pedro Pimenta od wielu lat żył z czarną kobietą imieniem Isabel. Miał z nią dwoje dzieci, syna i

córkę. Oboje zostali ochrzczeni w katedrze, nosili imiona Joanna i Rogerio.

Mało kogo obchodziło, że Pimenta ma czarną kochankę. Nikt jednak nie tolerował tego, że żyje z nią, jakby byli małżeństwem, że ma z nią dzieci. W pewnych kręgach otwarcie okazywano mu niechęć, gdzie indziej wzbudzał zagadkowy niepokój.

Gdy Hanna wysiadła z auta, Pedro podał jej rękę na powitanie i zaprosił ją na werandę, gdzie panował względny chłód dzięki bryzie znad rzeki, uderzającej w ściany domu. Isabel wyszła na werandę, żeby się przywitać. Była ubrana jak biała kobieta, włosy spięta w prosty kok tuż nad karkiem. Hannie przemknęło przez myśl, że jest to pierwsza czarna kobieta, która spojrzała jej prosto w oczy, witając się. Mogła zobaczyć w jej oczach, jak wyglądali kiedyś czarni ludzie, zanim zjawili się biali, przypłynąwszy statkami, i zaczęli polować na niewolników, diamenty i kość słoniową.

Isabel zawołała dzieci, żeby i one się przywitały. Po chwili Hanna stwierdziła, że ma przed sobą dwójkę najładniejszych dzieci, jakie kiedykolwiek widziała.

– To moje pociechy – powiedział Pedro. – Moja największa radość. Czasem zresztą jedyna.

Hanna była ciekawa, dlaczego Pedro Pimenta powiedział to takim smutnym głosem. Nagle poczuła chłód, lecz nie od wiatru, ale w środku. Nie mogła pojąć, jak ten człowiek może mówić o

radości z takim przygnębieniem.

Ogarnęła ją niechęć, ale Hanna nie umiała odgadnąć jej przyczyny.

Pedro Pimenta zabrał ją, by obejrzała hodowlę psów.

– Wciąż rośnie na nie popyt – oznajmił. – Sądziłem, że uda mi się utrzymać monopol na białe owczarki najwyżej przez cztery lata, a potem powstaną inne hodowle i odbiorą mi część klientów. Teraz rozumiem, że nie wziąłem pod uwagę tego, że ludzie cenią oryginał. A oryginalne białe owczarki mam tylko ja. Nikt inny.

– Ile kosztują te psy? – spytała Hanna.

– Ten, kto pyta o cenę, zwykle nie może sobie na nie pozwolić.

– Nie pytam dlatego, że chcę kupić owczarka.

– Wiem. Nie stać pani na takiego psa.

Hanna zrozumiała, że Pedro Pimenta nie chce zdradzić ceny białego owczarka lub zawsze uzależnia ją od możliwości finansowych klienta.

Przeszli do farmy krokodyli. Pedro wyjaśnił Hannie, że podrośnięte osobniki trzeba izolować, by nie stały się pokarmem dla tych, które zdążyły urosnąć wcześniej.

W dużej sadzawce z ciemnozieloną wodą, nieco oddalonej od reszty, na wystającym nad powierzchnię wody głazie leżał nieruchomo ogromny krokodyl. Miał prawie pięć metrów długości. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Pedro

nikomu nie pozwalał go karmić, osobiście wrzucał do sadzawki jedzenie raz w tygodniu.

Właśnie tego dnia wypadało karmienie gada, któremu Pedro dał na imię Noe. Zapytał, czy Hanna chce popatrzeć. Miała ochotę odmówić, ale pokiwała głową na znak, że się zgadza. Pedro Pimenta zawołał jednego z czarnych robotników zajmujących się krokodylami. Ten wyprowadził z klatki wełnistą owcę. Była silna i mocno wierzgała. Robotnik podał Pedrowi koniec sznura, a potem uciekł. Zwierzę zdawało się przeczuwać, co je czeka, zupełnie jak stado idące na rzeź.

Pedro Pimenta powiesił marynarkę na wieszaku stojącym obok stawu, zapewne umieszczonym tam wyłącznie w tym celu. Rozpiął kamizelkę opinającą jego wielki brzuch, podwinął rękawy białej koszuli, a potem złapał owcę za kark i wypuścił z dłoni sznur. Zwierzę beczało rozpaczliwie. Krokodyl leżał bez ruchu. Błyskawicznym ruchem Pedro Pimenta chwycił owcę za cztery nogi, wywracając ją na grzbiet, a potem cisnął ją do sadzawki, gdzie czekał krokodyl. Bestia wślizgnęła się pod wodę tak szybko, że Hanna ledwie zdążyła to zauważyć. W mgnieniu oka krokodyl wbił zęby w owcę, obrócił ją i wciągnął pod wodę. Po chwili gad się wynurzył, a głowa owcy była już oddzielona od reszty ciała.

Hanna nie chciała na to patrzeć. Odwróciła się i ruszyła pospiesznie w stronę werandy.

– Dołączę do pani, kiedy tylko skończy się uczta! – zawołał za nią Pedro.

Zachowuje się tak, jakby sam w niej uczestniczył, pomyślała wzburzona Hanna. Czy naprawdę powinnam prosić tego człowieka o radę dotyczącą mojej przyszłości?

Miała ochotę od razu wsiąść do auta i kazać się zawieźć z powrotem do miasta. Wróciła jednak na werandę i skryła się w najbardziej zacienionym kącie. Tam zastał ją Pedro Pimenta, wróciwszy po skończonym karmieniu. Nic nie wskazywało, by to, co zaszło przed chwilą przy sadzawce, wywarło na nim większe wrażenie. Jego twarz nie wyrażała niczego. Uśmiechnął się do Hanny, zadzwonił posrebrzonym dzwoneczkiem, poprosił służącą o herbatę, a potem spytał Hannę, co jest powodem jej niespodziewanej wizyty, bo przecież nigdy wcześniej go nie odwiedzała.

– Budzę się w środku nocy i nie mogę zasnąć – powiedziała. – Zastanawiam się, czy jest jakikolwiek powód, dla którego miałabym zostać w Afryce. Jednocześnie nie wiem, po co miałabym stąd wyjeżdżać. I dokąd.

Pedro Pimenta nie wyglądał na zaskoczonego jej słowami. Leniwie wachlował się korkowym kaskiem.

– Wszyscy zadajemy sobie podobne pytania – odparł po chwili. – Nikt przed nimi nie umknie. Zostać tu czy wyjechać? Mimo że niektórzy z nas się tutaj urodzili, wciąż jest to dla nas obca ziemia.

A może nawet więcej: znajdujemy się na terytorium wroga.

– Czy właśnie to nie daje mi spokoju? Ta cała nienawiść wobec nas, białych ludzi?

– Nie sądzę, by był to powód do zmartwienia. Cóż czarni mogą nam zrobić? Nic.

– Mają coś, czego my nie mamy.

Pedro Pimenta zrobił zdziwioną minę.

– Co takiego? – zapytał.

– Przewagę liczebną.

Wyglądał na rozczarowanego jej odpowiedzią, jakby spodziewał się, że Hanna go zaskoczy, mówiąc coś, o czym on sam nigdy wcześniej nie pomyślał.

– Teoria mówiąca, że mogliby nam coś zrobić, bo jest ich więcej, to wymysł ludzi o słabych nerwach – odparł trochę opryskliwie. – To koszmar, który nigdy się nie urzeczywistni. Fakt, że jest ich tak dużo, tylko dodatkowo ich dezorientuje.

– Nie uważam się za osobę o słabych nerwach – obruszyła się Hanna. – Po prostu widzę to, co widzę. I słyszę to, co słyszę.

– Co takiego?

– Ciszę. Nienaturalną ciszę.

Zanim Pedro Pimenta zdążył odpowiedzieć, na werandzie zjawiała się Isabel. Usiadła w jednym z plecionych foteli. Była uśmiechnięta.

Hanna zdawała sobie sprawę, że kobieta słyszała ich rozmowę. Ale dlaczego podeszła dopiero w tej

chwili? pomyślała. Czyżby chciała, żebyśmy przestali o tym mówić? A może z innego powodu?

Nagle wyobraziła sobie, że Pedro Pimenta chwyta Isabel za nogi i wrzuca do sadzawki z krokodylem. Ten obraz tak nią wstrząsnął, że aż zadrżała i wypuściła filiżankę z rąk. Zaraz po tym jak przysła jej do głowy ta potworna myśl, przed oczami stanęła jej jeszcze gorsza scena. Wyobraźnia podsunęła jej kolejny obraz: Pedro Pimenta, rzuciwszy krokodylowi na pożarcie swoją czarną kochankę, wrzuca do rowu również ją, mimo że jest białą kobietą.

Pedro znów zadzwonił posrebrzanym dzwoneczkiem. Za moment zjawiała się służąca, która zabrała rozbitą filiżankę i wytarła podłogę.

Hanna pomyślała o Bercie. Pewnego dnia Jonathan Forsman niechcący trącił kubek, który spadł ze stołu i rozbił się o podłogę. Berta zmiotła odłamki i wytarła rozlaną kawę. Forsman nawet nie spojrzał w jej stronę.

W którą stronę teraz spoglądam? pomyślała. I dlaczego myślę o Pedrze Pimencie to, co o nim myślę?

Ustała orzeźwiająca bryza znad rzeki i na werandzie zapanował zaduch. Z oddali doleciał czyjś śmiech.

Siedzieli w milczeniu. Hanna przyglądała się pięknej Isabel i Pedrowi Pimencie, mężczyźnie o zaciśniętych ustach.

Nie widzę się teraz w lustrze, pomyślała znów Hanna. Ale dobrze wiem, że robię się coraz bardziej podobna do niego. Nie chcę taka być.

Chwilę później Isabel gdzieś poszła. Pedro Pimenta nie miał już siły wachlować się korkowym kaskiem. Przeniósł się na kanapę wiszącą na łańcuchach i sprężynach, zrzucił prawy but i wetknął paluch w oczko łańcucha zwisającego z umocowanego nad jego głową metrowej długości cienkiego wachlarza. Kołysząc się na kanapie, poruszał również wachlarzem. Chłodny powiew docierał aż do Hanny, która przesiadła się nieco bliżej, zachęcona przez gospodarza. Gdyby ktoś ich zobaczył w tym momencie, z pewnością pomyślałby, że prowadzą intymną rozmowę. W rzeczywistości jedynie chęć ochłodzenia się w dusznym upale sprawiła, że znaleźli się tak blisko.

– Nic o sobie nawzajem nie wiemy – zauważył Pedro Pimenta. – Spotykamy się w tym kraju, żyjemy tuż obok siebie, ale mało kto opowiada o swojej przeszłości. Czasem myślę, że kiedy płynęliśmy statkiem z Lizbony, każdy z nas nocą wyrzucił niepostrzeżenie przeszłość za burzę, szczelnie zapakowaną i obciążoną workami z piaskiem. Nie wiem na przykład zupełnie nic o pani. Pewnego dnia po prostu wynajęła pani pokój w burdelu, do którego przychodzę. Cóż za tajemniczy i niespodziewany gość! Równie niespodziewanie wyszła paniza mąż za senhora

Vaza. A kiedy on nagle zmarł, stała się pani właścicielką najlukratywniejszego interesu w tej części Afryki. Ale ja wciąż nic o pani nie wiem. A teraz przychodzi pani do mnie po radę, której nie jestem w stanie udzielić.

– Mąż polecił mi, żeby z panem porozmawiała, kiedy będę potrzebowała rady. I kiedy jego nie będzie w pobliżu.

Pedro Pimenta spojrział na Hannę badawczo spod przymrużonych powiek.

– Dziwnie to brzmi.

– Co takiego? Sugestia, żebym z panem porozmawiała?

– Nie. Dziwi mnie, że senhor Vaz uważał, że jeden człowiek może coś poradzić drugiemu. On tak przecież nie myślał.

– Ale powiedział mi to, co panu powtórzyłam.

– Nie twierdzę, że pani mówi nieprawdę, senhora. Jaką miałaby pani z tego korzyść? Jestem zdziwiony, że Vaz zaskakuje mnie w ten sposób po swojej śmierci. Nie lubię, kiedy zmarli to robią.

Rozmowa dobiegła końca. Isabel wróciła na werandę i usiadła z podwiniętymi nogami obok Pedra. Zaczęła gładzić palcami jego szyję i policzek. Hannę zadziwiło to, że Pimenta pozwala jej okazywać czułość przy obcym człowieku.

Ja mam szympana, któremu przeglądam sierść, pomyślała. Ona gładzi go po twarzy. W jakiś sposób te czynności są do siebie podobne.

Zaraz po tym Hanna zastanowiła się, jak to by było mieć obok siebie kucającego czarnego mężczyznę, gładzącego ją po policzku. Zadrżała na tę myśl. Przypomniała sobie wielkie, wypielęgnowane dłonie Lundmarka i ogarnął ją nagły smutek.

Isabel wstała i znów sobie poszła. Oddalając się, uśmiechnęła się do Hanny.

Pedro Pimenta wciąż przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

– Mogę odkupić od pani burdel – oznajmił nagle. – Jeśli zdecyduje się pani stąd wyjechać. Mogę zapłacić w portugalskiej walucie, w złocie albo w kamieniach szlachetnych. Ale proszę pamiętać, że jestem biznesmenem i przy zakupie nie będę kierował się względami osobistymi, takimi jak przyjaźń z pani zmarłym mężem. Będę próbował kupić O Paraiso za możliwie najniższą cenę.

Myśl, że może uda mu się dobić targu, wyraźnie go ożywiła, bo nieostrożnie szarpnął łańcuchem i oberwał mocowanie wachlarza. Ryknął głośno, wzywając służącego imieniem Harri. Natychmiast przybiegł czarny mężczyzna i szybko naprawił łańcuch. Hanna zrozumiała, że Pedro Pimenta nie po raz pierwszy pociągnął za mocno.

– Dlaczego on ma na imię Harri? – spytała Hanna, kiedy znów zostali sami. – To chyba nie jest portugalskie imię.

– Pochodzi z Matabele, to angielska kolonia. Twierdzi, że kiedyś widział samego Cecila Rhodesa, ubranego w smoking do obiadu podawanego pośrodku buszu. Na końskie grzbiety zapakowano stół, srebrną zastawę, a nawet perski dywan, który został rozścielony w krainie słońi i lwów. Wątpię, żeby Harri widział to na własne oczy, ale prawdą jest, że Cecil Rhodes wymagał, by każde obozowisko przypominało Hotel Savoy w Londynie. Ten człowiek był naprawdę szalony. Przyjąłem Harriego na służbę, jest wierniejszy niż pies. A ponieważ psy odgrywają ważną rolę w moim życiu, darzę dużą sympatią czarnych, którzy zachowują się tak jak one.

– Co by się stało, gdybym sprzedała panu O Paraiso? – spytała Hanna, wracając do porzuconego tematu.

– Starabym się utrzymać jego dobre imię. Dbałbym o stałych klientów.

– A co z kobietami?

Pedro Pimenta znów się ożywił i szarpnął za łańcuch.

– Mówi pani o dziwkach?

– Tak.

– Co miałyby z nimi być?

– Starzeją się, niektóre zaczynają chorować. Wkrótce nikt nie będzie ich chciał.

– Wtedy je wyrzucę.

– Niech pan im da odprawy, żeby miały za co

żyć. Albo niech pan im wybuduje dom spokojnej starości. To mój warunek dla kupującego. Należałoby tego przestrzegać w przyszłości.

Pedro Pimenta niemal niezauważalnie pokręcił głową i długo się namyślał, zanim odpowiedział. Stopa pociągająca za łańcuch znieruchomiała.

– Zachowam wszystkie reguły obowiązujące do tej pory. Dlaczego miałbym je zmieniać?

– Z pewnością pan wie, że pozostali właściciele tego typu przybytków w tym mieście często są brutalni wobec kobiet. Pod tym względem zawsze byliśmy wyjątkiem.

Przemknęło jej przez myśl, że sformułowanie „my” jest w tym wypadku przesadą, właściwie mówiła tylko o senhorze Vazie. Ona sama zrobiła tylko tyle, że nie zmieniła zaprowadzonych przez niego porządków.

– Będzie tak, jak powiedziałem – dodał po chwili Pimenta. – Dlaczego miałbym cokolwiek zmieniać!

Nie rozmawiali już o tym więcej. Hanna została zaproszona na obiad, na który podano zupę na zimno i mus ze świeżych owoców. Wypiła dwie lampki wina, choć wiedziała, że po alkoholu rozboli ją głowa. Isabel jadła z nimi przy jednym stole, ale się nie odzywała. Pedro Pimenta zaś z radosną satysfakcją opowiadał Hannie, które prominentne rodziny w Afryce kupiły od niego białe owczarki. Potem z dumą oznajmił, że co

najmniej dwa wyszkolone w jego hodowli psy zagryzły czarnych włamywaczy, próbujących okraść wyglądające jak pałace wille białych ludzi. Isabel nie reagowała na jego słowa. Na jej twarzy malował się cierpki uśmiech, którzy najwyraźniej nigdy nie znikał.

Hanna wróciła do miasta późnym popołudniem. Słońce schowało się za chmurami burzowymi, ciągnącymi ponad górami w stronę Suazi.

Rozmowa z Pedrem Pimentą wpędziła ją w jeszcze większą niepewność. Hanna nie wierzyła w zapewnienia Portugalczyka, że nie wprowadzi żadnych zmian w O Paraiso. Nie łudziła się, że będzie traktował kobiety lepiej niż swoje psy czy krokodyle czekające w sadzawkach na śmierć i oskórowanie. Pedro Pimenta był człowiekiem, który czerpał przyjemność z rzucania żywej owcy w paszczę krokodyla.

Hanna siedziała w aucie przy otwartym oknie. Wiatr szarpał szalem, którym zakryła usta, by nie wdychać unoszącego się nad drogą czerwonego pyłu.

Poczuła nagłą chęć, by kazać szoferowi pojechać na południową granicę kraju. Nic jednak nie powiedziała, zamknęła oczy i wyobraziła sobie rzekę o przejrzystej, brunatnej wodzie.

Gdy tylko wysiadła pod domem, Julietta otworzyła jej drzwi i odebrała od niej kapelusz. Hanna stwierdziła nagle, że rozmowa z Pedrem

Pimentą mimo wszystko dała jej odpowiedź. Dotarło do niej, że ponosi odpowiedzialność za kobiety, które przekazał jej w spadku mąż. Mogła sprostać temu zadaniu tylko wówczas, jeśli weźmie odpowiedzialność za siebie samą.

Po nocnym deszczu, który zalał ulice miasta, w drzwiach O Paraiso zjawił się trzęsący się, przemoczony mężczyzna i poprosił o rozmowę z właścicielką. Hannę zaniepokoiło, że nieznajomy wiedział, iż przybytek należy do kobiety, oraz że nie był on klientem burdelu. Coraz częściej martwiło ją to, co niespodziewane, zwłaszcza ludzie, którzy przychodzili nieumówieni, zwracając się w jakiejś niejasnej sprawie.

Akurat tego ranka Hanna była w trakcie spotkania z kasjerem Eberem. Omawiali wydatki na naprawy konieczne po awanturze wszczętej przez dwóch fińskich marynarzy. Połamali oni większą część mebli w holu, w którym dziewczyny witały klientów. Dopiero żołnierze wezwani z pobliskiego garnizonu zdołali ich okiełznać i skuć. Nikt nie umiał wyjaśnić, co spowodowało ten atak. Zwłaszcza pijani Finowie, którzy nie znali ani słowa w żadnym języku poza swoim, dziwnie brzmiącym dla Hanny i zupełnie niezrozumiałym. Jednak po ostatniej takiej aferze Felicja wyjaśniła Hannie, że mężczyźni zwykle wpadają w szał, kiedy zdarza im się chwilowa impotencja. Klienci nie znali innego ujścia dla rozsadzającej ich energii niż złość. To dlatego rozbijali sprzęty i łamali meble, zupełnie jakby to one ponosiły winę za ich

niemoc.

Kapitan fińskiego statku zapłacił kaucję za swoich marynarzy i czym prędzej odpłynął do Goa, gdzie znajdował się cel ich rejsu. Pieniądze, które zostawił, w zupełności wystarczyły na konieczne naprawy. Właśnie wtedy Hanna wpadła na pomysł, żeby sporządzić regulamin dla klientów, bardzo szczegółowo określający koszty ewentualnych napraw.

Nagle w drzwiach do gabinetu stanął Judasz, kłaniając się nisko i bełkocząc, że w holu czeka jakiś mężczyzna. Hanna nigdy wcześniej nie słyszała jego nazwiska, Emanuel Roberto.

Poleciała Judaszowi, by kazał mężczyźnie poczekać, aż ona skończy naradę z Eberem, który pracował skrupulatnie, lecz bardzo wolno. Bywało, że jego pedantyczne, niemal lunatyczne zapisywanie wszystkiego skrzypiącym piórem doprowadzało Hannę na skraj wybuchu. Zawsze jednak była w stanie okiełznać swoją niecierpliwość. Wiedziała, że musi się zdać na tego człowieka, jeśli chce panować nad swoimi interesami.

Kiedy wreszcie Eber opuścił gabinet, kłaniając się w pas na pożegnanie, Hanna zavezwała tajemniczego Emanuela Roberta. Mężczyzna poruszał się chwiejnym krokiem i na dodatek jego twarz wykrzywiała się pod wpływem dziwnych skurczy. W pierwszej chwili Hanna pomyślała, że

jest pijany, i miała zamiar go odprawić, nawet nie wysłuchawszy, w jakiej przyszedł sprawie. Gdy jednak drżącą dłonią podał jej wizytówkę, zrozumiała, że musi być dla niego miła. Emanuel Roberto okazał się zastępcą naczelnika portugalskiego urzędu skarbowego w mieście. Hanna uprzejmie zaproponowała, by usiadł, kazała podać kawę i miskę owoców. Mężczyzna wydzielał dziwny zapach, przywodzący na myśl fermentujące drożdże. Hanna musiała dyskretnie oddychać przez usta.

Gdy podano kawę, Emanuel Roberto nie podniósł filiżanki ze stołu, ale pochylił się nad nią i siorbał płyn jak zwierzę przy wodopoju.

W przeciwieństwie do niespokojnego, trzęsącego się ciała głos miał zdecydowany.

– Miałem zaszczyt zajmować się podatkami senhora Vaza przez wszystkie lata, odkąd stał się właścicielem tego burdelu – rozpoczął.

Hanna zauważyła, że mężczyzna wypowiada słowo „burdel” jakby z trudem.

– Zgodnie z informacjami, jakie przekazał mi senhor Andrade – podjął po chwili – teraz to pani, senhora, jest właścicielką przybytku. O ile dobrze rozumiem, senhor Andrade dalej prowadzi ten interes, jak to robił wcześniej, prawda?

Emanuel Roberto zamilkł i przyjrzał się Hannie z uwagą, jakby czekał na odpowiedź. Hanna z trudem powstrzymała się od śmiechu. Tiki na

twarży mężczyzny komicznie kontrastowały z grobowym tonem jego głosu. Emanuel Roberto wyglądał tak, jakby złożono go z zupełnie niepasujących elementów.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Emanuel Roberto wyjął z teczki kilka pism urzędowych, sporządzonych na eleganckim, sztywnym papierze, ozdobionych pieczęcią i paroma stemplami.

– Oto decyzja dotycząca podatku za ubiegły rok – oznajmił. – Ponieważ przez większość roku podatkowego płatnikiem był pani mąż, przedstawiamy pani do kontroli nasze wyliczenia. Zapewniam panią, że od dawna, zapewne tak samo będzie i w tym roku, pani burdel ma do zapłacenia największy podatek w całej portugalskiej kolonii. Jako urzędnik państwowy mogę tylko ubolewać nad faktem, że burdel okazuje się interesem przynoszącym największe zyski dla naszego kraju. Ponieważ wywołuje to oburzenie wśród moich kolegów w Lizbonie, opisujemy pani działalność jako „usługi hotelarskie”. Ale tak czy inaczej – pani interes przynosi największy zysk w kraju. Pozostaje mi tylko pani pogratulować, senhora.

Emanuel Roberto podsunął jej papiery do przeczytania. Hanna bardziej się domyślała ich treści, niż rozumiała biurokratyczny język. Jednak kolumny z liczbami wyglądały przejrzysto i Hanna szybko przeliczyła wszystko na korony szwedzkie; wyszło jej, że zapłaci urzędowi gigantyczny

podatek.

Aż zakręciło jej się w głowie na tę myśl. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że spadek po mężu zapewnił jej bezpieczną przyszłość. Była nieprawdopodobnie bogata. Na dodatek nie tylko tutaj, w tym dalekim kraju. Nie zmieniłoby się to nawet wówczas, gdyby wróciła do Szwecji.

Emanuel Roberto wstał i skłonił się nisko.

– Zostawiam pani te pisma, senhora – powiedział. – Jeśli będzie miała pani do nich jakieś uwagi, proszę zgłosić je do mnie w ciągu czternastu dni. Zapewniam panią jednak, że wszystko jest tak jak powinno, dokładnie wyliczone i opisane.

Mężczyzna w końcu wyszedł, ukłoniwszy się po raz drugi. Hanna długo siedziała zamyślona. Gdy wreszcie wstała, postanowiła wrócić do domu na wzgórzu i przemyśleć, co oznacza dla niej to bogactwo.

Wychodząc, zauważyła, jak jedna z dziewcząt znika za drzwiami z klientem, który zjawił się o wyjątkowo wczesnej porze. Widziała mężczyznę tylko przez moment, na dodatek od tyłu.

Mimo to miała całkowitą pewność. Za zamkniętymi drzwiami zniknął kapitan Svartman.

Paw krzyczał przeraźliwie. Stał na środku pustej ulicy, w plamie słońca przeciskającego się przez szczelinę między dwoma budynkami o werandach, które ciągnęły się na długość całego pierwszego piętra. Pod nimi, na parterze, hinduscy sprzedawcy zaczęli otwierać już swoje sklepiki, leniwie, a wręcz ociężale. Wszystko wokół pawia było pogrążone w cieniu, zupełnie jakby ptak stał na scenie w świetle pojedynczego reflektora.

Krzyknął jeszcze raz, potem zabrał się do wydziobywania ziarenek widocznych tylko dla pawiego oka.

Hanna przystanąła w pół kroku. Sparaliżowała ją myśl, że w jej burdelu zjawił się kapitan Svartman. Nie umiała ocenić, czy odczuwa radość na widok kogoś z jej poprzedniego życia, czy też wręcz przeciwnie – boi się z nim spotkać.

Przede wszystkim odczuwała zaskoczenie. Kapitan Svartman zawsze był dla niej wycofanym i stanowczym mężczyzną, którego jedyną pasję stanowiło pielęgnowanie kwiatów w kajucie. Nikomu nie było wolno się do nich zbliżać. Hanna nigdy by nie pomyślała, że wpadnie mu do głowy pójść na dziwki w jakimś afrykańskim porcie. Podejrzewała, że przyszedł o tak wczesnej porze, nie chcąc ryzykować spotkania z którymś ze swoich

marynarzy.

Wspomnienie podróży statkiem sprawiło, że zapragnęła pójść na zakupy. Wyszła z hotelu i udała się do portu, zabierając jednego ze strażników, wcześniej śpiącego w kucki pod ścianą. Hinduscy handlarze przyglądali jej się z zaciekawieniem, choć dyskretnie. Hanna już dawno zdała sobie sprawę, że ludzie w mieście wiedzą, kim jest. Od tego czasu odczuwała coś w rodzaju zenującej satysfakcji, że nie jest nikomu nieznaną dziewczyną. Dlatego ubierała się bardzo starannie przed każdą przechadzką między domem a O Paraiso.

Jeszcze w trakcie krótkiego małżeństwa z senhorem Vazem miała dwie krawcowe, zajmujące się szyciem dla niej strojów. Teraz zatrudniła trzecią, która w tajemniczy sposób trafiła do miasta po wielu latach spędzonych w renomowanych, modnych kręgach w Paryżu. Krążyła plotka o sprzeniewierzeniu pieniędzy lub czymś jeszcze gorszym. Mimo to kobieta była utalentowaną krawcową i Hanna nie wahała się płacić jej tyle, ile ta od niej żądała.

Gdy Hanna dotarła do portu, stanęła jak wryta i zaparło jej dech. Nieco dalej przy nabrzeżu stał dobrze jej znany statek. Schowała się w cieniu jednego ze zbudowanych niedawno ogromnych dźwigów. Czarni robotnicy, odziani w podarte spodnie i bosi, stali wokół białego brygadzysty,

który rozdzielał pracę przy rozładunku. Hannie przyszło nagle na myśl, że brygadzysta jest niczym duchowny, stojący pośród wiernych i przekazujący im prawdy jakiejś sekciarskiej religii.

Jednak cała jej uwaga była wciąż skupiona na statku. Hannę zalała fala sprzecznych myśli i uczuć. Właśnie kończono wyładowywać z „Lovisy” drewno, Hanna doszła więc do wniosku, że statek popłynie teraz do Szwecji. Mogłaby wrócić na jego pokładzie jako pasażerka, zostawić tutejsze życie za sobą, sprzedać burdel jeszcze tego samego dnia. Oczywiście straciłaby mnóstwo pieniędzy na takiej transakcji, ale i tak pozostałaby bardzo bogatą kobietą.

Jednak widok „Lovisy” rzucił inne światło na tak gorące do niedawna u Hanny pragnienie powrotu do Szwecji. Dokąd miałyby wracać? Czyż jej obecne życie nie wykracza ponad niegdysiejsze, najśmielsze nawet marzenia?

Wróciła do O Paraiso, niezdecydowana jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Wchodząc do holu, zastanawiała się, czy powinna się ujawnić przed kapitanem Svartmanem, ale nie zdążyła dojść do żadnego wniosku, bo gdy przechodziła obok pokoju Felicji, zmierzając na dziedziniec z jakarandą, drzwi numeru się otworzyły i kapitan stanął z Hanną twarzą w twarz.

W pierwszej chwili zdawało się, że jej nie poznaje. Zawahał się przez moment. Później sobie

przypomniał.

– Ty tutaj? – odezwał się zdziwiony.

– Mogłabym powiedzieć to samo – odparła. – Kapitan Svartman tu?

Spojrzeli sobie w oczy. Hannie przemknęło przez myśl, że ma nad kapitanem nieznaczną przewagę, bo on nie mógł wiedzieć, co ona robi w burdelu. Zapewne przyszło mu do głowy to, co najoczywistsze: że Hanna obsługuje tutaj mężczyzn za pieniądze. Jednak ta myśl musiała być dla niego nieprawdopodobna.

Hanna uznała za konieczne obronić się przed podobnym podejrzeniem. Pokręciła głową.

– To nie tak, jak kapitan myśli – powiedziała.

Skinęła dłonią na znak, żeby usiadł z nią na ławce pod jakarandą. Chwilę później zjawił się Zé i bezszelestnie usiadł przy swoim pianinie. Widać było po nim, że tęskni za Carlosem, który był jego jedynym przyjacielem, odkąd zatrzymało się serce senhora Vaza. Czasem Hanna miała wrażenie, że Zé spogląda na nią jak na potwora, który najpierw odebrał mu brata, a potem szympansa, jego jedyną pociechę.

Hanna i kapitan Svartman pili kawę pod krzewem.

– Zastanawiam się, które z nas jest bardziej zdziwione – odezwała się Hanna. – Kapitan, że widzi tu mnie, czy ja, że widzę tu kapitana.

– Byłem ciekaw, co się z tobą stało. Szukaliśmy

cię wtedy przez cały dzień. Potem musieliśmy płynąć dalej.

– Wydawało mi się, że Lundmark cały czas jest na pokładzie – odparła Hanna. – Musiałam uciec. Nie było innego wyjścia.

Kapitan Svartman pokiwał głową z powagą. Potem się uśmiechnął.

– Oczywiście cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu – powiedział.

– Zaprzyjaźniłam się z żoną właściciela tego miejsca. Niedawno zmarł, a ona ciężko zachorowała. Poprosiła, żebym przypilnowała interesu i zajęła się finansami, a ja się zgodziłam, mimo że brzydzę się tego, co się tutaj wyprawia.

Uwierzył mi? pomyślała. Nie umiała nic wyczytać z jego twarzy. Obrączka na jej lewej dłoni mogła być przecież pamiątką po zmarłym Lundmarku.

– Co się stało? – spytał kapitan, gdy zastanowił się nad jej słowami. Zabrzmiało to tak, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że spotkał zbiegłą z jego pokładu wdowę po pierwszym oficerze.

– Na początku wynajęłam pokój w tym hotelu – wyjaśniła. – Kapitan wypłacił mi przecież odszkodowanie. Potem przyjaciółka załatwiła mi pracę gospodyni w domu starszego człowieka. Ale przez cały czas czekałam na okazję powrotu do domu.

– Więc dlaczego wciąż tu jesteś?

– Trzyma mnie żałoba po Lundmarku. I strach przed morzem.

– Być może cię rozumiem – odparł powoli Svartman.

Hanna czuła się źle, opowiadając kapitanowi kłamstwa, więc spróbowała zmienić temat. Wróciła do nocy, kiedy pod osłoną ciemności wymknęła się z pokładu „Lovisy”.

– Co kapitan wtedy o mnie myślał? – spytała.

– Przyszło mi do głowy, że utonęłaś.

– Przypadkiem czy z rozpaczy?

– Chyba rozważałem obie możliwości. Ale na pokładzie byli też inni, którzy wymyślali jeszcze dziwniejsze scenariusze. Że wpadłaś w ręce handlarzy niewolnikami, że na pokład dostał się jadowity wąż, który cię ukąsił, a ty straciłaś przytomność i wypadłaś za burtę.

– Więc nikt nie pomyślał, że uciekłam?

Svartman zrobił zrezygnowaną minę i pokiwał głową.

– Muszę przyznać, że nawet nie przeszło mi to przez myśl. A przecież nie raz, nie dwa jako kapitan widziałem, jak marynarz znika w jakimś porcie.

Hanna zapytała, jak przebiegła dalsza podróż i powrót do Szwecji. Czy w drodze powrotnej również tutaj byli? Svartman odpowiedział, że zawinęli tylko do Port Elizabeth, żeby zabrać towar dla odbiorcy we francuskim porcie Rouen.

Potem Hanna spytała go o Halvrosena i innych marynarzy, w końcu też o Forsmana i Bertę. Svartman odpowiadał lakonicznie, a zaraz po tym nagle stwierdził, że mu się spieszy. Hanna podejrzewała, że kapitan nie chce przesiadywać w burdelu dłużej niż to konieczne. Jego wizyta u Felicji odbyła się w tajemnicy przed załogą i najwyraźniej Svartman chciał, żeby tak zostało.

Hanna stwierdziła z żalem, że kapitan Svartman jest taki sam jak wszyscy mężczyźni. Ukrywał prawdę o sobie, nikomu nie mówił, jakimi ścieżkami podąża pod osłoną nocy lub nad ranem.

Ale czy ja jestem od niego lepsza! zastanowiła się po chwili. Czy i ja nie przemykam niepostrzeżenie? A teraz siedzimy tu razem, pod jakarandą, i oboje opowiedzieliśmy sobie same półprawdy.

– Jak długo tu zostaniecie? – spytała wreszcie.

– Wypływamy jutro – odparł kapitan.

– Chciałabym odwiedzić statek. Nie powiem nikomu, że spotkaliśmy się w tym miejscu.

Dostrzegła w oczach Svartmana wahanie. Widać zastanawiał się, czy może jej zaufać. Hanna spoglądała mu prosto w oczy. Teraz byli sobie równi, Hanna nie była już wystraszoną kucharką, która rok temu kłaniała mu się z szacunkiem.

Podniosła się z ławki na znak, że rozmowa dobiegła końca, i odprowadziła kapitana do wyjścia.

Rozstali się na ulicy.

– Dzisiejsze popołudnie to dobra pora – powiedział. – Teraz mam do załatwienia sporo spraw, a potem muszę dopilnować załadunku.

Paw gdzieś sobie poszedł. Na zalanej słońcem ulicy nie było poza nimi nikogo.

Hanna podała mu rękę na pożegnanie.

– Przyjdę po południu – oznajmiła. – Jeśli to kapitanowi pasuje.

– Będę czekał.

Svartman skłonił się grzecznie, ale w jego oczach znów dało się dostrzec wahanie.

– Peltonen nie żyje – powiedział. – Wypadł za burtę pewnej nocy, u wybrzeży Egiptu. Dopiero rano odkryliśmy, że go nie ma.

– Peltonen zmierzył głębokość grobu Lundmarka – odparła zamyślonym tonem Hanna. – 1935 metrów.

Svartman przytaknął. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Skręcił w najbliższą przecznicę.

Nie wraca do portu najkrótszą drogą, pomyślała Hanna. Zniknął za rogiem, żeby jak najszybciej uciec przed moim wzrokiem. Nagle zastanowiło ją, czy załoga „Lovisy” spotkała po drodze górę lodową.

W końcu Hanna odwróciła się i ruszyła do domu z białego kamienia.

Dotarwszy na miejsce, usiadła w gabinecie, żeby napisać zaległe listy.

Przeczytawszy list do Elin, Hanna sama była zaskoczona tym, co napisała. Zamiast streścić podróż do Afryki, napisała coś, co przypominało baśń. Jedyńm, co nie odbiegało od prawdy, był opis tego, jak poznała Lundmarka, wyszła za niego za mąż i jak wkrótce po tym musiała go pochować. Lecz większość tego, co się stało później, ucieczkę z pokładu „Lovisy” i spotkanie z właścicielem burdelu, senhorem Vazem, Hanna pominęła milczeniem. Napisała tylko, że mieszka w Afryce, że dobrze się czuje i za jakiś czas zamierza wrócić do domu. Wyjaśniła, że zeszła na ląd w afrykańskim porcie i nie kontynuowała podróży do Australii z powodu choroby, z której zresztą już się wyleczyła.

Odsunęła list do matki ze wstydem. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów, które wolał przemilczeć kapitan. Zrozumiała, jakie wieści Svartman musiał przekazać Forsmanowi, kiedy wrócił do portu w Sundsvall. Oraz jaka wieść musiała później dotrzeć do odległej doliny w górach.

Elin usłyszała, że jej córka prawdopodobnie nie żyje. Od wielu miesięcy matka Hanny pogrążona była w żalu po stracie córki, zaginionej w dalekim obcym kraju. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Nikt nie umiał wskazać jej grobu. O ile w ogóle

gdzieś był jej grób.

Hanna rozpląkała się na tę myśl. Zaraz po tym spostrzegła, że Julietta przygląda się jej przez szparę w drzwiach. Chwyciła przycisk z brązu do papieru, należący wcześniej do senhora Vaza, i cisnęła nim w kierunku dziewczyny. Julietta uchyliła się i szybko zamknęła drzwi.

Hanna chciała popłakać w spokoju, ale czuła, że nie ma na to czasu. Podarła list do Elin i drżącą ręką zaczęła pisać nowy.

„Żyję”, zapisała. To była najważniejsza wiadomość. „Żyję”, powtórzyła po chwili w tej samej linijce. Nowy list w całości brzmiał jak błaganie, by Elin uwierzyła w jej słowa. „Żyję, nie umarłam, jak podejrzewał kapitan Svartman. Zeszłam na ląd, bo byłam chora z rozpacz, i zostałam w afrykańskim porcie, kiedy «Lovisa» wyruszyła w dalszą drogę do Australii. Niedługo wrócę do domu. Żyję. To przecież najważniejsze. Jestem cała i zdrowa”.

Tak brzmiał list, który Hanna chciała wysłać do Elin. Podobne słowa, choć bardziej oględne, napisała w dwóch innych listach, jednym do Forsmana i drugim do Berty. „Żyję. Niebawem wrócę do domu”.

Skończywszy pisać, wsadziła do kopert wszystkie trzy listy i zaadresowała je najpiękniej, jak potrafiła. Ona i Berta wspólnie nauczyły się pisać i czytać. Był to dla nich ogromny, niemal

symboliczny krok w górę na szczeblach drabiny społecznej. Mimo to Hanna wciąż kaligrafowała z trudem, bojąc się popełnić jakiś błąd. Teraz jednak nie dbała o to, wiedząc, że jej list będzie najważniejszą wiadomością w życiu Elin. Matka dowie się, że jej córka wróciła z krainy umarłych.

Popołudniem Hanna wezwała samochód senhora Andradego i kazała się zawieźć do portu. Długo dobierała garderobę, stojąc przed dużym lustrem w holu. Po drodze wpadła na pewien pomysł i poprosiła kierowcę, by pojechał okreśną drogą i zatrzymał się przy atelier fotografa Picarda. Senhor Picard był Francuzem, który otworzył swoją pracownię jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Przychodzili do niego zamożni mieszkańcy miasta. Fotograf miał zdeformowaną twarz po tym, jak ranił go granat w wojnie francusko-pruskiej w roku 1870, lecz mimo brzydoty ujmował ludzi talentem i uprzejmością. Odmawiał fotografowania czarnych, chyba że występowali w roli służących albo mieli stanowić tło dla stojących na pierwszym planie białych.

Picard przywitał Hannę niskim ukłonem i zapewnił, że sfotografuje ją z największą przyjemnością. Z atelier wychodziła właśnie para narzeczonych ze wspólną fotografią na pamiątkę zaręczyn. Hanna zażyczyła sobie zdjęcie na stojąco, z kapeluszem na głowie, w długich rękawiczkach i ze złożoną parasolką, opartą o podłogę.

Fotograf zapytał grzecznie, dla kogo Hanna pragnie się sfotografować. Dobrze wiedział, kim jest jego klientka, jak każdy w mieście słyszał o jej krótkim małżeństwie z właścicielem burdelu, senhorem Vazem. Hanna wiedziała z kolei, że z jakiegoś powodu Picard uczęszcza wyłącznie do przybytku prowadzonego przez jednego z konkurentów.

– Fotografia będzie dla mojej matki – wyjaśniła.

– Doskonale rozumiem – odparł grzecznie fotograf. – Będzie to godna poza. Dowód na to, że na kontynencie afrykańskim wszystko jest w najlepszym porządku, a życie tu gwarantuje bogactwo i rozwój.

Ustawił ją obok dużego lustra oraz krzesła z pięknymi poręczami. Wypróbował jeszcze kilka innych ujęć, ostatecznie odsunął na bok stolik z kompozycją kwiatową. W końcu zrobił zdjęcie i obiecał, że natychmiast przygotowuje trzy odbitki. Hanna zapłaciła dwukrotność żądanej przez Picarda sumy. Zaraz po tym ustalili, że goniec dostarczy odbitki na statek, kiedy tylko wyschną.

Kapitan Svartman czekał na Hannę przy trapie. Dostrzegła, że mężczyzna ma świeżo wyczyszczony mundur i czapkę. Idąc w górę, na ułamek sekundy przypomniała sobie uczucie towarzyszące jej w chwili, gdy wymykała się nocą z „Lovisy”. Przywitała się z kapitanem. Kilku marynarzy szplajsowało liny, inni reperowali kłapę od luku.

Hanna nie rozpoznała żadnego z nich. Kapitan domyślił się, że Hanna rozgląda się za jakąś znajomą twarzą.

– Mam nową załogę – powiedział. – Po śmierci Lundmarka rozniosła się plotka, że jako kapitan przynoszę nieszczęście. Zniknięcie Peltonena dodatkowo pogorszyło sprawę. Nowi marynarze są dobrzy. Nie muszę wszystkiego pilnować i wcale nie tęsknię za poprzednią załogą. Pływam z żywymi ludźmi, nie ze zmarłymi.

Zaprowadził Hannę do swojej kajuty. Po drodze zobaczyła kucharza. Młody chłopak o blond włosach wychylił głowę przez drzwi kambuza.

– To Estończyk – oznajmił Svartman, skinąwszy w jego stronę. – Gotuje całkiem nieźle, poza tym jest spokojny i schludny.

Usiedli w kajucie i po chwili wystraszony chłopak w białej marynarce przyniósł im herbatę. Hanna zauważyła, że kwiaty w doniczkach wciąż są starannie utrzymywane.

– Muszę wiedzieć, co kapitan powiedział Jonathanowi Forsmanowi – odezwała się Hanna.

Svartman pokiwał głową. Spodziewał się tego pytania.

– Powiedziałem mu to, co sam wówczas wiedziałem – odparł. – Że zniknęłaś z pokładu w afrykańskim porcie, tuż przed ostatnim etapem podróży do Australii. I że szukaliśmy cię całą dobę, ale potem musieliśmy wypłynąć. Powiedziałem, że

nie wiem, co się z tobą stało. Może żyjesz, ale równie dobrze możesz być martwa. Nie miałem pojęcia.

– Jak Forsman zareagował?

– Zdenerwował się i zaczął się trząść. Bałem się, że z nerwów dostanie wylewu. Ale to nie na mnie się denerwował. Był zły na śmierć. I dlatego że nie wróciłaś. Myślę, że naprawdę czuł się za ciebie odpowiedzialny.

– A czy kapitan wie, co Forsman powiedział mojej matce?

Svartman pokręcił głową.

– Myślę, że próbował dodać jej otuchy. Ale chyba powinnaś się liczyć z tym, że matka musiała się zmierzyć z myślą, że jej córka nie żyje i została pogrzebana w jakimś dalekim kraju.

Hanna poczuła ucisk w gardle i do oczu nabiegły jej łzy. Nie chciała płakać przy kapitanie. Szybko zebrała się w sobie.

Pili herbatę nalewaną do filiżanek przez chłopca, któremu trzęsły się ręce. Hanna pamiętała kapitański serwis do herbaty z rejsu na pokładzie „Lovisy”.

– Cóż za okropny kontynent – odezwał się nagle Svartman. – Nie mogę się nadziwić, że wytrzymujesz tutaj tak długo.

– Nie wszystko jest tu okropne – odparła Hanna. – Czasem doskwiera upał, ale przez większość czasu panuje przyjemne ciepło. Nie ma tu czegoś

takiego jak chłód. Próbowałam wytłumaczyć kilku czarnym, co to jest śnieg. Mówiłam, że to tak, jakby z nieba spadał zarazem lód i lekkie piórka, ale oni nie są w stanie sobie tego wyobrazić.

– Ale ci ludzie, mam na myśli czarnych, jak oni w ogóle żyją? Aż drzę na samą myśl.

– Niewiele wiem o ich świecie. Wiodą swoje życie poza miastem. Przychodzą wcześniej rano, wyłaniając się ze słonecznej mgły, żeby być naszymi służącymi i robotnikami. Wieczorem gdzieś znikają.

– Słyszałem, że dochodzi tu do rabunków i napadów. Kiedy przybijamy do afrykańskiego portu, trapu zawsze pilnuje dwóch marynarzy. Inni kapitanowie opowiadają czasem o złodziejach, którzy dostają się na statki wpław.

– Odkąd tu jestem, nie spotkało mnie z ich strony nic złego. Czarni są inni niż my. Nie umiem ocenić, czy są bardziej niebezpieczni. Wątpię w to.

– Czy można im ufać?

– Nie – odparła Hanna, czuła jednak, że mówi to, co chce usłyszeć kapitan. Nagle zapomniała, co sama o tym wszystkim myśli.

Svartman przyglądał się w milczeniu swoim dłoniom.

– To nie zdarza się często – powiedział po chwili namysłu. – Mówię o moich wizytach u czarnych kobiet.

– Oczywiście, że nie – bąknęła Hanna. –

Zdążyłam już zapomnieć, gdzie się spotkaliśmy.

Kapitanowi wyraźnie ulżyło, więc Hanna od razu zrewanżowała się za to, że okazała mu wyrozumiałość.

– Przyszłam tam tylko po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego kasjer nie zjawił się u mnie zeszłego wieczoru – oznajmiła. – Właściwie nigdy tam nie chodzę. Wykonuję swoją pracę w bezpiecznej odległości od tego miejsca. Mieszkam w kamiennym domu, co najmniej takim jak dom Jonathana Forsmana.

Kapitan pokiwał głową. Hanna dostrzegła, że zaimponowało mu to, co powiedziała, choć jednocześnie miała wrażenie, że nie do końca jej wierzy.

Nie ufamy sobie, pomyślała. Podczas rejsu było inaczej.

Nagle zapragnęła jak najszybciej opuścić statek. Położyła trzy listy na stoliku przykręconym do podłogi w kajucie.

– Wkrótce kapitanowi zostaną dostarczone trzy odbitki mojej fotografii. Proszę, by kapitan wręczył po jednej Forsmanowi i Bercie, a trzecią polecił posłać mojej matce.

Hanna otworzyła torebkę i wyjęła kilka portugalskich banknotów. Kapitan odmówił ich przyjęcia. Hanna przyłapała się nagle na tym, że się zastanawia, jaką walutą Svartman zapłacił Felicji. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy wyobraziła sobie

jego nagie ciało leżące na tej pięknej dziewczynie.

Kapitan wyprowadził Hannę na pokład.

– Wkrótce wrócę do Szwecji – powiedziała. – Co jakiś czasu przybijają do portu statki pod szwedzką banderą. Na razie nie mogę wyjechać. Mam obowiązki, dopóki właścicielka O Paraiso nie wyzdrowieje.

– Oczywiście – odparł krótko Svartman.

Nie wierzy mi, przemknęło Hannie przez myśl. A przynajmniej podejrzewa, że coś ukrywam. Bo dlaczego miałby mi wierzyć?

Kapitan odprowadził Hannę do trapu. Chwilę przyglądali się norweskiemu kotu leśnemu, który wszedł na pokład w Sundsvall i od tej pory nie opuszczał statku. Teraz spał w zagłębieniu wielkiego zwoju lin.

– A Berta? – odezwała się nagle Hanna. – Dalej pracuje u Forsmana, prawda?

– Urodziła dziecko – odparł kapitan. – Nie wiem, kto jest jego ojcem, ale Forsman pozwolił jej zostać.

Hanna natychmiast zrozumiała, że ojcem dziecka musi być Jonathan Forsman. W przeciwnym razie nie pozwoliłby Bercie zostać w swoim domu.

Musi być bardzo samotna, pomyślała. Tak samo jak ja. Czy samotność moja i jej czymś się od siebie różnią?

Hanna dostrzegła, że w stronę statku biegnie

czarny chłopak. Trzymał w dłoni jakiś pakunek. Chwilę później odebrała zdjęcia od senhora Picarda. Odpakowali je razem z kapitanem Svartmanem. Czarno-biała fotografia przedstawiała Hannę dokładnie taką, jaka teraz była. Zrozumiała to, patrząc na odbitkę. Ujrzała kobietę wciąż jeszcze bardzo młodą, śmiało patrzącą w obiektyw.

– Forsman i twoja matka bardzo się z nich ucieszą – powiedział kapitan. – Forsman przede wszystkim odczuje ulgę.

Zanim się rozstali przy trapie, Svartman zadał Hannie ostatnie pytanie.

– Co mam im powiedzieć, kiedy spytają, gdzie pracujesz?

– W hotelu. W hotelu Raj.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Hanna nie obejrzała się za siebie, schodząc z pokładu.

Kiedy nazajutrz zaszła do portu, statku już nie było.

Kilka dni później zrobiło się zupełnie bezwietrznie. Morze było gładkie, a kurzu na ulicach nie podnosiła najłżejsza bryza.

Pewnej nocy Hanna przebudziła się gwałtownie, jakby ktoś ją uderzył. Carlos ryknął głośno i zeskoczył z żyrandola na łóżko. Hanna wiedziała, że małpy krzyczą w taki charakterystyczny sposób, kiedy chcą ostrzec stado przed węzem lub innym zagrożeniem. Zapaliła stojącą przy łóżku lampę naftową. Gdy zabłyśło migotliwe światło, Carlos natychmiast się uspokoił. Hanna pomyślała, że przyśnił mu się jakiś koszmar. Bywało, że zwierzak pojękiwał przez sen, a potem przez cały dzień był zamknięty w sobie i wycofany.

Tym razem jednak coś wyraźnie go zaniepokoiło. Wdrapał się na parapet i usiadł w oknie za firanką. Hanna podeszła do niego, odsunęła zasłonę i spojrzała na krótki afrykański świt. Zaraz po tym dostrzegła z niepokojem, że w części portu, w której mieściło się O Paraiso, ponad dachami unosi się dym i niedaleko hotelu strzelają w niebo języki ognia. Otworzyła okno i usłyszała dobiegające z oddali krzyki i nawoływania. Carlos znów wspiął się na żyrandol i nie chciał zejść, mimo że Hanna na niego wołała.

Przyniosła lornetkę i próbowała dostrzec, gdzie

wybuchł pożar, ale było jeszcze za ciemno. Udało jej się jednak dojrzeć, że nie jest to zwykły pożar. Czarni ludzie biegali uzbrojeni w łuki i dzidy. Rzucali kamieniami i płonącymi wiązkami gałęzi w stojących w szyku żołnierzy z portugalskiego garnizonu. Na ziemi leżały ciała zabitych, Hanna nie była w stanie odróżnić, czy są to biali, czy czarni.

Odjęła lornetkę od oczu, próbując odgadnąć, co dzieje się tam w dole. Potem pociągnęła za sznurek dzwonka zdecydowanym ruchem, nie pozostawiając wątpliwości, że wzywa służbę, choć pora była tak wczesna i poza Anaką wszyscy na pewno jeszcze spali.

Chwilę później zjawiła się Julietta, półubrana i nieuczesa. Mimo to Hanna spostrzegła, że dziewczyna zdążyła już się przebudzić. Podejrzewała, że zamieszanie w porcie postawiło na nogi wszystkich domowników, którzy teraz wysłali do niej Juliettę, bo była najmłodsza.

Hanna poprowadziła dziewczynę na werandę.

– Co się tam dzieje? – spytała.

– Ludzie są wściekli – odparła Julietta.

– Jacy ludzie?

– My.

Dziewczyna wypowiedziała ostatnie słowo, robiąc coś, na co nigdy wcześniej się nie odważyła. Spojrzała Hannie prosto w oczy. Hanna odczuła to jak ukłucie żądła. Zrozumiała, że to, co dzieje się

na ulicy, ma coś wspólnego również z nią.

– Dlaczego jesteście wściekli? – zapytała. –
Odpowiedz mi szczerze, nie chcę z ciebie wyciągać
słowa po słowie.

– Bo biały mężczyzna rozbił dzban z wodą
czarnej kobiecie.

Hannę zdenerwowała ta lakoniczna odpowiedź.
Ze złością odprawiła dziewczynę, każąc jej przysłać
do siebie Anakę. Gdy ta się zjawiała, okazała się
jeszcze bardziej tajemnicza niż Julietta.

Hanna ubrała się, rozmyślając, że dobrze się
składa, iż właśnie tego dnia umówił się z wizytą
senhor Andrade. Adwokat miał przynieść
dokumenty do podpisania. Zawsze był najlepiej
zorientowany we wszystkim, co się dzieje w
mieście, nieważne, czy oficjalnie, czy nieoficjalnie.
Jedząc śniadanie i czekając na Andradego, Hanna
co jakiś czas wychodziła na werandę z lornetką. W
porcie wciąż się paliło, zdawało się, że ogień jest w
większej liczbie miejsc; płomienie chowają się za
budynkami, gdzie nie sięgał wzrok. Słyszała jednak
krzyki i suche odgłosy strzałów. Carlos siedział jak
trusia na żyrandolu i śledził wystraszonym
wzrokiem to, co działo się w domu.

Gdy Andrade wreszcie się zjawił, Hanna od razu
zauważyła, że prawnik ma twarz dużo czerwieńszą
niż zwykle, nigdy wcześniej nie widziała go tak
podenerwowanego. Zanim zapytała o cokolwiek,
adwokat zaczął wyjaśniać, co zaszło w porcie tego

ranka. Hanna spostrzegła, że Andrade jest wyjątkowo oschły wobec służby; na dodatek miał ze sobą rewolwer, który położył z trzaskiem na stole. Jak zrelacjonował, zamieszki wybuchły parę godzin temu zupełnie niespodziewanie, w porze, kiedy do miasta zmierzał tłum mieszkających w slumsach robotników. Było jeszcze ciemno, więc czarni próbowali obejść miejsca pilnowane przez wojsko z powodu zakazu przebywania tam po zmroku. Kiedy dotarli do miasta, część z nich pobiegła do najbliższego posterunku policji i podpaliła go, wrzucając do środka zapalone butelki z naftą. Policjanci strzelali do napastników i zaraz po tym rozpętało się krwawe piekło.

– A więc to powstanie – stwierdziła Hanna. – Musieli mieć jakiś powód.

– Naprawdę? – spytał z ironią w głosie Andrade. – Tym czarnym dzikusom nie jest potrzebny żaden powód. Kieruje nimi wrodzona żądza krwi, to ona pcha ich do buntu, który może doprowadzić tylko do kompletnego chaosu.

Hannie trudno było uwierzyć w słowa prawnika. To wszystko nie mogło przecież być aż tak proste, jak on to przedstawiał. Hanna dobrze zapamiętała dzień, w którym statek kapitana przybił do portu w tym mieście z nią na pokładzie. Już wtedy dostrzegła w oczach czarnych udrękę i wrogość. Od początku czuła, że znalazła się na udręczonym kontynencie, gdzie jedynymi ludźmi, którzy czasem

się śmiali – zwykle o wiele za głośno – byli biali ludzie. Hanna wiedziała jednak, że ten śmiech tylko skrywa narastający w nich strach. Przed ciemnością i przed ludźmi, którzy są tutaj od zawsze i których trudno dostrzec po zmroku.

Hanna upierała się, żeby Andrade mówił dalej. Chciała wiedzieć, co wywołało wściekłość czarnych robotników. Adwokat niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Któryś z nich uznał, że spotkała go niesprawiedliwość, i tak pragnął zemsty, że spowodował przelew krwi. Ale niedługo będzie po wszystkim. Jedyne, co w ich wypadku jest pewne, to fakt, że są tchórzliwi. Kiedy robi się niebezpiecznie, uciekają jak pies z podkulonym ogonem.

Andrade chwycił leżący na stole rewolwer.

– Właściwie życzyłbym sobie, żeby nasze dzisiejsze spotkanie odbyło się nazajutrz – powiedział. – Jutro zostanie przywrócony porządek, a najgorsi awanturnicy zastrzeleni albo zamknięci w forcie. Powinienem jak najszybciej tam wrócić. Należę do policji ochotniczej i mam obowiązek pomóc żołnierzom, kiedy zagrożone jest bezpieczeństwo mieszkańców miasta. Mam nadzieję zrobić użytek z tego rewolweru.

W głosie Andradego pobrzmiwał tryumf, co wystraszyło Hannę. Zarazem jednak była bardzo ciekawa, co się dzieje w porcie, zwłaszcza w

pobliżu O Paraiso.

– Jadę z panem – oznajmiła, podnosząc się z krzesła. – Jest to ważniejsze niż podpisywanie papierów.

– Będzie bezpieczniej, jeśli zostanie pani w domu, senhora – odparł adwokat. – Czarnuchy w amoku są niebezpieczne.

– Muszę sprawdzić, co się dzieje w O Paraiso. Odpowiadam za moich pracowników.

Zdecydowanym gestem zarzuciła na ramiona szal, włożyła kapelusz przystrojony pawim piórem i sięgnęła po parasolkę. Andrade zrozumiał, że Hanna nie ustąpi.

Jechali przez dziwnie spokojne ulice. Zmierzający dokądś czarni trzymali się blisko ścian budynków. Nawet straż pożarna miała broń, podobnie jak przemieszczający się w małych grupach biali cywile, gotowi bronić swoich domów w razie rozprzestrzeniania się rozruchów. Przez całą drogę do portu Andrade rozprawiał, co zamierza zrobić, gdy dotrze na miejsce. Hannie robiło się niedobrze na myśl, że tego człowieka cieszy perspektywa zastrzelenia kilku czarnych buntowników.

Jednak wszystko potoczyło się inaczej, niż życzyłby sobie tego adwokat. Gdy wjechali do centrum i szofer skręcił w ulicę wiodącą do O Paraiso, trafili w sam środek starć między portugalskimi żołnierzami a tłumem czarnych

mężczyzn. Uzbrojeni w pałki i sierpy walczyli przeciw bagnetom i karabinom. Atakowali z dziką furją, a w oczach żołnierzy czaił się strach. Samochód Andradego natychmiast oblegli Afrykanie, zaczęli kołysać pojazdem, chcąc go wyrzucić. W powietrzu unosił się zapach płonącej nafty. Hanna poczuła paraliżujący lęk na myśl, że spłonie uwięziona w samochodzie. Zaczęła szarpać klamkę, ale nie mogła się wydostać. Na szczęście tego ranka kierowca nie opuścił dachu. Nagle tuż obok samochodu padły strzały i przyciśnięta do szyby twarz czarnego mężczyzny eksplodowała kawałkami kości i krwią. Hanna wrzasnęła do Andradego, żeby wyjął rewolwer, ale gdy odwróciła się w jego stronę, zobaczyła przerażoną, białą jak kreda twarz, na lnianych spodniach prawnika rosła ciemna plama moczu. Szofer zdołał otworzyć drzwi i wydostać się na zewnątrz, natychmiast porwał go tłum. Hanna była przerażona, bała się, że straci przytomność. Jednak strach przed śmiercią w płonącym samochodzie był silniejszy. Przecisnęła się na przednie siedzenie i wydostała z auta tą samą drogą co kierowca.

Znalazła się w tłumie czarnych ludzi. Poczowała ich zapach, ujrzała z bliska twarze, oczy, noże i pałki. Niespodziewanie przypomniała sobie coś, co kiedyś powiedział jej senhor Vaz: najgorszym, co można zrobić, spotkawszy na drodze lwa, jest ucieczka. Lew rzuci się w pogoń i dopadnie ofiarę,

wgryzając jej się w kark. Hanna wiedziała też, że nie może spojrzeć lwu prosto w oczy. Wbiła wzrok w ziemię i zaczęła powoli przedzierać się przez ludzką masę, przygotowana na to, że w każdej chwili może zostać uderzona pałką lub dźgnięta nożem. W pewnym momencie spostrzegła, że zbliża się do bocznej uliczki. Powstrzymała się, by nie ruszyć biegiem, i dalej szła spokojnym krokiem, z sercem walącym jak młot. Wokół wciąż padały strzały, Hanna trzęsa się ze strachu na każdy ich dźwięk. Zachwiała się i przystanęła na widok leżącego na ulicy mężczyzny z rozplataną klatką piersiową. Ruszyła szybszym krokiem.

Nagle na ulicy pojawił się oddział kawalerii. Spocone konie rżały i stawały dęba, otaczający ją jeszcze przed momentem tłum w jednej chwili się rozbiegł. Ulica wyglądała jak pole bitwy. Obok ciał znajdowały się strzępy nadpalonych szmat i połamane pałki, w słońcu błyszczały łuski pocisków wystrzelonych przez żołnierzy. Wielu zabitych leżało w dziwnych, powykęcanych pozach, niektórzy byli półnadzy. Jakiś mężczyzna wył z bólu albo wściekłości, Hanna nie wiedziała tego na pewno. Biali żołnierze w granatowych mundurach stali z bronią gotową do strzału, jakby bali się, że zabici powstaną z martwych i znów zaatakują. Na ulicę zaczęli powoli wychodzić inni biali. Szybko rosnący tłum gapiów wydał pomruk niezadowolenia. Hannie przemknęło przez myśl, że

nienawiść do czarnych nie została zaspokojona widokiem zabitych i biali domagają się sroższej kary.

Wyjący mężczyzna nagle ucichł. Hanna zawróciła i ruszyła z powrotem do samochodu. Szofer siedział już na swoim miejscu, trzymał dłonie na kierownicy i patrzył w jej stronę, ale jego wzrok był zupełnie nieobecny.

Na tylnym siedzeniu kulił się senhor Andrade. Plama moczu na jego spodniach wysychała. W obu dłoniach trzymał rewolwer, przyciskając go do piersi jak krucyfiks.

Hanna poczuła odrazę. Brzydziła się tchórzostwem Andradego. Zarazem jednak ucieszyła się, że jest cały i zdrowy. Świat to same sprzeczności, pomyślała. Nic nie jest tak proste, jak bym sobie tego życzyła.

Odkryła ze zdziwieniem, że nie porusza jej widok leżących wokół ciał. Na zwłokach zaczynały siadać muchy. Żołnierze ustawili w cieniu zarekwirowane rebeliantom konie i wozy. Zasłaniając usta białymi chustkami, znosili ciała na stosy.

Zupełnie jakby to były zwierzęta, pomyślała Hanna. Świeżo zarżnięte i jeszcze niewypatroszone.

Odeszła w pośpiechu. Andrade zawołał za nią, Hanna nie zrozumiała jego słów.

Zatrzymała się dopiero przed drzwiami O Paraiso.

Siedzące na kanapach czarne kobiety spojrzały na nią, kiedy weszła do środka.

Czuła, że powinna coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę.

Hanna uciekła przed milczeniem dziewcząt, nie mogła też wytrzymać, że patrzyły jej prosto w oczy. Wydarzenia tego ranka były tak straszne i przytłaczające, że w tej chwili Hanna wołała odwrócić wzrok. Wyszła z powrotem na ulicę, gdzie oficer właśnie rozdawał amunicję żołnierzom pilnującym tego kwartału. Hanna go знаła, wojskowy był stałym klientem O Paraiso, więc nie wahała się poprosić go o odwiezienie do domu. Oficer obiecał to zrobić, jak tylko skończy rozdawać amunicję. Hanna usiadła w jego aucie i czekała cierpliwie. Ponieważ dach był opuszczony, rozłożyła parasolkę, żeby osłonić się przed palącym słońcem. Wokół jej głowy krążył rój much, jakby ona też była martwa. Odganiając je, pomyślała, że wszystko, co wydarzyło się tego dnia, jest koszmarem, z którego wreszcie się obudziła.

Po chwili młody oficer usiadł za kierownicą, a miejsce obok zajął żołnierz z bronią gotową do strzału. Gdy dotarli do kamiennego domu, oficer zapytał Hannę, czy ma postawić przed jej drzwiami strażnika. Hanna podziękowała grzecznie, czuła się bezpiecznie u siebie. Poza tym podejrzewała, że oficer nie jest bezinteresowny i w przyszłości będzie chciał korzystać za darmo z usług jej kobiet. Obruszyła się na tę myśl.

Podziękowała raz jeszcze i weszła do domu. Julietta przytrzymała jej drzwi i zaraz odebrała od niej kapelusz, rękawiczki i parasolkę.

Hanna poprosiła ją, żeby poszła z nią na werandę. Nawet tu, na wzgórzu, wciąż było czuć swąd niedawno ugaszonych pożarów. Po chwili Anaka przyniosła karafkę z wodą. Hanna usiadła na kanapie, Julietta stała w odległości paru metrów od niej. Hanna zachęciła ją gestem, żeby usiadła na krześle. Dziewczyna zawahała się, ale zaraz przycupnęła ostrożnie na skraju siedziska.

– Co ich sprowokowało? – spytała Hanna. – Tylko niczego nie zmyślaj. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Julietta zaczęła opowiadać powoli, wiedząc, że Hanna słabo ją rozumie. Mimo to Hanna wiele razy musiała ją prosić, żeby powtórzyła jakieś zdanie, choć Julietta mówiła tego dnia dużo wyraźniej niż zwykle. Hannie przemknęło przez myśl, że robi to dlatego, iż ma do opowiedzenia coś naprawdę ważnego.

Wczesnym rankiem pewna młoda kobieta imieniem Nausica poszła po wodę do studni. Działo się to na obrzeżach Xhipamanhine, jednej z największych czarnych dzielnic. Jak wszystkie kobiety Nausica niosła dzban z wodą na głowie. Naczynie było duże, dwudziestolitrowe, dziewczyna szła ostrożnie ścieżką jak każdego dnia. Julietta jeszcze raz podkreśliła, że działo się to na

skraju dzielnicy. W drodze do domu Nausica spotkała trzech młodych białych mężczyzn. Mieli broń, bo chcieli postrzelać do mew żerujących na pobliskim wysypisku śmieci. Było to podmokłe miejsce, w którym nie mieszkał nikt poza roznoszającymi malarię komarami. Właśnie tam wylęgało się ich najwięcej. Nausica próbowała wyminąć mężczyzn, niosąc ciężki dzban na głowie. Ale gdy była blisko, jeden z chłopaków uderzył w dzban kolbą i rozbił naczynie, a woda wylała się na Nausicę. Dziewczyna przykucnęła ze strachu i skuliła się, objąwszy kolana rękami. Za plecami usłyszała śmiech białych mężczyzn. Całe zajście widziało kilka kobiet pracujących na małych, biednych *machambor*. Dopiero gdy mężczyźni zniknęli, odważyły się podejść do dziewczyny i sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Po chwili okazało się, że był jeszcze jeden świadek zdarzenia, ojciec dziewczyny, Akatapande, który przybiegł na miejsce. Pracował jako maszynista pociągu kursującego między Lourenço Marques a leżącym na południu kraju miastem Ressano Garcia. Właśnie przypadał jeden z dwóch wolnych dni Akatapandego w miesiącu. Upewniwszy się, że Nausica nie jest ranna, od razu chciał rzucić się biegiem za białymi. Nausica i pozostałe kobiety próbowały go powstrzymać, wiedząc, że zostanie pobity albo zastrzelony, bo napastnicy nie przejmą się tym, że ojciec upokorzonej dziewczyny domaga

się sprawiedliwości. Nie udało się go jednak powstrzymać. Akatapande pobiegł ścieżką i dogonił białych młodych mężczyzn, którzy wciąż śmiali się z przemoczonej dziewczyny.

Ojciec Nausiki zaczął ich głośno przeklinać. W pierwszej chwili zignorowali go i dalej szli w stronę plaży. Wówczas Akatapande zastąpił im drogę i uderzył jednego z nich w pierś. Drugi natychmiast walnął czarnego mężczyznę kolbą w głowę, a gdy Akatapande upadł, otrzymał jeszcze jeden cios. Następnie uderzony chłopak przystawił mu strzelbę do skroni i strzelił. Po wszystkim biali mężczyźni spokojnie odeszli, jakby nic się nie stało.

Wiść o śmierci Akatapandego rozniosła się wśród mieszkańców dzielnicy błyskawicznie, tak jak rozchodzą się informacje o najbrutalniejszych i najbardziej poruszających zdarzeniach. Na dodatek wkrótce się okazało, że wezwany na miejsce oficer z fortu postanowił nie wszczynać dochodzenia, bo jeden z trzech białych chłopaków był synem kogoś z otoczenia gubernatora. Wówczas powszechne oburzenie w Xhipamanhine przerodziło się w nienawiść i wybuchły zamieszki.

Hanna była przekonana, że Julietta powiedziała jej prawdę.

Uświadomiła sobie jedną ważną rzecz: tym, co najbardziej wzburzyło czarnych mieszkańców dzielnicy, był fakt, że biali chłopcy nie robili sobie

nic z tego, co się wydarzyło.

Zastrzelony został czarny mężczyzna. To nic takiego.

Julietta podniosła się z krzesła, ale nie opuściła werandy. Hanna spytała dziewczynę, czy ma coś jeszcze do powiedzenia.

– Chciałabym pracować w hotelu – oznajmiła Julietta.

– Nie podoba ci się tutaj?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Nie potrzebujemy pracowników w hotelu – dodała Hanna. – Nikt od dawna nie wynajmuje pokoi.

– Nie to miałam na myśli.

Hanna zdumiała się, gdy do niej dotarło, że Julietta chce pracować jako prostytutka. Chce przesiadywać na kanapie w holu z innymi dziewczętami i czekać na klientów. Zdenerwowało ją to. Julietta była jeszcze dzieckiem. Nie liczyła sobie nawet tylu lat, ile miała Hanna, kiedy opatulona futrami wsiadła do sań Jonathana Forsmana, który zawiózł ją na wybrzeże.

– Czy ty w ogóle byłaś już z mężczyzną? – spytała ze złością.

– Tak.

– Z kim? I kiedy?

Dziewczyna znów milczała. Hanna czuła, że nie dowie się od niej więcej, ale nie miała wątpliwości, że usłyszała prawdę.

Nie wiem nic o czarnych, pomyślała. Ich życie to dla mnie mroczna zagadka i nie potrafię nawet na krok zbliżyć się do jej rozwiązania. Ci ludzie są równie tajemniczy, jak cały ten kontynent, na którym przyszło mi żyć.

– Nie ma mowy – odparła po chwili namysłu. – Jesteś za młoda.

– Felicja miała szesnaście lat, kiedy zaczynała.

– Skąd o tym wiesz?

– Powiedziała mi.

– Nie wiedziałam, że rozmawiasz z kobietami zatrudnionymi w O Paraiso.

– Rozmawiam ze wszystkimi. I wszyscy rozmawiają ze mną.

Hanna poczuła, że rozmowa nie zmierza w dobrym kierunku.

– Będzie tak, jak powiedziałam. Powtarzam po raz ostatni: jesteś na to za młoda.

– Ale Esmeralda jest stara i gruba. Żaden mężczyzna już jej nie chce. Mogę ją zastąpić.

– Skąd wiesz, że mężczyźni jej nie chcą?

– Powiedziała mi.

– Esmeralda? – Hanna zdziwiła się.

– Tak.

Hanna nie miała pewności, czy Julietta mówi jej prawdę. Jednak w kwestii Esmeraldy dziewczyna nie myliła się. Niemłoda już prostytutka ostatnio bardzo się zapuściła. Piła w ukryciu i objadała się tłustymi smażonymi kurczakami, tracąc kontrolę

nad swoją wagą. Niedawno podczas porannego spotkania senhor Eber z przykrością oznajmił Hannie, że Esmeralda od dawna nie zarobiła żadnych pieniędzy. Prawie cały czas spędzała, siedząc beczynn timer na kanapie. Wyglądało na to, że jej ostatnim klientem był pijany marynarz, który zatoczył się i przypadkiem wylądował w jej objęciach, a potem zasnął i został tak do rana, aż wynieśli go strażnicy. Oczywiście musiał zapłacić za noc, z której prawdopodobnie nic nie pamiętał.

Mimo to Hanna nie zamierzała rozmawiać o Esmeraldzie z Juliettą. Wciąż była zdenerwowana z powodu zaskakującej prośby dziewczyny. Odprawiła Juliettę, nie mówiąc nic więcej.

Po południu Hanna wysłała posłańca z wiadomością dla Felicji. Chciała, żeby dziewczyna odwiedziła ją w domu. Skreśliła tylko parę słów i zakleiła kopertę, nie chcąc, żeby ktoś przeczytał wiadomość.

„Muszę z tobą porozmawiać o Esmeraldzie”.

Felicja przysłała wieczorem. Na werandzie wciąż czuć było swąd ugaszonych rano pożarów. Dziewczyna zrelacjonowała Hannie, że uprzątnięto już z ulic ciała, a zamieszki ustały. Uzbrojeni żołnierze wciąż stali na najważniejszych skrzyżowaniach, ale nikt się nie spodziewał, że coś jeszcze się wydarzy. Niestety O Paraiso świeciło pustkami.

Felicja usiadła na krześle w gabinecie Hanny. Ta

wręczyła jej jeszcze jedną kopertę, też zaklejoną.

– Proszę cię o przekazanie tej koperty Nausice, dziewczynie, której zabito ojca.

– Nausica ma szesnaście lat i nie umie czytać – odparła Felicja.

– W kopercie nie ma listu. Są to pieniądze. Na pogrzeb ojca i nowy dzban.

Felicja zawahała się, ale wzięła kopertę i schowała ją za dekoltem. Hannie przemknęło przez myśl, że Felicja podejrzewa, iż jest wystawiana na jakąś próbę.

Nic jednak nie powiedziała, zmieniła temat i zaczęła mówić o Esmeraldzie. Esmeralda przyszła do O Paraiso w wieku dwudziestu lat. Felicja nie wiedziała, gdzie senhor Vaz ją znalazł. Przez pierwszych parę lat Esmeralda była ulubienicą mężczyzn, klienci najczęściej prosili właśnie o nią.

Hanna chciała dowiedzieć się więcej na temat życia Esmeraldy poza burdelem.

– Ma męża i pięcioro dzieci – odparła Felicja. – Miała siódmkę, ale dwoje zmarło. Zostały jej cztery córki i jeden syn. Jest najmłodszy, ma na imię Ultimo. Mąż Esmeraldy nazywa się Pecado i żyje ze sprzedaży ptaków, które łapie w sieć.

– Gdzie oni mieszkają?

– Mają dom w Jardim.

– Czy to blisko miejsca, w którym wybuchły zamieszki?

– Wszystkie zamieszki zaczynają się tam albo w

Xhipamanhine.

– Jak wygląda ten ich dom?

– Jak wszystkie.

– Co to znaczy?

– Rozpadający się, wielokrotnie naprawiany, zbudowany ze wszystkiego, co Pecado zdołał znaleźć.

– Byłaś tam kiedyś?

– Nie, nigdy. Ale i tak wiem.

Hanna zamyśliła się nad słowami Felicji. Czuła, że wszystko, co było to tej pory względnie uporządkowane, nagle zaczyna wymykać się z rąk.

– Co mi radzisz? – zapytała.

Felicja była przygotowana na to pytanie. Wyjęła z kieszeni spódnicy kilka przezroczystych słoiczków napełnionych wodą. W każdym pływał mały biały robak.

– Moim zdaniem Esmeralda powinna rozprawić się ze swoją nadwagą, wtedy klienci do niej wrócą. Da sobie z tym radę. Dobrze wie, że w tej chwili nie ma dla niej miejsca na kanapie w holu.

Felicja pochyliła się nad stołem i podała Hannie słoiczki. W tej samej chwili do pokoju wszedł Carlos i bezszelestnie wspiął się na szafę, w której senhor Vaz trzymał garnitury, koszule i krawaty. Przyglądał się kobietom z uwagą.

– To są larwy tasiemca – wyjaśniła Felicja. – Dała mi je *feticheira*, która wie najlepiej w całym mieście, jak człowiek może się pozbyć tłuszczu.

Esmeralda musi tylko wlać zawartość jednego słoiczka do mleka i wypić. Tasiemiec urośnie w jej brzuchu, może stać się długi nawet na pięć metrów i będzie połykał większość jedzenia. Wkrótce znów zrobi się chuda. Podobno większość tasiemców potrzebuje wielu lat, żeby urosnąć, ale nie ten. Ten gatunek jest inny.

Hanna przyglądała się słoiczkom z obrzydzeniem. Wiedziała jednak, że stanie się tak, jak powiedziała Felicja. Zależało jej na tym, żeby Julietta nie została jedną z tych dziewcząt, na które biali mężczyźni patrzą z wyższością i odrazą.

Nazajutrz rano, kiedy ostatnie zarzewia rozruchów zostały zlikwidowane, zamieciono ulice i pozbierano łuski po nabojach, Hanna wybrała się do O Paraiso na spotkanie z senhorem Eberem. Wcześniej zamieniła parę słów z Felicją, która poinformowała ją, że Esmeralda wypła mleko z larwą jeszcze wieczorem.

Jakiś czas później, kiedy Hanna zmierzała w stronę drzwi, rzuciła okiem na dziedziniec z jakarandą i ujrzała Esmeraldę klęczącą pod drzewem. Przyszło jej na myśl, że jakaranda ma dla niej jakieś wyjątkowe znaczenie. Nie odważyła się jednak zapytać. Nikt spośród białych ludzi, których znała, z pewnością nie miał o tym pojęcia, a od Felicji lub innej czarnej kobiety i tak niczego by się nie dowiedziała. Nieważne, ile usłyszałyby odpowiedzi, żadna niczego by nie wyjaśniła.

W pierwszej chwili Hanna nie wierzyła własnym oczom. Esmeralda naprawdę zaczęła chudnąć.

Była szczuplejsza za każdym razem, kiedy Hanna ją widziała, a senhor Eber zaczął przynosić coraz więcej rachunków od krawcowej, zmuszonej zwięzać ubrania dziewczyny. Hanna wciąż czuła odrazę na wspomnienie białego robaka w słoiku, ale o dziwo brzuch Esmeraldy naprawdę przestał rosnąć, a na jej ciele nie odkładały się nowe warstwy tłuszczu.

Resztę słoiczków z robakami Hanna schowała w szafie senhora Vaza. Co jakiś czas wieczorem mimo obrzydzenia wyjmowała jeden z nich i przyglądała się larwie w świetle lampy. Nie była w stanie pojąć, jak coś tak maleńkiego może urosnąć i mieć aż pięć metrów oraz zmieścić się w ludzkim żołądku i kiszkiach. Po chwili odstawiała słoiczek na miejsce, z dreszczem odrazy.

Carlos zwykle siedział na szafie i uważnie przyglądał się Hannie.

– Co w tym właściwie widzisz? – spytała go.

Szympanś odpowiedział jej cichym sapnięciem, potem ziewnął i podrapał się po brzuchu.

Dwa dni później Esmeralda zniknęła. Wyszła gdzieś nocą i nie wróciła. Felicja widziała ją późnym wieczorem, idącą na spoczynek do pokoju.

Żaden ze strażników nie zauważył, kiedy opuściła hotel. Gdy Hanna spytała Felicję, czy to powód do niepokoju, ta przecząco pokręciła głową. Jednak Hanna miała wrażenie, że dostrzega w jej oczach wahanie.

Wkrótce się okazało, że Esmeralda nie zjawiała się w domu, i wszyscy poważnie się zaniepokoiili.

Inaczej niż zazwyczaj, Hanna spędziła w O Paraiso cały dzień, siedząc na jednej z czerwonych kanap. Jedynymi klientami było paru rosyjskich marynarzy. Wieczorem miał przybyć pociąg z Johannesburga, a w nim sporo Anglików i Burów, przyjeżdżających wyłącznie po to, by korzystać z usług dziewcząt Hanny.

Tuż po trzeciej z ulicy dobiegły podniecone głosy. Hanna przebudziła się z drzemki, skulona w rogu kanapy. Jakiś mężczyzna rozmawiał z jednym ze strażników, ale posługiwał się językiem, którego Hanna nie rozumiała, a nawet nie rozpoznawała. Felicja wyszła z pokoju, odziana w cienki szlafrok, i przyłączyła się do rozmowy.

Po chwili zapadła cisza. Felicja podeszła do Hanny i cała się trzęsąc, oznajmiła, że Esmeralda nie żyje. Jej ciało wypłynęło w porcie. Ktoś natychmiast wezwał *bombeiros*, żeby wyłowili zwłoki topielicy. Hanna od razu pobiegła do portu. Towarzyszył jej strażnik i Felicja, wciąż w szlafroku. Już z oddali było widać zgromadzonych na nabrzeżu gapiów. Dotarli na miejsce w chwili,

gdy ciało Esmeraldy wyławiano z wody. Kobieta była naga. Mimo że sporo schudła, odkąd nosiła w sobie tasiemca, jej ciało wciąż było pulchne i miało gdzieś tam fałdy tłuszczu. Wyławianie nagich zwłok z wody na oczach tłumu wydało się Hannie czymś upokarzającym dla bezbronnej ofiary.

To wygląda zupełnie jak pogrzeb na opak, pomyślała. Kiedyś patrzyłam, jak zatapiają w morzu Lundmarka. Teraz wyciągają z tej samej wody Esmeraldę.

Gubernator zarządził sekcję zwłok wszystkich zmarłych w ostatnich dniach osób, co do których podejrzewano, że mogły zostać zamordowane. Hanna i Felicja podążyły za strażakami do kostnicy, znajdującej się na tyłach szpitala. Gdy otworzono drzwi, ze środka buchnął okropny smród. Patolog, mający przeprowadzić sekcję, stał przed budynkiem i palił papierosa. Hanna przyjrzała się jego brudnym dłoniom i postrzępionemu kołnierzykowi. Przedstawił się jako doktor Meandros, mówił po portugalsku z obcym akcentem. Doktor Meandros pochodził z Grecji. Nikt właściwie nie wiedział, skąd się tutaj wziął, ale mówiono, że zszedł na ląd ze statku, który przybił w okolicach Durbanu. Był dobrym patologiem. Bardzo rzadko się zdarzało, by nie umiał odpowiedzieć na pytanie o przyczynę śmierci danej osoby, oraz orzec, czy śmierć była naturalna, samobójcza, czy też inna.

Doktor Meandros zakasał rękawy, rozgniół niedopałek podeszwą i wszedł do cuchnącej kostnicy. Hanna i Felicja wróciły do O Paraiso riksą, ciągniętą przez mężczyznę o wyjątkowo dużych uszach.

– Dlaczego ona była naga? – spytała Hanna.

– Myślę, że chciała pokazać światu, jaka naprawdę jest – odparła Felicja.

Hanna daremnie próbowała pojąć jej słowa.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Dlaczego miałyby odebrać sobie życie w brudnych wodach portu i na dodatek rozbierać się do naga?

– Nikt nie znalazł jej ubrania.

– Jak mam to rozumieć? Że rozplynęło się w powietrzu? Albo że ktoś je ukradł?

– Wiem tylko tyle, że nie leżało nigdzie na nabrzeżu. Nikt nie widział Esmeraldy idącej nago przez port, nikt nie widział, kiedy wskakiwała do wody. Może wzięła do rąk ciężki kamień, żeby od razu pójść na dno?

– Ale dlaczego nago?

– Może miała na sobie ubranie, kiedy wchodziła do wody, i zaraz je zdjęła?

– Ale dlaczego?

– Może chciała umrzeć w taki sam sposób, w jaki żyła?

Hanna wciąż nie do końca rozumiała słowa Felicji, ale starała się pojąć jej sposób myślenia. Umarła tak, jak żyła? Bez ubrania, obnażona na

oczach całego świata?

Nie zadała więcej pytań. Gdy Felicja wysiadła przed pilnowanymi przez Judasza drzwiami O Paraiso, Hanna poprosiła riksarza, żeby zawiózł ją do domu na wzgórzu. Mężczyzna spływał potem, kiedy dotarli na miejsce. Hanna zapłaciła mu dwa razy tyle, ile powiedział. Nie była to zresztą zawrotna kwota. Ledwie parę escudo.

Julietta czekała na nią w drzwiach. Oczy dziewczyny lśniły z ciekawości. Hanna nie chciała z nią jednak rozmawiać. Podała jej kapelusz i parasolkę, oznajmiając tylko, żeby przyprowadziła do gabinetu doktora Meandrosa, gdy tylko się zjawi. Nie miała wątpliwości, że wszyscy w domu wiedzą już o śmierci Esmeraldy. Wśród czarnych mieszkańców wieści roznosiły się w zawrotnym tempie.

Kiedy weszła do gabinetu, na jej krześle siedział Carlos i wcinał marchewkę. Hanna nie przegoniła go, usiadła na krześle po drugiej stronie biurka i zamknęła oczy.

Obudziła się po paru godzinach. Spała głębokim i spokojnym snem. Czuła, jakby przespała całą noc. Carlos gdzieś sobie poszedł. Hanna wstała i usiadła na swoim krześle za biurkiem. Powoli zaczynała sobie przypominać sen, którzy jej się przyśnił. Na powierzchnię świadomości zaczęły wypływać coraz większe, choć niejasne fragmenty. Był tam Lundmark. Siedział przy pianinie w O Paraiso i

ostrożnie naciskał klawisze. Jakaranda na dziedzińcu była ścięta. Senhor Vaz przechadzał się tu i tam, ubrany w smoking, paląc cygaro, które pachniało jak dym podczas niedawnych rozruchów. Nie widziała samej siebie w tym śnie, była w nim niewidzialną obserwatorką.

Wezwała Juliettę i poprosiła o herbatę. Potem odesłała dziewczynę, z surową miną, by dać jej do zrozumienia, że nie zapomniała o bezczelnym żądaniu przeniesienia do O Paraiso.

Właśnie wypija ostatni łyk herbaty, kiedy zjawił się doktor Meandros. Gdy wszedł do gabinetu, Hanna zauważyła, że mężczyzna wciąż ma brudne ręce, a jego znoszony krawat szpecą ciemne plamy. Przemknęło jej przez myśl, że to zaschnięta krew.

Usiadł i poprosił o kieliszek wina. Gdy Julietta przyszła z tacą, opróżnił lampkę jednym haustem, jakby to była woda ratująca życie spragnionemu. Potem odstawił kieliszek na tacę i stanowczo odmówił następnego.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że ta kobieta popełniła samobójstwo – oznajmił. – Jej płuca były pełne brudnej wody z portu. Wystarczyłoby orzec, że utonęła, ale zadałem sobie trud i zbadałem zwłoki. Podróż do wnętrza ludzkiego ciała to fascynująca przygoda. Stwierdziłem, że ta kobieta musiała urodzić dużo dzieci, a jej tusza zdołała poczynić szkody w żyłach i w mózgu. Była dużo młodsza, niż się wydaje, patrząc na stan jej

organizmu.

Hanna potraktowała ostatnie słowa doktora jak pytanie.

– Miała około trzydziestu ośmiu lat, chociaż dokładnie nie wiadomo.

– Powinniśmy chyba zazdrościć tego czarnym – odparł z powagą Meandros. – My, biali, znamy datę naszych narodzin, czasem nawet godzinę. Potem często staje się to naszym największym zmartwieniem. Świadomość, że to dokładnie ta chwila... Jestem zdania, że przybliżony czas urodzin to o wiele lepsze rozwiązanie.

Meandros pogrążył się na chwilę w rozmyślaniach, po czym znów się odezwał:

– Jednak najbardziej zaskakującym i najciekawszym odkryciem był fakt, że ta kobieta miała w swoich trzewiach potężnych rozmiarów tasiemca. Nawinałem go na moją łaskę i zmierzyłem. Miał cztery metry i sześćdziesiąt pięć centymetrów.

Hanna skrzywiła się z obrzydzeniem. Doktor Meandros zauważył jej minę i uniósł dłonie w przeproszającym geście.

– Nie musi pani znać wszystkich szczegółów, senhora – oznajmił. – Ciało jest już gotowe do wydania, więc można zorganizować pogrzeb. Wystawiłem akt zgonu, w którym jednoznacznie stwierdziłem, że śmierć nastąpiła bez udziału osób trzecich.

– Biorę na siebie koszty pogrzebu – powiedziała Hanna.

Meandros wstał, zachwiał się, jakby dopadły go zawroty głowy, szybko jednak odzyskał równowagę i wyciągnął rękę na pożegnanie. Hanna odprowadziła go do wyjścia.

– Na co oni najczęściej umierają? – spytała jeszcze, zanim doktor wyszedł.

– Afrykańczycy? W przeciwieństwie do nas rzadko jest to cukrzyca, wylew czy atak serca. Najczęściej umierają od infekcji po ukłuciu komara zakażonego malarią, od zatrucia brudną wodą, z niedożywienia lub z powodu nieurozmaiconej diety albo po prostu z przepracowania. Między sposobami, w jakie umieramy my i oni, jest taka sama przepaść, jaka dzieli nasze światy. Choć tasiemcem może się zarazić każdy.

– Jak to się dzieje?

– Wystarczy połknąć larwę.

– Jak do tego dochodzi?

– Oczywiście nieświadomie. Ale kiedy tasiemiec załęgnie się w jelitach, trudno jest się go pozbyć. Aż do dnia, w którym sam zdecyduje się wyjść. Ponoć zdarza się, że jego larwy wychodzą przez kącik oka. Ale najczęściej wybierają naturalną drogę na zewnątrz.

Hanna nie chciała tego więcej słuchać. Trudno było jej uwierzyć w teorię o larwach wychodzących komuś przez oko. Otworzyła torebkę, by wyjąć

pieniądze i zapłacić lekarzowi, ale Meandros stanowczo odmówił. Uchylił kapelusza i ruszył w drogę do szpitala, gdzie odpowiadał i za umarłych, i za żywych.

Nazajutrz Felicja złożyła wizytę rodzinie Esmeraldy. Tymczasem Hanna zdecydowała, że zamknie O Paraiso na całe popołudnie, na czas pogrzebu. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, mimo że za senhora Vaza zmarło wiele pracujących tam kobiet. Hanna zadbała też, by wszyscy mieli na sobie przyzwoite ubrania. Gdy stanęli przed nią, odziani na czarno, w kapeluszach i woalkach, musiała stwierdzić, że wyglądają niezwykle. Zupełnie jakbyśmy wszyscy byli już martwi, pomyślała. Kondukt umarłych. Zmarli opłakujący zmarłego. Ni stąd, ni zowąd przypomniał jej się prawie pięciometrowy tasiemiec. Walczyła z powracającymi nudnościami.

Wynajęła powóz z przyczepą, w którym były długie ławki. Na cmentarzu czekała na nich Felicja z mężem i dziećmi Esmeraldy. Był nawet stary ojciec zmarłej, Felicja wyszeptała Hannie do ucha jego imię. Wszyscy zebrali się wokół grobu, na którego dnie na grubych kołkach spoczywała trumna.

Cmentarz był podzielony tak samo jak miasto. Najbliżej wejścia wiodącego przez wysoką bramę była część dla białych, z marmurowymi grobowcami w formie sarkofagu i monumentalnymi

mauzoleami. Kawałek dalej mieściła się część dla mniej zamożnych białych, a jeszcze dalej kwatera, gdzie grzebano czarnych. Z mogił sterczały drewniane krzyże lub pochówki nie były oznaczone. Hanna natychmiast zdecydowała, że u Esmeraldy stanie porządny kamienny nagrobek z wykutym na nim imieniem.

Czarny duchowny, odziany w biały strój, przemawiał językiem, którego Hanna nie rozumiała. Co jakiś czas słyszała imię „Esmeralda”, ale poza tym nie знаła ani jednego słowa. Stwierdziła, że powinno tak być. Skoro nie wiedziała nic o tej kobiecie za jej życia, również jej śmierć powinna zostać dla niej tajemnicą.

To my zmusiliśmy ich do takiej egzystencji, pomyślała. To przez nas żyją tak, jak nam to pasuje, a nie im.

W milczeniu przeglądała się dzieciom Esmeraldy oraz jej mężowi, który stał bez ruchu i z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w duchownego. Gdy ceremonia dobiegła końca, Hanna poprosiła Felicję, by przekazała mężowi Esmeraldy, że rodzina będzie regularnie otrzymywała od niej pieniądze. Mężczyzna podszedł do niej i jej podziękował. Miał spoconą dłoń i podał ją lekko, miękko, jak ktoś, kto boi się chwycić czyjąś rękę za mocno.

Hanna wróciła do domu, poprosiwszy senhora Ebera, który również był na pogrzebie, żeby

dopilnował otwarcia O Paraiso i zadbał, by ktoś zajął się czarnymi ubraniami.

Wychodząc z cmentarza, zauważyła, że Julietta rozmawia szeptem z Felicją przy mauzoleum, w którym pochowany był pewien znany portugalski kapitan. Przez moment miała ochotę podejść do dziewczyny i wymierzyć jej policzek, ale porzuciła tę myśl. Wróciwszy do domu, udała się prosto do sypialni i położyła się na łóżku. Spędziła tak parę godzin. Później zjadła część przyniesionego jej posiłku, ale stanął jej przed oczami tasiemiec i odsunęła talerz z obrzydzeniem.

Potem zeszła z lampą naftową do gabinetu, żeby napisać o pogrzebie Esmeraldy w pamiętniku. Na miejscu odkryła, że na jej krześle znów siedzi Carlos. Szympons trzymał jeden ze słoiczków z larwą tasiemca. Hanna stwierdziła z przerażeniem, że naczynie ma zdjętą zakrętkę i jest opróżnione, a nawardze Carlosa porusza się coś białego. Krzyknęła i próbowała dosięgnąć larwę. Wówczas szympons oblizał się i przełknął. Hanna chciała uderzyć Carlosa, ale złapawszy go za głowę, rozwarła mu pysk i wepchnęła mu palce do gardła, żeby wywołać wymioty. Carlos charczał i szarpał się wściekle. Był silny i Hanna nie była w stanie go utrzymać. Po chwili do gabinetu wpadły zaalarmowane krzykiem Anaka i Julietta. Nie było czasu na wyjaśnienia, co szympons połknął, Hanna powiedziała im tylko, że musi to wyrzygać.

Chwyciły go we trzy i tym razem Anaka wepchnęła małpie palce do gardła. W końcu Carlos zaczął wymiotować. Na biurko trysnął strumień półprzetrawionego soku z marchwi.

Hanna nie wiedziała, jak tasiemiec nazywa się po portugalsku. Wyjęła z szafy jeden ze słoiczków, a potem wskazała na opróżnione naczynie na biurku. Przeszukały zawartość żołądka Carlosa, ale żadna z nich nie znalazła larwy. Hanna wpadła we wściekłość. Wysłała Juliettę po dodatkowe lampy, a Anakę zmusiła, by jeszcze raz wepchnęła palce do gardła szympansa. Jednak tym razem z jego żołądka wydostały się tylko cuchnące soki.

Larwy tasiemca nie było.

Carlos wlaźł na żyrandol i nie chciał z niego zejść, mimo że Hanna wabiła go tym, co najbardziej lubił: mlekiem. Próbowwała długo, ale nadaremno. Obrażony zwierzak ani myślał opuszczać bezpiecznej kryjówki.

Julietta i Anaka zabrały się do mycia biurka, a Hanna wyszła na werandę. W dole rozciągało się pograżone w ciemności miasto. Tu i tam migotały ogniska, słychać było bębny. Skądś doleciał czyjś śmiech.

Hanna nagle przypomniała sobie noc, kiedy zdecydowała się opuścić statek kapitana Svartmana. Może przed chwilą zaśmiał się ten sam człowiek, pomyślała. Choć jakim sposobem ja, która dziś jestem kimś zupełnie innym, mogę mieć pewność,

że słyszałam już jego śmiech! Wtedy nie przyszłoby mi nawet do głowy, że pewnego dnia będę się martwiła o małpę, która zżarła larwę tasiemca.

Zasnęła dopiero nad ranem.

O tej porze Carlos od dawna spał na żyrandolu, zwinięty w kłębek jak dziecko.

Hanna znów zwróciła się o pomoc do Felicji. Powiedziała jej, że Carlos połknął larwę tasiemca, lecz Felicja nie miała dla niej innej rady niż ta, by czekać, aż robak sam opuści ciało szympansa.

– Czy nie ma na to lekarstwa? – dopytywała Hanna. – Czy uzdrowicielka nie zna żadnego środka, który mógłby zabić pasożyta we wnętrznościach Carlosa?

Felicja wróciła po paru dniach z odpowiedzią, że *feticheira* nie chce mieć do czynienia z małpami ani innymi zwierzętami. Nie zajmowała się leczeniem słońi ani myszy, jej umiejętności dotyczyły wyłącznie potrzeb ludzi.

Hanna czuła się tak zdesperowana, że wypożyczyła samochód senhora Andradego i kazała się zawieźć do katedry na rozmowę z jednym z katolickich księży. Doszła do wniosku, że z księdzem może porozmawiać o wszystkich sprawach dotyczących ludzkiego życia; i mimo że chodziło jej o zdrowie szympansa, pragnęła przecież ukoić swoje nerwy.

Jadąc do katedry, miała wrażenie, że upał stoi na drodze niczym nieruchoma ściana. Mimo wczesnej pory słońce prażyło tak mocno, że Hannę aż piekły oczy, gdy pospiesznie zmierzała w stronę drzwi do świątyni. Wszedłszy do środka, stała

chwilę bez ruchu, by przyzwyczać wzrok do ciemności. Katedra była pusta, nie licząc kilku odzianych na biało zakonnic klęczących przed obrazem Madonny oraz mężczyzny w białym garniturze, który siedział na ławce z zamkniętymi oczami, jak gdyby spał. W powietrzu unosił się świeży zapach lakieru z pomalowanych drzwi. Hanna podeszła w stronę ołtarza i usiadła na jednym z brązowych krzeseł. Z głębi kościoła wyłoniło się kilka czarnych kobiet, stąpających boso i bezszelestnie po kamiennej posadzce. Miały w rękach szmatki do wycierania kurzu, niektóre zamocowane na długich tyczkach, którymi ostrożnie omiatały wiszące wysoko obrazy świętych.

Po chwili z zakrystii wyszedł ksiądz w czarnej sutannie. Zatrzymał się przed ołtarzem i zaczął wycierać okulary. Hanna wstała z krzesła i podeszła do niego. Kapłan wsunął okulary z powrotem na nos i przyjrzał jej się z uwagą. Był młody, nie miał więcej niż trzydzieści lat. Hanna nagle się zawahała. Jej zdaniem duchowny powinien być stary.

– Senhora wygląda jak ktoś, kto chce się wyspowiadać – powiedział przyjaźnie.

– A jak się wtedy wygląda? – Hanna zdziwiła się. – Na winnego? Czy ma się grzech wymalowany na twarzy?

Słowa księdza trafiły w jej czuły punkt. Nie

mogła przecież zaprzeczyć, że jest właścicielką największego burdelu w mieście i zbija majątek na grzechu. Jednak duchowny nie zareagował na jej niegrzeczny ton.

– W oczach ludzi, którzy chcą się wyświadczyć, zwykle da się wyczytać tęsknotę – odparł spokojnie.

– Chcą się uwolnić.

– Nie chcę się spowiadać. Przyszłam prosić o radę.

Młody ksiądz wyjął z rzędu dwa krzesła i ustawił je naprzeciw. Czarne sprzątaczkę gdzieś zniknęły, mężczyzna wciąż spał w ławce nieopodal.

– Jestem ojciec Leopoldo – powiedział duchowny. – Niedawno przyjechałem z Portugalii.

– Mam na imię Hanna. Mój portugalski nie jest zbyt dobry, muszę mówić powoli i czasem z trudem dobieram słowa. Często też używam ich w niewłaściwym porządku.

Ojciec Leopoldo się uśmiechnął. Hanna zauważyła, że ma ładną twarz, mimo że była blada i tak szczupła, że ktoś mógłby uznać, iż duchowny jest niedożywiony. Może i on nosi żarłocznego tasiemca w swoich trzewiach, pomyślała.

– Skąd pani pochodzi, senhora?

Hanna opowiedziała mu w skrócie swoją historię, zdecydowała jednak nie mówić o O Paraiso. Na koniec wspomniała, że wyszła za mąż za mężczyznę nazwiskiem Vaz, który zmarł nagle niedługo po ślubie.

– A więc mówi senhora, że potrzebuje rady – odezwał się ojciec Leopoldo z powagą, wysłuchawszy jej opowieści. – Ale do tej pory nie usłyszałem żadnego pytania.

Nie mogę mu przecież powiedzieć, że chcę rozmawiać o małpie, która połknęła tasiemca, stwierdziła z rezygnacją Hanna. Pomyśli sobie, że oszalałam albo przysłam tu zakpić z niego i z tego świętego miejsca.

Mimo to po chwili namysłu powiedziała księdzu, co ją sprowadza. Wyjaśniła, że bardzo się przywiązała do szympansa, a on połknął larwę tasiemca, który żyje teraz w jego trzewiach. Ojciec Leopoldo wcale się nie zdenerwował, wyglądało na to, że wierzy w jej słowa, rozumie, co się stało i jej niepokój o zdrowie Carlosa.

– Myślę, że nie powiedziała mi pani wszystkiego, senhora – odezwał się, kiedy Hanna zamilkła. Wciąż mówił spokojnym tonem. – Trudno jest udzielić rady komuś, kto nie powiedział wszystkiego.

Hanna szybko zrozumiała, że młody ksiądz ją przejrzał. Mimo że nazwisko Vaz wcale nie było rzadkie w tym mieście, ojciec Leopoldo musiał słyszeć o właścicielu słynnego domu publicznego. Nie mogła wykluczyć, że wiedział również o tym, iż senhor Vaz na krótko przed śmiercią ożenił się z jakąś Szwedką.

Doszła do wniosku, że nie ma powodu ukrywać

prawdy. Opowiedziała o śmierci Esmeraldy oraz o tym, że po odejściu męża została właścicielką największego domu publicznego w mieście.

– Boję się o życie tego szympana – dodała na zakończenie. – Nie mam też pojęcia, co zrobić z miejscem, które odziedziczyłam i za które ponoszę odpowiedzialność.

Ojciec Leopoldo spojrział na nią zza szkieł bez oprawek. Hanna nie dostrzegła w jego oczach nagany. Widocznie nawet młody ksiądz jest przyzwyczajony do najdziwniejszych historii, pomyślała. Nieważne, czy opowiadane są podczas spowiedzi, czy nie.

– W mieście jest weterynarz, nazywa się Paulo Miranda – odparł duchowny. – Jego klinika mieści się tuż przy Dużym Rynku. Może on będzie wiedział, jak uleczyć pani szympana.

– Ale czy on może zrobić więcej niż uzdrowicielka?

– Nie wiem. Senhora poprosiła mnie o radę, więc jej udzieliłem. Poza tym wydaje mi się, że tutejsza medycyna bazuje przede wszystkim na zaklęciach, które mają odegnąć zło.

Hanna zapragnęła pokazać ojcu Leopoldo białe robaki w słoiczkach i ubrania Esmeraldy, które nosiła, kiedy była najgrubsza, a potem te ciągle zmniejszane przez krawcową. Nic jednak nie powiedziała.

Młody ksiądz cały czas przyglądał się jej z

uwagą, po czym nagle przysunął bliżej swoje krzesło.

– We wszystkim, co senhora mi opowiedziała, wyczuwam jakąś tęsknotę – podjął po chwili. – Nie chodzi o małpę i strach, że coś zagnieździło się w jej żołądku. Mam wrażenie, że rada, o którą senhora mnie prosi, dotyczy życia jej samej. Czuję, że senhora nie wie, co zrobić jako właścicielka największego domu publicznego w mieście. Nie muszę wspominać o tym, co Kościół sądzi o tego typu grzesznych praktykach. O kraju ojczystym senhory wiem tylko tyle, że czasem bywa tam bardzo zimno i ostatnimi czasy mnóstwo biednych ludzi opuściło go i popłynęło do Ameryki, żeby szukać tam lepszego życia. Jestem jednak pewien, że również i w Ameryce sposób, w jaki senhora zarabia na życie, nie byłby uznawany ani za szlachetny, ani przyzwoity.

Słowa księdza znów poruszyły Hannę do głębi.

– Co mam więc zrobić? – zapytała bezradnie. – Ten burdel został mi zapisany w testamencie.

– Niech senhora go zamknie. Albo sprzeda komuś, kto urządzi w nim przyzwoity hotel albo restaurację. Niech senhora wypłaci kobietom pieniądze, żeby mogły zacząć uczciwe życie. Potem niech senhora jedzie do domu. Jest pani jeszcze młoda. Szympanś może wrócić do buszu. Na pewno przyjmie go tam jakieś stado.

Hanna nie wspomniała o swoim przekonaniu, że

Carlos już dawno zatracił swoją małpią tożsamość i żyje w dziwnym stanie świadomości, czując się ni to zwierzęciem, ni to człowiekiem. A jego domem od wielu lat jest żyrandol, nie dżungla.

– Senhora przed czymś ucieka – ciągnął ojciec Leopoldo. – Ta ucieczka nigdy się nie skończy, jeśli senhora nie wróci do domu. I nie porzuci tego brudnego interesu.

– Nie wiem nawet, czy mam dokąd wracać – odparła Hanna.

– Senhora nie ma tam już rodziny? Nawet jeśli, tam są pani korzenie, nie tutaj, nie w tym mieście.

Hanna spostrzegła nagle, że ksiądz utkwiał wzrok w jakimś punkcie ponad jej głową. Odwróciła się i ujrzała stojącego za sobą jednego z najwyższych dowódców portugalskiego garnizonu. Był ubrany w mundur, miał u boku szablę, a pod pachą ścisnął czapkę. Ojciec Leopoldo wstał.

– Niech mi pani wybaczy, senhora – powiedział. – Musimy teraz zakończyć rozmowę. Możemy pomówić innym razem.

Uśmiechnął się zachęcająco, poprowadził oficera do konfesjonału i zasunął tkaninę osłaniającą miejsce spowiedzi. Hannie przyszło na myśl, że wysokiej rangi wojskowy musi mieć wiele grzechów na sumieniu. Od razu go rozpoznała. Regularnie zjawiał się w O Paraiso i często stawiał kobietom osobliwe żądania. Czasem domagał się takich rzeczy, że dziewczyny odmawiały. Hanna

poczerwieniała, gdy pewnego razu wytłumaczono jej, czego zażyczył sobie oficer. Zapłacił za dwie kobiety i potem kazał im udawać jego matkę i córkę. Hanna miała ochotę go wyprosić i zakazać mu wstępu, ale nie zrobiła tego, bo mimo wszystko był jednym z lepszych klientów. Felicja powiedziała jej, że klienci z południa Afryki często proszą o znacznie gorsze rzeczy i prędzej to im należałoby odmówić wstępu.

Siedziały wtedy na dziedzińcu pod jakarandą. Felicja opowiadała Hannie o nietypowych skłonnościach niektórych mężczyzn. Hanna to otwierała usta ze zdumienia, to rumieniła się. Nie doświadczyła niczego podobnego w swoim krótkim pożyciu z Lundmarkiem i senhorem Vazem. Zrozumiała, że jest w tej dziedzinie mnóstwo rzeczy, o których nie ma pojęcia, a o czym powinna wiedzieć, skoro została właścicielką burdelu.

Hanna ruszyła w stronę wyjścia, wciąż nie wiedząc, co powinna zrobić.

Nagle stanął przed nią mężczyzna, który jeszcze przed chwilą spał w ławce obok.

– Niechcący słyszałem rozmowę senhory z ojcem Leopoldem – powiedział. – W takich wnętrzach często słyhać wyraźnie nawet szept. Można liczyć na dyskrecję jedynie podczas spowiedzi. Zaznaczam, że nie jestem podsłuchiwcem, senhora. Nazywam się José

Antonio Nunez. Przez wiele lat robiłem interesy w tym kraju, ale jakiś czas temu zostawiłem tamto życie za sobą i zająłem się czymś zupełnie innym. Tym, co w życiu najważniejsze. Czy senhora Vaz zgodzi się poświęcić mi parę minut?

– Spotykam pana po raz pierwszy, a pan zna moje nazwisko? – zdziwiła się Hanna.

– To nieduże miasto, senhora. A nas, białych, jest tu tak niewiele, że nie sposób pozostać anonimowym. Znałem pani męża, proszę przyjąć moje szczere kondolencje z powodu jego śmierci. Zawsze życzyłem mu jak najlepiej.

Hanna stwierdziła, że stojący przed nią mężczyzna ma około czterdziestu lat. Ujął ją jego przyjazny ton. Miała wrażenie, że ten człowiek w jakiś sposób nie pasuje do tego miasta, podobnie jak ona.

Usiedli na krzesłach. Senhor Nunez zdecydowanie, ona jakby z ociąganiem.

– Powiem krótko, o co mi chodzi – rozpoczął José Antonio Nunez. – Jestem gotów wyzwolić panią od rzeczy, która jest dla pani ciężarem. Zapłacę tym kobietom, jak doradził ojciec Leopoldo. Dla mnie ważny jest sam budynek, w którym mieści się O Paraiso. Po wielu latach prowadzenia interesów w tym kraju próbuję teraz spłacić symboliczny dług, jaki tutaj zaciągnąłem. Jeśli senhora sprzeda mi hotel, urządzę w nim dom dziecka.

– Dla czarnych dzieci?

– Tak.

– W samym środku dzielnicy rozpusty dla białych?

– Na tym polega mój plan. Chcę, żeby właśnie w takim miejscu powstał dom, który będzie im przypominał o tych biednych dzieciach, błakających się po ulicach jak liście na wietrze.

– Nie sądzę, żeby gubernator się na to zgodził.

– Gubernator jest moim przyjacielem. I dobrze wie, że jego pozycja w dużym stopniu zależy ode mnie. Wiele osób w tym mieście słucha moich rad.

Hanna pokręciła głową. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Zastanawiała się, kim jest ten przedziwny mężczyzna, który jeszcze chwilę temu siedział w ławce z zamkniętymi oczami, a teraz chce od niej odkupić O Paraiso.

– Wcale nie jestem pewna, czy chcę sprzedać ten dom – powiedziała. – Nic nie zostało jeszcze postanowione.

– Moja oferta będzie aktualna również jutro, a potem pewnie jeszcze przez jakiś czas. Wiem, że współpracuje pani z senhorem Andrade. Niech on się ze mną skontaktuje, kiedy senhora coś postanowi.

– Nie wiem nawet, gdzie pana szukać.

– Spokojna głowa – odparł José Antonio Nunez z uśmiechem. – On wie.

– Muszę mieć czas do namysłu. Spotkajmy się za

tydzień, w tym samym miejscu, o tej samej porze.

Senhor Nunez wstał i uklonił się nisko.

– Będę na pewno. Ale tydzień to dla mnie za długo. Spotkajmy się za trzy dni.

– Nawet nie wiem, kim pan jest – zawahała się Hanna.

– Z łatwością się pani tego dowie, senhora.

Hanna wyszła z katedry. Znowu potrzebowała porady, lecz tym razem wiedziała, do kogo się zwrócić. I nie tylko, by się dowiedzieć, kim jest José Antonio Nunez, ale też pomówić o tym, co poradził jej ojciec Leopoldo.

Jeszcze tego samego dnia pojechała na farmę Pedra Pimenty, gdzie czekały psy, a krokodyle biły ogonami o powierzchnię wody, by po chwili zniknąć w jej odmętach.

Gdy Hanna wysiadła z samochodu i kierowca wyłączył silnik, usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Z domu dobiegały hałasy. Na werandzie nie było nikogo.

Hanna rozejrzała się wokół. Farma wydała jej się dziwnie pusta. Nagle z domu wybiegła biała kobieta. Zasłaniała twarz dłońmi. Zaraz za nią pojawiła się dziewczynka, która próbowała ją dogonić.

Po chwili zniknęły za pagórkiem, gdzie znajdowały się sadzawki dla krokodyli. Wokół znowu zapadła cisza.

W drzwiach pojawił się jakiś chłopiec, na oko

parę lat starszy od dziewczynki, która pobiegła za płaczącą kobietą. Hanna nigdy wcześniej nie widziała ani jej, ani tych dzieci.

Chłopiec miał jakieś szesnaście lat. Wyglądał tak, jakby wstrzymywał oddech.

Jest zupełnie taki jak ja, pomyślała Hanna niespodziewanie. Rozgląda się wokół i nie rozumie nic z tego, co go otacza.

To, na co patrzyła Hanna, nagle zamieniło się w obraz, którego ramy wyznaczały promienie słońca. Zdało jej się, że twarz chłopca rozmywa się i tworzy niewyraźną plamę. Psy w klatkach zamilkły. Stały z wywieszonymi językami, dysząc ciężko.

Wreszcie otacza mnie cisza, pomyślała. W tym dziwnym mieście zawsze panuje hałas. Wszędzie ktoś coś mówi, woła, krzyczy albo się śmieje. Nawet nocą miasto nie kładzie się do snu.

Ale tu i teraz nareszcie zapadła cisza.

Chłopiec wciąż stał bez ruchu, znajdował się w samym środku obrazu. Hanna miała właśnie wejść schodami na werandę, kiedy w drzwiach zjawił się Pedro Pimenta. Stał obok chłopaka, który spojrzał na niego. Pimenta trzymał w dłoni zakrwawioną chusteczkę. Na czole miał niewielką ranę, z której ciekła krew. Niemożliwe, żeby został postrzelony, przemknęło Hannie przez myśl. Strzał w czoło przecież by go zabił. Zaraz po tym przypomniał jej się brzęk tłuczonego szkła i doszła do wniosku, że płacząca kobieta pewnie czymś w Pedra rzuciła.

Pimenta zerknął za zakrwawioną chustkę i dopiero wtedy dostrzegł Hannę, stojącą przed domem i osłaniającą się parasolką. Wyglądał na zmęczonego, pozbawionego wypełniającej go

zwykle pozytywnej energii, która kazałaby mu uprzejmie zająć się gościem. Zamiast zaprosić na werandę, zszedł do Hanny na dół. Rana na czole była głębokim zadrapaniem, biegnącym od lewej brwi aż po siwiejącą skroń.

– Czy widziała pani, w którą stronę pobiegły? – zapytał.

– Jeśli ma pan na myśli kobietę i dziewczynkę, zniknęły za pagórką, tam, gdzie senhor trzyma krokodyla.

Pedro Pimenta skrzywił się i pokręcił głową.

– Muszę je znaleźć – mruknął. – Niech senhora usiądzie na werandzie i zaczeka, aż wrócę. Potem wszystko wyjaśnię.

– Gdzie jest Isabel? I kim jest ten chłopak?

Pimenta nie odpowiedział. Rzucił chustkę na ziemię i ruszył truchtem w stronę sadzawek z krokodylami.

Hanna usiadła na werandzie. Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Skinęła mu na powitanie, ale nie zareagował. Wokół wciąż panowała zupełna cisza.

Chwilę później Hanna wstała i weszła do domu. Na podłodze w salonie, wyściełanej skórą lwów i zebra, leżały odłamki szkła. Na ścianie wisiała głowa kudu o długich, krętych rogach. Hanna była ciekawa, co się tu wydarzyło, ale nie potrafiła tego odgadnąć, nie mając pojęcia, kim są kobieta i dzieci. Kawałki szkła połyskiwały zdradliwie na

skórach, niczym rozsypane perły.

W kuchni natknęła się na służących. Byli wystraszeni, zbili się w gromadkę i dało się dostrzec, że wzajemnie się osłaniają. Hanna miała ochotę zapytać ich, co zaszło, ale nie odezwała się. Była przekonana, że Isabel i dzieci muszą być gdzieś w domu. Zajrzawszy do wszystkich pomieszczeń na parterze, weszła schodami na piętro. Znalazła ich w największym pokoju, w sypialni Pimenty i Isabel. Siedzieli na łóżku, wtuleni w siebie.

– Nie chcę przeszkadzać – powiedziała Hanna. – Ale zmartwiłam się, kiedy usłyszałam tłukące się szkło, a potem zobaczyłam senhora Pimentę z rozciętym czołem.

Isabel spojrzała na nią, ale nie odezwała się. Hanna dostrzegła jednak, że w przeciwieństwie do służby kobieta się nie boi. Przeciwnie: Isabel trzęsła się ze złości. Była tak wściekła, że Hanna aż się zdziwiła. Nigdy wcześniej nie dostrzegła w niej cienia złości.

– Co się tu dzieje? – spytała.

– Będzie lepiej, jeśli senhora sobie pójdzie – odparła Isabel. – Nie chcę, żeby pani tu była, kiedy stanie się to, co się musi stać.

– Co musi się stać?

– Zabiję go.

Dzieci nie wyglądały na zdziwione. Hanna doszła do wniosku, że już wiele razy słyszały te

słowa.

Ostrożnie usiadła obok kobiety i ujęła jej dłoń.

– Nie rozumiem, co się tu dzieje – odparła łagodnie. – Ale dlaczego mówisz przy swoich dzieciach, że zabijesz ich ojca?

– Dlatego że zamierzam to zrobić.

– Dlaczego?

Isabel spojrzała na Hannę nierozumiejącym wzrokiem. Dziwiła się, że Hanna tego nie rozumie. Czy ja czegoś nie dostrzegam? zastanowiła się Hanna. Znalazłam się w samym środku dramatu, z którego nic nie pojmuję.

Isabel wstała nagle i energicznie wygładziła spódnicę, jakby w ten sposób zbierała siły. Dzieci patrzyły na nią. Po chwili Isabel pochyliła się nad nimi i powiedziała:

– Zaczekajcie tutaj. Niedługo do was wrócę. Nic złego was tutaj nie spotka.

Potem złapała Hannę za rękę i wyprowadziła ją z pokoju.

– Co teraz będzie? – spytała Hanna, kiedy schodziły na parter.

– Senhora już mnie o to pytała. Nie wiem, co się stanie. Jeśli senhora chce, może wrócić do domu. Albo zostać. Jak senhora sobie życzy.

Gdy znalazły się na dole, Isabel wyszła na werandę, nawet nie spoglądając na wciąż stojącego w drzwiach chłopaka. Nie lubi go, stwierdziła w myślach Hanna. Dorosła kobieta ignoruje obecność

młodego chłopca w swoim domu, analizowała. Nagle w jej głowie pojawiła się pewna myśl, z początku niejasna, ale dzięki niej elementy układanki zaczęły stanowić całość.

Isabel opadła na kanapę. Hanna przesunęła pleciony fotel pod ścianę i usiadła ostrożnie. Chłopak wciąż tkwił na swoim miejscu. Hannie przyszło na myśl, że teraz sama stała się częścią obrazu, któremu przyglądała się wcześniej. Przestała być obserwatorką.

W końcu na szczycie pagórka pojawił się Pedro Pimenta. Zaraz za nim szła biała kobieta. Już nie płakała. Prowadziła dziewczynkę, mocno ściskając ją za rękę. Dziewczynka milczała. Kobieta mówiła coś do Pimenty, ale Hanna nic z tego nie rozumiała. Pimenta nagle się zatrzymał i odpowiedział jej, energicznie gestykułując. Wyglądało to tak, jakby kazał kobiecie zabrać dziewczynkę i się wynosić. Po chwili znów ruszył w stronę domu, nagle przyspieszył i zaczął biec, a kobieta popędziła za nim. Gdy dotarli do werandy, kobieta nie wytrzymała i wykrzyknęła:

– Ufałam ci! Przechowywałam wszystkie twoje listy! Pamiętałam wszystkie słowa o wielkiej miłości! Błagałam, żebyś pozwolił mi przyjechać tu z dziećmi, tłumaczyłam, że nie wytrzymam dłużej sama w Coimbrze, ale ty ciągle odpowiadałeś, że tutaj jest zbyt niebezpiecznie! W każdym liście ciągle to samo!

Wyjęła z kieszeni zmiętą kartkę, rozwinęła ją i zaczęła czytać:

– „Nocami po Lourenço Marques krążą wielkie stada lampartów i lwów. Każdego ranka znajdujemy białego człowieka, najczęściej kobietę lub dziecko, rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Na dodatek do domów zakradają się jadowite węże. Jest tu dla was jeszcze zbyt niebezpiecznie”. Napisałeś tak? To twoje słowa, czyż nie?

– Napisałem prawdę – odparł zrezygnowanym tonem Pimenta.

– Ale tu nie ma dzikich zwierząt na ulicach. Kłamałeś!

– Były jeszcze całkiem niedawno. Parę lat temu.

– Nikt, z kim rozmawiałam, od trzydziestu lat nie widział w tym mieście lwa. Kłamałeś, bo nie chciałeś, żebyśmy przyjechali. Miłość, o której piszesz, nie istnieje.

Szalejąca ze złości kobieta przycisnęła Pimentę do ściany werandy. Dziewczynka stanęła w drzwiach, obok brata. Isabel siedziała wyprostowana na kanapie i przyglądała się tej scenie. Hannie przyszło na myśl, że powinna się oddalić, ale na miejscu trzymało ją coś więcej niż tylko ciekawość.

Biała kobieta odwróciła się nagle i spojrzała na drugi koniec długiej werandy. Stały tam dzieci Isabel, Joanna i Rogeiro. Pojawiły się bezszelestnie, jak wcześniej ich matka.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknęła kobieta z Coimbry.

– Czy możemy usiąść i spokojnie porozmawiać?
– spytał błagalnie Pimenta.

Kobieta nie przestawała przypierać go do ściany.

– To moje dzieci – oznajmiła Isabel, wstając z kanapy. – Nasze dzieci, moje i Pedra. A teraz chciałabym wiedzieć, kim pani jest i dlaczego dręczy pani mojego męża.

– Męża?! Jakiego męża! Przecież to ja jestem jego żoną! Czy to nie ze mną się ożeniłeś, Pedro?! – krzyknęła jeszcze głośniej. – Dwadzieścia lat temu! Kim ona jest?! Przygruchałeś sobie czarną kurwę!

Isabel podeszła i wymierzyła kobiecie policzek. Ta natychmiast jej oddała. Pedro stanął między nimi, nalegając, by się uspokoiły. Isabel wróciła na kanapę i usiadła, ale biała kobieta zaczęła go okładać pięściami.

– Czy możesz choć raz w życiu powiedzieć mi prawdę?! – rozpaczała. – Co to za kobieta?! Czyje są te dzieci?!

– Tereso – uspokajał ją Pimenta. – Pozwól nam wszystkim ochłonąć. Zaraz porozmawiamy. Wszystko ci wytłumaczę.

– Jestem spokojna! Tylko za chwilę eksploduję od tych twoich listów pełnych kłamstw i zmyślonych powodów, dla których nie powinnam

się ruszać z Coimbry.

– Przez cały czas bardzo się bałem, że coś wam się tu stanie.

– Kim jest ta kobieta?

Pedro próbował odciągnąć Teresę na bok, nie chcąc, by Isabel usłyszała jego wyjaśnienia. Ona jednak znów wstała z kanapy. Wzięła za ręce swoje dzieci i podeszła z nimi do Pedra i białej kobiety.

– To są nasze dzieci – powtórzyła.

Teresa patrzyła na nie wytrzeszczonymi oczami.

– Mój Boże! – załkała. – Tylko nie wypowiadaj ich imion!

– Dlaczego?

– Czy chłopiec ma na imię José, a dziewczynka Anabel?

– Nie. Mają na imię Rogeiro i Joanna.

– Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby nie nadawać im imion dzieci, które porzucił. Widocznie jeszcze istnieje dla niego jakaś granica.

Hanna próbowała uporządkować myśli. Stało się jasne, że Pedro Pimenta miał jedną rodzinę w Portugalii i drugą tutaj, w Lourenço Marques.

Teresa przestała krzyczeć i przeszła w opanowany rzeczowy ton, jakby wreszcie dotarła do niej straszna prawda, która mimo wszystko przynosi spokój.

– Już rozumiem, dlaczego nas tutaj nie chciałeś – powiedziała. – I dlaczego twoje cholerne listy były pełne opisów śmiertelnych niebezpieczeństw.

Założyłeś tutaj nową rodzinę. Kiedy w końcu stwierdziłam, że dłużej nie wytrzymam sama w Portugalii, myślałam, że się ucieszysz. Aż tu nagle wyszły na jaw wszystkie twoje kłamstwa. Jak mogłeś nam to zrobić!

Pedro stał oparty o ścianę. Był blady jak papier. Hannie przyszło na myśl, że spogląda na człowieka, który został przyłapany na gorącym uczynku i któremu udowodniono popełnienie poważnego przestępstwa.

Terasa nagle się odwróciła i spojrzała na Hannę.

– A pani? – spytała. – Kim pani jest? Czy pani też ma z nim dzieci? Gdzie one są? Może pani też wzięła ślub z moim mężem? Czy pani dzieci mają na imię José i Anabel?

Hanna wstała z kanapy.

– Jestem tylko znajomą – odparła.

– Jak pani może utrzymywać stosunki z takim człowiekiem?

Teresa wyglądała na całkiem zrezygnowaną. Spoglądała to na Hannę, to na Isabel. Jednak to ta druga przeszła niespodziewanie od słów do czynów. Na stole leżał nóż, którym Pedro Pimenta rzeźbił małe drewniane figurki, a gdy były gotowe, wrzucał je do ognia, by spłonęły. Isabel chwyciła nóż i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wbiła go w pierś Pedra, wyciągnęła ostrze i dźgnęła raz jeszcze. Później Hanna przypomniawszy sobie, że była świadkiem co najmniej dziesięciu takich ciosów,

nim martwe ciało Pimenty osunęło się na podłogę. Potem Isabel wzięła swoje dzieci za ręce i weszła do domu. Teresa usiadła w kucki i skuliła się pod ścianą werandy. Dopiero wtedy chłopiec ruszył się z progu. Kucnął przy matce i przytulił ją mocno. Dziewczynka zaczęła płakać. Tym razem cichutko, niemal bezgłośnie.

Hanna wróciła do domu dopiero po paru godzinach, kiedy ciało Pimenty zawieszono do kostnicy, a Isabel została zabrana do fortu, ze skutymi nie tylko rękami, ale i łańcuchem na prawej nodze. Przed wyjazdem z farmy Pimenty Hanna zdążyła też spotkać Anę Dolores, która kiedyś pomogła jej wrócić do zdrowia i wyjaśniła jej podstawowe różnice między ludźmi białymi a czarnymi. Ana Dolores została wezwana, by zająć się Teresą i jej dziećmi. Dzieci Isabel przekazano służącym, który obiecali zabrać je do sióstr ich matki, mieszkających w jakichś slumsach, których nazwy Hanna nie dosłyszała. Stwierdziła ze smutkiem, że mały Rogeiro i mała Joanna zostali brutalnie wyrwani z uporządkowanego świata białych, w którym dorastali, i wrzuceni w plątaninę ścieżek, wypełniających mroczne dzielnice czarnych.

W drodze do domu w pewnej chwili Hanna poprosiła kierowcę, by zjechał na pobocze i się zatrzymał. Znajdowali się blisko rzeki, tuż przed starym mostem, tak wąskim, że był na nim tylko

ruch wahadłowy. Stał tam stary Afrykańczyk i podnosząc to czerwoną, to zieloną chorągiewkę, przepuszczał na drugą stronę rzeki nieliczne samochody. I wtedy Hanna poczuła, że dociera do niej, co wydarzyło się w domu Pimenty.

– Co się stanie z Isabel? – zapytała.

– Zamkną ją w forcie – odparł kierowca. W jego głosie nie było cienia wątpliwości.

– Kto będzie ją sądził?

– Ona już została osądzona.

– Ale czyż nie ma znaczenia, że Pedro ją oszukał? Tak samo jak oszukał Teresę?

– Gdyby to biała kobieta go zabiła, ją i dzieci odesłano by tylko do Portugalii. Isabel jest czarna. Zabiła białego mężczyznę. I musi ponieść karę. Poza tym kogo obchodzi, że biały mężczyzna oszukał czarną kobietę?

Nie rozmawiali o tym więcej. Hanna uprzytomniła sobie, że kierowca nie chce jej zdradzić, co naprawdę myśli.

Ruszyli w stronę miasta, gdy starzec na moście uniósł zieloną chorągiewkę. Kiedy przejeżdżali, Hanna zauważyła, że chorągiewka jest brudna i wystrzępiona. Z jakiejś przyczyny poczuła złość.

Poprosiła kierowcę, by zatrzymał się przy nadmorskiej promenadzie, zaczynającej się na północy miasta. Zdjęła buty i zanurzyła stopy w miękkim piasku. Trwał odpływ. Daleko od brzegu kołysały się na morzu łodzie rybackie. Za

ogrodzeniem otaczającym plażę przeznaczoną wyłącznie dla białych bawiła się gromadka czarnych dzieci.

Ocalenie Isabel będzie jak uratowanie mnie samej, stwierdziła Hanna. Nie wyjadę stąd, dopóki nie zadbam, żeby ta kobieta doczekała się uczciwego procesu. Dopiero wówczas zdecyduję co dalej.

Spacerowała po plaży, patrząc, jak powoli nadchodzi przyływ. Isabel stała się nagle najważniejszą osobą w jej życiu. Los tej czarnej kobiety nierozzerwalnie związał się z losem Hanny. Hanna dziwiła się, że ta myśl jest dla niej tak oczywista. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że wie, czego chce.

Wróciła do domu samochodem i zapłaciła kierowcy. Wieczorem usiadła przy biurku i zaczęła liczyć gotówkę zgromadzoną od śmierci senhora Vaza. Zamierzała przeznaczyć jej część na opłacenie adwokata dla Isabel.

Carlos siedział na szafie i bacznie przyglądał się Hannie. Potem nagle zeskoczył, wdrapał się na biurko i usiadł obok niej. Chwycił plik banknotów i zaczął naśladować jej ruchy długimi czarnymi palcami. Liczył z Hanną, plik po pliku, z poważną miną, jakby dobrze wiedział, co robi.

Część IV

Zachowanie motyla wobec siły wyższej

Było jeszcze daleko do świtu, gdy kobieta imieniem Ana, na którą mówiono zwykle Ana Branca, obudziła się nagle, czując na piersi męską dłoń. Przez ułamek sekundy pomyślała, że to Lundmark powrócił z krainy umarłych. Lecz kiedy zapaliła lampę, zorientowała się, że to Carlos. Szympanś spał u jej boku i widocznie poruszył się przez sen. Teraz on też się przebudził od jej gwałtownego ruchu. Ana nie umiała ocenić, czy odczuwa rozczarowanie, czy jest jej wstyd, że małpa złapała ją za pierś. Ale i tak zepchnęła Carlosa z łóżka. Szympanś nie rozumiał, skąd ten nagły gniew, i wdrapał się na żyrandol. Stamtąd patrzył na nią przez długą chwilę wzrokiem, co do którego Ana nie miała pewności, czy jest smutny, czy wesoły.

– Cholerny małpizson! – krzyknęła. – Nie waż się mnie więcej dotykać.

Zgasiła lampę i wsłuchiwała się w powoli uspokajający się oddech podenerwowanego Carlosa. Wkrótce szympanś zasnął, lekko kołysząc się na żyrandolu. Ana poczuła wyrzuty sumienia. Przecież to Carlos, zawsze wiernie przy niej czuwający, niczym pies, choć o wiele inteligentniejszy. Ale przecież nigdy jej w ten sposób nie dotykał!

Chwilę później przyszło jej na myśl, że tasiemiec, którego larwę szympanś połknął jakiś czas temu, zdawał się nie czynić mu żadnej szkody. Zapewne soki trawienne w żołądku małpy są silniejsze niż u człowieka i tasiemiec nie może w nich przeżyć, rozmyślała. Poprosiła Rumigio, by za dodatkową opłatą sprawdzał, czy w odchodach szympanśa nie ma śladów tasiemca. Do tej pory ogrodnik niczego nie znalazł, a Ana miała pewność, że mężczyzna skrupulatnie wywiązuje się z powierzonego zadania. Nie odważyłby się czegoś przegapić.

Ana wcześniej nosiła imię Hanna. Z czasem porzuciła również swoje ostatnie nazwisko. Stało się to w dniu, w którym zniknął paw.

Mimo że ptak miał podcięte skrzydła, Judasz zarzekał się, że widział, jak paw leci nad dachami domów. W pierwszej chwili Hanna mu nie uwierzyła i zagroziła w przyпіływie złości, że każe go wychłostać, jeśli natychmiast jej nie powie, co naprawdę stało się z ptakiem. Czy Judasz ukręcił mu łeb i go zjadł? Czy wyrwał mu pióra z ogona i sprzedał je na ozdobę do kapeluszy? Jednak Judasz obstawał przy swoim. Paw naprawdę wzbił się w powietrze i odleciał.

Dopiero kiedy usłyszała, że jakiś pracownik portowy również opowiada, że w drodze do domu widział pawia lecącego nad wodą, Hanna uwierzyła, że Judasz powiedział jej prawdę.

Widocznie żyję w świecie, w którym nawet ptak z podciętymi skrzydłami może pewnego dnia odzyskać zdolność latania, pomyślała. Nie było to dziwniejsze od opowieści o widmowych psach, unoszących się w powietrzu, które nocą nawiedzają ulice. Lub tych o tasiemcach, które mogą w ludzkich trzewiach osiągnąć dziesięć metrów.

Uznała, że zniknięcie pawia to znak. Doszła do wniosku, że skoro chce osiągnąć to, co niemożliwe, musi postawić pierwszy krok – również niemożliwy – i musi stać się kimś innym.

Postanowiła, że od tej pory będzie się nazywać Ana Branca.

Ana Branca jest samotnym człowiekiem, stwierdziła. Wkrótce miała stracić szacunek, jakim cieszyła się jako senhora Vaz. Jej decyzja o tym, że pomoże Isabel uniknąć kary za zabójstwo Pedra Pimenty, wywołała oburzenie w całej kolonii. Uznano, że Hanna dopuściła się najgorszej zdrady – zdrady białej rasy. Podważyła odwieczne prawo, które nakazywało wszystkim białym bronić ich rasy za wszelką cenę.

Ana leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Wstała, gdy nastał świt. Tego ranka miała spotkać się z senhorem Andradem, by omówić z nim los Isabel.

Pierwszą jej myślą tego dnia była ta sama myśl, która wpadła jej do głowy przed zaśnięciem. Stał przed oczami obraz Isabel w piwnicznej celi w forcie. Światło wpadało do pomieszczenia tylko

przez wąskie okienko na poziomie dziedzińca. To samo światło, które Ana mogła obserwować każdego ranka, powoli rozlewające się po morzu i dzielnicach, oświetlające palmy rosnące wzdłuż promenady oraz czubki drzew na granicy, gdzie kończyło się miasto i zaczynał ciągnący się w głąb kontynentu busz. Isabel spała na pryczy pod kocem, na materacu wypchanym trawą. W celi raz było zimno, a raz tak gorąco i duszno, że para skraplała się na suficie i na ziemię kapłała woda. Przez pierwsze tygodnie w więzieniu Isabel wciąż miała metalową obręcz i łańcuch na prawej kostce. Dopiero parę dni temu Ana zdołała przekonać komendanta fortu Limę, by je zdjęto.

Zamierzała odwiedzić Isabel również tego dnia. Za każdym razem musiała odbywać upokarzającą rozmowę z Limą i prosić go o zgodę na widzenie. Komendant napawał się swą władzą i zwykle kazał Hannie długo czekać na decyzję. Czasem nie było go w gabinecie albo po prostu chował się przed Aną i kazał ją zbywać. Codziennie przynosiła Isabel jedzenie, bo tylko to wolno jej było przekazywać uwięzionej kobiecie. Odzież pozwolono jej wnieść jedynie dwa razy. Isabel siedziała w więzieniu od dwóch miesięcy. Śmierdziała brudem i potem, ale nie mogła się umyć w odrobinie wody, którą dawano jej wyłącznie do picia. Ana wiedziała, że dwóch białych mężczyzn, odsiadujących wyrok za śmiertelne pobicie białego, traktowanych było

zupełnie inaczej niż Isabel. Lecz gdy poskarżyła się Limie, ten zdawał się nie słuchać. Wpatrywał się w jakiś punkt ponad jej głową lub spoglądał na nią tak, jakby była przezroczysta, i otrzepywał dłonią rękawy munduru.

Ana Branca jest samotnym człowiekiem, pomyślała o sobie, wyglądając przez okno. Wywołała skandal, zdradzając białą rasę i stając w obronie Isabel, powoli niknącej w oczach w wilgotnym lochu.

Była punkt dziewiąta, gdy Andrade zjawił się w domu Any. Wręczył Julietcie biały kapelusz i laskę, a dziewczyna, wdzięcząc się i kłaniając nisko, zaprowadziła go do gabinetu. Ana i Andrade nie uścisnęli sobie dłoni na powitanie. To, co wprawdzie nigdy nie było przyjaźnią, a jedynie wzajemnym szacunkiem, teraz całkiem wyparowało. Prawnik usiadł na krześle naprzeciw biurka.

Ana chciała przede wszystkim wiedzieć, czy Isabel grozi ścięcie lub powieszenie. Pytała o to Andradego już wiele razy, ale nigdy nie usłyszała jednoznacznej odpowiedzi.

– W Portugalii zlikwidowano karę śmierci w 1867 roku – tłumaczył. – W tej sytuacji nie widzę powodu, dla którego ta kobieta miałaby zostać stracona. Od początku próbuję to pani wytłumaczyć, senhora.

Ana poczuła ulgę. Zaraz jednak ogarnęła ją wątpliwość, czy naprawdę może wierzyć jego

słowom.

– Przestudiowałem kodeks karny – podjął adwokat. – Obecnie kara śmierci grozi tylko za zdradę stanu. Napisałem też list do departamentu sprawiedliwości w Lizbonie, ale jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi. Nie waham się jednak powiedzieć, senhora, że wielu z nas jest za przywróceniem kary śmierci, zwłaszcza w koloniach portugalskich w Afryce. To wybiłoby czarnym z głowy, że mogą się targnąć na życie białego człowieka.

– Kto będzie ją sądził? – spytała Ana.

Andrade zrobił zdziwioną minę, wyglądał wręcz na urażonego.

– Sądził? – powtórzył zdumionym. – Czyż ona sama nie wydała już na siebie wyroku?

– Gdzie odbędzie się proces? – Ana nie dawała za wygraną. – Kto zasiądzie w ławie sędziowskiej? Kto będzie obrońcą Isabel?

– To nie Europa, senhora. Tutaj nie potrzebujemy sędziego, żeby zamknąć czarną morderczynię.

– A więc nie będzie żadnego procesu?

– Skądże!

– Jak długo będzie siedziała w celi?

– Aż umrze.

– A zatem Isabel nie ma najmniejszych szans na obronę?

Andrade pokręcił głową i zrobił niezadowoloną

minę. Nie podobały mu się pytania Any.

– Stosunek Portugalii do tego czarnego kraju w wielu dziedzinach pozostaje wciąż nieuregulowany – powiedział. – Jesteśmy tutaj dlatego, że się na to zdecydowaliśmy. Swoich przestępców odsyłamy do Lizbony lub Oporto. Nie obchodzą nas zbrodnie dokonywane między czarnymi, oni mają swoje własne prawa i tradycje, od których wolimy się trzymać z daleka. Lecz w takich wypadkach jak ten, czarny morderca trafia za kratki. To wszystko.

– Ale czyż nie przysługuje jej prawo do obrońcy? Kogoś, kto wypowie się w jej imieniu?

Andrade pochylił się nad biurkiem.

– Słyszałem, że jest ktoś taki, senhora, kobieta, która mówi o sobie Ana Branca.

– Nie jestem prawnikiem – odparła Ana. – Potrzebuję porady, a w tym mieście nikt nie chce mi pomóc.

– Może w Johannesburgu albo Pretorii znajdzie się jakiś hinduski adwokat, który zechce podjąć się tego zadania?

Andrade wyjął z kieszeni na piersi złote pióro i zapisał jakieś nazwisko na odwrocie swojej wizytówki.

– Słyszałem o kimś takim – powiedział, podsuwając Anie kartonik. – Nazywa się Pandre i pochodzi z Bengalu. Z nieznaney mi przyczyny nauczył się języka tsonga, którym z pewnością mówi Isabel. Poza tym Pandre zna oczywiście

portugalski. Być może zgodzi się pani pomóc.

Andrade wstał i ukłonił się na pożegnanie. Gdy Ana sięgnęła po pieniądze, żeby mu zapłacić, prawnik zrobił zniesmaczoną minę i pokręcił głową.

– Nie biorę pieniędzy, kiedy nie pracuję – oznajmił. – Sam trafię do wyjścia.

Zatrzymał się jeszcze w progu i odwrócił.

– Jeśli senhora zdecyduje się opuścić to miasto, zaproponuję jej rozsądną cenę za ten dom – powiedział. – Umówmy się, że będę pierwszy w kolejce, jeśli tak się stanie, zgoda? W zamian za dzisiejszą przysługę.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Chwilę później Ana usłyszała warkot silnika przed domem.

Nagle spostrzegła, że Carlos niepostrzeżenie wszedł do gabinetu i spogląda na nią z góry, ze swojego miejsca na ciemnobrązowej szafie, wciąż pełnej ubrań senhora Vaza.

Co on z tego wszystkiego rozumie, pomyślała, patrząc na szympansa. Może nic. A może wszystko?

Ana pojechała dorożką do O Paraiso, a gdy minął największy upał, zabrała ze sobą Judasza i udali się do fortu. Za każdym razem kiedy przechodziła obok uzbrojonych strażników, ogarniał ją dziwny niepokój. Może drzwi fortu zamkną się na zawsze również za mną, myślała. Judasz niósł kosz z jedzeniem dla Isabel. Nagle wydarzyło się coś, co zdarzało się niezwykle rzadko. Judasz przemówił:

– Nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego senhora pomaga kobiecie, która wbiła nóż w pierś swojego męża?

– Bo wiem, że sama byłabym do tego zdolna – odparła Ana.

– Ten mężczyzna nie powinien był zadawać się z czarną kobietą.

– A czy mężczyźni przychodzący co wieczór do mojego burdelu nie robią tego samego?

– Nie w taki sposób, w jaki zrobił to senhor Pimenta. On uznał urodzone przez nią dzieci. To musiało się tak skończyć.

Szli ulicą indyjskich sklepików. Sprzedawcy siedzieli za ladami pachnącymi egzotycznymi przyprawami.

Nagle Ana się zatrzymała i spojrzała na Judasza.

– Nie poddam się, dopóki nie wyciągnę Isabel z

więzienia – oznajmiła. – Powiedz o tym każdemu, z kim rozmawiasz.

Komendant Lima stał na schodach budynku, w którym mieścił się skład broni. Wyglądał na znudzonego i kołysał się na piętach w przód i w tył. Tego dnia na widok Any tylko machnął przyzwalająco dłonią, nie odezwał się nawet słowem. Judasz podał jej kosz i zatrzymał się, żeby na nią poczekać. Jak zwykle stał na słońcu. Ana usłyszała, że Lima mówi coś do żołnierzy. Mówi o mnie, pomyślała. To na pewno coś obraźliwego.

Isabel siedziała na chwiejącej się pryczy. Nie odezwała się na powitanie, nawet nie spojrzała na Anę, kiedy ta weszła do ciemnej celi. Usiadła na pryczy obok więźniarki, mimo że czuć było od niej ostry zapach potu. Delikatnie dotknęła jej dłoni, kruchej i zimnej jak lód.

Nie rozmawiały. Po długiej ciszy Ana zabrała pusty kosz z zeszłego dnia i wyszła z celi. Dopóki Isabel jadła, była dla niej nadzieja.

Dwa dni później Ana pojechała pociągiem do Johannesburga. Nigdy wcześniej nie odbyła takiej podróży i bardzo chciała, by ktoś się z nią wybrał. Nie ufała jednak nikomu spośród białych, a przynajmniej nie na tyle, by poprosić o towarzystwo w takiej sprawie.

Dotarwszy na miejsce, wzięła z dworca dorożkę i pojechała do centrum, gdzie mieściła się kancelaria adwokata Pandrego. Ku zdziwieniu Any prawnik

był u siebie, na co wcale nie liczyła. Na dodatek miał czas, żeby z nią porozmawiać, choć tylko krótko, bo niebawem musiał wyjść.

Pandre był mężczyzną w średnim wieku, ubranym jak Europejczyk, ale na jego biurku leżał kunsztownie zwinięty turban. Jego sekretarz, również Hindus, zwracał się do niego *munshi*. Adwokat poprosił Anę, by usiadła, i nie ukrywał, że jest ciekawy, co sprowadza do niego białą kobietę z dalekiego Lourenço Marques. Nie mówił płynnie po portugalsku, choć i tak o wiele lepiej niż Ana. Potwierdził skinieniem, kiedy Ana go zapytała, czy mówi w języku tsonga. Nie wyjaśnił jednak, dlaczego nauczył się jednego z języków czarnych.

Wysłuchał z powagą opowieści Any o tym, jak Isabel zabiła Pedra Pimentę.

– Potrzebuję porady – powiedziała na zakończenie. – Szukam kogoś, kto wie, jak przekonać Portugalczyków, żeby ją wypuścili.

Pandre przyjrzał jej się bacznie i pokiwał głową.

– Dlaczego? – zapytał po dłuższej chwili. – Dlaczego biała kobieta pomaga czarnej, która dopuściła się jednej z największych zbrodni?

– Nie mam innego wyjścia.

– Słyszę, że portugalski nie jest pani ojczystym językiem. Czy mogę spytać, skąd pani pochodzi?

– Ze Szwecji.

Pandre zamyślił się nad jej odpowiedzią. Po

chwili wyszedł z gabinetu i zaraz wrócił, niosąc w ręce globus o nierównej powierzchni pokrytej brunatnymi plamami kontynentów.

– Świat jest taki wielki – powiedział. – Gdzie leży pani kraj?

– Tutaj. – Ana pokazała mu palcem.

– Słyszałem o zorzy polarnej – odparł z namysłem adwokat. – I o tym, że latem na północy nie zachodzi słońce.

– To prawda.

– Wszyscy skądś przyjechaliśmy – mówił dalej Pandre. – Nie zamierzam pytać, dlaczego przypłynęła pani do Afryki. Ale czy może mi pani powiedzieć, czym zajmuje się w Lourenço Marques?

Podczas długiej podróży pociągiem Ana zdecydowała, że powie prawnikowi prawdę, niezależnie od tego, o co by zapytał.

– Jestem właścicielką domu publicznego – odparła. – To bardzo intratny interes. Odziedziczyłam go po zmarłym mężu. Wielu naszych klientów przyjeżdża z Johannesburga. Obecnie pracuje u mnie trzynaście czarnych kobiet w różnym wieku i o różnej urodzie. Stać mnie na honorarium za pańską pomoc.

– Ale co mogę dla pani zrobić?

– Niech pan ją odwiedzi. Niech pan ją skłoni, żeby zaczęła mówić. I niech mi pan powie, co mam zrobić, jak postępować, żeby ją wypuścili.

Pandre milczał przez chwilę, powoli obracając globus. Było widać, że rozważa propozycję Any.

– Za wizytę w formie zażądam od pani stu funtów brytyjskich – odezwał się w końcu. – Poza tym mam jeszcze jedno życzenie. Ma ono związek z miejscem, którym pani zarządza.

Ana od razu zrozumiała. Adwokat nie musiał mówić nic więcej.

– Oczywiście – odparła. – Ma pan bezpłatny wstęp do O Paraiso.

Pandre wstał, zerkając na wiszący na ścianie zegar.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Mój klient, którego niestety nie udało mi się wybronić, ma dziś zostać powieszony w miejskim więzieniu. Zażyczył sobie, żebym był obecny na egzekucji. Domyśla się pani, że udaję się tam niechętnie, choć wcale nie twierdzę, że robi to na mnie wielkie wrażenie. Jak mniemam, doszliśmy do porozumienia. Złożę wizytę tej kobiecie w przyszłym tygodniu.

Ana z wysiłkiem powstrzymała się przed szybkim opuszczeniem gabinetu prawnika po tym, jak powiedział, że nie robi na nim wrażenia widok wieszanego klienta. Poczowała rozczarowanie i zwątpiła, czy ten człowiek będzie w stanie pomóc Isabel.

– Czy ten skazaniec, który zawiśnie, to mężczyzna? – spytała.

– Oczywiście, że to mężczyzna – odparł Pandre.

– Czarny?

– Nie, biały. Biedak, którego było stać tylko na hinduskiego adwokata.

– Co zrobił?

– Poderżnął gardło dwóm kobietom. Matce i córce. Zrobił to w szale zazdrości, bardzo brutalnie. Nie dało się go wybronić od kary śmierci. Niektórych można ocalić, innych nie. Niektórzy zwyczajnie nie zasługują na litość. Nie chcemy przecież, żeby ludzie zachowywali się jak dzikie zwierzęta.

Pandre uklonił się na pożegnanie, zadzwonił dzwonkiem i wyszedł. Za moment zjawił się sekretarz i zapisał adres Any w Lourenço Marques.

– Co znaczy *munshi*? – zapytała.

– W hindi oznacza to mniej więcej tyle co „mężczyzna, który naucza”. Pan Pandre jest mądrym człowiekiem.

– Ale mimo to jego klient zostanie dziś powieszony.

Sekretarz szeroko rozłożył ręce, jakby chciał wyrazić żal i bezradność w obliczu nieszczęśliwego zdarzenia.

– Coś takiego zdarza się bardzo rzadko. Pan Pandre ma świetną reputację.

– Czy kiedykolwiek miał czarnego klienta?

– Nie, jeszcze nigdy się to nie zdarzyło.

– Dlaczego?

– Czarnym adwokatów przydziela sąd. Obowiązuje zasada, że czarnych mają reprezentować biali.

– Dlaczego?

– Żeby nie było podejrzeń o stronnictwo.

– Nie rozumiem.

– Prawo jest dla specjalistów, senhora. Pan Pandre to rozumie. Jak już wspomniałem, to mądry człowiek.

Nazajutrz Ana wróciła do Lourenço Marques. Dobrze zapamiętała słowa sekretarza.

Kiedy przyszła do O Paraiso, Felicja opowiedziała jej, że komendantowi fortu ktoś podrzucił pod drzwi kurę bez głowy. Do nogi martwego zwierzęcia kawałkiem ścięgnięto przymocowano kartkę brunatnego papieru, kupionego w jednym z hinduskich sklepików. Na kartce był nieudolny rysunek Isabel. Nie mogło to oznaczać nic innego jak tylko ostrzeżenie, że szykuje się lincz.

Zagrożenie przybrało kształt czarnej chmury. Nadciąga, pomyślała Ana. Zaczyna mnie otaczać i zbliża się z każdej strony.

Po powrocie z Johannesburga Ana zaczęła spędzać więcej czasu w O Paraiso. Felicja, która od jakiegoś czasu była jej jedyną zaufaną osobą, zdradziła Anie, że niektórzy klienci ostatnio źle traktują kobiety. Dlatego Ana częściej pokazywała się w burdelu, licząc na to, że nikt nie odważy się użyć przemocy w jej obecności. Niemal natychmiast odczuła niemą wdzięczność dziewcząt, mimo że nie wahała się zmyć głowę którejś z nich, jeśli klient się skarżył, że dziewczyna okazywała mu pogardę lub spełniała jego życzenia niechętnie. Tłumaczyła, że dziewczynom nie wolno odgrywać się na wszystkich białych mężczyznach za to, co spotkało Isabel.

Któregoś ranka Ana zebrała w holu wszystkie kobiety, zaprosiła również Zé i Judasza, i opowiedziała im o swojej podróży do Johannesburga oraz spotkaniu z Pandrem. Na razie nie wspomniała o złożonej adwokatowi propozycji. Z reakcji zebranych odczytała, że cieszą się, iż nie opuściła Isabel, choć radości tej towarzyszyło przede wszystkim zdumienie. Podczas gdy biali mieszkańcy miasta mówili o Isabel jako o straszliwej morderczynie, która z zimną krwią zabiła niewinnego białego mężczyznę, czarni widzieli w niej może nie bohaterkę, w końcu zabiła ojca

swoich dzieci, ale mimo wszystko odważną kobietę, która podniosła głowę i miała odwagę sprzeciwić się niesprawiedliwości.

Ana była zdania, że to bardzo trafnie opisuje postępowanie Isabel: kobieta podniosła głowę i miała odwagę sprzeciwić się niesprawiedliwości. I mimo że tkwiła teraz w ciasnej celi, pilnowana przez groźnych, często pijanych żołnierzy, to właśnie Isabel zdecydowała się odrzucić wygodne życie w otoczeniu gardzących nią białych ludzi.

Późnym popołudniem tego samego dnia, którego Ana zwołała zebranie w holu, do O Paraiso przyszedł biały mężczyzna szukający zatrudnienia. Zdarzało się, że biali mężczyźni, zwykle niedobrze wyglądający, po przebytej febrze lub alkoholicy, przychodzili do Any i błagali ją o jakieś zajęcie. Do tej pory zawsze ich odsyłała, bo nigdy nie mieli do zaoferowania nic, czego mogłaby potrzebować.

Jednak człowiek, który zjawił się tamtego dnia, zrobił na niej inne wrażenie. Nie był obdarty ani brudny i był starannie ogolony. Przedstawił się nazwiskiem O'Neill i wyjaśnił, że wcześniej pracował jako wykidajło w barach i burdelach w różnych częściach świata. Na dowód, że mówi prawdę, położył na biurku Any gruby plik zaświadczeń od byłych pracodawców.

Ana wielokrotnie myślała o tym, że w O Paraiso przydałby się biały ochroniarz. Mimo że Judasz i dwaj pozostali strażnicy robili to, co do nich

należało, Ana nigdy nie mogła być pewna, że w obliczu poważnego zagrożenia zareagują tak, jak ona sobie tego zażyczy.

Zdecydowała się zatrudnić O'Neilla na próbę, na kilka miesięcy. Wyglądał na silnego i stanowczego. Doszła do wniosku, że szybko się okaże, czy jest to ktoś, kogo będzie chciała zatrzymać.

Tego samego dnia, w którym Ana zatrudniła O'Neilla, odbyła rozmowę z Felicją pod drzewem jakarandy. Nastął wieczór i Felicja czekała na jednego ze stałych klientów, mężczyznę z Pretorii, farmera posiadającego wielkie gospodarstwo, spokrewnionego z Burami. Zawsze opowiadał jej o swoich jedenaściorgu dzieciach, tłumacząc przy tym, że odwiedza O Paraiso tylko dlatego, że nie chce już męczyć swojej żony, wycieńczonej tyloma ciężarami i porodami.

Ana wypytała Felicję o rodzinę Isabel. Było jeszcze mnóstwo rzeczy, których nie wiedziała, i dziwiło ją, że nikt z krewnych kobiety ani razu jej nie odwiedził. Ana była jedyną osobą, która składała jej wizyty, nie licząc ojca Leopoldo, który regularnie bywał w więzieniu. Ana udała się raz do katedry, żeby zapytać go o Isabel, ale i on przyznał, że kobieta się do niego nie odzywa.

Ana odetchnęła wówczas i przyznała, choć tylko przed sobą, że odczuwa ulgę. Tym samym zrozumiała, że byłaby zazdrosna, gdyby Isabel

zdecydowała się zwierzyć księdzu, a nie jej.

Felicja była ubrana na biało, zgodnie z życzeniem klienta, na którego czekała.

– Nie wiem o niej wiele – powiedziała. – Jej siostry zajęły się dziećmi. Wiem, że Isabel ma też starszego brata Mojżesza. Pracuje w kopalniach w pobliżu miasta Rand. Na pewno przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł. *Jeśli* będzie mógł.

– A jej rodzice? Jeszcze żyją?

– Mieszkają w Beirze. Ale siostry zdecydowały, że im nie powiedzą.

– Dlaczego?

Felicja pokręciła głową.

– Myślę, że się boją, że rodzice umrą z rozpaczy. Są już starzy. Na razie wszyscy czekają, aż przyjedzie brat.

– Kiedy się go spodziewać?

– Nie wiadomo. Ani kiedy i czy w ogóle będzie mógł przyjechać.

Ana postanowiła zapytać Felicję o bezgłową kurę na progu domu komendanta fortu.

– Kto mógł zrobić coś takiego?

Felicja wzdrygnęła się, jakby Ana rzuciła jej w twarz oskarżenie.

– Nie twierdzę przecież, że ty to zrobiłaś – dodała po chwili. – Ale kto mógłby życzyć śmierci Isabel? Żaden biały nie zostawiłby na czyimś progu martwej kury. Chyba zgodzisz się ze mną, że musiał to zrobić czarny?

– Albo ktoś, kto chce, żeby wszyscy tak pomyśleli.

Ana musiała przyznać Felicji rację.

– Więc myślisz, że jednak zrobił to biały? – zapytała.

– Nikt z nas nie życzy śmierci Isabel.

– Dlaczego ona nie chce mówić?

– Bo jest w żałobie.

– W żałobie?

– Po mężu, którego musiała zabić.

– Musiała go zabić, bo ją oszukał?

– Powinna była wiedzieć, że wszyscy biali to robią.

– Wszyscy biali oszukują?

– Nie siebie nawzajem. Ale nas tak.

– Czy uważasz, że ja cię oszukuję?

Felicja nie odpowiedziała. Nie spuściła wzroku i wciąż wpatrywała się w Anę, ale milczała. Rozumiem więc, że sama mam sobie odpowiedzieć na to pytanie, stwierdziła Ana w myślach. Felicja daje mi wybór. I mam go dokonać ja, nikt inny.

– Wciąż nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że Isabel jest w żałobie – podjęła. – Oczywiście tęskni za dziećmi, ale to nie jest żałoba.

– Jest w żałobie po dzieciach, których nigdy już nie urodzi, bo musiała zabić męża.

Ana odniosła wrażenie, że rozmowa przybiera obrót, który do niczego nie doprowadzi. Bardziej przeczuwała, niż rozumiała, co Felicja stara jej się

wy tłumaczyć.

– Więc kto życzy jej śmierci? – spytała znowu.

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że każdy z żyjących w tym mieście białych chętnie trzymałby nóż wbijany w jej serce.

– Ale kto może cokolwiek zyskać na jej śmierci? Przecież taka śmierć nie przywróci życia Pimencie.

– Skąd mam to wiedzieć? – Felicja wzruszyła ramionami. – Nie jestem biała, nie znam waszego sposobu myślenia.

Ana nie dowiedziała się niczego więcej. Felicja wygładziła dłońmi świeżo wypraną białą sukienkę, delikatnie prostując wygniecenia. Było widać, że chce sobie pójść.

– Kim ja dla ciebie jestem? – spytała ją nagle Ana.

– Senhora to Ana Branca – odparła Felicja ze zdumieniem.

– Nie jestem nikim więcej?

– Do pani należy to drzewo, ziemia i dom, w którym żyjemy.

– I naprawdę nie jestem nikim więcej?

– Czy to nie wystarczy?

– Owszem – odparła Ana. – I to aż nadto. To tak dużo, że właściwie nie mam siły tego dźwignąć.

Nagle w drzwiach wiodących do ogrodu stanął wysoki niczym olbrzym brodaty mężczyzna z ogorzałą od wiatru i słońca twarzą. Był to klient Felicji. Ana patrzyła, jak para oddala się

korytarzem i znika za drzwiami pokoju dziewczyny. U boku mężczyzny Felicja zdawała się maleńka i krucha.

Ja musiałam wyglądać tam samo, pomyślała. Kiedy u boku Lundmarka szłam do konsula w Algierze, żeby poprosić o ślub.

Posiedziała jeszcze chwilę pod drzewem. Wcześniej spadł deszcz, ziemia parowała i spod jakarandy dobywał się słodkawy zapach. Ana czuła w powietrzu coś jeszcze, ale nie umiała wskazać źródła. Miała wrażenie, że podziemny świat próbuje wydostać się na powierzchnię. Znów pomyślała o sobie jako Hannie, zmrużyła oczy i wciągnęła w nozdrza zapach mokradeł i wrzosowisk z miejsca, w którym dorastała.

Na moment ogarnęła ją bolesna tęsknota. Nic nie potrafiło jej wzbudzić tak silnie, jak zapachy, które przypominały o tym, co straciła i za czym zawsze będzie tęsknić.

Tamtego wieczoru pod jakarandą Ana podjęła decyzję, że zostanie w mieście dopóty, dopóki Pandre nie odwiedzi Isabel i nie udzieli im jakiejś rady. Jeśli się okaże, że nie ma sposobu, by wydobyć Isabel z więzienia, Ana nie będzie miała powodu, by tu zostać. Nie zamierzała się poddawać, lecz nie chciała żyć złudzeniami.

Z rozmyślań wyrwał ją jakiś znajomy głos. Z pokoju Belindy Bonity wyszedł mężczyzna. Podtrzymywany przez dziewczynę, szedł, zataczając

się. Był zwrócony do Any plecami. W pierwszej chwili nie zrozumiała jego słów, ale po chwili dotarło do niej, że mężczyzna, o ile tylko nie bełkocze, mówi zrozumiałym dla niej językiem.

I wówczas go rozpoznała. Na korytarzu zwrócony plecami do niej stał Halvrosen. Niegdyś najlepszy przyjaciel Lundmarka. Ten sam, który kiedyś obiecał jej służyć pomocą, jeśli będzie potrzebowała wsparcia po śmierci męża.

Już po raz drugi do O Paraiso przyszedł ktoś z załogi, z którą Hanna podróżowała na pokładzie „Lovisy”. Ana zawahała się na moment, czy aby na pewno się nie pomyliła. Zapamiętała Halvrosena jako poważnego mężczyznę, głęboko wierzącego i nie pijącego na umór jak reszta załogi. Svartman, Lundmark i Halvrosen byli na tym statku jedynymi pijącymi z umiarem, pomyślała. Lecz kiedy teraz spoglądała na Halvrosena, ten ledwo trzymał się na nogach, na dodatek bełkotał coś po norwesku. Ana odniosła wrażenie, że marynarz złości się na Belinę Bonitę, ponieważ dziewczyna go nie rozumie. Na pokładzie „Lovisy” Halvrosen zawsze mówił cicho, niemal szeptał. Teraz pokrzykiwał, jakby wydawał rozkazy.

W pewnej chwili zatoczył się i usiadł na jednej z czerwonych kanap, ściskając w dłoni plik banknotów, które Belinda Bonita wyjęła mu z ręki szybkim ruchem. Ana mogła się wreszcie upewnić, że się nie myli. To był Halvrosen, z gładko przyczesanymi włosami i w swoim najlepszym ubraniu, w którym Ana ostatnio widziała go podczas pogrzebu Lundmarka, gdy przyglądał się opuszczanemu do wody ciału.

Wciąż pamiętała tę magiczną nieomal głębokość, 1935 metrów.

Gdy Belinda sobie poszła, zostawiając na kanapie bełkoczącego mężczyznę, Ana podniosła się ze swojego miejsca i podeszła. O'Neill stał za marynarzem, jakby zastanawiając się, czy pomóc mu wyjść. Ana odprawiła go i usiadła obok Halvrosena. Ten powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią przekrwionymi oczami. Prawie nic się nie zmienił, odkąd ostatnio go widziała, parę godzin przed swoją nocną ucieczką ze statku. Być może jego włosy są nieco rzadsze, oceniła po chwili. I policzki nieco bardziej zapadnięte. Lecz wciąż ma te same wielkie dłonie.

Uśmiechnęła się do niego, ale zrozumiała, że marynarz jej nie rozpoznaje. Nic w jego oczach nie wskazywało na to, by jej twarz wydała mu się znajoma. Była dla niego obcą kobietą, białą kobietą w czarnym burdelu, gdzie właśnie zapłacił za usługi pięknej, ale nieco chłodnej Belindy Bonity, która bez słowa wetknęła jego pieniądze za dekolt i wróciła do pokoju, zapewne po to, żeby się umyć i zmienić pościel dla następnego klienta.

Halvrosen zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się Anie, choć tylko jednym okiem. Wciąż wyglądał jak ktoś, kto nie wie, kim jest jego rozmówca.

– To ja – powiedziała Ana. – Hanna Lundmark. Pamiętasz mnie?

Marynarz się wzdrygnął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie jestem zjawą – mówiła dalej Ana, starając

się wypowiadać słowa bardzo wyraźnie. – To naprawdę ja.

W jednej chwili Halvrosen ją rozpoznał. Wytrzeszczył oczy i przyglądał się jej w osłupieniu.

– Przecież ty zniknęłaś – wybełkotał. – Nie znaleźliśmy cię.

– Zeszłam na ląd. Nie mogłam dalej z wami płynąć. Czułam, że Lundmark cały czas jest na pokładzie.

– 1935 metrów – mruknął Halvrosen. – Dobrze to pamiętam.

Usiadł prosto i wyprężył pierś. Było widać, że stara się wytrzeźwieć.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś spotkam tamtą kucharkę – powiedział. – Nigdy bym się tego nie spodziewał. Co się stało?

– Zeszłam na ląd – powtórzyła Ana. – Zostałam tu i ponownie wyszłam za mąż. A teraz znów jestem wdową.

Halvrosen zamyślił się nad jej słowami. Zaraz poprosił ją, by je powtórzyła, ale tym razem wolniej. Ana spełniła jego prośbę.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – odparł po chwili. – Nikomu nie przyszło do głowy, że mogłabyś dobrowolnie zejść na ląd w afrykańskim porcie.

– Opowiedz mi o waszej dalszej podróży. Spotkaliście górę lodową?

– Widzieliśmy jedną. Była wysoka jak kościół. Niedługo po tym, jak stąd wypłynęliśmy. Noce były

bardzo niespokojne. Prawie nigdy nie spotyka się góry lodowej, zanim nie jest za późno. Ale udało nam się dopłynąć do Australii i stamtąd wrócić.

– Zaglądałam do portu prawie codziennie, ale nigdy was tu później nie widziałam.

– W drodze powrotnej zawinęliśmy do innego portu, nieco dalej na północ, w Dar es-Salaam. A może to było na południu, w Durbanie? Nie pamiętam.

Ana zrozumiała, że Halvrosen wrócił na pokładzie „Lovisy” do Sundsvall. Oznaczało to, że musiał widzieć Jonathana Forsmana, który zwykł spotykać się z całą załogą po skończonym rejsie.

– Popłynąłeś ze Svartmanem z powrotem aż do Szwecji? – spytała.

– Tak, do Sundsvall. Ale potem pojechałem do Norwegii i zaciągnąłem się na inny statek.

– Nieważne. Interesuje mnie tylko to, co powiedział Forsman.

Halvrosen zmarszczył czoło.

– Jaki Forsman?

– Armator! – Ana nie wytrzymała.

Marynarz nagle sobie przypomniał.

– Przyjechał do portu na dziwnym wózku.

– Rozchorował się?

– Amputowali mu nogę po jakimś wypadku. Ale i tak dał radę wejść na pokład. Skakał jak kulawa koza.

– Przyszedł sam?

– Był z nim jakiś Fin. Ale nie pamiętam, jak się nazywał.

Ana wypytywała go dalej, ale Halvrosen nie wiedział nic o Bercie ani o jej dziecku. I choć czuła, że nie ma to sensu, zapytała go o swoją matkę. Czy ktoś wspominał o Elin? O kobiecie z górskiej doliny, której powiedziano, że jej córka nigdy nie powróci.

Halvrosen nie słyszał o żadnej Elin.

– Nie rozmawiałem z tym Forsmanem – powiedział. – Kapitan Svartman z nim gadał. Nie wiem, co mu powiedział o Lundmarku, o tobie i o twoim zniknięciu. Ja pojechałem na Spitsbergen i spędziłem tam zimę w nadziei, że zdobędę tyle skór, że na wiosnę będę mógł sobie kupić mały dom gdzieś w Trøndelag. Ale jedynym, co tam przeżyłem, było zamarzanie na śmierć, odchodzenie od zmysłów w ciemnościach i utrata wiary w Boga, do którego wcześniej mogłem się zwrócić w trudnych momentach. Teraz on już dla mnie nie istnieje. Ale wydaje mi się, że wcześniej tyle mi przebaczał, że wystarczy to na mnóstwo jeszcze niepopelnionych grzechów.

Halvrosen zaśmiał się smętnie, a potem nagle pochylił się w stronę Any. Był tak blisko, że owionął ją smród na wpół przetrawionego alkoholu.

– Rozumiem, że skoro tu jesteś, również jesteś do wzięcia. Ta czarnulka dobrze znała się na

rzeczy, ale to nigdy nie to samo, co z białą kobietą. Kosztujesz tyle co ona? A może więcej?

Złapał ją za pierś i mocno ścisnął. Ana pomyślała o włoskich dłoniach Carlosa i natychmiast go odepchnęła. Halvrosen najwyraźniej myślał, że to początek jakiejś gry, chwycił Anę i przyciągnął do siebie. Uderzyła go pięścią i zawołała O’Neilla.

– Wyrzuć tego człowieka za drzwi – powiedziała. – I żeby go tu nigdy więcej nie wpuszczano.

Halvrosen nawet nie zdążył zaprotestować, gdy O’Neill złapał go za fraki i wywlókł na ulicę.

Po chwili zatrzasnęły się za nim drzwi.

Ana pomyślała ze smutkiem, że różnica między kapitanem Svartmanem a członkami jego załogi zniknęła całkowicie, gdy tylko mężczyźni przekraczali próg domu, w którym były kobiety oddające się za pieniądze. Halvrosen również wziął ją za prostytutkę.

Chwilę później doszła do wniosku, że właśnie w tym momencie coś się dla niej nieodwracalnie skończyło.

Po niespodziewanej wizycie Halvrosena Ana zaczęła częściej pisać w pamiętniku. To, co do tej pory było niesystematycznym, spontanicznym zwyczajem, nagle stało się dla niej ważne. Opisała ze szczegółami wizytę i niegrzeczne zachowanie dawnego przyjaciela Lundmarka.

Nazajutrz po wizycie marynarza Hanna poprosiła O’Neilla, żeby poszedł z nią do portu. Były tam zacumowane trzy statki, dwa angielskie i jeden portugalski. Ana nie wiedziała, którym przyłynął Halvrosen. Potem sama zachodziła w głowę, dlaczego tam poszła, być może przez ciekawość.

Nocą nad miastem przetoczyła się chmura szarańczy. Rankiem na ulicach, schodach i dachach leżały martwe owady. Idąc z O Paraiso do portu, Ana pomyślała, że tak wyobraża sobie krajobraz po bitwie. Każdy owad był jak ranny lub poległy żołnierz.

Jedynym, który cieszył się z tego niespodziewanego nalotu, był Carlos. Siedział na dachu burdelu i zajadał się owadami, które z nieznaney przyczyny wybrały na swoją śmierć akurat to miasto.

Po południu, kiedy Ana wybrała się na codzienną wizytę do fortu, natknęła się tam na

nowego oficera. Akurat tego dnia towarzyszył jej O'Neill, nie Judasz. Okazało się, że komendant Lima zapadł na jakąś chorobę, prawdopodobnie malarię, i zawieziono go do szpitala. Jego miejsce zajął wojskowy doradca gubernatora. Mężczyzna przedstawił się jako Lemuel Gulliver Sullivan. Mimo angielskiego nazwiska mówił płynnie po portugalsku. Był młody, liczył sobie nie więcej niż trzydzieści lat, i Ana miała nadzieję, że tak młody człowiek okaże się bardziej tolerancyjny dla niej i Isabel.

Jednak nadzieja rozwiąła się, gdy tylko oficer przemówił.

– Podczas mojego zastępstwa będą obowiązywały ostrzejsze zasady – oznajmił. – Przetrzymani tutaj ludzie to poważni przestępcy. Muszą odczuć, że ponoszą karę. Właśnie prowadzę rozmowy z oficerami o możliwości przywrócenia kary chłosty. To zawsze ma dobry wpływ na więźniów.

W pierwszej chwili Ana była pewna, że się przesłyszała. Czy to możliwe, żeby życie Isabel, zamkniętej w ciemnej, wilgotnej celi, mogło stać się jeszcze gorsze? Powiedziała to oficerowi, nie ukrywając oburzenia.

– Jej zbrodnia zasługuje na surową karę – odparł oficer. – Zabiła białego człowieka. Jeśli nie ukarzymy jej przykładnie, będzie to sygnał, że nie wymagamy bezwzględności szacunku.

Ana zrozumiała, że nie ma sensu się spierać z Sullivanem.

– Czy poza tym są jeszcze jakieś reguły, które obowiązują od dziś? – zapytała.

– Będę tolerował jedynie bardzo ograniczoną liczbę odwiedzających.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że więźniów będzie odwiedzał wyłącznie krążący tutaj i łowiący zagubione dusze ksiądz oraz lekarz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Żadnych innych wizyt.

– A co, jeśli Isabel będzie chciał odwiedzić adwokata?

Sullivan wybuchnął śmiechem i okazało się, że brakuje mu wielu zębów, mimo że był jeszcze młody.

– A skąd miałyby wytrzasnąć adwokata? I w czym miałyby jej doradzić? – zarechotał.

Ana nie powiedziała nic więcej. Udała się prosto do ciemnej celi Isabel, gdzie zastała uwięzioną siedzącą na pryczy w tej samej pozycji, w jakiej Ana zostawiła ją zeszłego dnia. Jednak kosz z jedzeniem był pusty. Isabel jadła. Wciąż żyła.

– Niebawem odwiedzi cię pewien mężczyzna – powiedziała do niej Ana. – To mądry człowiek, który być może zdoła mi pomóc cię stąd wydostać. Będzie musiał podać się za lekarza, żeby tu wejść. Mówi twoim językiem, więc nikt nie zrozumie, o

czym rozmawiacie. Nawet ja.

Isabel nie odpowiedziała, lecz Ana odniosła wrażenie, że uważnie jej słucha.

– Następnym razem przyniosę ci czyste ubrania – dodała po chwili. – Wtedy miną trzy miesiące, odkąd cię zamknęli. Ponowię też moją prośbę, żeby dawali ci wodę do mycia.

Ana została u Isabel tylko parę minut, nie chcąc zwracać na siebie uwagi nowego komendanta. Teraz najważniejsza dla uwięzionej kobiety była wizyta prawnika. Tylko Pandre był w stanie coś dla niej zrobić.

Wracając do O Paraiso, Ana wybrała drogę naokoło przez port. Widziała, że O'Neill się dziwi, że nie chce z nim rozmawiać i zbywa jego pytania milczeniem. Nie podobało jej się, że nowy ochroniarz jest taki ciekawski, poza tym dostrzegła u niego parę innych cech, które jej nie odpowiadały. Zdawało jej się, że często podsłuchuje rozmowy innych, słyszała też, że widziano go w towarzystwie właściciela innego burdelu. Czyżbym popełniła błąd, zatrudniając go? pomyślała.

– Na czym ona spędza całe dni w tej celi? – odezwał się znów mężczyzna. – Robi rachunek sumienia i rozpamiętuje wszystkie swoje grzechy? A może wali pięściami w ściany jak w bębny i przewraca oczami?

Ana gwałtownie się zatrzymała.

– Jeszcze jedno słowo, a poproszę pana, żeby pan sobie poszedł i już więcej nie wracał.

– Przecież tylko pytam.

– Ani słowa więcej. Ani słowa! Od ochroniarza wymagam również milczenia.

O'Neill wzruszył ramionami, lecz Ana dostrzegła, że poważnie potraktował jej ostrzeżenie.

Gdy dotarli do portu, stwierdziła, że jeden z angielskich statków odplynął. Pomyślała, że to na jego pokładzie pracował teraz Halvrosen.

Spostrzegła, że O'Neill bacznie ją obserwuje. Kiedy wyszli z portu, poleciła mu, by się zatrzymał i zaczekał z powrotem do O Paraiso, aż ona zniknie za rogiem ulicy.

Parę dni później Pandre przysłał telegram zapowiadający jego przyjazd. Ana czekała na niego w nowo wzniesionym budynku stacji kolejowej. Mimo że Pandre zawiadomił ją w telegramie, że zamierza spędzić w mieście tylko dwa dni, miał ze sobą zaskakująco dużo kufrow, teczek i pudeł na kapelusze. Potrzeba było dwóch tragarzy i dwóch wózków na kółkach, by zawieźć bagaż do samochodu, który Ana wynajęła od senhora Andradego. To, co nie zmieściło się w bagażniku auta, załadowano na dorożkę.

Pojechali do hotelu, w którym – zgodnie z instrukcjami z telegramu – Ana wynajęła dla Pandrego największy apartament. Jadąc tam przed

paroma dniami, trochę się niepokoila. Zastanawiała się, czy adwokat, który nie był przecież biały, zostanie tam przyjęty. Jednak dyrektor hotelu ją uspokoił i zapewnił, że hinduski adwokat będzie mile widziany w ich progach. Zdecydowawszy się na pokrycie wszelkich wydatków Pandrego, Ana musiała zdeponować w hotelu dodatkową sumę. Była ciekawa, czy adwokat naciąga ją na jak największe wydatki, czy też zwykł żądać podobnych luksusów podczas każdego wyjazdu z Johannesburga.

Po tym jak Pandre wziął kąpiel, przebrał się w świeżo odprasowany biały lniany garnitur i ponapawał się widokiem z okna, mogli wreszcie usiąść przy stole w pustej hotelowej restauracji.

Nad górami oddzielającymi Lourenço Marques od kontynentu zawisły ciemne chmury. Zapowiadało się, że dotrą nad miasto wieczorem, przynosząc burzę. Ana streściła adwokatowi swoją rozmowę z nowym komendantem fortu. Powiedziała mu też, że zostanie wpuszczony do Isabel, jeśli poda się za lekarza.

– Nie mam białego kitla – oznajmił. – Adwokat zwykle nie musi się przebierać, żeby wykonywać swoją pracę.

– Mam nadzieję, że wkrótce okaże się to niepotrzebne.

– Niech mi pani opowie więcej o tym komendancie. Wojskowi są często bardzo

podejrzliwi. Czy on się aby zaraz nie domyśli, że ma do czynienia z fałszywym lekarzem?

– Nie znam go – odparła Ana. – Przedstawił się jako Lemuel Gulliver Sullivan, ale mówił płynnie po portugalsku, więc podejrzewam, że angielskie ma tylko nazwisko.

Pandre, który od paru chwil bawił się błyszczącą obręczą do serwetek, obracając ją w palcach, nagle gromko się roześmiał.

– Naprawdę się tak nazywa? – zawołał, szczerze rozbawiony. – Lemuel Gulliver Sullivan?

– Tak, zapisałam sobie jego nazwisko.

– Czy widziała go pani w otoczeniu koni?

– Stajnie wojskowe mieszczą się na obrzeżach miasta, w forcie jest tylko parę kóz.

– Mam na myśli jego żołnierzy. Czy wyglądali jak konie?

Ana nie zrozumiała pytania Pandrego. Natychmiast zrobiła się czujna.

– Dlaczego miałyby go otaczać jakieś konie? – spytała.

– No właśnie, dlaczego? Więc może otaczali go wyjątkowo niscy ludzie? Tacy, którzy zmieściliby się w tej obręczy na serwetkę jak w beczce na wino? A może jego żołnierze są olbrzymami?

Pandre dostrzegł wreszcie zdeorientowaną minę Any.

– Lemuel Gulliver Sullivan to postać literacka – wyjaśnił pogodnie. – Nigdy nie słyszałem o

człowieku, który byłby na tyle bezczelny lub zadufany w sobie, by nadać synowi imię bohatera pewnej niezwyklej powieści. Rozumiem, że jego przygody są pani nieznane?

– Prowadzę dom publiczny. – Ana obruszyła się nieco. – I próbuję pomóc kobiecie wydostać się z więzienia. Nie mam czasu na książki.

– To zrozumiałe – odparł Pandre. – Domyślam się, że ten młody komendant też nie czyta ich wiele. Albo wcale. Ale jego ojciec przeczytał przynajmniej powieść *Podróże Guliwera*.

Jedli obiad prawie w milczeniu. Co jakiś czas Pandre zadawał pytanie, ale pewnie tylko po to, by pokazać, że nie jest myślami gdzie indziej. Pytał o klimat i opady, o zwierzęta i lokalne odmiany febry. Ana odpowiadała mu najlepiej, jak umiała, zastanawiając się, czy adwokat już pierwszego wieczoru przyjdzie do O Paraiso, by skorzystać z jej oferty.

Wyglądało jednak na to, że Pandre ma inne plany. Zjadłszy obiad, wstał, ukłonił się na pożegnanie i poprosił, by odebrano go z hotelu nazajutrz o dziesiątej. Potem jeszcze raz się ukłonił i wyszedł. Ana uregulowała rachunek.

Kiedy wróciła do domu, Carlos zlaźł już z dachu, objedzony szarańczą, którą wcinał tam cały dzień. Leżał na jej łóżku i bekał sobie, bardzo zadowolony. Ana usiadła przy biurku i otworzyła pamiętnik, ale nic w nim nie zapisała. Zastanowiła

się, jakie wrażenie zrobił na niej Pandre wcześniej i teraz, kiedy znalazł się blisko niej. Dopiero po dłuższej chwili zanotowała wszystko, co wydarzyło się od jego przyjazdu.

Miała nadzieję, że pewnego dnia przeczyta Isabel wszystkie swoje zapiski. Opowieść o długiej podróży, jaką musiała odbyć, by zwrócono jej wolność.

Wiedziała już, jakimi słowami kiedyś zakończy pamiętnik.

Miała to być data i godzina uwolnienia Isabel.

Zamierzała też zanotować w pamiętniku odpowiedź na pytanie, które nurtowało ją najbardziej: czy wszystko to, co zdarzyło się po śmierci Lundmarka, było przypadkowym epizodem w jej życiu?

To, co Ana zamierzała zanotować jako ostatnią myśl, miało dotyczyć wolności jej oraz Isabel.

W końcu zamknęła pamiętnik, zgasła lampę i jeszcze chwilę siedziała w ciemności.

Isabel jest zamknięta w ohydnej, wilgotnej celi, pomyślała. Podobnie jak ja, choć przecież znajduję się w innego rodzaju więzieniu.

Nazajutrz zapanował nieznośny upał.

Gdy Pandre wyszedł z hotelu i wszedł do auta, na jego czole perlił się pot. Prawnik miał w ręce czarną torbę i Anie przyszło na myśl, że uwierzyłaby, gdyby jej powiedział, że jest w niej stetoskop i inne przybory lekarskie.

Lemuel Gulliver Sullivan czekał na nich na schodach, jak zwykł to robić jego chory na febrę poprzednik. Ana pomyślała, że oficer wygląda jak chłopiec w przydużym mundurze i przesadnie wyglancowanych butach.

Przedstawiła mu Pandrego.

– Oto lekarz, o którym rozmawiałam z pana zastępcą – powiedziała. – Mam nadzieję, że wspomniął, że pan doktor niebawem się zjawi.

Komendant potaknął, ale zmierzył Pandrego niechętnym wzrokiem.

– Postanowiłem panu towarzyszyć – oznajmił nagle. – Chcę być przy rozmowie lekarza z osadzoną.

– Rozmowa odbędzie się w jej języku – wyjaśnił przyjaznym tonem Pandre. – Ona tylko w ten sposób potrafi opowiedzieć mi o swoich dolegliwościach, ja też tylko tak jestem w stanie zadać jej odpowiednie pytania.

– Mimo wszystko pójdę z panem – powiedział

Sullivan. – Jestem ciekaw, czy w ogóle uda się panu skłonić ją do mówienia. Do tej pory nie odezwała się ani słowem. Może po prostu urodziła się bez strun głosowych? Nawet nie wiem, czy ma wysoki, czy niski głos.

– Niski – odezwała się nagle Ana. – Rozumiem jej język, mogę dla pana tłumaczyć.

Pandre rzucił jej szybkie spojrzenie. Zrozumiał, co zamierza zrobić, i po raz pierwszy spojrzął na nią z szacunkiem.

Ruszyli kamiennymi schodami do piwnic. Na widok komendanta fortu drzemiący żołnierz natychmiast się wyprostował, zasalutował i otworzył kluczem żelazną furkę. Sullivan odwrócił się do Pandrego.

– Rozumiem, że w tej torbie nie wnosi pan żadnej broni – powiedział. – Takiej, która albo odbierze życie osadzonej, albo pozwoli jej uciec.

Pandre otworzył torbę i wyjął z niej stetoskop, dokładnie taki, jaki Ana sobie wyobrażała. Skąd go wziął? zastanowiła się w myślach. Dobrze się przygotował. Może ten człowiek rzeczywiście jest w stanie pomóc Isabel.

Wkroczyli w ciemność wypełnioną stęchłym, nieruchomym powietrzem. Za kratami pierwszej celi podskakiwał zarośnięty biały mężczyzna.

– Ten więzień ma zostać przetransportowany do szpitala dla obłąkanych – powiedział komendant. – Twierdzi, że ma w trzewiach robaka, który go zjada

od środka. Pobił na śmierć mężczyznę, który nie chciał słuchać o niezaspokojonym głodzie tego stworzenia.

Pandre uprzejmie słuchał wszystkiego, co miał do powiedzenia oficer. Hanna stwierdziła, że adwokat wygląda tak, jakby wcale nie przeszkadzało mu stęchłe piwniczne powietrze. Być może podobne więzienia są w jego kraju, pomyślała.

Minęli kolejną celę, w której jakiś mężczyzna leżał na plecach i z trudem łapał powietrze, jakby się dusił.

– To Hiszpan nazwiskiem Mendoza – poinformował komendant, prowadząc ich coraz głębiej w ciemność. – Zabił swojego brata na statku kursującym wzdłuż wybrzeża i teraz próbuje sam sobie wymierzyć karę, odmawiając jedzenia. On też powinien trafić na oddział dla obłąkanych, ale nie chcą go przyjąć. Spodziewam się, że umrze za parę dni. Część moich żołnierzy robi zakłady, jak długo ten człowiek jeszcze pożyje. Nie podoba mi się to, ale nie mogę im tego zabronić.

W końcu dotarli do celi Isabel. Ana od razu dostrzegła, że kosz na jedzenie jest pusty, Isabel wciąż siedziała na pryczy w tej samej pozycji.

– Wizyta do osadzonej! – ryknął komendant.

Isabel nie poruszyła się. Pandre ostrożnie dotknął ramienia oficera, chcąc go powstrzymać przed krzykiem. Potem podszedł do Isabel i usiadł

koło niej na pryczy. Ana stanęła obok, a komendant został w otwartych drzwiach. Ana nie rozumiała, co adwokat powiedział do czarnej kobiety, ale ta od razu nastawiła uszu i po chwili coś mu odpowiedziała.

Komendant niecierpliwie zabrzączał szablą, więc Ana podeszła do niego i zaczęła na poczekaniu zmyślać, co mówi Isabel.

– Rozmawiają o jej dzieciach – powiedziała. – Isabel skarży się, jak bardzo rozpacza z powodu zdrady męża i jak ogromnie żałuje tego, co zrobiła. Marzy jej się, by mogła opuścić tę ciemną celę i odpracować swój grzech w jednej z misji, które krzewią wiarę wśród czarnych ludzi.

Ana starała się ze wszystkich sił mówić przekonująco. Komendant słuchał jej z niezdradzającym żadnych uczuć wyrazem twarzy. Chyba wcale go to nie interesuje, pomyślała Ana. Isabel nic dla niego nie znaczy. Nie obchodzi go, czy będzie żyła, czy nie. Przyszedł tu tylko z nudów.

Po chwili podjęła zmyśloną opowieść, starając się zachować rytm rozmowy Pandre z Isabel, prowadzonej spokojnym, ściszym głosem. Gdy skończyli, zupełnie dla Any niespodziewanie, jeszcze raz powtórzyła słowa Isabel o jej wielkim pragnieniu, by móc odpracować swój czyn w chrześcijańskiej misji.

Wróciwszy do hotelu, Ana i Pandre usiedli w

cieniu rosnących w kępie drzew plumerii, na huśtawce z widokiem na morze. Po tym jak Pandre grzecznie pożegnał się z komendantem, przez całą drogę z fortu nie odezwał się ani słowem. Teraz kołysał się powoli na zawieszonej na łańcuchach kanapie, ze szklanką zimnej wody w dłoni.

– Isabel powiedziała, że chce umrzeć, jeśli zapadnie wyrok śmierci – odezwał się po chwili z namysłem. – Prędzej umrze, niż przyzna się do winy. Milczenie to dla niej kwestia honoru. W ten sposób broni swojej duszy. Kilkakrotnie powtórzyła: „Tu chodzi o moją duszę”.

– Nie chce przeżyć nawet ze względu na dzieci?

– Oczywiście, że chce. Gdyby tylko mogła, uciekłaby z tego więzienia. Ale jeśli jedynym wyjściem jest przyznanie się do winy, woli umrzeć.

Pandre huśtał się dalej, wpatrując się w morze.

Potem wyciągnął przed siebie rękę ze szklanką i wskazał nią na horyzont.

– Gdzieś tam leżą Indie – powiedział. – Moi rodzice przybyli stamtąd trzydzieści lat temu. Być może kiedyś ja albo moje dzieci tam wrócimy.

– Dlaczego pana rodzice tu przyjechali?

– Ojciec handlował gołębiami – odparł Pandre.

– Usłyszał, że w Afryce jest mnóstwo białych ludzi gotowych zapłacić majątek za ładne sztuki. Nauczył się doklejać gołębikom dodatkowe lotki, żeby podbić cenę.

Adwokat zamilkł i spojrział przyjaźnie na Anę.

– Mój ojciec był oszustem – podjął. – Prawdopodobnie właśnie dlatego postanowiłem zostać kimś innym.

Pandre odstawił szklanę na stół.

– Chyba nie jestem w stanie udzielić pani żadnej rady – dodał znowu. – Jedyńm ratunkiem dla Isabel jest ucieczka z więzienia. Może da się przekupić tego komendanta? Albo opłacić strażnika, by któregoś wieczoru zostawił otwarte drzwi? Obawiam się, że to jedyne wyjście. A pani, mając spory majątek, dysponuje odpowiednim instrumentem, by wydostać tę kobietę na wolność. Nie wiem, jak w tej sytuacji najlepiej wykorzystać te pieniądze.

– Zrobię cokolwiek, żeby ją uwolnić.

– To też pani doradzam. Może sobie pani na to pozwolić.

Pandre wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją Anie.

– To mój rachunek – oznajmił. – Dziś wieczorem zamierzam odwiedzić pani przybytek. Będę wdzięczny, jeśli kierowca odbierze mnie stąd o dziewiątej. Zjem kolację w pokoju.

Wstał, ukłonił się i podążył w stronę wejścia do hotelu. Ana siedziała jeszcze długą chwilę, zastanawiając się nad jego słowami. Wiedziała, że adwokat ma rację. Isabel prędzej wybierze śmierć, niż zaprzeda swoją duszę.

Czy ja postępuję tak samo? zapytała w myślach.

A może już dawno straciłam możliwość wyboru?

Nie ruszyła się z miejsca aż do zachodu słońca. Potem wróciła do domu, przebrała się i o dziewiątej wróciła pod hotel, żeby odebrać Pandrego. Adwokat miał na sobie czarny garnitur i koszulę ze sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem. Pachniał perfumami, których Ana nigdy wcześniej nie poczuła u żadnego mężczyzny.

– A ten stetoskop? – spytała go, kiedy wsiadł do auta. – Skąd pan go wziął?

– Musiałem się odpowiednio przygotować – odparł adwokat. – Zanim pani po mnie przyjechała, udałem się do szpitala. Pewien sympatyczny lekarz sprzedał mi stary stetoskop za niewielką sumę.

Jechali w milczeniu.

Kiedy dotarli do O Paraiso, Pandre usiadł na jednej z czerwonych kanap, przyjął podaną mu szklaneczkę sherry i zaczął z uwagą przyglądać się kobietom.

Ana usiadła na krześle w kącie i z oddalenia ukradkiem obserwowała Pandrego. Wciąż jeszcze nie otworzyła koperty z rachunkiem. Pamiętała, że umówili się na sto funtów, ale spodziewała się, że adwokat obciąży ją sporymi kosztami, o których wcześniej nie rozmawiali.

Przyglądała się jego oczom oceniającym kształty kolejnej dziewczyny.

Nie mogła przestać myśleć o celi Isabel, zupełnie jakby wciąż tam była. Czuła, jakby to w

niej, gdzieś w jej wnętrzu, pobrzękiwał łańcuch, którym skuto więźniarkę.

Kiedy Pandre wreszcie się zdecydował i wskazał wybrankę palcem, jakby pokazywał na zwierzę przeznaczone na rzeź, wszyscy się zdziwili, że wybrał akurat bladą i przeraźliwie chudą A Maghrinę. W pierwszej chwili Ana pomyślała, że chodzi o Felicję, stojącą obok A Maghriny, ale gdy wstał, podszedł i ukłonił się chudej dziewczynie, o którą prawie nikt nigdy nie pytał, zrozumiała, jakiego dokonał wyboru. Zdumiała się, lecz tylko na moment, bo przekonała się po wielu miesiącach spędzonych w O Paraiso, że życzenia mężczyzn oraz ich wyobrażenia o tym, co jest atrakcyjne, często były trudne do przewidzenia. Pomyślała również nie bez satysfakcji, że wybierając A Maghrinę, Pandre znacznie obniżył koszt, jaki Ana zobowiązała się ponieść, ponieważ ostatnimi czasy chuda dziewczyna przynosiła wyłącznie straty. Wyglądało na to, że zbliża się dzień, w którym Ana będzie musiała poprosić ją na rozmowę, wypłacić jej kwotę wystarczającą na otwarcie straganu na jednym z targowisk dla czarnych i powiedzieć, by odeszła.

Nagle z rozmyślań wyrwało ją coś niespodziewanego. Tego wieczoru w O Paraiso było wielu klientów. Przy małym, wciśniętym w kąt barze mężczyźni tłoczyli się, pijąc i paląc cygara.

Gdy Pandre ruszył za A Maghriną do jej pokoju, jeden z nich, wysoki i postawny, stanął im na drodze. Błyskawicznie wyczuwający kłopoty O'Neill opuścił swoje stanowisko przy drzwiach i szybko się zbliżył. Ana zrobiła to samo. Mężczyzna, który zagroził drogę adwokatowi, nazywał się Rocha, był synem Włocha i Portugalki. Pracował w kolonialnym zarządzie dróg i wodociągów i raz w tygodniu przychodził do O Paraiso. Zwykle nie sprawiał kłopotów, ale zdarzało się, że wybuchał, wypiwszy zbyt wiele. Wówczas wyprowadzano go na ulicę, nim zdążył wywołać awanturę.

Instynkt podpowiadał Anie, że tym razem to coś poważnego. Rocha odsunął A Maghrinę na bok i zaczął mówić coś do Pandrego łamanym angielskim.

– Ja pierwszy ją wybrałem i spędzi wieczór ze mną – wybełkotał.

– Śmiem w to wątpić – odparł Pandre z nieschodzącym mu z twarzy grzecznym uśmiechem.

– A tak naprawdę wszystkie dziewczyny mają już klientów na ten wieczór – oznajmił Rocha. – Spóźniłeś się.

Ana, która słyszała tę krótką rozmowę, domyśliła się, o co tutaj chodzi. Już wcześniej zauważyła, że wielu klientów zareagowało zdziwieniem, gdy do burdelu wszedł kolorowy mężczyzna. Za jej rządów nigdy się to nie zdarzyło, ale senhor Vaz powiedział jej, że kilkakrotnie

zrobił wyjątek dla wpływowych Hindusów z Durbanu lub Johannesburga. Ponieważ tego wieczoru nikt otwarcie nie zaprotestował, Ana uznała, że ewentualne głosy niezadowolenia pojawią się później i trafią wyłącznie do niej, po tym jak Pandrego już nie będzie. Spodziewała się, że wówczas podejdzie do niej któryś z mężczyzn i zapyta, co chciała osiągnąć, wpuszczając do burdelu kolorowego człowieka. Zamierzała odpowiedzieć, że to ona decyduje o tym, kto tu przychodzi, a kto ma zakaz wstępu, choć wiedziała, że nie zostanie to dobrze przyjęte. Nieważne, ile razy by powtarzała, że to wyjątek.

Obaj mężczyźni zamilkli, ale wszyscy na nich patrzyli. A Maghrina zdawała się nie rozumieć, co się dzieje.

– Czy mają panowie jakiś problem? – spytała Ana.

– Właściwie nie – odparł Pandre. – Ten pan stanął nam na drodze, ale już sobie idziemy.

– Chce zabrać dziewczynę, którą wybrałem na ten wieczór – odezwał się Rocha.

Powiedział to po portugalsku i już miał przetłumaczyć to samo Pandremu, kiedy ten uniósł rękę na znak, że zrozumiał.

Rocha złapał A Maghrinę za ramię i gwałtownie ją do siebie przyciągnął, jakby chciał tym potwierdzić swoje słowa. Za moment Pandre zrobił to samo, przyciągając ją ku sobie. Lecz nim

ktokolwiek zdążył zareagować, dziewczyna przebudziła się z odrętwienia. Lekko odepchnęła Pandrego i stanęła u boku Rochy.

– On wybrał mnie na ten wieczór – oznajmiła Anie. – Nie ten brązowy człowiek.

Uśmiech zniknął z twarzy Pandrego, zupełnie jakby ktoś nagle zdmuchnął płomień. Adwokat odwrócił się i spojrzał na Anę. Ta dostrzegła, że Pandre jest wściekły.

– Obstawę przy moim wyborze – wycedził.

– Zgadza się z panem – odparła Ana i spojrzała wymownie na A Maghrinę, dając jej znak, by natychmiast wróciła do Pandrego.

– Ale ja nie chcę – odpowiedziała dziewczyna. – On jest brązowy.

– A ty jesteś czarna – odparła jej Ana. – A ja biała. Poza tym to ja decyduję, co masz robić.

– Nie – sprzeciwiła się ponownie dziewczyna. – Nie rozbiore się przed nim.

Rocha się uśmiechnął. O'Neill podszedł parę kroków bliżej, czując, że zaraz może dojść do bójki.

Jednakże Pandre się poddał. Ana dostrzegła, że wciąż jest wściekły, ale ocenił sytuację i uznał, że nie ma wyjścia. Zrezygnował z wieczoru w O Paraiso.

– Wracam do hotelu – oznajmił Anie. – Rozumiem, że płatność za moje usługi zostanie uregulowana, zanim wyjadę z Lourenço Marques

jutro w południe.

Uklonił się i wyszedł, odprowadzony do drzwi przez O'Neilla. Mężczyźni przy barze bili brawo. Rocha odepchnął z odrazą A Maghrinę, która usiadła z powrotem na kanapie. Ana poczuła, że nie znosi miejsca, w którym się znalazła. W tej chwili jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Usłyszawszy warkot silnika przed budynkiem, wyszła na zewnątrz.

O'Neill stał na ulicy i palił.

– Ten człowiek nie miał tu czego szukać – powiedział. – To oczywiście nie moja sprawa, ale jeśli zaczną tu przychodzić tacy jak on, szybko znikną inni klienci.

Ana nie odpowiedziała. Wiedziała, że powinna wrócić do środka i wyrzucić Rochę za drzwi. Zamiast tego poszła do baru naprzeciw, prowadzonego przez dwóch braci Portugalczyków. Jeden był niski i gruby, a drugi przygarbiony. Lokal był ciasny, z drewnianym barem i paroma stolikami upchniętymi w ciemnych kątach. Siedziało tam kilka prostytutek, które zmieniały się na ulicy lub dawały się zaprosić na parę drinków. Ana poprosiła zgarbionego brata o lampkę koniaku, opróżniła ją jednym haustem i dała znak, że chce drugą. Rozpoznała jedną z siedzących w półmroku kobiet. Wielokrotnie przychodziła do Any, prosząc o zatrudnienie, ale dziewczyny z O Paraiso jej nie chciały, bo krążyła plotka, że to złodziejka. Poza

tym ludzie mówili, że potrafi karać klientów, którzy źle ją potraktowali, jakimiś czarodziejskimi sztuczkami. Podawała im truciznę, która ich nie zabijała, ale sprawiała, że na długi czas stawali się impotentami.

Gdy Ana dostrzegła, że kobieta do niej podchodzi, machnęła ręką na znak, że nie chce rozmawiać. Położyła pieniądze na ladzie i wyszła na ulicę.

Niebo tej nocy było bezchmurne. Pomyślała o ojcu, który pokazywał jej gwiazdy. Postanowiła zaczekać tu do powrotu samochodu, który odwiózł Pandrego. Gdy wreszcie nadjechał i Ana już miała wsiąść i kazać się zawieźć do domu, odwróciła się jeszcze do O'Neilla.

– Niech pan powie dziewczętom, że spotkam się z nimi jutro rano o siódmej – powiedziała.

– One o tej porze jeszcze śpią.

– Nie – odparła stanowczo Ana. – Jutro o tej porze mają być wykąpane i ubrane. Punkt o siódmej odbędzie się zebranie pod jakarandą.

– Dobrze, ja też tam będę.

– Nie. Chcę rozmawiać z kobietami, nie z panem. Proszę nie przychodzić.

Wsiadła do auta i zatrzasnęła drzwi. Odjeżdżając, odwróciła się i spojrzała na ochroniarza.

O'Neill stał na ulicy z tłącym się papierosem i odprowadzał Anę wzrokiem.

Carlos spał obok niej tej nocy zwinięty w kłębek. Raz po raz poruszał rękami przez sen, jakby wspinał się na drzewo. Ponieważ nie pojękiwał, oznaczało to, że nie ma koszmarów. Ana była ciekawa, czy małpy śnią czasem o ludziach. Carlos przecież oddalił się od swojego małpiego środowiska na tyle, że być może miewa takie sny, pomyślała. Coraz częściej zdawała sobie sprawę, że szympanś naprawdę czasem doświadcza snów, które go przerażają. Ona tej nocy nie spała, zapadała jedynie w krótkie drzemki, przerywane rozmyślaniami o tym, co powie na jutrzejszym zebraniu. Wiedziała, że musi przygotować dziewczyny na kłopoty mogące wyniknąć z jej zaangażowania w uwolnienie Isabel. Zamierzała im oznajmić, że się nie podda, niezależnie od tego, jakie czekają ją trudności. Jednocześnie chciała wiedzieć, co one o tym myślą. Czy wśród czarnych również są ludzie gotowi jej pomóc?

Kilkakrotnie wstawiała z łóżka, ostrożnie, by nie zbudzić Carlosa, choć nie miała pewności, czy szympanś naprawdę śpi, czy tylko udaje. W słabym świetle lampy wertowała swój stary portugalski słownik w poszukiwaniu właściwych słów. Wychodziła też na werandę, żeby ochłodzić się rześkim nocnym powietrzem. Strażnicy spali przy ogniskach, ulicą bezszelestnie przemknął pies. Na morzu połyskiwały światła na statkach czekających na wpłynięcie do portu o świcie.

Pewnego dnia przybyłam tu na pokładzie jednego z nich, pomyślała. Miałam za sobą porwane na strzepy krótkie życie i próbowałam zebrać się w garść. Los przywiódł mnie w to miejsce. Zapewne wkrótce zanieśie mnie gdzie indziej. Nie mam pojęcia dokąd.

Kiedy Ana przyjechała wczesnym rankiem rano do O Paraiso, wszyscy już na nią czekali. Po drodze wstąpiła do hotelu i wręczyła zalakowaną kopertę dla Pandrego dyrektorowi, też już będącemu od świtu na nogach. Koperta zawierała pieniądze dla adwokata. Wychodząc z hotelu, Ana zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś spotka hinduskiego prawnika. Nie wiedziała o nim właściwie nic poza tym, że jego ojciec był oszustem, który przyczepiał gołębiom fałszywe pióra.

Wchodząc do O Paraiso, Ana nigdzie nie dostrzegła O'Neilla. Pod drzewem czekało ustawione specjalnie dla niej krzesło. Zdumiała się, bo Felicja odezwała się pierwsza, gdy tylko Ana usiadła. Zorientowała się, że kobiety są przygotowane na to spotkanie, być może tak samo jak ona.

Felicja przemówiła w imieniu wszystkich:

– Wiemy, że senhora Ana próbuje pomóc Isabel. To coś, co nas zaskakuje i za co senhorę podziwiamy. Żaden inny biały człowiek by tego nie zrobił. Ani też raczej żadna biała kobieta. Widzimy jednak, że to również oznacza kłopoty dla nas. Zjawia się coraz mniej klientów. A ci, którzy przychodzą, nie są już tak hojni jak kiedyś. I mimo że jesteśmy do tego przyzwyczajone, zauważamy,

że czasem są brutalni. Ludzie w mieście mówią, że wielu klientów wybiera inne burdele w proteście przeciw temu, co senhora robi dla Isabel. To znaczy, że mamy mniejsze dochody. Jeśli to się nie zmieni, wkrótce nie będzie tu przychodził nikt. Wówczas to miejsce straci swoje dobre imię, które dotąd je wyróżniało.

Felicja mówiła płynnie, jakby odczytywała wyuczony na pamięć tekst. Ana wiedziała, że kobiety mają rację. Była świadoma, że O Paraiso ma ostatnio mniej klientów, początkowo ich liczba zmniejszyła się tylko nieznacznie, potem zmiana stała się bardzo wyraźna. Zatroškany senhor Eber pokazał jej krzywą przychodów, która wyraźnie opadała. Nie był to nagły spadek, z dnia na dzień, wykres przypominał raczej drogę w dół po pagórku, który staje się coraz bardziej stromy.

Mimo to Ana poczuła się dotknięta i rozczarowana słowami Felicji. Liczyła na to, że kobiety wesprą ją w staraniach o uwolnienie Isabel. Poczwała nagłą odrazę do czarnych dziewcząt sprzedających swoje ciała i nawet niezastanawiających się nad tym, co robią. Liczyły się dla nich tylko pieniądze.

Zaraz jednak zrozumiała, że to niesprawiedliwa myśl. Ona bogaciła się przecież na ich pracy. I to ona jako jedyna miała czas i środki, by zaangażować się w pomoc Isabel. Tylko ona mogła ściągnąć z zagranicy Pandrego i próbować

przekupić kogoś wforcie, by pozwolił uciec zabójczynie.

Mimo to Ana wciąż czuła się dotknięta słowami Felicji. Wiedziała, że jeszcze za czasów senhora Vaza kobiety z O Paraiso zarabiałały o wiele lepiej niż pracownice innych domów uciech.

– Nie odczujecie aż tak wielkiej różnicy – powiedziała. – Czy naprawdę któraś z was ma się na co skarżyć?

Ana czuła napięcie w swoim głosie. Nie chciała, by wyszedł na jaw jej gniew.

Żadna z kobiet się nie odezwała. Ana spojrzała na nie, ale nikt nie patrzył jej prosto w oczy. Dziewczęta nie zareagowały również wówczas, gdy na ulicy zaczęli się kłócić sprzedawcy pomarańczy, choć zwykle nic nie bawiło ich tak jak bójki i awantury przed budynkiem.

– Chcę się tego od was dowiedzieć – podjęła Ana. – Czy którakolwiek z was zauważyła, że jej dochody ostatnio znacznie się zmniejszyły?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Po chwili jednak jak na komendę kilka kobiet podniosło rękę.

Ana wstała z krzesła, czując, że dłużej tego nie wytrzyma.

– Osobiście pokryję straty, które ponosicie dlatego, że pomagam Isabel! – wykrzyknęła. – Proszę przychodzić do mnie co miesiąc z rachunkami za klientów, którzy się nie zjawili. Ja je ureguluję. Będę waszym nowym klientem!

Wyszła z ogrodu, nie oglądając się za siebie, wsiadła do czekającego na nią auta i pojechała prosto do domu. Potem długo siedziała nad otwartym pamiętnikiem, myśląc, co w nim zapisać. Nie wiedziała, jak ma poradzić sobie z tak wielkim zawodem.

Podeszła do okna i spojrzała na morze. Patrzyła, jak małe łódki rybackie o trójkątnych żaglach wspinają się na fale, pchane sprzyjającym wiatrem. Carlos wlaźł na dach budynku i siedział przy kominie, ściskając w łapach pomarańczę.

Ana miała właśnie odejść od okna, gdy dostrzegła czarnego mężczyznę na ulicy. Stał przed jej domem i patrzył na nią, zadzierając głowę. Nigdy wcześniej go nie widziała. Był potężnie zbudowany i ubrany w coś, co przypominało kombinezon. Kiedy się zorientował, że go zauważyła, odwrócił się i ruszył przed siebie. Ana zawołała Juliette.

– Czy widziałas tego czarnego mężczyznę, który stał na ulicy i patrzył w moje okna? – spytała.

– Nie – odparła dziewczyna.

– A ja właśnie go widziałam. Jeszcze przed chwilą tu był.

– Nie wiem, kto to taki. Ale mogę spytać.

Popołudniem, gdy Ana wsiadała do auta, by udać się do fortu, Julietta jeszcze się nie dowiedziała, kto to mógł być. Zapewne nikt poza Aną go nie widział. Ana zaczęła podejrzewać, że

coś jej się przywidziało.

Sullivan czekał na nią na schodach.

– Osadzona została ranna w nocy – oznajmił obojętnym tonem, jakby nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

Ana w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Ta kobieta, do której pani przychodzi z jedzeniem – powiedział z naciskiem. – Nocą została ranna.

– Co się stało?

– Ktoś próbował ją zabić, ale mu się nie udało. Można też przypuszczać, że napastnik chciał ją tylko okaleczyć. Oszpecił jej twarz.

– Jak mogło do tego dojść?

– Badamy sprawę.

Ana nie czekała na dalsze wyjaśnienia komendanta. Puściła się biegiem przez dziedziniec fortu, na którym pasło się stadko kóz. Żołnierz pilnujący kraty otworzył ją, widząc, że Ana się zbliża. Popędziła ciemnym korytarzem. Drzwi do celi Isabel były otwarte na oścież. Kobieta po raz pierwszy nie siedziała na pryczy, ale leżała na boku. Ana przykucnęła na kamiennej posadzce. Zobaczyła, że z policzka Isabel spływa krew. Krwawa bruzda biegła od kącika ust prawie do ucha.

Po chwili do celi wszedł Sullivan.

– Może powinna pani przyprowadzić tego hinduskiego lekarza – powiedział.

Ana odniosła wrażenie, że oficer dobrze wie, iż Pandre był kimś innym niż lekarzem, za którego się podał. Jednak teraz nie miała siły się nad tym zastanawiać. Niech sobie podejrzewa, co chce, pomyślała.

– Wyjechał – odparła krótko. – Czy fort nie ma swojego lekarza?

– Jest w drodze – powiedział komendant. – Wcześniej musiał odebrać poród. Życie ma pierwszeństwo przed śmiercią.

– Nie zawsze – odezwała się z powagą Ana. – Myślę, że życie i śmierć mogą nadejść w tym samym momencie. Isabel może umrzeć, jeśli nie nadejdzie pomoc.

Lekarz, który w końcu się zjawił, okazał się głuchym starcem, Portugalczykiem mieszkającym w Afryce od ponad pięćdziesięciu lat. Ana z zaskoczeniem obserwowała jego zręczne dłonie zszywające i opatrujące gazikami ranę Isabel.

– Czy ona przeżyje? – spytała go w pewnej chwili.

– Oczywiście, że przeżyje – odparł lekarz. – Będzie miała bliźnę. I tyle.

– Czy ten, kto to zrobił, chciał ją zabić, czy tylko zranić?

Aby starzec był w stanie ją usłyszeć, musiała wykrzykiwać pytania wprost do jego ucha.

– Jedno i drugie jest możliwe – odpowiedział. – Ale moim zdaniem napastnik nie chciał pozbawić

jej życia, bo wtedy ciąłby niżej, w szyję, i o wiele głębiej. Ostry nóż, którym podetnie się gardło, zabija w mniej niż minutę.

Gdy lekarz poszedł, Ana została u Isabel. Nie miała pojęcia, czy rana jest bolesna. Obie milczały, wsłuchując się nawzajem w swoje oddechy. Ana odruchowo wpatrywała się w owada wspinającego się niestrudzenie po ścianie.

Po jakimś czasie wstała i wyszła z celi na słońce. Sullivan siedział w bujanym fotelu pod kamiennym murem i palił fajkę.

– Kto mógł się wdrzeć nocą do jej celi? – spytała go Ana.

– Odpowiem pani szczerze, senhora – odparł komendant. – Nie mam zielonego pojęcia. Ale obiecuję, że dokładnie zbadamy tę sprawę. Nie dopuszczę do tego, by zabito więźnia, za którego odpowiadam.

– Doprawdy?

– Tak. Choć nic mnie ta kobieta nie obchodzi. Uważam, że dawno powinno się ją powiesić albo rozstrzelać. Ale nie pozwolę, żeby ktoś zakradał się nocą do cel i kaleczył moich więźniów.

Wieczorem, kiedy Ana wróciła do domu i właśnie miała zasunąć zasłony w sypialni, znów dostrzegła na ulicy czarnego mężczyznę.

Zgasiła światło, odczekała chwilę i wyjrzała przez szczelinę między kotarami.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

Czeka na mnie, pomyślała. Ten człowiek czegoś ode mnie chce.

Zeszła schodami w dół, otworzyła drzwi i ostrożnie, starając się nie hałasować, minęła śpiących strażników. Ogarnęła ją fala złości na tych mężczyzn, zatrudnionych przecież, by ją ochraniać. Miała ochotę ich szturchnąć i wepchnąć do ogniska. Zamiast tego podeszła do furtki i wyslizgnęła się na ulicę. Mężczyzna stał po drugiej stronie. Podeszła do niego, osłaniając dłonią płomień świecy.

– Jestem Mojżesz – oznajmił nieznajomy. – Brat Isabel. Przyjechałem z kopalni, żeby uwolnić siostrę i zabrać ją ze sobą.

Mojżesz miał spokojny wzrok. W jakiś sposób przypominał Anie jej ojca.

Przed domem płonęły dwa ogniska, przy których spalili strażnicy. Mojżesz rozпалиł trzecie, ale na tyłach budynku, w miejscu, gdzie Ana kazała założyć mały warzywniak oraz posadzić drzewka pomarańczowe i cytrynowe. Po raz pierwszy od przyjazdu do Afryki przebywała sam na sam z czarnym człowiekiem, który traktował ją zupełnie zwyczajnie. Tym, czego dotychczas doświadczyła, była jedynie fałszywa uległość. Mojżesz tak się nie zachowywał. Rozmawiał z nią, patrząc jej prosto w oczy. Po raz pierwszy też czarny mężczyzna usiadł w jej obecności. Zwykle tylko ona siedziała, a czarni stali. Kiedyś Ana Dolores wytłumaczyła jej, że tak musi być.

Postanowiła zapytać go, dlaczego zachowuje się inaczej niż wszyscy.

– Dlaczego nie miałbym patrzeć pani w oczy? – odparł pytaniem Mojżesz. – Skoro pomaga pani mojej siostrze, nie może pani gardzić czarnymi i ich nienawidzić. Nie jest pani misjonarką, więc jest pani dla mnie zwyczajnym człowiekiem.

– Co pan robi w kopalniach w głębi kontynentu? Wydobywacie tam węgiel?

– Diamenty. Węgiel oczywiście też, bo to w końcu to samo.

Ana nie wiedziała, że węgiel i diamenty to to

samo. Nie rozumiała jego odpowiedzi.

– Węgiel jest na opał – odparła z namysłem. – A diament nosi się na palcu. Jak więc mogą być tym samym?

– Bardzo stary węgiel zmienia się w diament – wyjaśnił Mojżesz. – Kiedyś może będę mógł pani wyjaśnić, co wydobywamy na powierzchnię ziemi w okolicach Rand.

Ana wiedziała, skąd przybył Mojżesz, ale była ciekawa, jak się dowiedział, kim ona jest i gdzie ją odnaleźć. Czyżby powiedziała mu to Isabel?

– Po prostu to wiem – odparł, kiedy go o to spytała.

Nic więcej nie wyjaśnił. Zamiast tego zaczął jej opowiadać o życiu w kopalni, choć Ana wcale o to nie pytała.

– Biali, którzy pewnego dnia przybili do naszych brzegów, od początku szukali przede wszystkim tego, co kryje się pod ziemią – mówił. – Między innymi dlatego tak trudno nam was zrozumieć. Jak można podróżować tak daleko i narażać się na śmiertelną febrę czy ukąszenia jadowitych węży tylko po to, żeby szukać czegoś pod ziemią? Oczywiście wielu z was przybywa tu też, żeby polować. Inni z kolei szukają ucieczki przed czymś, co prześladowuje ich w ojczystym kraju. Trudno nam zrozumieć, dlaczego decydujecie się na życie, w którym to wy stajecie się prześladowcami. Sposób postępowania białych

ludzi jest dla nas niezrozumiały, ale całkiem przewidywalny, bo dobrze wiemy, czego pragniecie. Mimo to nie podejmujecie się sami nawet pracy w kopalniach, ale zmuszacie do tego nas. Wy, biali, zrobiliście z nas, czarnych, służących podziemi. Ale pewnego dnia to się skończy. Tak samo jak kończą się złoża diamentów i złota.

– Co pan zrobi, kiedy Isabel wyjdzie na wolność? – spytała Ana.

– Ochronię ją i jej dzieci, wykorzystując korytarze w kopalni, które świetnie znam. Po ucieczce zabiorę ich właśnie tam. Nieważne, że będziemy musieli przedostać się do innego kraju, przez granicę wytyczoną przez białych. Wasze granice nic dla nas nie znaczą. To tylko linie narysowane na czerwonej ziemi. Równie dobrze mogły je zrobić dzieci, patykami, podczas zabawy.

Mojżesz zamilkł i wbił wzrok w dogasający żar. Anie przemknęło przez myśl, że rozpałił ognisko, które miało płonąć, dopóki będzie miał coś do powiedzenia. Kiedy żar przygasł, Mojżesz wstał i odszedł. Na koniec poprosił, by spotkali się nazajutrz w forcie.

Ana wróciła do sypialni. Carlos przebudził się na moment, kiedy kładła się obok niego. Wyciągnął do niej dłoń, ale akurat teraz Ana nie chciała małpy w łóżku. Nie po tym, jak odbyła rozmowę z mężczyzną imieniem Mojżesz. Odepchnęła

szympansa, nie za mocno, ale wystarczająco, by zrozumiał, że ma się przenieść na lampę. Prychnął poirytowany i wyszczerzył zęby, ale pokornie wspiął się na żyrandol i ułożył się w uformowanym na kształt misy kloszu. Jedna ręka szympansa zwisała nad podłogą.

Ana wstała wcześniej, a potem długo siedziała przed lustrem, przyglądając się swojej twarzy. Doszła do wniosku, że cieszy się na następne spotkanie z Mojżeszem. Chwilę później uświadomiła sobie ze zdumieniem, że tli jej się w głowie niedopuszczalna myśl: Mojżesz był mężczyzną, którego pragnęła mieć blisko siebie. Przytknęła dłoń do ust, jakby chciała stłumić okrzyk przerażenia.

Widzę w nim kogoś innego, pomyślała. Lub też niepostrzeżenie sama stałam się kimś całkiem innym.

Parę godzin później, kiedy Ana zmusiła się, by wreszcie przejrzeć rachunki senhora Ebera i sprawdzić, czy O Paraiso naprawdę przynosi mniejsze dochody, nagle zjawiała się Julietta, oznajmiając, że przyszedł ojciec Leopoldo. Ana przeraziła się, że coś złego spotkało Isabel. Zbiegła schodami w dół, by zobaczyć się z nim jak najszybciej, ale ksiądz zaraz ją uspokoił, zapewniając, że stary lekarz założył porządne szwy, a opatrunek skutecznie ochrania ranę przed bakteriami.

– Przyszedłem tylko, żeby powiedzieć, że dalej próbuję z nią rozmawiać – powiedział, kiedy usiedli w cieniu na werandzie i Julietta podała herbatę.

– Więc wciąż nic nie mówi? – spytała Ana po namyśle.

– Nie. Ale słucha.

– Jest ojciec tego pewien?

– Tak, widzę to.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale o czym ojciec próbuje z nią rozmawiać?

– Przekonuję ją, by wyznała swoją winę i zawierzyła Bogu. On ją osądzi, ale będzie miłosierny, jeśli Isabel przyzna się do grzechu i podda się jego woli.

Ana spojrzała na księdza ze zdziwieniem. On naprawdę wierzy w to, co mówi, stwierdziła w myślach. Bóg w jego oczach jest Bogiem karzącym, takim samym, jakim widziała go moja babka. On wierzy w takie samo piekło jak ona. Ja przeciwnie. Nie wierzę w istnienie piekła, chociaż podświadomie się go boję. Jeśli piekło istnieje, znajduje się tutaj, na ziemi.

Bóg jest biały, przyszło jej na myśl po chwili. Zawsze go sobie takim wyobrażałam. Ale jeszcze nigdy tak wyraźnie jak teraz.

Ana nie chciała dłużej o tym rozmawiać.

– Ojciec odwiedza mnie po raz pierwszy – zmieniła temat. – Nie sądzę, by jedynym powodem

tej wizyty była chęć poinformowania mnie, że Isabel ciągle milczy. Ksiądz przecież odwiedza ją każdego dnia.

– Przeszedłem również w sprawie odpadającego tynku w rogu katedry. Trzeba to koniecznie naprawić.

– Przecież nie jestem murarzem.

– Zbieramy datki, żeby jak najszybciej rozpocząć prace. Nie możemy czekać na decyzję archidiecezji w Lizbonie.

Ana skinęła głową. Zgodziła się przekazać darowiznę, choć poczuła się dotknięta faktem, że był to w zasadzie jedyny powód wizyty ojca Leopolda. Nie patrzyła już na niego jak na księdza, ale jak na żebraka, który ją nagabywał.

Podniosła się nagle, jakby dokąś się spieszyła. Zadzwoiła dzwonkiem, a gdy zjawiła się Julietta, poprosiła ją, by odprowadziła księdza do wyjścia. Przypomniała sobie słowa ojca, wyrzekającego, że wszystkich księży powinno się pędzić po śniegu na bosaka. Nie polubiłby ojca Leopolda, stwierdziła. A ja wciąż byłabym dla niego małym, brudnym aniołem.

Tego dnia Ana nie poszła do O Paraiso. Wysłała Juliettę z wiadomością dla O’Neilla, żeby pilnował porządku, dopóki ona się nie pojawi. Na koniec krótkiego listu dodała, że być może wpadnie wieczorem. Senhor Vaz zdążył ją nauczyć, że należy trzymać pracowników w niepewności.

Powinni mieć świadomość, że kontrola może nadejść o każdej porze.

Po rozmowie z ojcem Leopoldem Ana odprawiła jednego ze śpiących nocą strażników. Mężczyzna nadaremno błagał ją, by pozwoliła mu zostać. Tłumaczył, że był chory, gorączkował, jego matka miała wypadek, jego dzieci żyły w niedostatku i widocznie zasnął z wycieńczenia. Jednak Ana dobrze wiedziała, że nic z tego nie jest prawdą, a jedynie rytualnym przedstawieniem, wyreżyserowanym od początku do końca. Była nieugięta, lecz oznajmiła, że na to samo miejsce zatrudni jego brata. Od razu kazała mu przekazać, że co noc będzie sprawdzała, czy strażnik nie śpi.

Po poobiedniej sjeście, spędzonej na bezsensnym przewracaniu się na łóżku i leniwym wachlowaniu, Ana pojechała do fortu. Gdy wsiadała do auta, Carlos znajdował się na dachu, tuż przy kominie. Anie przemknęło przez myśl, że w szympansie zachodzi jakaś przemiana. Nie umiała tego nazwać, ale coś się najwyraźniej z nim działo. Może widzę w nim siebie, pomyślała po chwili. Coś się wkrótce wydarzy. Coś decydującego, co zaważy na moim życiu. I tym samym na życiu Carlosa.

Mojżesz czekał w cieniu muru otaczającego fort. Ana zbliżyła się, wysiadłszy z auta. Wybrał na spotkanie ustronne miejsce, w którym nikt nie mógł ich dostrzec. Wręczył jej małą skórzaną sakiewkę.

– Co to takiego? – spytała Ana.

– Zmiażdżone muszle pewnego gatunku ślimaka, występującego tylko na wybrzeżu blisko miasta Inhambane. Zmieszane z suszonymi kwiatami drzewa, które zakwita tylko na jeden dzień co dziewiętnaście lat.

– Nie ma takich drzew.

Mojżesz spojrział na nią z zatroskaną miną. Ana natychmiast pożałowała swoich słów.

– Co mam z tym zrobić? – spytała szybko.

– Przekazać Isabel. I powiedzieć, że to ode mnie. Musi to zjeść.

– Po co ma jeść jakieś kwiatki?

– Dodadzą jej skrzydeł, będzie jak motyl. I na nich będzie mogła ulecieć z więzienia. Potem zabiorę ją i jej dzieci do moich kopalni. W celi zostanie tylko ta sakiewka, ale i ona powoli rozpułynie się w powietrzu, z cichym szepcieniem.

– Ta sakiewka potrafi szeptać?

– Opowie o Isabel i jej nowym życiu tym, którzy potrafią słuchać.

– To wszystko brzmi jak bajka dla małych

dzieci.

– Ale to prawda.

Ana widziała, że Mojżesz mówi ze śmiertelną powagą. A przecież nie miała przed sobą dziecka. Ten mężczyzna był przekonany, że jego słowa są prawdziwe. W jednej chwili dostrzegła, jak podobni do siebie są on i Isabel. Mieli te same oczy i to samo wysokie czoło.

– Dobrze. Dam jej to – powiedziała, wkładając sakiewkę do kosza z jedzeniem. – Ale czy będzie wiedziała, co z tym zrobić?

– Będzie – odparł Mojżesz.

– I naprawdę wyrosną jej skrzydła?

Mojżesz zrobił krok w tył, jakby nie chciał dłużej stać blisko Any. Zaraz po tym odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Ana odprowadziła go wzrokiem, pełna wahania. Po chwili postawiła kosz na ziemi, wyjęła skórzaną sakiewkę i zajrzała do środka. Woreczek był do połowy wypełniony połyskującym w słońcu białobłękitnym proszkiem.

Uczestniczę w jakiejś dziwnej grze, pomyślała. Jakim cudem człowiekowi mogą wyrosnąć skrzydła? Czy gdyby ojciec mógł mi dać te zmielone muszle i kwiaty, mógłby potem patrzeć, jak odlatuję w stronę gór, zostawiając za sobą dolinę i rzekę?

Zawiązała sakiewkę. Wciąż niewiele rozumiem, stwierdziła. Te skrzydła są widocznie czymś, co mogą pojąć jedynie Mojżesz i Isabel. Dla mnie to

zarazem przerażające i śmieszne.

Weszła przez bramę do fortu. Sullivan jak zwykle czekał na nią na schodach. Z jakiejś przyczyny tego dnia miał na sobie galowy mundur. W ręce trzymał zgaszoną fajkę. Ana spytała go, czy udało mu się wyjaśnić, kto napadł na Isabel.

– Nie – odpowiedział. – Chociaż dziwię się, że wciąż nie potrafimy tego ustalić.

– Więc musiał to być któryś z żołnierzy.

– Ale który z nich podjąłby takie ryzyko? Jeśli któryś z nich jest winien, odeślę go do domu. Służba w kompanii karnej w Portugalii to coś, czego boi się każdy żołnierz.

– Kto mógłby się przemknąć obok nich?

– Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. To małe miasto. Trudno będzie komuś ukryć prawdę o tym, czego się dopuścił.

Nigdy nie doczekam się odpowiedzi, pomyślała Ana. Nie zdziwiłabym się, gdyby twarz Isabel pociął mężczyzna, z którym właśnie rozmawiam.

Opuściła komendanta i udała się do ciemnej celi. Tam usiadła obok Isabel, zauważając, że wczorajszy kosz nie jest całkiem pusty. Isabel wciąż jadła, choć po zranieniu niewiele.

– Mam dla ciebie coś od Mojżesza – powiedziała Ana, wyjmując sakiewkę. – Twierdzi, że jeśli zjesz ten proszek, odzyskasz wolność.

Po raz pierwszy Isabel złapała Anę za rękę. Mocno chwyciła sakiewkę i na moment oparła

głowę na ramieniu Any.

– Proszę już iść – odezwała się nagle chrapliwym, odwykłym od mówienia głosem. – Nie mam wiele czasu.

Ana wyszła na zalany słońcem dziedziniec. Kilku czarnych robotników polerowało przywieziony statkiem z Lizbony posąg rycerza, który miał wkrótce trafić na główny rynek w mieście. Stadko kóz stało bez ruchu w cieniu pod murem.

Ana wróciła do domu. Miała nadzieję, że będzie tam na nią czekał Mojżesz, ale nigdzie go nie dostrzegła.

Nazajutrz Carlos obudził ją o świcie, sennymi kopnięciami ściągając z niej kołdrę. Ana podeszła do okna i ujrzała Mojżesza stojącego na ulicy i wpatrującego się w okna jej domu. Zbiegła schodami i minęła strażników, którzy już wygasili ogniska i myli się przy pompie na tyłach domu.

Mojżesz trzymał w ręce łopatę.

– Proszek nie zadziałał – oznajmił. – Isabel wciąż jest uwięziona.

– Skąd pan to wie?

– Po prostu wiem. Wokół Isabel jest zbyt wielu białych ludzi, którzy odstraszą duchy. Dlatego dziś zacznę robić podkop pod murem fortu. Zajmie to więcej czasu, niż gdyby Isabel wyleciała na skrzydłach, ale my jesteśmy cierpliwi.

– Gdzie niby ma się zaczynać ten podkop?

Przecież to niemożliwe!

– To musi być możliwe!

– Naprawdę pan myśli, że zdoła to zrobić sam?

Rozumiem, że ma pan wprawę w kopaniu, ale to nie wystarczy.

Mojesz nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł bez słowa, podążając w dół, w stronę fortu.

Ana została na ulicy, ubrana jedynie w szlafrok. Wróciła do domu dopiero wówczas, gdy nocni strażnicy skończyli się myć i oznajmili, że sobie idą. Zrozumiała, że tylko ona może pomóc Isabel, nieważne jak głęboko ona i jej brat wierzą w proszki, od którego ludziom rosną skrzydła. Położyła się z powrotem do łóżka i nie wstała z niego, aż podjęła decyzję. Ubrała się i wyjęła z szuflad i szafy pancерnej większość gotówki. Napełniła pieniędzmi duży kosz na bieliznę i poprosiła Juliette, żeby pomogła jej zanieść go do samochodu. Potem kazała się zawieźć do fortu.

– Czy ona sama to wszystko zje? – zdziwiła się Julietta, widząc kosz.

– Zadajesz za dużo pytań – odparła oschle Ana.

– Nie mam siły na nie odpowiadać. Musisz nauczyć się milczeć. Poza tym to kosz na bieliznę, nie na jedzenie.

Kierowca pomógł jej wnieść kosz do fortu. Sullivan, ubrany tego dnia w zwyczajny mundur, czekał już na nią na schodach.

– Chcę pomówić z panem na osobności –

oznajmiła Ana na powitanie. – I potrzebuję pomocy we wniesieniu tego kosza po schodach.

Komendant spojrział na nią zdziwiony. Potem zawołał dwóch żołnierzy i kazał im zanieść kosz. Ana podążyła za nimi i zamknęła drzwi, kiedy tragarze sobie poszli. Kosz był nakryty chustą w orientalne wzory, którą senhor Vaz otrzymał kiedyś od niewypłacalnego klienta.

Sullivan usiadł za ciemnobrązowym biurkiem i wskazał Anie krzesło dla interesantów.

– Życzyła sobie pani ze mną pomówić, sehnora – zagaił.

– Powiem wprost – odparła Ana. – Isabel nie pożyje długo w tej celi. Dlatego proponuję panu ten oto kosz pełen pieniędzy w zamian za umożliwienie jej ucieczki.

Wstała i uniosła chustę, odsłaniając wypełniające kosz po brzegi pliki banknotów. Sullivan wstał i przyjrzał się pieniądzom w milczeniu.

– To wszystko, co mam – dodała Ana po chwili. – Oczywiście przyrzekam, że nigdy nikomu niczego nie powiem. Zależy mi tylko na jednym. Chcę, żeby Isabel wyszła na wolność.

Komendant znów usiadł. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Dlaczego ona tak wiele dla pani znaczy? – zapytał wreszcie.

– Byłam świadkiem tego zdarzenia. Wiem,

dlaczego to zrobiła. Myślę, że ja postąpiłabym tak samo. Ale mnie nie zamknięto by w piwnicznej norze, bo jestem biała.

Sullivan przytaknął, ale nic nie powiedział. Z dziedzińca dobiegły odgłosy jakiejś koziej sprzeczki. Ana czekała.

Minęła długa chwila, nim komendant znów się odezwał. Odwrócił głowę i spojrzał na Anę z uśmiechem.

– Uważam, że to świetny pomysł – oznajmił. – Jak pani widzi, senhora, można się ze mną dogadać. Ale te pieniądze nie wystarczą.

– Nie mam więcej.

– Nie chcę pieniędzy.

Anie przyszło na myśl, że komendant zażąda tego samego, co Pandre.

– Oczywiście będzie pan miłym gościem w O Paraiso o każdej porze – powiedziała. – Może pan korzystać w usług moich kobiet bezpłatnie.

– Pani nie rozumie, o co mi chodzi, senhora – odparł Sullivan. – Choć owszem, mam na myśli wizytę w pani przybytku, gdzie mieszkają te kuszące dziewczęta. Oczekuję jednak, że to pani, senhora, uda się ze mną do jednego z pokoi i spędzi ze mną noc. Żadna inna kobieta. Chcę tę, której nie dostał żaden klient.

Ana ani przez chwilę nie wątpiła, że komendant mówi poważnie. Wiedziała, że nie ma sensu przekonywać go do którejś z dziewcząt. Sullivan

już zdecydował.

– Pieniądze mogą tu zostać do czasu, aż pani się zastanowi. Zapewniam, że nikt niczego nie ukradnie. Daję pani czas na decyzję do jutra.

Komendant wstał, ukłonił się i otworzył Anie drzwi. Gdy go mijała, przelotnie pogładził jej policzek dłonią w rękawiczce. Ana zadrżała.

Jej wizyta u Isabel tego dnia była bardzo krótka. Późnym wieczorem, kiedy Carlos już spał, Ana podjęła decyzję. Postanowiła, że sprzeda swoje ciało ten jeden jedyny raz.

Czuła, że kiedy to wszystko się skończy, wreszcie będzie mogła wyjechać. Opuści to piekło na ziemi, przed którym nie ostrzegła jej babka. Pragnęła zniknąć z miasta, do którego przygnał ją los. Stawiając stopę w porcie tamtej nocy, Ana nie spodziewała się, w co zostanie tutaj uwikłana.

Aby zasnąć, Ana połknęła dużą dawkę środka nasennego zawierającego chlor, ten lek został jej po senhorze Vazie. Spała wprawdzie niespokojnie, ale mimo wszystko zapadła w sen.

Przebudzenie nadeszło nagle. Ana otworzyła oczy i spojrzała prosto w nieogoloną twarz O'Neilla. Ochroniarz miał wytrzeszczone i nabiegłe krwią oczy.

Dopiero nastał świt i blade światło przedzierało się przez szczelinę między zasłonami. O'Neill trzymał w ręce zakrwawiony nóż. W pierwszej chwili Ana myślała, że to ona jest ofiarą, ale nie poczuła bólu. Na parę sekund w jej głowie zaroilo się od przerażających myśli. Gdzie jest Carlos? Dlaczego mnie nie ostrzegł?

Po chwili zobaczyła, że szympanś leży na podłodze obok łóżka z połową owłosionego pyska we krwi. Nie umiała ocenić, czy nie żyje, czy tylko jest ranny. Przemknęło jej przez myśl, że być może słyszała przez sen jego krzyki. Może to właśnie te odgłosy ją obudziły?

Gdy wreszcie udało jej się stwierdzić, że nie jest ranna, zorientowała się, że O'Neill wygląda na wystraszonego. Przeciwno komu użył tego noża? pomyślała. Przeciwno śpiącym strażnikom? Julietcie? Zmusiła się, by zachować spokój, i

usiadła w pościeli. O'Neill jednym szarpnięciem odsunął zasłonę i resztki ciemności zniknęły. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby bardzo mu się spieszyło. Ana poczuła tym większy niepokój, dochodząc do wniosku, że to oznacza, iż O'Neill zrobił coś strasznego i musi uciekać.

– Czego pan chce? – spytała go najspokojniejszym tonem, na jaki się zdobyła.

– Przyszedłem po twoje pieniądze – odparł ochroniarz.

Ana dostrzegła, że mężczyzna cały się trzęsie.

– Co pan zrobił?

Czyżby napadł na którąś z dziewcząt w burdelu? analizowała. Może na więcej niż jedną? Może na wszystkie? Czy na nożu jest też krew Felicji?

– Muszę wiedzieć – dodała po chwili. – Co się stało? W kogo wbił pan ten nóż?

O'Neill nie odpowiedział. Warknął tylko, potem zdarł z Any kołdrę i ponownie wysyczał, żeby oddała mu wszystkie pieniądze.

Ana wstała, założyła szlafrok, nie mogąc odeprzeć myśli, jakie to dziwne, że akurat tego dnia prawie wszystkie jej pieniądze leżą zamknięte u komendanta fortu i strzeże ich cały portugalski garnizon.

– Co się stało? – powtórzyła z naciskiem.

O'Neill wciąż stał z wyciągniętym nożem, jakby się bał, że Ana się na niego rzuci.

Carlos leżał bez ducha, ale Ana dostrzegła, że jego piersi rytmicznie się poruszają. Wiedziała, że nigdy nie przebaczy O'Neillowi, iż targnął się na życie bezbronnej małpy, niezależnie od tego, czym się kierował.

Ochroniarz niespodziewanie odpowiedział. Zrobił to, niemal wypluwając każde kolejne słowo.

– Poszedłem do jej celi i dokończyłem dzieła. Teraz już na pewno nie żyje.

Ana jęknęła cicho i stanęła jak sparaliżowana. O'Neill podszedł bliżej.

– Nie mogłem dłużej patrzeć na to, jak trwonisz zarobki dziewczyn na kobietę, która zamordowała swojego męża. Teraz muszę stąd zniknąć z wszystkimi twoimi pieniędzmi. Nie będzie cię stać nawet na jej trumnę.

Ana powoli usiadła na skraju łóżka. Czuła się tak, jakby nóż O'Neilla pokaleczył ją od środka. Myślała w tej chwili tylko o jednym i była to rozpacz po śmierci Isabel. Wiedziała, że O'Neill nie wyjdzie stąd bez pieniędzy i z pewnością jej nie uwierzy, że zostawiła większość gotówki w biurze komendanta. Być może to jest koniec podróży, którą rozpoczęłam, wsiadając na sanie Forsmana, pomyślała. Zginę tu, w tym pokoju, zasztyletowana przez mężczyznę, którego zatrudniłam. Przyjęłam go na próbę, nie mając pojęcia, że pozwalam się zbliżyć mordercy. Umrę w mojej wdowiej sypialni, u boku niezwyklej małpy, która za życia

przechadzała się po burdelu w białej liberii.

Ale czy to, co powiedział O'Neill, może być prawdą? spytała samą siebie po chwili. Spojrzała mu w oczy, stwierdzając, że wpadła w pułapkę. Nie dostrzegła na czas zamaskowanej zapadki i teraz powoli się dusi.

– Dlaczego pan ją zabił? I czemu miałabym panu wierzyć?

– Nikt inny nie miał odwagi zrobić tego, co słuszne. Odebrać jej życia. Więc zrobiłem to ja.

– Jak udało się panu dostać do jej celi? I to dwa razy?

– Miałem pomocnika, który zostawił otwarte drzwi. Nie powiem, kto to był.

– Komendant Sullivan?

Nagle O'Neill dźgnął nożem powietrze. Nastąpił przy tym na Carlosa, który jęknął cicho.

– To nie był Sullivan. Koniec pytań – oznajmił i podniósł leżący na ziemi szary jutowy worek. – Napełnij go pieniędzmi! – wykrzyknął.

– Nie mogę – odparła Ana.

Coś w jej głosie sprawiło, że O'Neill się zawahał i nie powtórzył żądania z dobitniejszą groźbą.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Dlatego że prawie wszystkie moje pieniądze są w forcie, w biurze komendanta.

Ana dostrzegła, że O'Neill balansuje na granicy niepewności i dzikiej furii. Worek zwisał mu w ręku.

– Dlaczego on ma twoje pieniądze? Nie mogłaś wiedzieć, że tu przyjdę.

– Próbowałam go przekupić. Zaoferowałam mu pieniądze w zamian za to, by pozwolił Isabel uciec z więzienia i opuścić miasto. Dziś rano miałam mu dostarczyć pozostałą część.

– Więc masz tu w domu jakieś pieniądze?

– Niewiele. Dopłata reszty miała się odbyć w inny sposób.

– Co takiego? W jaki?

– Miałam zapłacić sobą.

O'Neil zamarł. Ana widziała wyraźnie, że jest zdezorientowany i nie do końca pojmuje sens jej słów. Jego niepewność dała jej chwilową przewagę, mimo że to on trzymał nóż.

– Obiecałam, że oddam mu się jak prostytutka – mówiła dalej. – Kto uwierzyłby później jakiejś nieobyčajnej właścicielce burdelu, jak było naprawdę?

O'Neill wreszcie wszystko zrozumiał. To, co właśnie usłyszał, nie mogło być kłamstwem, wiedział, że Ana nie wymyśliłaby czegoś takiego. Podniósł ją z łóżka szarpnięciem, złapał za gardło i potrząsnął jutowym workiem.

– Wszystko, co masz – wycodził. – Wszystko. I nie piśniesz nikomu słowem, że tu byłem.

– Ludzie i tak się domyślą.

– Nie, jeśli nikomu nic nie powiesz.

O'Neill odepchnął ją z taką siłą, że upadła na

podłogę. Znalazła się twarzą w twarz z ciężko oddychającym Carlosem.

Gdy wstawała, szympanś otworzył jedno oko i spojrzał na nią.

Ana zaczęła nerwowo zbierać resztę przechowywanej w domu gotówki. Dwie porcelanowe urny, ozdobione orientальnymi wzorami, wypełnione były pieniędzmi przeznaczonymi na wyrównanie strat w zarobkach dziewcząt z O Paraiso. Przełożyła wszystko do worka, popędzana syknięciami O'Neilla. W garderobie stały dwa kufry senhora Vaza, wypełnione pieniędzmi na podróż Any, dokądkolwiek miałyby się udać. Gotówkę uzyskaną w przyszłości za sprzedaż domu i O Paraiso zamierzała podzielić między swoich pracowników. Z tych pieniędzy nie chciała nic dla siebie.

Pozbierawszy wszystko, stwierdziła, że jutowy worek jest wypełniony zaledwie do połowy. Na pieniądze przechowywane w biurze komendanta potrzebne by były dwa, może nawet trzy takie worki.

– To wszystko – oznajmiła. – Jeśli chce pan więcej, musi pan porozmawiać z Sullivanem.

O'Neill uderzył ją w twarz. Mocno, dając wyraz swemu rozczarowaniu. Liczył na dużo więcej. Kontemplując pulsujący ból, Ana zdążyła pomyśleć, jak brutalny jest ten mężczyzna. Jak mogłam tego nie zauważyć, wyrzucała sobie. Jak mogłam w roli

ochroniarza zatrudnić człowieka gorszego niż najuciążliwsi klienci!

– Musi być tego więcej – wycedził O’Neill, przysuwając twarz do twarzy Any tak blisko, że poczuła szorstki dotyk jego zarostu.

– Mogę przysiąc na Biblię albo na swój honor – powiedziała. – Nie mam więcej.

Nie wiedziała, czy w końcu jej uwierzył, czy nie. Zdarł jej z palców pierścionki i wrzucił je do worka. Potem uderzył ją tak mocno, że straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, obok siedział Carlos i uważnie jej się przyglądał. Kiwał się w przód i w tył, jak zwykł robić, kiedy czuł się porzucony. O’Neilla już nie było. Ana miała przecucie, że leżała nieprzytomna niezbyt długo. Spojrzała w okno wychodzące na górną werandę. Było otwarte, zapewne tędy zniknął O’Neill, być może wszedł też tą samą drogą. Wyszła na zewnątrz i popatrzyła w dół na ziewających i przeciągających się przy wygasłych ogniskach nocnych strażników. Gdybym miała broń, strzeliłabym do nich, pomyślała. Chęć ukarania ich w ten sposób była bardzo silna przez chwilę. Ana doszła do wniosku, że ostatecznie strzeliłaby w powietrze. Nie byłaby w stanie nikogo zabić. Była brudnym aniołem, nie potworem opanowanym żądzą mordy.

Usiadła na łóżku i opatrzyła ranę Carlosa. I tak nikt by mi w to nie uwierzył, stwierdziła w myślach. Mimo że zostałam napadnięta nad ranem we własnym łóżku, siedzę teraz na nim i opatruję przeciętą skroń szympansa. Nie powiem o tym nikomu. Nikomu.

Wczesnym przedpołudniem pojechała do fortu. Julietta i Anaka z przerażeniem omiotły wzrokiem zdemolowaną sypialnię, wymięte prześcieradło, plamy krwi na podłodze i rozbite lustro. Ana

wyjaśniła im, że Carlosowi przyśnił się straszny koszmar. Sam się zranił, wpadając na lustro. Pytanie o jej opuchnięty policzek zbyła milczeniem.

Ponieważ w forcie zjawiła się trochę za wcześnie, Sullivan nie zdążył jeszcze wyjść na schody z zapaloną fajką. Właściwie nie dotarł nawet do fortu, mając do pokonania dość długą drogę z górnej części miasta, gdzie mieściły się garnizonowe koszary. Ana zrobiła głęboki wdech i ruszyła w stronę bramy do cel więziennych. W pierwszej chwili strażnik nie chciał jej wpuścić. Był zdenerwowany, odkrywszy, że ktoś otwierał bramę nocą, kiedy na straży stał inny żołnierz. Jednak Ana krzyknęła na niego, stanowczo go odpychając.

Isabel leżała na kamiennej posadzce tuż obok pryczy. Anie przemknęło przez myśl, że kobieta próbowała resztkami sił wdrapać się na łóżko i usiąść, bo właśnie tak chciała umrzeć – w pozycji siedzącej. Nie zdołała. Umarła z ręką w górze, opartą o pryczę. O'Neill zmienił jej ciało w krwawą masę, kłęb myśli i wspomnień, ran po urodzeniu dzieci i po miłości do Pedra, co wszystko razem, zanim Isabel wyzionęła ducha, składało się na to, kim była za życia. O'Neill nie tylko zadał jej śmiertelne rany ostrym nożem, ale też pociął ją tak, jakby chciał uniemożliwić jej rozpoznanie. Ana nie mogła pojąć, jak wielką nienawiść ten człowiek musi czuć do czarnych, którzy nie chcą się

podporządkować, mimo że siedzą w więzieniu.

Z wysiłkiem dźwignęła ciało Isabel i położyła na pryczy. Potem okryła je kocem, którego Isabel nie użyła ani razu, mimo że noce były bardzo zimne. Dotykając zwłok, pomyślała o chłodzie nieodstępującym jej niemal na krok przez całe dzieciństwo. Na parę chwil piwniczna cela zmieniła się w zupełnie inny krajobraz, w ojczytą krainę Any, przepelnioną zimnem i tęsknotą za ciepłem ogniska lub promieniami słońca, które rzadko przeciskają się przez chmury pędzone przez wiatr znad gór. Patrząc na Isabel, Ana nagle przypomniała sobie wszystko, co jeszcze przed sekundą zdawało jej się całkiem zapomniane. Kogo ja właściwie żegnam? pomyślała. Isabel czy siebie samą? A może nas obie.

Po chwili w drzwiach celi zjawił się żołnierz i oznajmił, że przyjechał komendant. Kiedy Ana weszła do jego gabinetu, Sullivan stał przy biurku. Słyszając pytanie, dlaczego przyjechała tak wcześnie, Ana zdała sobie sprawę, że komendant nie wie, co zaszło tej nocy. Poczowała, że ma nad nim chwilowo przewagę, i postanowiła to wykorzystać.

– Niech pan ze mną pójdzie – powiedziała. – Chcę panu coś pokazać.

– Czy mogę najpierw usłyszeć pani decyzję dotyczącą naszej umowy?

– Nie zawrzemy żadnej umowy.

Ana odwróciła się i szybko wyszła z gabinetu.

Sullivan dogonił ją na dziedzińcu. Z zachowania żołnierzy było widać, że wieść o śmierci Isabel już się rozniosła po forcie. Komendant wszedł do ciemnej celi. Ana podniosła koc, odsłaniając zmasakrowane zwłoki. Sullivan spojrział na nią z przerażeniem i jednocześnie z niedowierzaniem.

– Wiem, kto ją zabił – oznajmiła Ana. – Podam panu jego nazwisko, ale jestem pewna, że zabójca jest już w drodze w głąb kraju i świetnie zna wszystkie drogi. Niewykluczone, że ucieka na koniu. Jedyne, co wiem na pewno, to jak się nazywa. Niech pan sam zdecyduje, czy wysłać za nim żołnierzy.

Opowiedziała mu o tym, jak O'Neill napadł ją w domu i przyznał się do zabicia Isabel. Sullivan słuchał, coraz bardziej czerwieniejąc ze złości. Ana nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jego wściekłość brała się stąd, że został upokorzony, czy też żałował, że przeszedł mu koło nosa wielkie pieniądze. Wiedziała tylko, że w tej chwili to ona ma nad nim przewagę.

– Brat Isabel przyjdzie po ciało – dodała na koniec. – Ja natomiast zabieram z powrotem moje pieniądze. Już nigdy się nie spotkamy. Proszę zadbać o to, żeby żołnierze pilnowali jej ciała, aż zjawi się rodzina.

Sullivan odprowadził ją na dziedziniec, nakazawszy dwóm żołnierzom zanieść kosz do samochodu.

– Złapiemy go – oznajmił na pożegnanie komendant, odprowadzając Anę aż do bramy fortu.

– Nieprawda – odparła spokojnym tonem. – To biały człowiek i pozwolicie mu uciec. Pańskie słowa nic nie znaczą. Zamierzałam spełnić pana żądanie, ale teraz czuję ulgę, że nie muszę się do pana zbliżyć.

Zanim komendant zdążył odpowiedzieć, Ana odwróciła się na pięcie i wsiadła do auta. Odjeżdżając, obejrzała się i zobaczyła czarnych robotników wlokących wielki posąg rycerza. Mężczyźni ciągnęli go ulicą na sznurach umocowanych wokół ich barków i w pasie. Zamknęła oczy. Pożałowała, że nie zgodziła się od razu na propozycję Sullivana. Może Isabel zdołałaby uciec w nocy? Być może, zamiast zginąć, byłaby już na wolności, podążając za Mojżeszem do jego kopalni.

Później Ana nie mogła sobie przypomnieć, jak spędziła resztę tego dnia. Pamiętała tylko ostre światło i narastający szum w uszach. Nic więcej.

Mojżesz zjawił się przed jej domem o zmierzchu. Ana wypatrywała go przez okno. Wiedział już, że Isabel nie żyje, ale Ana nie zapytała go, kto mu o tym powiedział. Stał na ulicy brudny i zakurzony, po całodziennym kopaniu.

Chciał wykopać tunel, pomyślała. Drogę, którą Isabel miała wydostać się na wolność. Zamiast tego wykopał dla niej grób.

– Może pan jutro odebrać ciało – powiedziała. – Może tam zostać do rana, do tego czasu nie zacznie jeszcze wydzielać zapachu. Przyjdę, jeśli potrzebuje pan mojej pomocy. W forcie nikt pana źle nie potraktuje. Żołnierze pilnują ciała.

– Sam po nią pójde – odparł Mojżesz. – Tę ostatnią podróż chcę odbyć z nią sam.

– Co się stanie z jej dziećmi?

Mojżesz nie odpowiedział. Pokręcił głową, wymamrotał coś niezrozumiale i odszedł.

W jednej chwili Ana zapragnęła pobiec za nim i towarzyszyć mu, dokądkolwiek zamierzał się udać. Do kopalni w okolicach Rand lub Kimberley lub w jakiegokolwiek inne miejsce na tym niekończącym się kontynencie, ciągnącym się za górami i widoczną stąd linią drzew.

Mimo to pozostała na miejscu. Ani Ana Branca, ani Hanna Lundmark nie wiedziały, do którego świata należą.

Wracając do domu, Ana dostrzegła, że Carlos wrócił na dach i siedzi obok komina. W promieniach zachodzącego słońca było widać czarną sylwetkę szympansa. Wygląda jak stary człowiek, pomyślała. Jak przygarbiony starzec, dźwigający ciężkie brzemie, którego nie da się zrzucić.

Tego wieczoru Ana zrobiła krótki wpis w pamiętniku.

Isabel, jej skrzydła, niebieski motyl uleciał w świat,

w którym nie jestem go w stanie osiągnąć. Odszedł Mojżesz. Pokochałam go. Niemożliwie, nadaremnie, rozpaczliwie.

Zamknęła notatnik, przewiązała go czerwoną tasiemką i włożyła do szuflady.

Tego wieczoru nie zajęła się koszem z pieniędzmi.

Stała na werandzie, gdy słońce zaczęło wynurzać się z morza. Mojżesza nigdzie nie było. Rozczarowana, wróciła do środka i wysypała zawartość kosza. Potem ułożyła pliki banknotów w szafie pancерnej, upchnęła je w szufladach i kilku innych schowkach, gdzie z trudem się zmieściły. Skończywszy, dokładnie umyła ręce, ale i tak miała wrażenie, że nie da się z nich usunąć charakterystycznego zapachu pieniędzy.

Gdy Julietta przyniosła tacę ze śniadaniem, Ana poleciła jej, by poszła do fortu i dowiedziała się wszystkiego o pogrzebie Isabel. Zdziwiła się, widząc, że dziewczyna wcale się nie zdumiała na wieść, że więźniarka nie żyje. A więc ona też już wie, pomyślała. Istnieje jakaś tajna droga przekazywania informacji między czarnymi. Może krążą między nimi niewidzialni posłańcy?

– Pospiesz się – poleciła. – Nie zatrzymuj się przed wystawami sklepów, nie plotkuj z koleżankami ani z chłopcami. Jeśli zrobisz to naprawdę szybko i wrócisz tak prędko, że mnie zadziwisz, dostaniesz nagrodę.

Julietta wybiegła z pokoju. Ana usłyszała, jak dziewczyna przeskakuje po kilka stopni naraz.

Przybiegła z powrotem po niespełna godzinie, zasapana i spocona od biegu po pagórkowatym

terenie. Ana kazała jej usiąść i trochę odsapnąć, bo nie mogła zrozumieć wypluwanych przez łapiącą oddech dziewczynę słów.

– Ciała już nie ma – Julietta powiedziała w końcu.

Ana wbiła w nią pytający wzrok.

– Jak to nie ma?

– Odebrał je, jak tylko wzeszło słońce.

– Kto?

– Jakiś czarny mężczyzna. Wyniósł ją sam.

– Nie widziałaś komendanta?

– Jeden żołnierz powiedział mi, że komendant jest jeszcze w domu i śpi. Wczoraj wieczorem był na jakimś przyjęciu.

– U kogo? Upił się tam? Czy zawsze muszę wyciągać z ciebie wszystko?

– Mówię to, co mi powiedział ten żołnierz. Potem próbował mnie zwabić do tej celi, w której umarła Isabel, ale uciekłam.

– Bardzo dobrze zrobiłaś.

Ana przygotowała nagrodę dla Julietty. Dała jej ładny naszyjnik i bluzkę z lśniącego jedwabiu. Dziewczyna dygnęła.

– Idź już – poleciła jej Ana. – Powiedz kierowcy, że niedługo zejdę do samochodu.

Jednak Julietta nie ruszyła się z miejsca. Ana natychmiast zrozumiała, o co jej chodzi.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nigdy nie pozwolę ci pracować w O Paraiso. Idź, zanim ci

odbiorę to, co właśnie dostałaś!

Julietta pospiesznie wyszła. Ana włożyła czarny strój, ten sam, który miała na sobie na pogrzebie senhora Vaza. Znów miała odprowadzić do grobu kogoś, kto zginął niespodziewaną śmiercią. Inaczej niż na ceremonii pogrzebowej męża, teraz Ana miała być na cmentarzu jedyną białą osobą. Wiedziała, że wzmoże to niechęć białych mieszkańców miasta. U wielu niechęć zdążyła zresztą zamienić się w otwarcie okazywaną nienawiść. Ana przejmowała się losem czarnych, a teraz w dodatku zamierzała wziąć udział w pogrzebie morderczyni.

Nie знаła zwyczajów czarnych i nie wiedziała, co się zdarzy podczas ceremonii. Mimo to zerwała parę czerwonych kwiatów w ogrodzie i wsiadła do auta. Kierowca zachnął się, kiedy zaskoczony usłyszał, że ma ją zawieźć na cmentarz. On też wie, stwierdziła Ana. Wie nawet to, że zbliża się pora złożenia w ziemi ciała Isabel.

Przy wejściu na cmentarz wznoszono nowy mur. Kiedy Ana wysiadła z samochodu, czarni robotnicy przerwali pracę i patrzyli na nią w milczeniu, trzymając w rękach szpachle i kielnie. Stała w cieniu, poprosiwszy kierowcę, by się dowiedział, kiedy będzie tu Mojżesz z resztą rodziny i ciałem Isabel. Patrzyła, jak podchodzi do robotników i po chwili robi zdziwioną minę. Zaraz po tym szybko podbiegł z powrotem do Any.

– Oni już tu są – powiedział. – Czekają na cmentarzu.

– Czekają? Na kogo?

– Na panią, senhora.

To Mojżesz, pomyślała Ana, pospiesznie idąc do części cmentarza przeznaczonej dla czarnych. Wiedział, że nie opuścę Isabel aż do końca.

Kierowca pokazał jej widoczną w oddali grupę ludzi. Idąc między zaniedbanymi grobami, Ana poczuła unoszący się nad ziemią słodkawy smród rozkładu. Musiała zakryć dłonią usta i nos, żeby nie wymiotować.

Trumna była brązowa, zbita z grubych desek. Została już opuszczona do grobu. Obok Mojżesza, ubranego w ten sam kombinezon, stały dzieci Isabel, a wokół nich ludzie, których Ana nigdy wcześniej nie widziała. Domyśliła się, że to siostry Isabel i ich rodziny, zajmujące się teraz jej dziećmi.

Nigdzie nie było księdza. Kiedy tylko Ana do nich podeszła, Mojżesz zaintonował psalm. Ana śpiewała ze wszystkimi. Potem Mojżesz wypowiedział parę niezrozumiałych dla Any słów i w końcu spojrzał na nią.

– Chce pani coś powiedzieć? – zapytał.

– Nie – odparła cicho Ana.

Mojżesz kiwnął głową, chwycił łopatę i zaczął zasypywać grób. Po chwili wszyscy się do niego przyłączyli. Zagarniali ziemię dłońmi, patykami i

płaskimi kamieniami. Ana miała wrażenie, że bardzo im się spieszy, jakby trumna musiała być jak najszybciej zakryta ziemią. Przypomniała sobie, co powiedział jej kiedyś senhor Vaz. Twierdził, że czarni szybko uciekają z pogrzebów w obawie, że złe duchy wyjdą z trumny i podążą za nimi do domu. Być może i dla swoich sióstr Isabel była okrutną morderczynią? pomyślała. Gdy skończono zakopywanie i nad pochówkiem powstał niewielki pagórek, Ana położyła na nim wiązanek czerwonych kwiatów. Wyprostowawszy plecy, zorientowała się, że senhor Vaz miał rację. Wokół nie było już nikogo poza Mojżeszem. Niektórzy, oddalając się, przeskakiwali z jednej strony ścieżki na drugą lub szli zygzakiem, chcąc zmylić goniące ich duchy. Wyglądało to tak zabawnie, że Anie trudno było powstrzymać się od śmiechu.

Po chwili cały cmentarz opustoszał. Została sama z Mojżeszem.

– Co pan teraz robi? – spytała.

– Wrócę do kopalni.

– Nie może pan tu zostać? Mam pieniądze, które zamierzałam przeznaczyć na uwolnienie Isabel.

Mojżesz spojrział na nią.

– Mówię poważnie – dodała. – Może pan zbudować dom i zająć się jej dziećmi. Nie musi pan harować pod ziemią.

Nie wiedziała, czy Mojżesz jej wierzy. Patrzył na nią chwilę, nim znów się odezwał.

– Nie mogę przyjąć pani pieniędzy.

– Dlaczego?

– Isabel by tego nie chciała. Jej dzieci mają się dobrze.

– Podejrzewam, że od dawna pracuje pan pod ziemią, w ciemności i kurzu. Niedobrze jest spędzać tam tyle czasu.

– Mimo wszystko właśnie tam jest mój dom.

Ana wyczuła w jego głosie lekkie wahanie.

– Pomyślę o tym, co pani zaproponowała – powiedział w końcu. – Przyjdę jutro, kiedy się zastanowię.

Ana wróciła do miasta, poprosiwszy kierowcę, by zawiózł ją do O Paraiso. Ale gdy podjechali pod bramę, zmieniła zdanie i kazała mu odwieźć się do domu. Nie wiedziała, co powiedzieć kobietom. Spotkanie z Mojżeszem i śmierć Isabel uprzytomniły jej, że jest zdana wyłącznie na siebie.

Dotarwszy do domu, wzięła kąpiel, a potem położyła się na łóżku. Krok po kroku przebiegła w pamięci podróż, jaką przebyła z rodzinnego domu aż do tej sypialni. Musiała przyznać, że niektóre obrazy zaczynają się jej mieszać i zlewać z innymi w niewyraźne wzory. Odkryła ze zdziwieniem, że wspomina swój ślub z senhorem Vazem w Algierze i pierwsze spotkanie z Lundmarkiem w burdelu. Oczyma wyobraźni widziała Mojżesza w roli ochroniarza, a O'Neill przechadzał się po katedrze w sutannie ojca Leopolda.

Spędziła tak resztę dnia, balansując na granicy jawy i snu. Gdy o zmierzchu Julietta przyniosła jej tacę z jedzeniem, Ana w końcu wstała i włożyła szlafrok. Prawie nie tknęła posiłku. Potem otworzyła pamiętnik i wertowała kartki wstecz, czytając wcześniejsze zapiski. Próbowwała coś napisać, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zamiast tego narysowała rzekę zapamiętaną z dzieciństwa, zaśnieżone góry i przykrytą śniegiem chałupę, którą jej ojciec obchodził każdej wiosny, szukając w rozeschniętej ruderze nowych szczelin, żeby załatać je przed kolejną, ciągnącą się w nieskończoność zimą.

Ana przespała noc, połknąwszy wyjątkowo dużą dawkę środka nasennego z chlorem. Śniło jej się, że wcale nie śpi. A przynajmniej tak jej się zdawało, gdy się obudziła.

Gdy zaczęło świtać, Ana stała już na werandzie. Wewnątrz niej tliło się oczekiwanie, które bezskutecznie próbowała w sobie zwalczyć. Nie było ono tak silne nawet wówczas, gdy czekała na pokładzie „Lovisy” na Lundmarka, przy senhorze Vazie nie czuła prawie nic, lecz to, co ogarnęło ją teraz, było zupełnie inne.

Mojżesz nie przyszedł. Spędziwszy na werandzie cały poranek, Ana wreszcie zdała sobie sprawę, że brat Isabel wyruszył w powrotną drogę do swojej kopalni. Widocznie wcale nie myślał tak, jak jej powiedział – że przyjdzie nad ranem. Jednocześnie Ana czuła, że jej nie oszukał. Wiedział, że zrozumie jego decyzję. Nie chciał jej pieniędzy. Pragnął tylko wrócić do swojej kopalni, bo tam był jego dom.

Jednak koło południa do drzwi zadzwonił jakiś czarny chłopiec i dał Julietcie zaklejoną kopertę z nazwiskiem Any. Gdy dziewczyna wręczyła jej list, Ana najpierw poprosiła ją, żeby wyszła, i dopiero go otworzyła. Nie znała tego charakteru pisma. Zgodnie z tym, na co liczyła, był to list od Mojżesza. Prosił ją, by pojechała do Beiry, odszukała rodziców jego i Isabel i opowiedziała im o tym, co się stało. Pozwalał sobie przekazać na jej ręce tę prośbę, bo był przekonany, że Isabel

chciałaby tego samego.

Ana włożyła list do szuflady i zamknęła ją na klucz, który potem jak zwykle powiesiła sobie na szyi.

Czuła się jednocześnie podekscytowana i rozczarowana prośbą Mojżesza. Dlaczego powierzył mi zadanie, którego powinien się podjąć sam? rozmyślała. Czyżbym od początku źle go oceniała, tak jak O’Neilla? Czy Mojżeszowi brakuje odwagi, jaką wykazała się jego siostra? Ana czuła, że narasta w niej niechęć, jednocześnie wciąż nie była pewna co do motywu, jakim kierował się Mojżesz, prosząc ją o odnalezienie rodziców. Nie wiedziała, z kim powinna o tym porozmawiać. Czy Felicja będzie mi w stanie pomóc? pytała w myślach. Po chwili zdecydowała się na rozmowę z ojcem Leopoldem. Poznał Isabel, więc być może zdoła wyjaśnić postępowanie jej brata.

Zastała go w katedrze. Siedział w ławce i przysłuchiwał się próbie chóru dziecięcego. Ana przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę w tym miejscu i do oczu napłynęły jej łzy. Nie wiedziała jednak, czy wzruszyła ją pieśń, czy właśnie to wspomnienie.

Gdy tylko ojciec Leopoldo ją dostrzegł, zaprowadził Anę do zakrystii. Dziecięce głosy były ledwo słyszalne zza grubej ściany. Ana opowiedziała księdzu o pogrzebie Isabel i liście Mojżesza.

– Dlaczego on mnie prosi o odnalezienie rodziców? – spytała na koniec.

– Sądzę, że chce im w ten sposób okazać najwyższy szacunek – odparł ojciec Leopoldo. – Będzie nim biała kobieta w roli posłańca, przynoszącego wiadomość o śmierci ich córki. Jak często biały człowiek występuje w takiej roli względem czarnego robotnika?

– Ale to przecież on jest ich synem i bratem Isabel.

– Myślę, że prosząc o to panią, senhora, chciał dodatkowo uczcić pamięć Isabel.

– Więc dlaczego mi tego nie napisał? Dlaczego obiecał, że przyjdzie, a potem tylko przysłał list?

– Tym samym w pewien sposób przyszedł. Przekazał pani swoją prośbę.

Ana wciąż była pełna wątpliwości, choć w głosie ojca Leopolda było coś przekonującego. Doszła do wniosku, że ksiądz lepiej rozumie postępowanie Mojżesza. Po chwili ojciec Leopoldo zapytał ją ostrożnie, jak przyjęła wiadomość o śmierci Isabel. Odpowiedziała mu szczerze, że jeszcze nie poczuła rozpacz. Bała się chwili, kiedy to nastąpi.

– Co teraz będzie? – zapytał ją. – Senhora wielokrotnie wspominała, że chce stąd wyjechać.

– Nie wiem. Ale wkrótce będę musiała podjąć decyzję.

Zaraz po tym rozmowa dobiegła końca, bo ktoś

poprosił ojca Leopoldo o spowiedź. Ana ruszyła do wyjścia przez pustą katedrę. Chór zakończył próbę i dzieci już sobie poszły. Jednak w pewnej chwili Ana dostrzegła, że ktoś siedzi w ławce, tuż przy drzwiach. Był to senhor Nunez. Czekał na nią. Jestem przez cały czas obserwowana, stwierdziła w myślach. Tak wielu ludzi mnie widzi, podczas gdy ja wcale nie widzę ich.

Nunez wstał i się uklonił. Potem uniósł dłoń.

– Proszę nic nie mówić! – zaprotestowała Ana. – Muszę się chwilę zastanowić.

Mężczyzna kiwnął głową i z powrotem usiadł. Ana opadła na stojące nieopodal krzesło, plecami do niego.

Wyrzała przez otwarte drzwi, prosto w jaskrawą plamę słońca. I natychmiast podjęła decyzję. W jeden chwili przestała się wahać. Wiedziała już, czego chce.

Wstała i odwróciła krzesło przodem do senhora Nuneza.

– Sprzedam panu O Paraiso – oznajmiła. – Chcę, żeby zapłacił mi pan od razu wszystko, w funtach brytyjskich. I musi pan przyrzec, że będzie pan przestrzegał obowiązujących dotychczas reguł. Nie obchodzi mnie los kobiet, które przyjdą po pracujących tam teraz dziewczętach. Nie wierzę w żaden dom dziecka.

– Przyjmuję pani warunki – odparł Nunez. – I zapewniam panią, że nadal zamierzam urządzić

tam dom dziecka.

Ana wstała.

– Mnie nie musi pan okłamywać. Proszę przyjść do mojego domu jutro po południu. Proszę przynieść pieniądze.

– Ale przecież jeszcze nie uzgodniliśmy ceny.

– Nie proponuję żadnej ceny. Ale poinformuję pana, jeśli uznam, że przyniesiona jutro kwota będzie za niska. Wówczas znajdę innego kupca. Mój adwokat przygotowuje umowę. Chcę jak najszybciej przeprowadzić tę transakcję.

Wyszła z katedry, nie czekając na odpowiedź. Teraz moja kolej, by wyjść z piwnicznej celi, pomyślała. Ale w przeciwieństwie do Isabel ja wciąż żyję.

Nazajutrz senhor Andrade przygotował dwie umowy. Jedna dotyczyła sprzedaży domu za cztery tysiące funtów, razem z meblami. Adwokat zobowiązał się, że pozwoli służbie pracować co najmniej przez rok, a potem będzie wypłacał emeryturę Anace i staremu ogrodnikowi.

Druga umowa określała warunki sprzedaży O Paraiso sehnorowi Nunezowi. Ku zdumieniu Andradego Ana poprosiła go o pozostawienie pustego miejsca na wpisanie sumy. Nie wspomniała też o tym, że przybytek ma stać się domem dziecka.

Nunez przyszedł o trzeciej. Zapropował Anie cztery tysiące funtów. Ona zażądała pięciu, na tyle oceniając zawartość skórzanej teczki, z którą się

zjawił. Senhor Nunez się uśmiechnął i wyraził zgodę. Po niespełna godzinie zakończyli wszystkie formalności i sfinalizowali sprzedaż.

– Za cztery dni przejmie pan interes – powiedziała Ana. – Do tego czasu nie ma pan prawa wstępu do lokalu. Obowiązuje pana również zachowanie tej umowy w tajemnicy, dopóki nie przekażę informacji pracownikom. Skąd pan wzięł tyle pieniędzy?

Nunez uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Umowa nie zobowiązuje mnie do takich wyjaśnień, senhora.

– Z handlu kością słoniową? – drążyła Ana. – Skórami lwów? Z ukrytej w jakimś nieznanym miejscu kopalni diamentów?

– Nie zamierzam odpowiadać na te pytania.

– Oby tylko pana pieniądze nie pochodziły z handlu niewolnikami.

– Co się stanie z tą małpą? – spytał Nunez, wskazując palcem Carlosa, siedzącego pod sufitem na szafie. – Czy zgodnie z umową on również zostaje?

– Nie, zabieram go – odparła Ana. – Ja ponoszę za niego odpowiedzialność, nie pan. Mam nadzieję, że zwrócił pan uwagę, iż nie zastrzegłam w umowie, że burdel ma stać się domem dla sierot. Bo dlaczego miałabym żądać czegoś, czego i tak nie zamierza pan uczynić? A teraz proszę już sobie pójść. Dobiliśmy targu, nie musimy dłużej

rozmawiać.

Nunez przyjrzał się Anie zatroskanym wzrokiem.

– Nie rozumiem, dlaczego mi pani nie wierzy – powiedział po chwili. – Sposób, w jaki traktuje się tutaj czarnych, rani mnie tak jak panią. Może i nie jestem niewiniątkiem, ale pogarda, jaką biali darzą czarnych, napawa mnie obrzydzeniem. I tylko szaleniec lub głupiec może wierzyć, że taka sytuacja nigdy się nie zmieni.

Senhor Nunez zamilkł i wstał.

– Nie jest pani tak samotna, jak się pani wydaje, senhora. Podzielam pani poglądy.

Uklonił się nisko i wyszedł. Ana zastanowiła się nad jego słowami. Może i jego źle oceniłam, pomyślała.

Gdy została sama, schowała umowy i pliki banknotów. Pewnego dnia przybyła do Afryki, nie mając prawie nic. Teraz była bogatą kobietą.

Jej plany na przyszłość ograniczały się do wyjazdu do Beiry i próby odnalezienia rodziców Isabel. Nie wiedziała, co zrobi później, dalsza przyszłość ją w zasadzie przerażała. Przed wyjazdem Ana musiała odbyć ostatnią rozmowę z kobietami w O Paraiso i zatroszczyć się o przyszłość Carlosa.

Spędzili ten wieczór razem, podobnie jak kiedyś licząc pieniądze, których grube pliki piętrzyły się na krzesłach i na stole.

Nazajutrz rano Ana ostrożnie wyjęła ślubną fotografię z Lundmarkiem, zrobioną w Algierze. Od tamtego dnia minęło zaledwie osiemnaście miesięcy, a mimo to odnosiła wrażenie, że działo się to w innej epoce i w innym świecie, kiedy wszystko zdawało się mieć jakiś sens i Ana budziła się rano z ochotą do życia. Teraz rozmyślała o gęstniejącym wokół niej mroku. Miała przed sobą długą drogę i nie wiedziała, dokąd ją ona zaprowadzi. Na dodatek musiała ją odbyć sama. Opuszczając rodzinne strony nad rzeką, czuła, że z dnia na dzień stała się samotna, lecz tamtego dnia i potem, przez całą podróż saniami, miała przed sobą szerokie plecy Forsmana. Jej obecna samotność była zupełna. Mimo to Ana nie zamierzała się poddawać, brudny anioł wciąż miał przecież swoje skrzydła. Czuła odrazę do smutku, jaki ją ogarniał, żałowała, że omija ją tyle radości. Z natury jestem przecież uśmiechniętym aniołem, pomyślała. Życie, które teraz wiodę, zawsze będzie mi obce.

Gdy wpatrywała się w zdjęcie z Algieru, przyszła jej do głowy pewna myśl. Ana od razu ją zaakceptowała. Postanowiła, że ostatnią rozmowę z pracownikami O Paraiso odbędzie dopiero po południu. Dzięki temu zdąży odwiedzić atelier

fotograficznym Picarda.

Zdecydowała się również na coś, co wcześniej tylko nieśmiało przemknęło jej przez głowę. Teraz zrozumiała, że nadszedł czas. Nie miała przecież nic do stracenia. Zamierzała zaskoczyć kobiety w burdelu w sposób, jakiego na pewno się nie spodziewały.

Biali mieszkańcy miasta prosili Picarda, by fotografował ich w dniu ich ślubu, gdy świętowali jakąś ważną rocznicę lub leżeli na łożu śmierci, czekając na powrót do Portugalii w szczelnej, ocynkowanej trumnie. Fotograf z zasady nie robił zdjęć czarnym ludziom. Ana była jednak pewna, że zrobi wyjątek w zamian za oferowane mu przez nią wynagrodzenie. Picard był świetnym fachowcem, ale wszyscy uważali go za chciwego.

Kiedy Ana przyszła do jego atelier, fotograf robił właśnie zdjęcie noworodkowi. Dziecko wrzeszczało wniebogłosy, a Picard, który wyraźnie tego nie znosił, napchał sobie waty do uszu. Nie usłyszał więc, kiedy Ana weszła, i po prostu usiadła na krześle. Matka niemowlęcia była bardzo młoda. Anie przemknęło przez myśl, że równie dobrze mogłaby to być Berta z dzieckiem Forsmana w ramionach. Dostrzegła również, że dziewczyna patrzy na dziecko bez radości. Ana stwierdziła, że musi to być kolejna z kobiet zmuszonych przez męża do przyjazdu na Czarny Łąd, drżąca teraz o los swój i swoich dzieci w świecie pełnym strachu i

nienawiści.

Picard schował się pod czarną płachtą i zrobił kolejne ujęcie wrzeszczącego oseska. Dopiero po chwili, po tym jak właściwie wyprosił kobietę z dzieckiem z atelier, zauważył obecność Any. Wyjął watę z uszu i ukłonił się grzecznie.

– Czy byliśmy umówieni, senhora? – zapytał uprzejmie. – Jeśli tak, mój sekretarz nie wywiązał się ze swojego zadania.

– Nie, przyszłam bez zapowiedzi – odparła Ana. – Jestem tu, bo mam dla pana zlecenie. Bardzo pilne.

– Co mianowicie?

– Mam tylko parę godzin.

– Chce pani, żebym zrobił zdjęcie tutaj, w atelier?

– Nie, w moim burdelu.

Picard się zachnął.

– Zapłacę więcej, niż ktokolwiek panu kiedykolwiek zaoferował – podjęła Ana. – To ma być fotografia grupowa. Będę na niej ja i wszystkie moje prostytutki. Nikt nie będzie pozował nago. Potem poproszę pana o tyle odbitek, ile osób będzie na zdjęciu, wszystkie muszą trafić do mnie jutro do godziny dziesiątej rano. A najlepiej jeszcze dziś wieczorem, oczywiście za dodatkową opłatą.

Zanim Picard zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Ana wyjęła z torebki plik funtów i położyła go na

stoliku.

– Chcę, żeby fotografię zrobiono dziś o czwartej
– dodała. – To za trzy godziny.

– Będę punktualnie – zapewnił fotograf.

– Wiem – odparła Ana. – Nie musi pan tego mówić.

Wsiadłszy z powrotem do auta, Ana poprosiła kierowcę, by zawiózł ją na nadmorską promenadę. Długo spacerowała między palmami, patrząc na morze oraz na zmierzające w stronę lądu łódki rybackie z trójkątnymi białymi żaglami, które tak polubiła. Wiedziała, że ich widok będzie jednym z czule przechowywanych wspomnień. Zawsze będzie mogła przywołać obraz białych trójkącików, dziarsko prujących z wiatrem lub kołyszących się lekko na martwej fali. Tym samym był dla niej widok czarnych postaci siedzących przy sterze lub przeszukujących mokre, lśniące sieci.

Znalazłam się w świecie, w którym biali poświęcają całą swoją energię na oszukiwanie siebie i czarnych, pomyślała. Wydaje im się, że tutejsi mieszkańcy nie dadzą sobie bez nich rady. I że czarni są mniej warci od białych, bo wierzą w to, że w kamieniach i drzewach mieszkają duchy. Czarni z kolei nie są w stanie pojąć, jak można było potraktować Syna Bożego tak okrutnie i przybić go gwoździami do krzyża. Nie mogą wyjść ze zdumienia, dlaczego biali zaraz po przyjeździe do tego kraju dążą do bogactwa i władzy z taką

zaciętością, że często nie wytrzymuje im serce i umierają. Ich zdaniem biali nie kochają życia. Kochają tylko czas, którego mają tak mało.

Ale i tak najczęściej zabija nas fałsz, stwierdziła Ana. Nie chcę się zmienić w Anę Dolores, naprawdę przekonaną o tym, że czarni ludzie są mniej warci niż biali. Nie chcę, by na moim nagrobku wykuto napis „Zawsze wierna białej rasie”.

Usiadła na kamiennej ławce. Morze lśniło w słońcu. Wiał przyjemny, chłodny wiatr. Zastanawiała się nad tym, jak powinny zabrzmieć jej ostatnie słowa w O Paraiso. Potem wstała i wróciła do samochodu.

Pojechała do domu i zabrała Carlosa. Szympanś musiał się znaleźć na wspólnej fotografii.

Przyjechawszy do O Paraiso, zostawiła Carlosa z Judaszem, który zawsze bardzo go lubił, a szympanś czuł się z nim bezpiecznie. Zjawiała się trochę za wcześnie, więc w holu z czerwonymi kanapami nikogo nie było. Ana weszła na piętro i zajrzała do swojego dawnego pokoju. Stała w nim wielka szafa wypełniona przeróżnymi strojami na wypadek, gdyby jakiś klient zażyczył sobie coś specjalnego lub gdyby z jakichś przyczyn zabrakło odzieży dla którejś z kobiet.

Ana zamknęła się na klucz, zrzuciła ubranie i otworzyła szafę ze strojami. Gdy jeszcze tu mieszkała i dochodziła do zdrowia, wiele razy

przymierzała te suknie i buty, zakładała diademy i bransoletki. Nieraz miała ochotę wystroić się tylko w cienki jedwab i biżuterię, ale nigdy się na to nie odważyła. Aż do tego dnia. Przesunęła dłonią po wiszących w rzędzie śliskich halkach, sukienkach i wymyślnych kostiumach. Zatrzymała się przy orientalnym stroju, czerwono-zielonym i bogato ozdobionym złoceniami. Ubrała się w niego przed lustrem. Bluzka miała głęboki dekolt i można ją było rozpiąć, pociągając tasiemkę pod biustem. Do stroju Ana dobrała okrągły diadem, który ostrożnie wpięła we włosy. Na lewą rękę wsunęła pasującą do całości grubą bransoletę.

Na półce z biżuterią znalazła też pędzelki do makijażu, pudry i szminki. Pomalowała oczy i usta, a na koniec wsunęła stopy w jedwabne pantofle.

Była gotowa.

Stała przed lustrem, stwierdzając, że przemiana okazała się dużo większa, niż się spodziewała. Prawie teraz nie przypominała Any, wyglądała jak kobieta z Dalekiego Wschodu. Z Hanny Renström nie pozostało zupełnie nic. Kimkolwiek właśnie się stała, była przekonana, że miałyby wielu klientów, gdyby w tym stroju zeszła do holu i usiadła na czerwonej kanapie.

Przysiadła na łóżku. Do spotkania z dziewczętami wciąż pozostało sporo czasu.

Gdy wreszcie wybiła ustalona godzina, Ana zeszła po schodach i stanęła przy na wpół

odsuniętej draperii, rozciąganej nocą w wejściu na dziedziniec z jakarandą.

Kobiety siedziały pod drzewem i rozmawiały ściszymi głosami, jak zawsze, kiedy Ana przystawała za zasłoną. Tym razem nagle zapadła cisza. Ana dostrzegła, że wiele kobiet jej nie rozpoznaje. Jej życzenie zostało spełnione. Nikt nie odważył się skomentować przemiany. Nikt się nie zaśmiał ani nie pochwalił jej stroju. Boją się, pomyślała. Nawet w tym przebraniu wciąż pozostaje białą kobietą, nikiem więcej.

Wyszła zza zasłony i znalazła się na dziedzińcu.

Zé siedział przy pianinie i stroił którąś basową strunę. Strażnikom udało się zatrzymać na zewnątrz nowych klientów. Paru podpitych marynarzy z norweskiego statku wielorybniczego oddaliło się chwiejnym krokiem i zniknęło w jednej z przecznic, gdzie mieścił się najbliższy dom uciech.

– Czy został jeszcze jakiś klient? – spytała Ana Felicję.

– Dwóch. Ale śpią – odparła dziewczyna.

– Poddałaś im jakieś magiczne lekarstwo?

Felicja się uśmiechnęła, ale nie odpowiedziała.

Zaraz po tym zjawił się Picard. Postawił wielki aparat na statywie i przygotował czarną płachtę. Potem kazał poprzesuwać parę mebli, żeby wszyscy zmieścili się w kadrze.

Ana zdecydowała, że spotkanie zacznie się od zbiorowej fotografii. Miała nadzieję, że dzięki temu

rozluźni się atmosfera i przekazanie kobietom wiadomości będzie łatwiejsze.

– Zrobimy sobie zdjęcie – oznajmiła, klaszcząc w dłonie. – Niech wszyscy się ustawią, nawet Zé i strażnicy. No i przede wszystkim Carlos!

Zapanowało spore poruszenie, ludzie kręcili się po podwórzu, stając w miejscach wskazanych przez fotografa. Kobiety chichotały, pożyczwały sobie lusterka i grzebienie, wygładzały ubrania, które zresztą niewiele zakrywały. W końcu wszyscy zajęli swoje miejsca, Ana na środku, w fotelu, a Carlosa posadzono na wysokim stojaku, na którym zwykle stała doniczka.

– Chcę, by to było poważne zdjęcie – oznajmiła Ana. – Nie śmieście się ani nie uśmiechajcie. Zróbcie poważne miny i patrzcie prosto w obiektyw.

Picard poczynił ostatnie przygotowania, kazał komuś zrobić krok w przód, komuś innemu w tył. Potem nasypał trochę magnezji na metalową tackę i schował głowę pod czarną płachtą, zostawiając na zewnątrz rękę z płonąca zapalką. Po chwili magnezja rozbłysła, zdjęcie zostało zrobione.

– Jeszcze jedno, na wszelki wypadek! – zawołał, wynurzając się spod płachty.

Nasypał nową porcję proszku, powtórzył całą operację i zrobił drugie zdjęcie.

Chwilę później, kiedy Picard pospiesznie wyszedł, chcąc jak najszybciej wrócić do atelier i

zrobić czternaście odbitek, Ana poprosiła wszystkich, żeby usiedli pod jakarandą. Zé wrócił do pianina, przez moment wpatrywał się w klawisze, a potem zaczął je polerować. Carlos rozsiadł się na czerwonej kanapie w holu i z apetytem wcinał pomarańczę.

Ana poczuła, że wszystko, co ją w tej chwili otacza, jest fałszywą idyllą.

Zdradliwym rajem.

Ana właśnie miała zacząć mówić, kiedy Zé nagle uniósł dłonie, opuścił je na klawiaturę i zagrał. Po raz pierwszy nie tylko brzdąkał, strojąc jakąś strunę, ale wydobył z instrumentu melodię. Musiała minąć chwila, zanim do Any dotarło, co się dzieje. Z na wpeł otwartymi ustami wpatrywała się w jego dłonie, spod których wydobywała się muzyka. Miała wrażenie, jakby do nieszczęsnego domu publicznego spłynął nagle kawałek nieba. Wyglądało na to, że po długich latach nieustannego strojenia Zé wreszcie uznał, iż instrument jest gotowy, by na nim zagrać. Wszyscy słuchali w milczeniu. Anie napłynęły do oczu łzy. Zé doskonale znał każdą nutę, a jego nadgarstki miękko unosiły się w górę, potem opadały, chowając się w wystrzępionych mankietach koszuli.

Kiedy skończył grać, oparł dłonie na kolanach i siedział cicho. Nikt się nie odezwał, nikt nie zaczął bić brawa. Ana podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– To było bardzo piękne – powiedziała. – Nie wiedziałam, że umiesz tak grać.

– To stare pianino – odparł Zé. – Trudno je było nastroić.

– Jak długo je stroiłeś?

– Sześć lat. Teraz muszę zacząć od nowa.

– Kupię ci nowe pianino. O wiele lepsze. Nie będziesz musiał go tak długo stroić, żeby wreszcie móc zagrać.

Zé pokręcił głową.

– To jedyne pianino, na którym umiem grać – powiedział cicho. – Nie ucieszy mnie nowy instrument.

Ana przytaknęła. Wydawało jej się, że go rozumie, mimo że przed momentem była świadkiem czegoś, co można by uznać za cud.

– Co to była za melodia? – spytała.

– Napisał ją pewien Polak. Miał na imię Fryderyk.

– Jest piękna.

Ana odwróciła się w stronę pozostałych i zaczęła bić brawo. Kiedy wszyscy się przyłączyli, Zé wstał niepewnie i uklonił się. Potem opuścił klawisz, zamknął klawiaturę na klucz, zabrał kapelusz i wyszedł.

– Dokąd on się wybiera? – spytała Ana ze zdziwieniem.

– Nikt tego nie wie – odparła Felicja. – Ale wróci. Ostatnio grał dla nas w sylwestra 1899 roku, kiedy kończył się poprzedni wiek.

Kiedy Ana spostrzegła, że wszyscy utkwili w niej pytające spojrzenia, przekazała swoją wiadomość. Ze odchodzi. Nowy właściciel senhor Nunez obiecał, że wszystko zostanie po staremu, przynajmniej dopóki w O Paraiso pracują wszyscy

tu zebrani.

– Znalazłam się tu przez przypadek – dodała na zakończenie. – Zachorowałam i w całej swojej naiwności byłam przekonana, że to jest zwyczajny hotel. Dobrze się mną tutaj zaopiekowano. Być może już bym nie żyła, gdyby nie wasza pomoc. Lecz teraz nadszedł czas, bym wyruszyła w drogę. Najpierw pojedę do Beiry, żeby odszukać rodziców Isabel i przekazać im wiadomość o śmierci córki. Nie wiem, co będzie później. Pewne jest tylko to, że tu nie wrócę.

Ana zamilkła i wyjęła z torebki pliki banknotów. Każdy stanowił sumę odpowiadającą pięcioletnim zarobkom jednej kobiety w O Paraiso. Zdumiała się, widząc, że dziewczyny nie okazują radości, mimo że były to dla nich niewyobrażalne pieniądze.

– Nie musicie tutaj zostawać – powiedziała, wręczając im gotówkę. – Już nie musicie przesiadywać tu wieczorami ani spędzać nocy. Możecie wrócić do swoich rodzin.

Podczas całej przemowy Ana stała. Teraz usiadła w czerwonym pluszowym fotelu, który wyniesiono dla niej z holu do zdjęcia. Nikt się nie odezwał. Przywykła już do tej ciszy i spodziewała się, że jak zwykle sama będzie musiała pierwsza coś powiedzieć. Sięgnęła po ostatni plik banknotów i podała go Felicji. Ta jednak nie wyciągnęła ręki po pieniądze, tylko zabrała głos. Miała

przygotowaną przemowę, jakby kobiety dobrze wiedziały, co Ana ma im do powiedzenia.

– Wyjedziemy razem z panią, senhora – oznajmiła. – Nieważne, co senhora postanowi w przyszłości, może zdecyduje się na otwarcie nowego burdelu. Jedziemy z panią.

– Ale ja już nigdy w życiu nie chcę być właścicielką burdelu! – wykrzyknęła Ana. – Daję wam pieniądze, żebyście mogły zacząć normalne życie. Co się stanie z waszymi rodzinami, jeśli wyjedziecie?

– Weźmiemy je ze sobą. Pojedziemy z senhorą nawet na koniec świata. Byle nie do kraju, w którym nie ma żadnych mężczyzn.

– To niemożliwe. Czy wy rozumiecie, co do was mówię?

Nikt nie odpowiedział. Ana zrozumiała, że Felicja naprawdę nie wypowiadała się tylko w swoim imieniu. Znów była głosem wszystkich zebranych pod drzewem i kobiety były przekonane, że Ana wyjeżdża, by otworzyć gdzieś nowy dom uciech. Chciały jej towarzyszyć. Nie wiedziała, czy ma się złościć na tę bezgraniczną naiwność, czy się nią wzruszyć.

Oczekują, że powiodę je jak stado lemingów w nieznanym celu, pomyślała. Jestem dla nich tym, kim był Jonathan Forsman dla Elin, gwarancją, że gdzieś czeka je lepsze życie.

A Maghrina wstała nagle i opuściła dziedziniec.

Po chwili wróciła, niosąc na rękach wielką jaszczurkę. Ana wiedziała, że gad nazywa się *halakavuma*.

– Ta jaszczurka posiadała wielką mądrość – powiedziała Felicja. – Kiedy człowiek złapie taką jaszczurkę jak ta, zabiera ją do wodza swojego plemienia. *Halakavuma* zawsze daje wodzowi dobre rady. A senhora już bardzo długo słuchała złych porad fałszywych ludzi. Dlatego postanowiliśmy zdobyć jaszczurkę, żeby wreszcie powiedziała senhorze Anie, co robić. *Halakavuma* jest jak stara kobieta.

A Magrina położyła Anie na kolanach gada przypominającego wyglądem małego krokodyla. Z paszczy jaszczurki kapał śluz, miała mokrą i zimną skórę, wytrzeszczone oczy i szybko poruszała koniuszkiem języka. Carlos wskoczył na pianino i przyglądał się stworzeniu z odrazą.

Żyję w szalonym świecie, pomyślała znów Ana. Czy naprawdę mam zadać jaszczurce pytanie, co zrobić ze swoim życiem?

Położyła gada na ziemi. Jaszczurka powoli pocłapała w stronę drzewa.

– Wysłucham jej – powiedziała Ana. – Ale nie teraz. W tej chwili wolę porozmawiać z wami.

Potem wstała z fotela, dość niepewnie, nie wiedząc, co powiedzieć, bo miała wrażenie, że wszystko zostało już powiedziane. Dostrzegła, że wokół zapanowało zdumienie i rozczarowanie.

Przyniesione przez nią pieniądze nie wywarły takiego efektu, jakiego się spodziewała. Poza tym nieco zbiła ją z tropu deklaracja Felicji, że kobiety chcą wybrać się w podróż wraz z nią.

Nic z tego nie rozumiem, pomyślała. Ale nie sędzę, żeby one były w stanie mi to wyjaśnić. Poza tym przez cały spędzony w tym mieście czas inni biali tłumaczyli mi, że czarnych nie da się pojąć. Sama już nie wiem, jak interpretować to, co widzę wokół siebie. Moje oczy spowija mgła.

Opuściła dziedziniec i minęła hol z czerwonymi kanapami. Zastała tam jakiegoś mężczyznę, próbującego zapalić do połowy wypalone cygaro. Z jakiejś przyczyny Ana poczuła furję. Złapała poduszkę i walnęła nią mężczyznę w twarz. Połówka cygara poszybowała na drugą stronę pomieszczenia.

Potem spojrzała mu w oczy, ale nie odezwała się ani słowem. Zawołała Carlosa i wyszła. Na ulicy krzyknęła głośno, jakby na moment zmieniała się w wołającego o pomoc pawia. Czarny mężczyzna zamiatający ulicę przerwał pracę i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Ana wsiadła do auta i stwierdziła, że nawet kierowca nie dziwi się ani nie chwali jej nowego stroju. Zamiatacz wrócił do pracy, jakby nic się nie stało.

Dopiero Julietta, która otworzyła jej drzwi, zrobiła wielkie oczy na widok orientального kostiumu. Ana nie powstrzymała się i zapytała ją,

jak wygląda.

– Sama bym chciała to przymierzyć – odparła dziewczyna.

– Nigdy tego nie zrobisz – odpowiedziała oschle Ana.

Udała się prosto do sypialni. Zdjęła ubranie i cisnęła je do kosza na brudną bieliznę. Maskarada dobiegła końca.

Późnym wieczorem przyszedł Picard i przyniósł zamówione odbitki. Po jego krótkiej wizycie Ana długo siedziała przy biurku i w świetle lampy naftowej wpatrywała się w wybrane przez fotografa zdjęcie.

Wszyscy patrzyli w obiektyw z poważnymi minami. Tylko Carlos szczerzył zęby w uśmiechu, zupełnie jak człowiek.

Jedyną osobą, która sprawiała wrażenie wystraszonej, była ona sama.

Nazajutrz Ana pojechała z ostatnią wizytą na farmę Pedra Pimenty. Po drodze rozmyślała, że jej los rozstrzygnął się właśnie tam, pośród klatek z białymi owczarkami i sadzawek z krokodylami. Gdy Isabel dowiedziała się, że została zdradzona przez swojego mężczyznę, Ana wreszcie zrozumiała, że otacza ją tutaj dużo więcej fałszu, niż wcześniej sądziła. Żyła w świecie pełnym hipokryzji i pogardy dla ludzi, do których przecież należał ten kraj. Wyglądało to tak, jakby goście najadali się do syta, nie będąc wcale zaproszonymi na obiad. My jesteście tymi nieproszonymi gośćmi, stwierdziła. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Zabrała ze sobą Carlosa, bo to właśnie ze względu na niego postanowiła się wybrać na farmę Pimenty. Chciała, by szympanś tam zamieszkał, częściowo wracając na wolność. Było tam dużo przestrzeni, mnóstwo drzew, poza tym wszędzie kręcili się biali i czarni ludzie, do których towarzystwa Carlos był przyzwyczajony. A za ogrodzeniem zaczynała się dzika kraina, z której kiedyś przybył, i jeśli tylko zapragnie, będzie mógł tam wrócić.

Ana pomyślała, że być może Carlos znalazł się tak daleko od domu jak ona. Może w miejscu jego narodzin też płynęła rzeka z zimną brunatną wodą

i rósł ciemny las? Może łączy nas tęsknota za rodzinnymi stronami, którą za wszelką cenę chcemy w sobie zdusić? Ja na swój sposób, a on na swój, którego nigdy nie zdołam pojąć.

Gdy dotarli na miejsce, Ana zadrżała na wspomnienie ostatnich zdarzeń, jakie się tutaj rozegrały. Carlos wlaźł na dach samochodu i rozejrzał się wokół z zaciekawieniem, zupełnie jakby przeczuwał, że dzieje się coś ważnego.

Na schodach werandy stanęła Ana Dolores. Ana zobaczyła ją po raz pierwszy bez białego fartucha pielęgniarskiego i sztywnego czepka. Zadziwił ją ten widok. Czyż Ana Dolores nie przybyła tu, by pielęgnować chorą Teresę?

Zaraz jednak Ana przekonała się, jakie zaszły tutaj zmiany. Ana Dolores przywitała ją chłodno, spojrzała zdziwiona na Carlosa, a potem zaproponowała Anie, by usiadła na werandzie i napiła się herbaty. Gdy tylko zjawiała się służąca z tacą, stało się jasne, kto rządzi w tym domu. Ana Dolores była tu nie tylko pielęgniarką, ale też zarządczynią. Czarna służąca padła na kolana, podając herbatę.

Nosimy to samo imię, pomyślała Ana. Ona to Ana Dolores, a ja Ana Branca. Lecz ja niedługo na powrót stanę się tą, którą kiedyś byłam. Znów będę Hanną. Może znajdą we mnie jeszcze jakieś inne zmiany? Takie, których teraz nie potrafię dostrzec, ale zaledwie je przeczuwam. Wiem, że to, co

spotkało Isabel, zaważyło na całym moim życiu. Mimo że jeszcze nie wiem, w jaki sposób.

Zapytała Anę Dolores o Teresę.

– Prawdopodobnie już nigdy nie wróci do zdrowia – odparła pielęgniarka. – Ale nie ma ryzyka, że rzuci się do sadzawki z krokodylami. Jej chory umysł nie zdołał zabić w niej woli życia.

– Czy da się z nią porozmawiać?

– Niewiele. Na ogół mruczy coś do siebie, głównie o czasach dzieciństwa, zanim poznała Pedra Pimentę.

– A jak się mają jej dzieci? Co z nimi będzie?

– Są właśnie na statku płynącym do Portugalii. Żadne z nich nigdy tu nie wróci. Chłopiec dostał skórę krokodyla, a dziewczynka kawałek materiału, jaki tutejsze kobiety owijają sobie wokół bioder. Mam nadzieję, że przykre wspomnienia z Afryki powoli rozwieją się w ich pamięci, a potem całkiem znikną.

– A ty, Ano Dolores? Co będzie z tobą?

– Zostanę tutaj.

– Żeby zająć się kobietą, która już nigdy nie wyzdrowieje?

– Doglądam też farmy. Sprzedaję psy i pilnuję wyrobu skór z krokodyli. Zmęczyła mnie opieka nad ludźmi.

Ana zamilkła w oczekiwaniu, że Ana Dolores zada jej jakieś pytanie dotyczące śmierci Isabel. Spodziewała się też, że pielęgniarka będzie chciała

wiedzieć, dlaczego Ana tak bardzo chciała pomóc Isabel.

Jednak Ana Dolores o nic nie pytała. Siedziała w milczeniu i z uśmiechem na ustach spoglądała na farmę, jaką niespodziewanie przyszło jej zarządzać. Anie przemknęło przez myśl, że po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy tej kobiety.

Nagle z pagórka oddzielającego dom od sadzawek z krokodylami zajechał jakiś samochód. Zatrzymał się przed werandą.

– Przepraszam cię – odezwała się Ana Dolores, wstając z krzesła. – Przyjechał klient z Kimberley, chce kupić owczarka. To nie potrwa długo. Zaczekaj tu na mnie. Zadzwoń dzwonkiem, jeśli zechcesz jeszcze herbaty.

Z auta wysiadł mężczyzna w korkowym kasku. Wydawało się, że bardzo mu się spieszy. Ana pomyślała, że to kolejny biały człowiek, który przyjechał do Afryki, żeby przeżyć tutaj krótkie życie. Umrze jak ofiara pogoni, ścigany przez samego siebie.

Ana zabrała Carlosa i poszła popatrzeć na krokodyle. Szympanś trzymał się w bezpiecznej odległości od sadzawek, w których znajdowały się największe, prawie czterometrowe gady. W mojej rzece nie było takich bestii, pomyślała Ana. Ale Carlos mógł wychowywać się w pobliżu wody, w której czaiły się one tuż pod powierzchnią. Dobrze wie, że trzeba na nie uważać.

Rozglądając się, Ana dostrzegła, że coś się zmieniło od jej ostatniej wizyty na farmie. W pierwszej chwili nie wiedziała, co to takiego, jednak zdała sobie sprawę, że patrzy na gospodarstwo w stanie upadku. Było jasne, że po śmierci Pedra wszystko funkcjonuje tu o wiele gorzej. Dostrzegła pęknięcia w cementowych sadzawkach, na ścieżkach między nimi rosły chwasty, blaszane naczynia do karmienia owczarków rdzewiały, walały się zepsute narzędzia i śmieci, które kiedyś zostałyby zamiecione i spalone. Gdziekolwiek Ana spojrzała, wszędzie jej oczom ukazywał się ten sam widok. Na dodatek w powietrzu unosił się smród rozkładu.

Upadek farmy następował w zawrotnym tempie.

Wracając na werandę, napotykała kolejne dowody na to, że w gospodarstwie Pimenty dzieje się źle. Nawet białe owczarki nie były już tak zadbane jak kiedyś. Statek Pedra Pimenty szedł na dno. To, co zbudowali wspólnie on i Isabel, po ich odejściu powoli obracało się w ruinę.

Ana Dolores rozmawiała z klientem w domu. Ana usiadła znów na werandzie, a Carlos wdrapał się na pusty gołębnik. Nagle Anę ogarnęło dziwne uczucie, że nie jest tu sama. Odwróciła głowę i ujrzała Teresę stojącą tam, gdzie weranda skrecała za ścianę domu. Kobieta była wychudzona i blada jak papier. Ana zawahała się, czy to na pewno żona Pimenty. Nie wiedziała, jak się zachować, ale w

końcu wstała i się przywitała. Teresa nie odpowiedziała, ale podeszła szybko i stanęła tuż obok Any. Chora pachniała mocnymi oleistymi perfumami. Ana dostrzegła, że kobieta ma brudne i przetłuszczone włosy.

– Czy ty też byłaś żoną mojego męża? – spytała ją ochryłym głosem Teresa.

– Nie.

– Na pewno za niego wyszłaś. Miałaś rude włosy, zanim je ufarbowałaś.

– Nigdy nie byłam ruda – odparła Ana. – I nigdy nie byłam żoną Pedra.

Nagle Teresa wymierzyła jej siarczysty policzek. Było to tak niespodziewane, że Ana zaniemówiła.

– Skoro wiesz, jak mój mąż miał na imię, oznacza to, że ty też byłaś jego żoną – wycedziła Teresa.

Zaraz po tym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi, ale zawróciła w progu i znów podeszła do Any. Ta przygotowała się na odparcie drugiego ciosu. Lecz chora kobieta zatrzymała się w pół kroku, potem znów zawróciła i po chwili zniknęła za węglem domu. Stamtąd uszu Any dobiegł przeraźliwy krzyk.

Ana Dolores wybiegła z domu.

– Gdzie ona jest? – zapytała.

Ana pokazała na koniec werandy. Pielęgniarka udała się tam pospiesznie i po chwili wróciła, prowadząc Teresę pod rękę. Wyglądało to tak, jakby

wlokła szmacianą lalkę. Zaprowadziła chorą do domu.

Chwilę później mężczyzna w korkowym kasku odjechał z młodym białym owczarkiem. Być może nawet nie zauważył obecności Teresy na farmie. Ana Dolores wróciła na werandę. Ana była ciekawa, w jaki sposób pielęgniarka uspokoiła chorą, ale o nic nie zapytała.

– Przyjechałam tu w jego sprawie – powiedziała, wskazując Carlosa, który wciąż siedział na gołębniku i drapał się po brzuchu.

On również nie zareagował na wybuch Teresy, co Anę zdziwiło. Zwykle próbował jej bronić, krzycząc i hałasując, tym razem jednak było inaczej.

– Wyjeżdżam z miasta – podjęła. – I nie mogę go ze sobą zabrać. Pomyślałam, że mógłby tutaj zamieszkać. Wystarczy go karmić, a zajmie się sobą i będzie spokojny. Być może któregoś dnia zdecyduje, że wróci do dżungli. Tutaj będzie miał taki wybór.

– Miałyby być cały czas na wolności, chodzić i siedzieć, gdzie chce, tak jak teraz? – spytała pielęgniarka.

– Można narzucić mu jakieś reguły. Szybko się dostosuje.

– Więc nie chcesz, żeby zbudować mu klatkę?

– W żadnym razie. Ani też nie można zakładać mu na szyję łańcucha. Oczywiście zapłacę ci za

opiekę.

Ana Dolores spojrzała na nią z uśmiechem.

– Kiedy zjawiałś się w mieście, przedstawiałaś żalony widok – powiedziała. – Ale ci się poszczęściło.

– Oferuję ci zapłatę za to, żeby po moim wyjeździe Carlos mógł wieść takie życie, jakie będzie chciał – powtórzyła Ana.

Ana Dolores wstała.

– Zastanowię się – powiedziała. – Jeśli mam się zaopiekować małpą, chcę mieć pewność, że naprawdę mogę i chcę to zrobić.

Podeszła do gołębnika i zadarłszy głowę, spojrzała na szympansa, który iskał sobie futro. Ana przyglądała się obojgu z werandy. Ana Dolores poszła w stronę klatek z owczarkami. Wytresowane psy wściekle skakały na kraty. Zatrzymała się przy którejś klatce i pogłaskała jednego z psów, wsuwając dłoń do środka. Potem wróciła na werandę.

– Zawołaj tę małpę – powiedziała. – Niech przynajmniej zejdzie z tego gołębnika, żebym mogła się przywitać.

– Więc może tu zostać?

– Jeśli nie gryzie.

Ana zawołała Carlosa, który powoli zlazł na ziemię. Potem przyszło jej na myśl, że wyglądał tak, jakby się wahał.

To, co stało się później, wydarzyło się w takim tempie, że Ana nie była w stanie powiedzieć, w jakiej kolejności następowały po sobie kolejne zdarzenia. Biały owczarek, którego Ana Dolores przed chwilą głaskała przez kraty, zdołał otworzyć sobie furtkę i z szybkością błyskawicy dopadł Carlosa, który właśnie stawiał stopę na ziemi. Ana krzyknęła, próbując ostrzec szympansa. Było już jednak za późno. Rozwścieczony pies złapał go za gardło, zanim Carlos zdążył się spostrzec. Ana zbiegła z werandy, chwyciła opartą o schody miotłę i zaczęła nią okładać owczarka, krzycząc rozpaczliwie. Ana Dolores nie ruszyła się z miejsca. Dopiero gdy pies się uspokoił, odprowadziła go z powrotem do klatki.

Carlos leżał na ziemi, z głową prawie oddzieloną od tułowia. Miał otwarte oczy i wpatrywał się w Anę martwym wzrokiem.

Ana Dolores wróciła, zamknawszy wciąż warczącego i szarpiącego się owczarka.

– Nie wiem, jak to się mogło stać – powiedziała.

Usłyszawszy te słowa, Ana natychmiast zrozumiała, co się właśnie wydarzyło. W pierwszej chwili chciała odegnąć tę myśl, ale nie znalazła żadnego innego wytłumaczenia.

To nie był wypadek.

Wstała z kucek i powoli zaczęła otrzeptywać suknię z kurzu.

– Nie wiem, jak to zrobiłaś – powiedziała. – To jasne, że otworzyłaś furtkę, nie rozumiem tylko, jak zdołałaś wydać psu komendę, żeby zaatakował. Może został wytresowany tak, by reagować nie tylko na słowo, ale i na uniesioną dłoń albo jakiś ruch głową.

Ana Dolores otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

– Daj mi dokończyć! – krzyknęła Ana. – Jeśli spróbujesz mi przerwać, zabiję cię! Dałaś psu znak, żeby rzucił się na Carlosa. Chciałaś, żeby szympanś zginął. Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś. Czy nienawidzisz również białych ludzi, którzy nie gardzą czarnymi? Czy twoja nienawiść musiała osiągnąć nawet małpy, która była moim przyjacielem? Czy dlatego musiała zginąć? Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo tak przeżartego nienawiścią i goryczą jak ty, Ano Dolores. Pewnego dnia mieszkańcy tego kraju powiedzą *dosyć* takim jak ty.

Pielęgniarka znów próbowała coś powiedzieć, lecz Ana, która aż trzęsa się z wściekłości, podniosła rękę na znak, by milczała.

– Nie mów nic – syknęła. – Ani słowa. Nie chcę już nigdy więcej słyszeć twojego głosu. Daj mi jakiś worek, żebym mogła go stąd zabrać.

Ana Dolores zniknęła w domu i już nie wróciła.

Zamiast niej po chwili zjawiała się służąca z jutowym workiem. Upuściła go na ziemię, nie patrząc na martwego szympansa. Ana włożyła ciało do worka, czując na sobie wzrok pielęgniarki, która patrzyła przez okno.

Kierowca, cały czas czekający na nią w aucie, podszedł, żeby jej pomóc. Ana pokręciła głową. Chciała przenieść ciało Carlosa sama, bez niczyjej pomocy.

W drodze do domu poprosiła kierowcę, żeby zatrzymał się przy moście nad rzeką. Weszła na most i stanęła przy barierce. Kawałek dalej, przy brzegu, czarne kobiety prały ubrania. Stały po kolana w rzece, wysoko zakasawszy spódnice. Piorąc, śmiały się i rozmawiały. Pośród pluśnięć i odgłosów strzepywania mokrej bielizny Ana słyszała głośne chichoty. Poczowała ogromną chęć, żeby tam zejść, tak samo podkasać sukienkę i zabrać się do prania. Przyglądając się kobietom, miała wrażenie, że dostrzega u jednej z nich profil Elin, może nawet swoją własną twarz.

Chwilę później opuściła most. Musiała zdecydować, gdzie pochować Carlosa.

Wróciwszy do domu, postanowiła nie płakać po zabitym szympansie. Poczowała rozpaczliwą tęsknotę za Lundmarkiem. Gdyby mogła się do niego przytulić, żal po utracie przyjaciela stałby się nieco mniejszy. Lundmark z pewnością niewiele by jej powiedział, nigdy nie był zbyt rozmowny. Na

pewno jednak szepnęłyby jej parę słów otuchy i zapewnił, że nie jest sama. Wydało jej się znamienne, że na tym przedziwnym i pełnym sprzeczności kontynencie tylko mała okazała się godnym zaufania przyjacielem.

Schowała worek z ciałem Carlosa do skrzyni z lodem i zabroniła komukolwiek się do niej zbliżać. Wiedząc, że wszystkich rozpira ciekawość, kazała przynieść z ogrodu duży kamień i postawić go na wieku skrzyni. Potem zapewniła wszystkich, że biali ludzie też mają swoje zaklęcia i właśnie jedno z nich zostało rzucone na ten kamień. Ten, kto odważy się go dotknąć, będzie potem patrzył, jak jego palce zamieniają się w kawałki granitu, i ani medycyna białych, ani żadna inna nie zdoła go uleczyć. Z min zebranych wywnioskowała, że jej uwierzyli. Ana musiała przyznać w duchu, że po tym, co przeżyła tego dnia, dało jej to nieco smutnej satysfakcji. Zwłaszcza widok kulącej się ze strachu Julietty.

Również tę noc Ana zdołała przespać tylko dzięki silnym środkom nasennym. Wstała tuż po świcie. Ponieważ zawiadomiła kierowcę, że będzie chciała wyjechać bardzo wcześnie, zastała mężczyznę zwiniętego w kłębek i śpiącego w samochodzie. Kierowca pomógł jej zdjąć kamień ze skrzyni i przenieść do auta worek z ciałem Carlosa. Potem wrzucił do bagażnika motykę i łopatę, które Ana przyniosła wieczorem z szopy na tyłach

ogrodu.

Pojechali do O Paraiso, minęli śpiących strażników, a potem cicho przeszli przez hol, gdzie na kanapach chrapało paru klientów.

Kierowca położył worek w miejscu wskazanym przez Anę, obok jakarandy. Potem na jej prośbę wrócił do samochodu.

To właśnie miejsce Ana wybrała na grób dla Carlosa. Chciała, żeby szympanś spoczął pod sklepieniem z niebieskich kwiatów.

Było to jedyne godne miejsce dla jej przyjaciela.

Ana uniosła motykę. Już sam ten ruch sprawił, że w jednej chwili zmieniła się z powrotem w Hannę Renström. Pracowała w taki sam sposób, kiedy Elin kazała jej przygotować zagony do sadzenia ziemniaków wiosną, i potem, gdy je razem zbierały w pośpiechu, by zdążyć przed pierwszym przymrozkiem zapowiadającym długą zimą.

Ziemia miała na wierzchu twardą skorupę, pod spodem robiła się miększa i łatwiej było ją przekopać. Ana zamieniła motykę na szpadel i wróciła do pracy. Właściwie jej się spieszyło, ale czuła, że nie powinna poganiać samej siebie przy tej czynności.

Kopanie grobu musi przecież trwać. Nie kopała go poza tym tylko w ziemi, ale też w swoim sercu.

Pewnego dnia, kiedy była jeszcze dzieckiem, pogrzebała nura wyrzuconego przez rzekę. Był to jedyny grób, który do tej pory samodzielnie wykopała. Teraz musiała przygotować miejsce ostatniego spoczynku dla szympansa. Zostawi go, pod tym drzewem, i nigdy więcej tutaj nie powróci.

Przerwała na chwilę, zakasała rękawy bluzki i rozpięła kołnierzyk pod szyją, bo zrobiło jej się gorąco. W ogrodzie unosił się zapach cytryn z drzewka, które kazał zasadzić senhor Vaz.

Nagle szpadel natrafił na coś twardego. Ana

pomyślała, że to jakiś kamień, ale kiedy uklękła i podniosła coś z ziemi, zorientowała się, że trzyma w ręku kość. Wyglądała jak kość kurczaka. Ktoś siedział tu kiedyś, jadł i rzucał kości za siebie, pomyślała. Wróciła do pracy, lecz po chwili kości zrobiło się dużo więcej.

Szpadel uderzył w coś większego. Ana podniosła przedmiot i stwierdziła, że to mała czaszka. Uznała, że pewnie należy do małpy.

Zaraz jednak uprzytomniła sobie, że dokopała się do ludzkiego szkieletu. Tak małego, że musiał być szkieletem noworodka.

Ogarnęła ją fala mdłości. Ana opanowała ją jednak i kopała dalej. Chwilę później odkryła ze zgrozą, że szkieletów jest więcej, całe mnóstwo. Nie, nikt tu nie zajadał kurczaków, Ana niechcący natknęła się na mały cmentarz. Z trudem łapała oddech, ale nie przerwała pracy. Przychodząc tu tak wcześnie, miała zamiar pochować Carlosa, zanim obudzą się mieszkańcy O Paraiso.

Kopała dalej, bez wytchnienia, świadoma, że odkryła zbiorowy grób noworodków i urodzonych za wcześnie płodów, które grzebano pod tym drzewem, by je ukryć i o nich zapomnieć.

Miała przed oczami dziecięcy cmentarz, na który trafiały wszystkie niechciane dzieci poczęte w trakcie niezliczonych nocy w burdelu. Kości były szare lub białe. Wszystkie te uduszone lub zamordowane w inny sposób dzieci były mieszanką

tego, co białe, i tego, co czarne.

Gdy Ana opadła z sił, usiadła na ławce. Czuła potworny żal. U jej stóp rozciągał się skrawek ziemi usłany szkieletami małych ludzi. Tego ranka w tym właśnie miejscu Ana jakby przejrzała na oczy i ostatecznie zrozumiała, w jakim znalazła się świecie. Fale mdłości ustąpiły miejsca przerażeniu.

Nie zorientowała się, kiedy na dziedziniec wyszła Felicja. Dziewczyna miała na sobie jeden z pięknych jedwabnych szlafroków. Spojrzała na odkopane kości z obojętnością.

– Po co je senhora odkopała? – spytała.

Zamiast odpowiedzieć, Ana rozwiązała worek i pokazała sztywnego Carlosa.

– Skąd senhora wiedziała, że pod drzewem jest cmentarz? – znów zapytała zdziwiona Felicja.

– Nie wiedziałam. Chciałam pochować Carlosa w miłym miejscu.

– Dlaczego senhora go zabiła?

Ana nie poczuła się zaskoczona pytaniem Felicji. Żyjąc w tym mieście, nauczyła się, że czarni spodziewają się po białych wszystkiego. Nawet najbrutalniejszych i niewytłumaczalnych czynów.

– Nie zabiłam go – odparła po chwili.

Opowiedziała, co wydarzyło się na farmie Pimenty. Gdy wymieniła imię Any Dolores, wyczytała z oczu Felicji, że ta całkowicie jej wierzy.

– Ana Dolores to niebezpieczna kobieta – odparła Felicja. – Otaczają ją złe duchy, które zawsze gotowe są zabić. Nigdy nie rozumiałam, jak ona może być pielęgniarką.

Ana nagle sobie uzmysłowiła, że Felicja nie zareagowała na widok odkrytego przez nią dziecięcego cmentarza. Na myśl o tym ogarnęła ją znów fala mdłości, tym razem o wiele silniejszych.

– Niech senhora go tutaj pogrzebie – dodała Felicja. – Tu będzie mu dobrze.

Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do holu, ale Ana wyciągnęła rękę i złapała za połą szlafroka Felicji.

– Musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie – powiedziała. – Rozumiem, że te wszystkie noworodki i spędzone płody to owoc tego, co wyprawia się w burdelu. Ale chcę wiedzieć jedno. I musisz mi odpowiedzieć uczciwie.

– Zawsze odpowiadam pani uczciwie, senhora.

Ana pokręciła głową.

– Nie. To nieprawda. I ja też nie zawsze tak robię. Nie spotkałam w tym mieście nikogo, kto mówiłby wyłącznie prawdę. Ale teraz odpowiedz mi szczerze. Czy wśród tych kości jest moje nienarodzone dziecko?

– Tak – odparła Felicja. – Laurinda je tu zakopała. Wygrzebała dziurę i wylała do niej zawartość wiaderka.

Ana kiwnęła głową w milczeniu, czując, że

właśnie po raz pierwszy jasno widzi cały spędzony w tym mieście czas, od opuszczenia statku aż do odkrycia dziecięcych szkieletów pod jakarandą.

Podniosła się z ławki.

– Tylko to chciałam wiedzieć – oznajmiła. – Teraz pogrzebię Carlosa i zakopię te szkielety. Rozumiem, że to miejsce jest cmentarzem. Na dziedzińcu tego burdelu jest tajne miejsce pochówku.

– Taka jest prawda – odparła Felicja.

– Tak – kiwnęła głową Ana. – Ten cmentarz mówi prawdę o tym miejscu. Taką, której nikt nie chce słyszeć.

Felicja odeszła.

Ana pomyślała nagle, że nie może pochować Carlosa w tym miejscu. Nie mógł spocząć pośród kości tych niechcianych dzieci. Zawiązała worek, a potem zakopała szkielety i ubiła ziemię łopatą. Przyprowadziła kierowcę i poprosiła go, by zabrał worek z powrotem do samochodu. Mężczyzna o nic nie pytał. Anie przyszło na myśl, że stary człowiek widział w życiu wszystko i niczemu się już nie dziwi. Bo czyż była różnica między innymi szaleństwami białych ludzi a faktem, że młoda kobieta każe się wozić po mieście z martwą małpą w jutowym worku?

Poprosiła kierowcę, by zawiózł ją do tej części portu, gdzie przybijały małe łódki rybackie. Stały tam na brzegu drewniane tyczki do suszenia sieci i

plecionych koszy, w których rybacy zanosili ryby na targ.

Gdy dotarli na miejsce, Ana wysiadła z auta. Większość łodzi wypłynęła w morze i miała wrócić dopiero za jakiś czas. Nieco dalej widać było jeszcze kilka, z wciąż nierozwiniętymi żaglami. Ana poprosiła kierowcę, by poszedł z nią do rybaków.

– Chcę wynająć łódkę – wyjaśniła mu. – Wypłynę z Carlosem na morze i tam go pochowam.

– Zapytam ich – odparł kierowca, kiwając głową.

– Ten, kto zgodzi się wynająć mi łódkę, otrzyma hojną zapłatę.

Pierwsi dwaj zagadnięci rybacy pokręcili przecząco głowami. Zgodził się dopiero trzeci, starszy mężczyzna, w tym samym wieku, co kierowca. Zrozumiawszy, że rybak gotów jest wypłynąć z nią w morze, Ana weszła na łódkę.

– Zapewniłem go, że senhora nie jest szalona – powiedział kierowca. – Mówi, że możecie od razu wypływać.

– Otrzyma za to dobrą zapłatę – odparła Ana. – Potrzebuję kilku kamieni, żeby obciążyć worek. Muszę mieć pewność, że pójdzie na dno.

Kierowca przetłumaczył jej słowa rybakowi, wysłuchał odpowiedzi i kiwnął głową.

– Ma na pokładzie starą kotwicę, która świetnie się nada – powiedział. – Ale chce za nią dodatkową opłatę. Ma też nadzieję, że senhora nie boi się ubrudzić sukni. Poza tym chciałby o coś zapytać.

– Co chce wiedzieć?

– Czy senhora umie pływać.

Ana pomyślała o ojcu i jego zakazie nauki pływania w rzece. Zastanowiła się, czy powinna w tej chwili skłamać, czy lepiej powiedzieć prawdę. Uznała jednak, że nie ma siły na żadne kłamstwa.

– Nie – powiedziała. – Nie umiem pływać.

– To dobrze – odparł kierowca. – Ten człowiek mówi, że nie chce żeglować z ludźmi, którzy umieją pływać. Oni nie mają szacunku dla morza.

Chwilę później kierowca przyniósł worek z Carlosem. Przejmując go, Ana stwierdziła, że z każdą chwilą staje się cięższy.

– Zapomniałam, jak pan ma na imię – zwróciła się do kierowcy. – Bardzo mi wstyd.

– Dlaczego senhora czuje wstyd z powodu czegoś, czego nie pamięta? – spytał kierowca. – Czy to znaczy, że trzeba się też wstydzić tego, czego się nie zapomina? Mam na imię Vanji.

– Chcę, żeby pan zaczekał tutaj, aż wrócę. Potem będę pana potrzebowała jeszcze przez parę dni.

Vanji zrobił smutną minę, usłyszawszy, że wkrótce skończy się czas pracy dla Any. Lecz Ana nie miała siły go pocieszać.

– Jak ma na imię ten rybak? – zapytała.

– Columbus. Nigdy nie łowi ryb we wtorki, bo z jakiegoś powodu jest przekonany, że akurat tego dnia nic nie uda mu się złapać. Senhora ma

szczęście, że dziś jest akurat wtorek. Chyba nikt inny poza Columbusem nie zgodziłby się wypłynąć w morze z białą kobietą i martwą małpą w łodzi.

Usiadła przy maszcie, pośrodku małej łódki. Miała u stóp worek z ciałem Carlosa i zardzewiałą kotwicę. Łódź śmierdziała rybami, zapewne używana była do połowów od wielu lat. Columbus żyłastymi rękami wciągnął żagiel, a potem usiadł przy sterze. Ana pokazała palcem na morze, na szeroki przesmyk między stałym lądem a wyspą Inhaca.

– Wypłynęmy tak daleko, żeby ledwie było widać brzeg – poprosiła.

Starła się mówić wyraźnie, nie wiedząc, czy stary rybak zna portugalski.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i ten uśmiech Anę uspokoił. Od makabrycznego odkrycia na dziedzińcu O Paraiso wciąż czuła dławiący skurcz w gardle. Teraz powoli ustępował. Zwiesiła jedną rękę za burtę i muskała dłonią powierzchnię wody, która była ciepła i chłodna zarazem. Jakieś morskie ptaki krążyły nad ich głowami. Były jak iskry lecące ze słońca. Białe iskiereki, które w miarę przybywania utworzyły w końcu pełną aureolę nad łódką pomalowaną na niebiesko, czerwono i zielono. Columbus zapalił fajkę i sterował, zapatrzony w horyzont. Ana włożyła kotwicę do worka, wsuwając ją Carlosowi w ramiona, a potem zawiązała worek tak samo, jak zostało obwiązane płótno wokół ciała

Lundmarka. Może obaj się tam spotkają, pomyślała. Może na dnie oceanu jest jeden cmentarz, na którym zbierają się wszystkie ciała. Była to dziecinna myśl, Ana dobrze o tym wiedziała. Jednak w tej chwili nikogo nie interesowało, co sobie myśli, zwłaszcza starego rybaka, który spokojnie palił fajkę.

W pewnej chwili obok łódki zjawiono się stado delfinów. Morskie ssaki płynęły w tym samym tempie, figlując w wodzie. Dobrze, pomyślała Ana. Ktoś jednak zjawił się na pogrzebie Carlosa. Delfiny raz po raz wyskakiwały, zbliżały się aż do samej burty, a potem znów oddalały. Ana poczuła nieodpartą chęć, by opowiedzieć Bercie o tym niezwykłym kondukcie żałobników. Wiedziała już, że po odnalezieniu rodziców Isabel będzie miała tylko jeden cel – opowiedzieć Bercie o zabitej małpie, płynących równo z łódką delfinach i sobie samej, zbliżającej się do kolejnego wielkiego przełomu w swoim życiu.

Płynęli dalej. Miasto znikało w słonecznej mgłę. Wreszcie Ana uznała, że znajdują się wystarczająco daleko.

– Proszę zwinąć żagiel – powiedziała. – Tutaj będzie dobrze.

Columbus wetknął fajkę do kieszeni podartej kapoty, zrefował żagiel i zawiązał go wokół masztu. Łódka lekko kołysała się na niewielkich falach. Delfiny krążyły wokół, utrzymując bezpieczny

dystans. W górze ptaki skrzeczały niczym niezgrana orkiestra. Columbus pomógł Anie dźwignąć worek i razem wrzucili go do wody. Uderzył o taflę z cichym plaśnięciem. Ana patrzyła za nim, jak znika w głębinie. Jeden z delfinów podpłynął bliżej, musnął worek pyskiem, jakby przekazując ostatnie pożegnanie, po czym się oddalił.

Gdy Ana nie widziała już worka, poczuła, że stała się jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek. Jednak teraz nie napawało to jej wielkim przerażeniem. Wkrótce miała opuścić kraj, w którym nie udało jej się znaleźć nikogo przyjaznego. Nie czuła żadnej więzi z białymi mieszkańcami miasta, a czarni jej nie ufali, widząc w niej wyłącznie przedstawicielkę rasy prześladowców.

W dniu ślubu z senhorem Vazem otrzymała od niego naszyjnik. Pod wpływem impulsu Ana zerwała go z szyi i cisnęła do wody. Jeden z ptaków zanurkował szybko, ale nie zdążył pochwycić łańcuszka.

Gdy wrócili na brzeg, Ana zapłaciła Columbusowi i uścisnęła mu dłoń na pożegnanie. Była ciekawa, jak długo musiałby łowić ryby, by zarobić tyle pieniędzy, ile mu dała. Jednak rybak zdawał się niewzruszony na widok grubego zwitka banknotów. Obdarzył ją znów przyjaznym uśmiechem. Kiedy szła już do auta, nawet nie odprowadził jej wzrokiem.

Ana poprosiła kierowcę, by zawiózł ją do biura portowego, gdzie zamierzała zapytać o termin wypłynięcia najbliższego statku do Beiry. Miała szczęście. Liniowiec kursujący na tej trasie wypływał za dwa dni o szóstej rano. Ana zarezerwowała największą kajutę i w jednej chwili poczuła, że wszystko stało się prostsze. Pozostało jej tylko dopilnowanie, by zdjęcia trafiły do O Paraiso, ostatnie pożegnanie ze służbą domową i oddanie kluczy. Najbardziej tęskniła właśnie za tym. Pragnęła wreszcie pozbyć się pęków kluczy, które zawsze ze sobą nosiła.

Ostatnie dwa dni Ana wykorzystała na spakowanie dwóch lekkich walizek. Ustaliła z senhorem Andradem, że reszta jej ubrań oraz cała odzież senhora Vaza zostaną oddane potrzebującym. Ana zachowała tylko parę fotografii, dziennik pokładowy Lundmarka i swój pamiętnik. Wszystkiego innego się pozbyła.

Popołudniem w przeddzień wyjazdu zebrała całą służbę, by się pożegnać. Zapewniła wszystkich, że senhor Andrade wprowadzi się zaraz po jej wyjeździe, więc nikt nie musi się niepokoić o przyszłość.

Potem każdemu wręczyła zaklejoną kopertę z pieniędzmi. Nie chciała, by inni wiedzieli, ile kto dostał gotówki. Była pewna, że Julietta z całą pewnością będzie się próbowała dowiedzieć, na ile Ana wyceniła ją, w porównaniu choćby z Anaką.

Ana zorganizowała to spotkanie w swoim gabinecie, pamiętając, że właśnie w taki sposób oficjalnie rozmawiał z całą służbą Jonathan Forsman. Zdradziła im swoje plany – najpierw wybiera się do Beiry, a potem uda się w nieznanym kierunku. Na koniec podziękowała wszystkim za pracę i życzyła dobrych stosunków z nowym właścicielem domu.

Jak zawsze, w odpowiedzi otrzymała milczenie. Nikt nie odwzajemnił podziękowań. Ana odprawiła więc wszystkich, prosząc jedynie Juliettę, by jeszcze chwilę została.

– Poradzisz sobie u Andradego – powiedziała jej. – Tylko zachowuj się przyzwoicie.

– Przecież zawsze tak robię – odparła dziewczyna.

– Chcę cię poprosić o ostatnią przysługę. Zanim zapadnie zmrok, zanieś tę kopertę do O Paraiso i daj ją Felicji. Są w niej fotografie.

Julietta zabrała list i wyszła. Po chwili Ana usłyszała, że drzwi wyjściowe zatraskują się z hukiem.

Usiadła przy biurku i zapisała parę słów w pamiętniku.

Nie mogę żyć w świecie, w którym wszyscy zawsze wiedzą więcej ode mnie.

Potem schowała pamiętnik do walizki, zastanawiając się, po co go właściwie zabiera.

Nazajutrz gdy Ana wstała bardzo wcześnie, by

przygotować się do wyjazdu, powiedziano jej, że Julietta nie wróciła na noc do domu.

Ana bardzo się tym zaniepokoiła i od razu wezwała Anakę, by się czegoś dowiedzieć. Anaka nie udzieliła jej żadnych wyjaśnień, ale nie zdradzała też niepokoju.

Wówczas dotarło do Any, że dziewczyna postanowiła zostać w O Paraiso. Musiała od razu pójść do senhora Nuneza i poprosić go o pracę w burdelu. A on oczywiście ją przyjął. I na tym kończy się obietnica o domu dziecka, pomyślała z żalem. Pewnie od razu zaprowadził ją do któregoś z pokoi, żeby osobiście sprawdzić, czy Julietta na pewno wie, jak zadowolić mężczyznę.

Ogarnęła ją gorycz na myśl, że jest to najbardziej prawdopodobna odpowiedź na pytanie, co się stało z dziewczyną. Zaraz jednak ją odegnała. Nie zamierzała opuszczać tego domu przybita smutkiem i rozczarowana. Miała już dosyć tego pozbawionego radości miejsca. Wymieniła ostatnie zdania z Anaką, która odprowadziła ją do drzwi.

– Zatem wreszcie wyjeżdżam – westchnęła. – Dziś będzie upalny dzień. Ale na morzu ochłodzi mnie wiatr.

Pomyślała, że powinna jeszcze coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Powiedziała już wszystko. Pogłaskała Anakę po twarzy, odwróciła się i odeszła.

Na ulicy przed domem czekał na nią nie tylko umówiony samochód. Był również Mojżesz. A więc nie wrócił do swojej kopalni, był w mieście przez cały czas, pomyślała Ana. Może przez te wszystkie dni czuwał nade mną, niezauważony. Niczym lampart, który zawsze wszystko widzi, ale sam pozostaje niewidoczny.

Mojżesz miał na sobie ten sam kombinezon co zawsze, a na stopach rozpadające się sandały. Stał z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała i sprawiał wrażenie bezsilnego.

– Pan tutaj? – zdziwiła się Ana.

– Tak – odparł. – Chciałem się pożegnać.

– Skąd pan wiedział, że wyjeżdżam dziś o tej porze?

Ana zrozumiała, że jest to jedno z tych pytań, na które nigdy nie uzyska odpowiedzi. Gdyby jej teraz wyjaśnił, że odczytał to z układu bruku na tym kawałku ulicy, i tak by nie uwierzyła, mimo że obstawałby przy swoim. Liczyło się tylko to, że przyszedł pod jej dom tego ranka, by popatrzeć, jak ostatni raz wsiada do samochodu Vanjego. Po jej wyjeździe kierowca miał znów pracować u Andradego.

Mojżesz spojrział na nią i się uśmiechnął. Nie odpowiedział.

To i tak nieistotne, pomyślała Ana. Cieszyła się, że do niej wrócił.

Nagle poczuła, że wcale nie chce wyjeżdżać. Pragnęła być blisko niego, najdłużej jak się da. To jednak było niemożliwe. Nie miała już domu. Oddała klucze i teraz czekała na nią tylko kajuta na pokładzie liniowca, który miał ją zabrać do Beiry.

Ogarnął ją strach, ale jednocześnie poczuła radość. Naprawdę kochała tego mężczyznę. Wiedziała jednak, że ich miłość nie może się ziścić, bo stała w sprzeczności z wszystkimi regułami obowiązującymi w tym dziwnym świecie.

– Niech pan pojedzie ze mną do portu – zaproponowała.

– Dobrze – odparł Mojżesz. – Potowarzyszę pani.

Przytrzymał jej drzwi, ale kiedy wsiadła, pokręcił głową, zatrzasnął je i ruszył truchtem w dół, w stronę portu.

Ana poprosiła Vanjego, żeby pojechał inną drogą. Nie chciała mijać biegnącego Mojżesza.

Również kierowca otrzymał od niej koperty z pieniędzmi, jedną z zapłatą za wynajem samochodu, drugą z gotówką dla niego.

Były to dwie ostatnie przygotowane przez Anę wypłaty. Wszyscy inni otrzymali już wynagrodzenie. Poczuła się wolna od długów, choć wiedziała, że sposób, w jaki rozliczyła się ze swoimi pracownikami, zostałby potępiony przez

wszystkich białych w tym mieście. Uznaliby, że Ana psuje czarnych, sprawiając, iż stają się chciwi, jeszcze leniwi i tracą respekt wobec białych.

Stanąłam gdzieś pośrodku, stwierdziła w myślach. Jedną nogą jestem po stronie białych, drugą po stronie czarnych, i aż do dziś, do tej chwili, nie wiedziałam, do której strony należę. Zyskałam jasność, kiedy wrócił Mojżesz. Ale ta przynależność jest niedorzeczna.

Dotarłszy na miejsce, stanęła na nabrzeżu, by poczekać na Mojżesza. Pojawił się wkrótce, niemal bez zadyszki, mimo długiego biegu. Przyszło jej na myśl, że na jego widok czuje się podobnie jak na widok Lundmarka. Widziała w nim tylko to, co chciała widzieć. Gdyby przyjrzała mu się uważniej, spostrzegłaby, że ma brudne ręce, a jego kombinezon wymaga prania. Niewykluczone, że zauważyłaby również zadyszkę, bo po wielu latach pracy w kopalni jego płuca górnikowi musiały być słabsze.

Pożegnała się z Vanjim, który wyprężył się jak struna i ukłonił nisko.

– Już się więcej nie spotkamy – powiedziała.

– Na pewno nie w tym życiu – odparł kierowca i jeszcze raz się ukłonił.

Gdy się odwróciła, Mojżesz już wyjmował z bagażnika walizki. Wniósł je za nią na pokład liniowca. Przy trapie stał pierwszy oficer, który zasalutował im na powitanie. Potem steward w

białej liberii zaprowadził Anę do jej kajuty. Na jego widok od razu pomyślała o Carlosie, nie powstrzymała się i parsknęła śmiechem.

Nikt tego nie zrozumie, pomyślała ze smutkiem. Najpierw byłam w żałobie po mężu, za którego dopiero co wyszłam, potem właściwie nie odczuwałam żalu po śmierci drugiego, ale w moim sercu na zawsze pozostaną niezagojone rany po utracie czarnej kobiety oraz szympansa. A teraz mam obok siebie czarnego mężczyznę imieniem Mojżesz, z którym chciałabym się nie rozstawać.

Steward otworzył drzwi do kajuty i zaproponował, że zaczeka na korytarzu na Mojżesza, by odprowadzić go z powrotem do trapu. Jednak Ana zamknęła mu przed nosem drzwi, oznajmiając, że Mojżesz musi jej pomóc wypakować bagaże i później sam trafi do wyjścia.

Po raz pierwszy znaleźli się sam na sam w jednym pomieszczeniu. Ana usiadła na łóżku, Mojżesz wciąż stał.

– Sądziłam, że wrócił pan do swojej kopalni – powiedziała. – Byłam zła, że nie przyszedł się pan ze mną pożegnać.

Mojżesz nie odpowiedział. Nie sprawiał już wrażenia tak spokojnego i opanowanego jak zawsze.

Muszę się na to odważyć, pomyślała Ana. Nie mam nic do stracenia. Jeśli czegokolwiek nauczyłam się w okresie między opuszczeniem

„Lovisy” a wejściem do kajuty tego liniowca, to jest to pewność, że powinnam bez wahania sięgać po to, czego chcę, i nie dać się powstrzymać ludziom, którzy chcą decydować o tym, co przystoi, a co nie przystoi białej kobiecie.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne i proste. Właśnie w tej chwili, kiedy wreszcie miał dobiec końca jej pobyt w tym przedziwnym mieście z laguną. Rozstrzygające okazało się spotkanie z Isabel, czarną kobietą, której losem Ana tak bardzo się przejęła. Lecz Isabel już nie żyje. Podobnie jak Lars Johan Jakob Antonius Lundmark, który poślubił Anę jako pierwszy, oraz senhor Vaz, który uczynił ją bogatą kobietą.

Potem nagle zjawił się Mojżesz. Oddanie dla Isabel zmieniło się w miłość do jej brata. On przecież wciąż żyje, jeszcze jej nie opuścił.

Ana wstała z łóżka i podeszła do niego. Zbliżyła twarz do jego twarzy i z radością poczuła, że jego dłonie obejmują ją w pasie.

Kochali się w wielkim pośpiechu, na wpół rozebrani i niespokojni, słysząc kroki zarówno nad głowami, jak i w wąskim korytarzyku za drzwiami kajuty. Ana pragnęła, żeby te chwile trwały wiecznie, by zostali w tej kajucie na zawsze, aż statek nabierze wody i pójdzie na dno. Mojżesz był namiętny i czuły, a gdy w pewnej chwili cicho zapłakał, Ana pomyślała nagle o Isabel i jej dzieciach i poczuła, jakby i oni byli z nimi w

kajucie.

Potem leżeli chwilę, milczący i wyczerpani, na wąskiej drewnianej koi. Ana położyła dłoń na piersi Mojżesza, czując, jak jego serce powoli się uspokaja, z radosnego uniesienia przechodzi w wielki spokój.

Być może pomyślała w tej chwili o Lundmarku. Później już tego nie pamiętała. Często powracała jednak w jej głowie myśl, że w jej życiu wiele rzeczy się powtarza. Miłość w ciasnej kajucie, trapy wiodące na pokłady statków oraz na brzeg, nagłe wyjazdy i pogrzeby na morzu. Na żadne z tych zdarzeń nigdy nie była przygotowana. Ani przez ojca, ani przez Elin. W dolinie nad rzeką nauczyła się, jak posługiwać się motyką, jak pielęgnować dzieci, jak brnąć w głębokim śniegu i przetrwać na mrozie i jak drżeć przed surowo karzącym Bogiem z opowieści babki. Teraz miała za sobą wiele odważnych decyzji, do których podejmowania nikt jej nie przygotował. Mimo to Ana wiedziała, że nikt jej również do nich nie zmuszał.

Mieli niewiele czasu. Liniowiec wkrótce odpływał.

– Pojedź ze mną – wyszeptała nagle Ana. – Chcę, żebyś ze mną pojechał.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Senhora wie dlaczego.

– Nie mów do mnie „senhora”. Nie nazywaj

mnie również „Aną”. Jestem Hanna. To moje prawdziwe imię.

- Zabiliby mnie, tak samo jak zabili Isabel.
- Nie zrobią tego, dopóki będę przy tobie.
- Przecież nie udało ci się ocalić Isabel.
- Obwiniasz mnie o jej śmierć?
- Nie. Mówię, jak jest.

Mojżesz wstał z pryczy i włożył swój brudny kombinezon. Ana wciąż leżała, na wpół obnażona, z rozpiętym kokiem i rozrzuconymi włosami. Jej garderoba wałała się po podłodze kajuty.

Nagle za drzwiami rozległ się jakiś tupot. Zaraz po nim głośne pukanie, a potem drzwi się otworzyły. W progu stał pierwszy oficer, który powitał ją na pokładzie, i jeszcze jeden mężczyzna, zapewne jego kolega.

Ana zdążyła pomyśleć, że obaj wyglądają jak groźne dzikie zwierzęta.

– Czy on na panią napadł?! – ryknął pierwszy oficer, uderzając Mojżesza pięścią w twarz.

– Nie! Nie tknął mnie! – krzyknęła Ana, wyskakując z łóżka i próbując stanąć pomiędzy nimi.

Ale pierwszy oficer zdążył już kopniakiem wyrzucić Mojżesza i przyciskał go do ziemi, trzymając za gardło.

– Zabiję skurwysyna – wycharczał. – Jak ten tragarz śmiał napadać na moją pasażerkę!

– On na mnie nie napadł! – krzyczała zrozpaczona Ana, usiłując oderwać żelazną dłoń oficera od gardła Mojżesza. – Niech pan go puści!

Mężczyzna podniósł się i szarpnięciem postawił Mojżesza na nogi. Mojżesz miał zakrwawioną twarz.

– Co on pani zrobił? – odezwał się drugi mężczyzna, który do tej pory się nie odzywał.

– Nie zrobił niczego, o co sama go nie poprosiłam – odparła Ana. – Potępiam sposób, w jaki go traktujecie.

– Ja decyduję o tym, jak traktowane są czarnuchy na tym pokładzie – wysapał pierwszy oficer.

Na potwierdzenie swoich słów ponownie uderzył Mojżesza w twarz. Tym razem trafił w nos, który też zaczął krwawić. Ana zrobiła krok przed siebie, odepchnęła mężczyznę i stanęła między nim a Mojżeszem. Była na wpół obnażona i rozumiała, że oficer miał wszelkie prawa przypuszczać, że wydarzyło się tu coś niestosownego. Jednak w tej chwili nic ją to nie obchodziło. Poczwała, że jeszcze nigdy nikt jej tak nie zranił. I to zaraz po tym, jak przeżyła najpiękniejszą chwilę w swoim życiu.

– On teraz pójdzie stąd – powiedziała. – Nie ważcie się go więcej tknąć.

– Nie ma mowy – odparł stanowczo oficer. – Zostanie aresztowany. Pojedzie prosto do fortu.

Anna zamarła na myśl, że Mojżesz miałby trafić do tej samej ciemnej celi, co Isabel.

– W takim razie musicie mnie zabrać razem z nim – oznajmiła.

Coś w jej głosie sprawiło, że obaj biali mężczyźni nagle opanowali się. Ana sięgnęła po ręcznik i otarła krew z twarzy Mojżesza. Na widok czerwonych plam na materiale pomyślała o lepkiej plamie na wewnętrznej stronie uda. Wiedziała, co jest jej przyczyną, i rozumiała, że od tej pory to będzie jej największa tajemnica.

Gdy chwilę później wszyscy wyszli z kajuty, załoga i pasażerowie statku przyglądali im się z zaciekawieniem. Wszyscy już wiedzieli, że w największej kajucie wydarzyło się coś

niecodziennego.

Mojżesz zszedł po trapie, nie mając możliwości pożegnania się z Aną. Ana odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął w uliczce portowej. Nie odwrócił się, by spojrzeć na nią ostatni raz. Wróciła do kajuty i położyła się na koi, wycieńczona, ale wciąż wściekła z powodu tego, co się stało. Leżała tak, aż dobiegły ją okrzyki załogi przygotowującej się do wypłynięcia. Poczowała szarpnięcie, gdy wzrosło ciśnienie w kotłach, a potem usłyszała metaliczny szczęk wciąganej kotwicy.

Dlaczego nie zeszłam ze statku razem z Mojżeszem? pomyślała. Dlaczego się nie odważyłam? Przez moment wszystko zdawało mi się tak proste, ale chwilę później przestraszyłam się czekających mnie konsekwencji.

Parę godzin później wyszła na pokład. Stała przy relingu, starannie uczesana i w świeżej sukni. Stojący blisko pasażerowie odsunęli się, robiąc jej miejsce. Nie z uprzejmości, tego Ana była pewna. Chcieli jej okazać dezaprobatę.

Wystarczyło jedno, żebym w ich oczach stała się dziwką, pomyślała. Zaprosiłam czarnego mężczyznę do swojej kajuty i zrobiłam najbardziej upadlającą rzecz, jaką ci ludzie mogą sobie wyobrazić.

Spojrzała na białe miasto w oddali, na opadające do morza strome zbocza. Długo się w nie wpatrywała, aż wszystko zaczęło się rozmywać

w słonecznej mgłę. Statek płynął prawie prosto na północ, słońce stało już wysoko na niebie. Chwilę później zaproszono pasażerów na pierwszy posiłek. Ana odmówiła jedzenia. Była głodna, ale nie chciała przerywać pożegnania z miastem, którego już nigdy więcej nie zobaczy.

Nagle tuż obok niej stanął jakiś mężczyzna. Był ubrany w mundur i Ana od razu się zorientowała, że to kapitan. Miała wrażenie, że go poznaje, choć nie umiała sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej spotkała. Zasalutował i wyciągnął rękę na powitanie.

– Kapitan Fortuna – przedstawił się. – Witam panią na pokładzie.

Czuć było od niego piwem i z jakiejś przyczyny Ana pomyślała o senhorze Vazie. Kapitan wyglądał na czterdzieści lat, był opalony i miał żylaste ciało.

– Dziękuję – odparła grzecznie. – Jaką będziemy mieli pogodę?

– Ładną i bezwietrzną – odpowiedział. – Trochę pokołyszcie nami na martwej fali.

– Spotkamy górę lodową?

Kapitan Fortuna spojrział ze zdziwieniem. Zaraz po tym parsknął śmiechem, przekonany, że Ana żartowała.

– Jedyne łód w okolicy to ten w skrzyni pod pokładem – powiedział po chwili. – Nie grożą nam też podwodne skały, jeśli będziemy się trzymali w bezpiecznej odległości od brzegu. Pływam na tym

liniowcu od dziesięciu lat i najdramatyczniejszym do tej pory wydarzeniem na moim pokładzie był buhaj, który wpadł w szal, rozniósł klatkę i wyskoczył za reling. Niestety nie byliśmy w stanie go uratować. Wyskoczywszy, obrał kurs na Indie i popłynął w zawrotnym tempie. Szybko straciliśmy go z oczu, bo było ciemno.

– Jeszcze nigdy nie byłam w Beirze – odezwała się Ana. – Nic nie wiem o tym mieście, a będę potrzebowała hotelu.

– Hotel Africa – odparł kapitan. – Właśnie go otwarto. To imponująca budowla. Senhora powinna zatrzymać się właśnie tam.

– Czy to duże miasto?

– Mniejsze od Lourenço Marques. Do hotelu wiedzie z portu krótka droga.

Kapitan Fortuna ponownie zasalutował, a potem ruszył w stronę mostka.

Nagle Ana przypomniała sobie, gdzie go wcześniej widziała. Raz lub może dwa razy odwiedził O Paraiso. Nie zjawił się tam w mundurze, ale w cywilnym ubraniu. To dlatego w pierwszej chwili go nie rozpoznała.

Wciąż otaczają mnie dawni klienci, pomyślała. On też z pewnością wiedział, kim jestem.

Wróciła do kajuty i znów położyła się na pryczy. Dotknęła swojego łona, zastanawiając się, czy gdyby zaczęło w niej rosnać dziecko, pozwoliłaby mu żyć. Była pewna, że dokądkolwiek

uda się po wypełnieniu swojego zadania w Beirze, będzie unikać cmentarzy, zwłaszcza tych dla niechcianych dzieci.

Niniejszym składam taką obietnicę, pomyślała. Czy ma ona jednak jakąkolwiek wartość, skoro wypowiadam ją bez świadków?

Zamówiła obiad do kajuty, chcąc uniknąć towarzystwa ciekawskich, żądnych sensacji pasażerów.

Wieczorem, gdy zapadł już zmierzch, wyszła na pokład pooddychać chłodnym powietrzem. Niebo było bezchmurne i gwiazdziste. Czuła obecność Mojżesza tuż obok siebie. Miała też wrażenie, że jest z nią Lundmark, być może nawet senhor Vaz. Spojrzała na leżący u jej stóp zwój lin i pomyślała o zwiniętym w kłębek Carlosie.

Otaczały ją połyskujące światła – spadające gwiazdy, lampy na pokładzie i migające w oddali latarnie.

Nagle z mroku wyłonił się kapitan Fortuna. Tym razem czuć było od niego wino.

– Zwykle nie mieszam się do prywatnych spraw innych ludzi – zagaił. – Ale chciałbym wyrazić podziw za to, co senhora próbowała zrobić dla tej czarnej kobiety. Pedro Pimenta był miłym człowiekiem, ale był również draniem. Wykorzystywał kobiety.

– Powinna była zrobić więcej – odparła Ana. – Isabel została zamordowana.

– Docierając do Afryki, ludzie z naszego świata zmieniają się w dzikie bestie – powiedział kapitan ze smutkiem. – Choć ja, na pokładzie mojego statku, nie stykam się z tymi wszystkimi okrucieństwami, które mają miejsce na lądzie. Myślę jednak, że wszyscy są świadomi, iż traktowanie czarnych w tak potworny sposób musi się kiedyś na nas zemścić.

Ana podejrzewała, że kapitan oczekuje odpowiedzi, nic jednak nie powiedziała. Odezwała się dopiero po chwili, zmieniając temat.

– Będę z panem szczerą. Pamiętam, że odwiedzał pan O Paraiso, którego stałam się właścicielką, gdy zmarł mój mąż. Pamiętam, że zawsze uczciwie pan płacił i dobrze traktował dziewczęta. Jestem ciekawa, którą z nich pan wybierał.

– Belinę Bonitę – odparł kapitan. – Nigdy nie poprosiłem o żadną inną. Ożeniłbym się z nią, gdybym mógł.

– Ja pokochałam tego czarnego mężczyznę, który wniósł moje bagaże na statek. Mam wielką nadzieję, że noszę jego dziecko.

Kapitan Fortuna spojrział na nią, unosząc trzymaną w dłoni lampę naftową, która oświetliła twarz Any migocącym płomieniem.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Rozumiem – pokiwał głową. – Rozumiem panią doskonale.

Ana przespała tę noc spokojnym, kamiennym snem. Usypiając, pomyślała, że morze jest jak fotel bujany, który kołysze się powoli, w miarę jak mija noc i nadchodzi nowy dzień, początek całkiem nowego życia.

Epilog

Hotel Africa, Beira, 1905

Po raz drugi w swoim życiu Hanna Lundmark zeszła na brzeg w miejskim porcie, opuszczając statek, na który miała już nie powrócić. Podczas rejsu porzuciła na zawsze ostatnie imiona i nazwiska – Ana Branca i Hanna Vaz. Rozważała też rezygnację z nazwiska Lundmarka i powrót do tego, które nosiła od urodzenia, Renström. Rozmyślała o tym wszystkim, stojąc przy relingu i wpatrując się w majaczący w oddali brzeg. Raz po raz nieopodal burty pojawiało się stadko delfinów, a na wysokości Xai-Xai Hanna zobaczyła nawet tryskające fontanną wody wieloryby. Przede wszystkim jednak zajmowało ją analizowanie w myślach swoich nazwisk. W końcu jedno po drugim wypadały za burte, ginąc w ciemnej głębinie.

Na swoje rozmyślenia Hanna wybrała miejsce blisko rufy, tutaj znajdowało się wejście do kambuza, takiego jak na pokładzie „Lovisy”. W ciasnej, zaparowanej kuchni pracowała otyła czarna kobieta oraz dwóch chłopaków, wybranych przez nią zapewne ze względu na to, że byli niezwykle chudzi. W przeciwnym razie nie zmieściliby się wszyscy w małym kambuzie z piecem opalanym drewnem, między rondlami i powyszczerbianą porcelanową zastawą.

Linowcem podróżowało niewielu pasażerów.

Mimo że Hanna wybrała najlepszą kajutę, i tak co wieczór musiała urządzać polowanie na karaluchy i zabijać je pantoflem. Z kajut położonych nad jej głową wciąż słyszała jakieś skrzywienie i pochrapywanie pasażerów, którzy owinięci kocami, leżeli na kojach i próbowali spać.

Odbyła kilka rozmów z kapitanem Fortuną. Szybko zrozumiała, że jest to człowiek, który ma korzenie na całym świecie. Drugiego dnia rejsu zapytał Hannę, skąd pochodzi.

– Ze Szwecji – odparła. – To kraj daleko na północy. Świecą tam na niebie zorze polarne.

Nie była pewna, czy kapitan wie, gdzie leży jej ojczyzna, ale uprzejmie zapytała go, skąd on pochodzi.

– Moja matka była Greczynką – zaczął kapitan. – Jej ojciec pochodził z Persji, a jego matka urodziła się w dalekich Indiach. Jej matka z kolei przyszła na świat na jakiejś wyspie na Pacyfiku. Mój ojciec był Turkiem, ale w jego żyłach płynęła krew żydowska, marokańska i nawet japońska. Ja mówię o sobie, że jestem arabskim Afrykańczykiem. Na szczęście morze jest ojczyzną dla wszystkich ludzi.

Hanna spożywała posiłki w kajucie. Jedzenie przynosił jej jeden z chudych chłopaków zatrudnionych w kambuzie. Jadła niewiele, przez większość czasu odpoczywała na koi lub stała przy relingu na rufie i wpatrywała się w ledwie widoczny w słonecznej mgłę kontynent afrykański.

Po czternastu godzinach od wypłynięcia zepsuł się silnik parowy. Liniowiec dryfował prawie całą dobę, nim wreszcie maszynista usunął awarię i statek ruszył w dalszą drogę w stronę Beiry.

Zmierzchało już, gdy Hanna zeszła po trapie do portu w nieznanym mieście. Towarzyszyło jej dwóch marynarzy wysłanych przez kapitana Fortunę. Mieli jej pomóc dotrzeć do hotelu Africa. Zamierzała się tam zatrzymać tak długo, aż znajdzie rodziców Isabel.

Wszedłszy do hotelu przez drzwi pilnowane przed dwóch mężczyzn w liberii, zamarła na widok panującego wewnątrz przepychu. Dotychczas wydawało się jej, że najbardziej luksusowym miejscem, jakie widziała, był hotel wybrany przez Pandrego w Lourenço Marques. Jednak hotel Africa przebijał wszystko, co mogłaby sobie wyobrazić. Zamieszkała w jednym z większych apartamentów, ponieważ największy i najelegantszy – apartament małżeński – był już zarezerwowany. Pierwszego wieczoru zjadła kolację w pokoju, a do niej wypić szampana, którego kosztowała wcześniej tylko jeden raz – w dniu ślubu z senhorem Vazem.

Nazajutrz rozpoczęła poszukiwania rodziców Isabel. Recepcjonista przysłał jej do pomocy dwóch czarnych mężczyzn. Hanna poprosiła ich, by zaprowadzili ją do dzielnicy slumsów, tam spodziewała się znaleźć tych, których szukała. Poszukiwania na obrzeżach miasta zajęły jej ponad

tydzień. Ponieważ nigdy nie widziała dzielnic czarnych w Lourenço Marques, przeżyła prawdziwy szok, ujrawszy, w jakich warunkach mogą żyć ludzie. Na własne oczy zobaczyła nędzę, jakiej nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Każdego wieczoru po powrocie z poszukiwań siedziała jak sparaliżowana w swoich pięknych pokojach. Niemal przestała jeść, a nocami dręczyły ją koszmary, w których wracała do doliny nad rzeką, ale nie mogła odnaleźć rodzinnego domu.

Po paru dniach spędzonych na wędrówkach po slumsach zauważyła coś charakterystycznego. Odkryła ze zdziwieniem, że żyjący w nędzy ludzie mają w sobie niezwykłą radość życia. Świątowali choćby z najbliższego powodu i wzajemnie się wspierali, choć nie mieli niczego, czym mogliby się podzielić.

Pewnego wieczoru Hanna próbowała opisać w pamiętniku to niezwykle odkrycie, jakie jej się zdarzyło w świecie potwornej nędzy.

W samym środku oceanu niewyobrażalnej biedy widzę wyspy pełne wszelkich bogactw. Widzę radość, która nie ma prawa tam być, oraz ciepło, któremu udaje się przetrwać wbrew wszelkiej logice. Jeśli wyobrazę sobie odwrotność tej sytuacji, ujrzę pełen nieszczęść ocean bogactwa białych, a na nim maleńkie wyspy radości.

Kilkakrotnie przeczytała swoje słowa. Nie była w pełni zadowolona z tych sformułowań, ale

pierwszy raz w życiu poczuła, że udało jej się poznać prawdziwe życie czarnych ludzi. Wcześniej patrzyła na nie z niewłaściwej perspektywy.

Być może ja sama, która pochodzę przecież z najbiedniejszych pośród biednych w całej Szwecji, mam z tymi ludźmi więcej wspólnego, niż wcześniej sądziłam, rozmyślała.

Następnego ranka kontynuowała poszukiwania i od tego dnia każde spotkanie z nowo poznanym czarnym człowiekiem upewniało ją, że miała rację, pisząc w pamiętniku tamte słowa.

Któregoś dnia przyszła jej do głowy zaskakująca myśl: może jednak powinnam zostać w tym kraju? Wkrótce potem zrozumiała, że nie szuka już wyłącznie rodziców Isabel. W pewien sposób rozpoczęła bowiem poszukiwania samej siebie.

W tym samym czasie, gdy Hanna odwiedzała slumsy, hotel przygotowywał się na mające odbyć się w nim za parę dni wielkie wesele. Portugalski książę miał poślubić pewną angielską księżnę. W porcie stały na redzie luksusowe statki, które przyplłynęły aż z Europy. Hanna była jedyną osobą w hotelu niezwiązaną ze zbliżającą się uroczystością, ale jako gość luksusowego apartamentu również otrzymała zaproszenie. Podziękowała grzecznie, czując mimowolnie, że z ulgą spędzi czas pośród białych ludzi po oglądaniu całej tej nędzy w slumsach.

Po przeszło tygodniu była bliska zrezygnowania

ze swej misji, uznawszy, że nigdy nie uda jej się odnaleźć rodziców Isabel. Zapłacała dwóm swoim pomocnikom i zobaczyła, jak z niedowierzaniem i niemal lękiem przyglądają się banknotom, które im wręczyła.

Tego samego wieczoru odbywało się wesele. Hanna spędziła popołudnie w zacienionej części hotelowego ogrodu, by nie przeszkadzały jej przygotowania do uroczystości.

W pewnej chwili stanął przed nią starszy biały mężczyzna w ciemnym garniturze. Hanna oceniła go na ponad sześćdziesiąt lat. W pierwszym odruchu uznała go za natręta, chciała przecież posiedzieć w spokoju, lecz po chwili stwierdziła, że nieznajomy ma miłą twarz i pewnie tylko szuka kogoś, by wdać się w pogawędkę.

Przez parę minut obserwowali fruujące między krzewami kolorowe ptaki o żółtych dziobach.

– Mam tu przerwę w podróży – oznajmił nagle mężczyzna.

– Jak my wszyscy – odparła Hanna z uśmiechem.

– Nazywam się Harold Fendon – przedstawił się nieznajomy. – Choć kiedyś nazywałem się inaczej. Nie pamiętam już jak. Mój ojciec nazywał się Wilson, John Wilson, ale wszyscy mówili na niego „Jack”. Jestem w drodze do kraju, który do niedawno nosił nazwę Van Diemen’s Land.

– Co to za miejsce?

– Dziś nazywa się Tasmania, ale w czasach gdy

mieszkała tam moja rodzina, była to budząca grozę kolonia karna, do której Anglia wysyłała swoich przestępców, pozbywając się ich z miast. Mój ojciec ukradł kiedyś parę butów w Bristolu i został za to zesłany do tej kolonii na piętnaście lat. Gdy odsłużył karę, zdecydował się nie wracać. Został hodowcą owiec, poza tym umiał też budować organy. Teraz już nie żyje, ale zdecydowałem się tam pojechać, żeby być blisko niego.

– A jak się pan znalazł tutaj? – spytała Hanna.

– Wie pani, do Australii wiedzie długa droga.

To prawda, pomyślała Hanna. Droga do Australii naprawdę jest bardzo długa. Ja nigdy tam nie dotarłam. Zostałam tutaj.

– Słyszałam, że płynąc tam, można spotkać po drodze górę lodową – powiedziała.

– Wiem – odparł Fendon. – Wiele statków wiozących przestępców do Australii nigdy tam nie dotarło. Sporo z nich pewnie zatoneło po zderzeniu z górą lodową.

Rozmowa dobiegła końca tak samo szybko, jak się rozpoczęła. Starszy pan podniósł się z ławki, uklonił się nisko i podał Hannie rękę na pożegnanie.

– Potrzebuję pieniędzy na dalszą podróż – powiedział. – Wstyd mi o to prosić, ale nie mam wyboru.

Hanna wstała bez słowa, poszła do swojego pokoju i wróciła, zabrawszy stamtąd pięćdziesiąt

funtów.

– Skąd pan wiedział, że mam pieniądze? – spytała.

– Wygląda pani na osobę, która nie musi się niczym martwić – odparł Fendon. – Ktoś taki albo głęboko wierzy w Boga, albo ma dużo pieniędzy. Dla mnie nie wyglądała pani na osobę wierzącą, więc została tylko jedna możliwość.

– Szczęśliwej podróży – powiedziała Hanna, wręczając mu pieniądze.

Patrzyła, jak Fendon odchodzi. Nie wiedziała, czy naprawdę popłynie na Tasmanię, czy przegra jej pieniądze w karty. Nie obchodziło jej to.

Wzięła udział w uroczystości zaślubin. Przyglądała się młodej parze, rozmyślając o skromnym ślubie z Lundmarkiem w Algierze. Gdy jednak rozpoczął się obiad weselny, krzesło Hanny pozostało puste. Wróciła do apartamentu, chcąc wreszcie podjąć decyzję, dokąd się teraz udać. Gdzie jest moja Tasmania? rozmyślała. Jak dokonać wyboru? I czy mam jakiś wybór? Może powinnam zostać tutaj, w hotelu Africa, aż skończą mi się pieniądze.

Późną nocą zdecydowała, że uda się do miejsca o nazwie Phalaborwa, o którym wspomniała Hannie misjonarka Agnes, gdy spotkały się na pokładzie „Lovisy”, dzień przed tym, jak Hanna zdecydowała się zejść na ląd. Doszła do wniosku, że tam łatwiej podejmie decyzję, co zrobić z resztą swojego życia.

Wierzyła, że pobyt w misji pomoże jej wyzbyć się resztek tej siebie, jaką stała się, żyjąc w Afryce.

Przespawszy tylko parę godzin, wstała wczesnym świtem. Wesele wciąż trwało. Hanna wyjrzała przez okno i zamarła. Pod drzewem w hotelowym ogrodzie stał Mojżesz. Wpatrywał się w okna jej apartamentu. Zawołała, żeby zaczekał, na pewno się nie myliła, to naprawdę był on. Nie posiadając się z radości, ubrała się szybko i zbiegła na dół. Mojżesza już nie było. Hanna wiedziała, dlaczego zniknął. Nie wypadało, by biała kobieta spotykała się w hotelowym ogrodzie z czarnym mężczyzną. Dlatego wolał się schować. Hanna rozejrzała się wokół i po chwili jej wzrok padł na kępę gęstych krzewów, rosnącą pod murem otaczającym posiadłość.

Mojżesz stał po drugiej stronie krzaków, niewidoczny z okien hotelu. Nie miał na sobie poplamionego kombinezonu, ale znoszony czarny garnitur. Mimo to Hanna zdziwiła się, że go wpuszczono. Wszyscy pracujący tutaj czarni, nawet ci zatrudnieni w przypominającym park ogrodzie, mieli na sobie hotelowe uniformy.

– Wdrapałem się na mur i zeskoczyłem po tej stronie – wyjaśnił Mojżesz. – Nie byłbym tu mile widziany. Pracując w kopalni, człowiek uczy się pokonywać przeszkody. Dla górnika nie ma muru, którego nie mógłby pokonać.

Hanna prawie go nie słuchała. Podeszła bliżej i

myślała tylko o jego rękach trzymających jej talię.

– Jak się dostałeś do Beiry? – zapytała.

– Przyplłynąłem następnym statkiem.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Więc już pewnie wiesz, że nie znalazłam twoich rodziców.

– Wiem.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Dlaczego przyjechałeś?

Mojżesz zrobił krok wstecz i wyjął z kieszeni woreczek. Hanna go rozpoznała, kiedyś przekazała taki sam Isabel.

– Chcę ci to dać – powiedział Mojżesz.

– Czy to ten sam proszek, który dałeś Isabel?

– Tak.

– Wtedy nie zadziałał. Powiedziałaś, że to dlatego, że Isabel jest otoczona białymi ludźmi, którzy odpędzają dobre duchy. Po co dajesz go teraz mnie?

– Ty nie jesteś taka jak oni. Wiem, że mówią na ciebie Ana Branca, ale to złe imię. Dla mnie jesteś Ana Negra.

„Czarna Ana”, pomyślała Hanna. Może to rzeczywiście moje nazwisko?

– Twoim ostatnim zadaniem, jako białej kobiety, którą się urodziłaś, jest odnalezienie moich rodziców – podjął Mojżesz po chwili. – Potem staniesz się jedną z nas. Wszyscy będą mówili na

ciebie Ana Negra.

– Co będzie, jeśli wyrosną mi skrzydła?

– Przylecisz do mnie.

Nie mówiąc nic więcej, Mojżesz wręczył jej woreczek, wspiął się na mur i przeskoczył na drugą stronę. Zrobił to tak szybko, że Hanna nie zdążyła nawet zareagować.

Tego dnia Hanna wznowiła poszukiwania, ale znów nie udało jej się odnaleźć rodziców Isabel. Nikt nie słyszał ich imion. Każdego wieczoru po powrocie do hotelu Hanna patrzyła na leżący obok łóżka skórzany woreczek. Potem wyglądała przez okno, ale Mojżesza nigdzie nie było.

Pewnego dnia w końcu się poddała. Rodzice Isabel okazali się nie do odnalezienia pośród masy czarnych ludzi. Hanna nie potrafiła ich znaleźć. Zrozumiała też, że to, czego najbardziej pragnie – znów ujrzeć Mojżesza pod drzewem, wspiąć się razem z nim na mur i zniknąć po drugiej stronie – nigdy nie stanie się rzeczywistością.

Gdy nastał wieczór, zaczęła pakować swoje rzeczy. Skórzany woreczek leżał nietknięty. Hanna nie zmieniła planów, wciąż zamierzała udać się do stacji misyjnej.

W końcu na wierzchu został tylko pamiętnik. Hanna chciała się pozbyć tego notatnika, przewiązanego czerwoną wstążką. Zamierzała go spalić, ale zmieniła zdanie, nie wiedząc dlaczego.

Przypadkiem zauważyła, że jedna z desek

podłogowych jest poluzowana, mimo że hotel został dopiero otwarty. Wsunęła nóż w szczelinę i z łatwością podważyła deskę, odsłaniając przestrzeń między legarami. Wsunęła pamiętnik najgłębiej, jak zdołała, a potem wcisnęła deskę na miejsce.

Na koniec zadzwoniła do recepcji, by zgłosić usterkę. Wkrótce zjawił się czarny robotnik i naprawił wszystko.

Hanna została w hotelu Africa jeszcze jeden dzień. Goście weselni już się rozjechali, z portu zniknęły luksusowe statki. Z dnia na dzień hotel opustoszał.

Ostatni wieczór Hanna spędziła, siedząc przy otwartym oknie i wpatrując się w poruszaną wiatrem firankę. Wysypała zawartość skórzanego woreczka na dłoń i połknęła proszek, popijając go szklanką wody.

Nikt nie widział, kiedy wyszła z hotelu. Nikt nie potrafił też powiedzieć, czy odjechała wynajętym samochodem, czy opuściła miasto na pokładzie statku lub na końskim grzbiecie.

Gdy obsługa dostała się do jej apartamentu, zastała na stoliku kopertę z pieniędzmi za pobyt w hotelu.

Bagaż Hanny zniknęły razem z nią.

I nikt jej więcej nie widział.

Posłowie

W gruncie rzeczy wszystko to, co piszę, jest oparte na prawdzie. Może to być jakaś wielka prawda lub całkiem mała, bywa oddana wiernie, jasno i prosto lub odzwierciedlam tylko jej nieduże fragmenty. Zawsze jednak fikcja w moich książkach opiera się na prawdziwych wydarzeniach.

W tym wypadku było tak: Tor Sällström, autor i znawca Afryki, wspomniał mi przypadkiem w rozmowie o niezwykłych dokumentach, na jakie natrafił w archiwum w Maputo, stolicy Mozambiku. Wynikało z nich, że na przełomie XIX i XX wieku pewna Szwedka była właścicielką największego domu publicznego w tym mieście, które wówczas nazywało się Lourenço Marques. Pozostał po niej ślad w dokumentach, ponieważ przez wiele lat płaciła ogromne podatki.

Jednak w pewnej chwili ślad ten całkiem się urywa. Ta tajemnicza kobieta pojawiła się nagle, znikąd, i tak samo zniknęła.

Kim była i skąd przyjechała do Afryki? Próbowałem dowiedzieć się o niej więcej, ale wygląda na to, że nie wiadomo, skąd przybyła, i po jakimś czasie zaginął po niej wszelki ślad. Cała historia opisana w tej książce jest więc mniej lub

bardziej prawdopodobnym domysłem na temat tej kobiety.

Pewne jest, że w tamtych czasach do portu w Lourenço Marques przybijały szwedzkie statki. Często wiozły tarcicę aż do Australii. Zapewne na ich pokładach pojawiały się jakieś kobiety, najczęściej w roli kucharek.

Cała reszta jest zatem domysłem. Z wyjątkiem urzędowych dokumentów zachowanych w miejskim archiwum. Kolonialni urzędnicy w Lourenço Marques z pewnością wiernie odzwierciedlali stan rzeczy, zależało im przecież na tym, by co roku przekonać Lizbonę, iż utrzymywanie kolonii to opłacalny interes.

Zatem ta kobieta naprawdę kiedyś tam była. Archiwa nie kłamią. I co roku płaciła gigantyczny podatek.

Moja opowieść to więc cząstka tego, co wiemy na pewno, oraz to wszystko, czego nie wiemy.

Henning Mankell
Göteborg, czerwiec 2011

Słowniczek

Ana Branca – „Biała Ana”

Ana Negra – „Czarna Ana”

Belinda Bonita – „Piękna Belinda”

bombeiros – straż pożarna capulana – kawałek tkaniny batikowej, którą kobiety w Mozambiku owijają biodra feticheiro/a – uzdrowiciel/uzdrowicielka halakavuma – w języku tsonga to nazwa dużej jaszczurki, która posiada magiczną wiedzę A Maghrina – „Chuda”

pau preto – gatunek drzewa rosnącego w Afryce, z którego uzyskuje się bardzo twarde drewno o czarnym kolorze o paraiso – raj

tontonto – zwyczajowa nazwa bimbru o wysokiej zawartości alkoholu tsonga – jeden z języków używanych w Mozambiku Xhipamanhine – jedna z najstarszych dzielnic Maputo, stolicy Mozambiku; wcześniej Maputo nosiło nazwę Lourenço Marques

1 Inlandsbanan („linia środkowa”) – linia kolejowa wybudowana w latach 1908–1937, biegnąca z Kristinehamn do Gällivare. Dziś jest atrakcją turystyczną (przyp. tłum.).

Przekład: Ewa Wojciechowska Redakcja: Filip Modrzejewski
Korekta: Małgorzata Denys, Maria Karpińska Adiustacja: Klaudia
Bryła

Projekt okładki: Krzysztof Rychter Fotografia wykorzystana na I
stronie okładki: © Bridgeman Art / FotoChannels Skład i łamanie:
Tekst – Małgorzata Krzywicka Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1636-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza
Foksal Sp. z o.o.](#)

i Aneta Więckowska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

Henning Mankell (ur. 1948) – jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich, dziennikarz i człowiek teatru. Stał się sławny dzięki kryminałom z komisarzem Kurtem Wallanderem. Cykl ten miał wiele ekranizacji telewizyjnych. Książki Mankella są publikowane w czterdziestu dwu krajach i rozeszły się w milionach egzemplarzy. Nakładem W.A.B. ukazała się cała seria kryminalna z Wallanderem oraz *Comédia infantil* (2008), *Chińczyk* (2009), *Powrót nauczyciela tańca* (2011), *Mózg Kennedy’ego* (2013), *Włoskie buty* (2013) i *Wspomnienia brudnego anioła* (2014). Pisarz otrzymał wiele wyróżnień literackich, m.in. Europejską Nagrodę Literatury Kryminalnej „Ripper Award” (2008). Mankell odnosi sukcesy również jako twórca literatury dziecięcej i młodzieżowej, za którą został uhonorowany Nagrodą Astrid Lindgren (1996). Wydawnictwo W.A.B. opublikowało jego cykl o nastoletnim Joelu.